

na posied. materialow przekazanych
przez Bibli. FAJAK
= „Lbidn relacji ze Stutthofu”
= Materialy Tadeusza
Szymanskiiego

karty i z
kz

Teska zatrzona na podob.
materialow przekazanych przez
Bibliotke FAJAK. Lbidn
relacji z obozu Stutthof =
= materialy Tadeusza
Szymanskiiego



30.06.2003

kz

Joni-W-wa
KOP

Zaleska Maria
zam. Pitera v. Zaleska
ps. „Monica”
K: 787/1958 Pom.

SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI

vel Zaleska

Zaleska Maria

T:K: 787/1958 Pom.

Tomini K.O.P

I./1. Relacja - *zbiór relacji* *1 k. 9 s. 1-11*
2 k. 254 s. 1-254

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora —

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące delatora —

II. Materiały uzupełniające relację —

III/1. Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5. Inne

IV. Korespondencja

.....

.....

.....

V. Nazwiskowe karty informacyjne : *k. 8*

VI. Fotografie *brak*

1/1. Relacje - Zaleska Maria

Zbiór relacji więźniów obozu Stutthof spisanych przez Krystynę Krzewską na podstawie nagraní w dn. 11 i 12.06.1964:

1. Swójme notatki autorów(?) wraz z „adresami relatorów ze Stutthofu”, rękopisy s. 1-11
2. Relacja Marii Zaleskiej - Jitery wraz z listem do Walerii Felchnerowskiej z 15.06.1964, mpis. s. 11-42
3. Relacja Romana Olszewskiego; ewakuacja obozu, mpis s. 43-87
4. Relacja - wyjątki z listu więźniów Stutthofu opisujące ewakuację obozu barkami - Bolestaw Waniorek, mpis. s. 88-92
5. Relacja Franciszka Kuczmę, mpis s. 93-102
6. Relacja Alfonsa Szramke z Głaińska, mpis s. 103-110
7. Relacja Franciszka Patrona - uwięzieni ze Stutthofu, mpis s. 111-128
8. Relacja dra Juliana Węgrzynowicza, mpis s. 129-165
9. Relacja Janie Gostmery, mpis s. 166-187
10. Relacja Wiesława Nieszmańskiego, mpis s. 188-212
11. Relacja Władysława Komarzewskiego, mpis. s. 213-222
12. Relacja Wacława Swandrowskiego, mpis s. 223-232
13. Relacja Janur Głaiński, mpis. s. 233-240
14. Relacja Franciszka Skwerki, mpis s. 241-246
15. Relacja Janie Mienke, mpis s. 247-254

1/2
Lorek 2000



o wypracowaniu
budżetu państwa.

1

1) the annual budget
2) the budget

formułować -

być doświadczeniem historycznym - odczytanie = interpretacja



Studium

- ✓ Pamphlety Mancyereli - prace zbiorowe
Stuttgof - Dzieni Wpisywac
- ✓ Gdanskie zeszyt humanist. Nr 8-10
Bez mundurów - Bolduan
Bytem i trawie - Lunde
Zyme srebro - Henryk Karłowicz i Holanowicz Nr 185
"Munier 20988. spornada" - Les. Gajdus.
"Autologia panisci" - 2a, obruczenie
Medaliony
Z Tucholskich Borsow
Okupacja Hitlera w Polsce
Pod obecnym kauderawem.

Koverto knapine istoric laitel

3



Spis treści: lista
frekwencji
kandyd.

25.5.64. 280 str.

4

2) TPRP - 100 str.
- polskie w woj. wst. wst.
organizacji społecznej w woj.
wst. wst.

- 1) 5.11.64 - 20 str.
- 2) 19.11.64 - 12 "
- 3) 4.12.64 - 18 "
- 4) 12.12.64 - 16 "
- 5) 1.1.64 - 11 "
- 6) 15.1.64 - 17 "
- 7) 29.1.64 - 9 "
- 8) 6.2.64 - 15 "
- 9) 20.2.64 - 8 "

tematy, paragrafy.
2) Rozw.

na reprezentantów.



Podkomitet Biblioteczny - wojew. Okręg. Komitetu Ochrony 5
Komitetu Biblioteczny: Hecceustwa -
(-) Lidzki (-) Kalcinid (-) Trucim
poradził wreszcie z Kulsom Biblioteczni. Głównego
Komitetu Ochrony Wojew. - Kulsom al. Kurothor 10.



Dziennik - wstąpienie z 11. 2. 1964 7
stypendiów wstąpienia 1-ego przy wyjeździe do Norwegii
z 2-ego od kol. George Rosef z Norwegii - o fundacji muzeum
w norwieskiej historii pomorskiej
pudełki do 150 sztuk w całości 95 - około 1000 zł
prowizji o dodatkach

knijńska Maria Helena „Raport prof. Skutlief”

Norwegowie wstąpienia od historii Divind' Lind'a
z Oslo (nie poleca) test historii internacjonalistycznej w historii
pauz i wyjazdów Norwegii

Szwedzi knijńska - granitowa leżąca w szpitalu
Linnéus 7. 1. 1945 - Bona p.d. Medicinal assistance
for Pracele histologiczne (1945) - 1956.

Czesi Rynek histologiczny 25639 - wyjazd. fundacja wpa
pudełki pomysłowe do wydruku.
relacja do archiwum

- 1) Abramowicz Pankas. Łódź 1 list. 4/4. 96814 - z 8
- 2) Ast. Stef. 216. ↗
- 3) Arcudt Aleksander. 40 286. ↗
- 4) Prastycowicz Karol. 27.380 Wrocław - wsi.
- 5) Berdycha Ryszard. Toruń 103412
- 6) : 71.
- 7) Morich Jęży Łódź 45032 - typowa koresp. - wiersze
 i inne wiersze. Polska. Główny tłumacz - wiersze
 i wiersze - wiersze i wiersze.
- 8) Dariuszowski Lech. 22710 - 2 listy, po epistole "wiersze"
 i listy.
- 9) Górniewicz Andrzej. R. 21689 - k. typowa koresp.
 epistole i wiersze i wiersze, Słabkowski 44 Słabkowski
 Polite - koresp. i wiersze.

- około 100 korespondencji.
 a) typowa koresp. i wiersze
 b) wiersze i wiersze
 c) wiersze i wiersze
 d) wiersze i wiersze
 e) wiersze i wiersze



[Adresy relatorów ze Stuttgartu]

Roman Olszewski

9

Sopot, ul. Kościuszki 50 m 3.

Franciszek Kuczora

Gdańsk Wrzeszcz, ul. Orzeszkowej 9 m 5

Alfons Szramke

Gdańsk Wrzeszcz, ul. Kunickiego 46

Franciszek Patron

Nowy Dwór Gdański

dw. Julian Węgrzynowicz

Lębork, ul. Zwycięstwa

Jan Kostrzewa

Zgryce pow. Lębork p. ta Godetowo

Mieczysław Nieznański (ur. 1906*)

Warszawa, ul. Podchorążych 69 a m 7

Władysław Konarzewski

Gdynia, ul. 3^{go} Maja 19/12

inż. Wacław Lewandowski

Sopot, ul. Curie-Skłodowskiej 13

1.

Jan Gdaniec ✓
Gdańsk, ul. Elblaska 53.

10

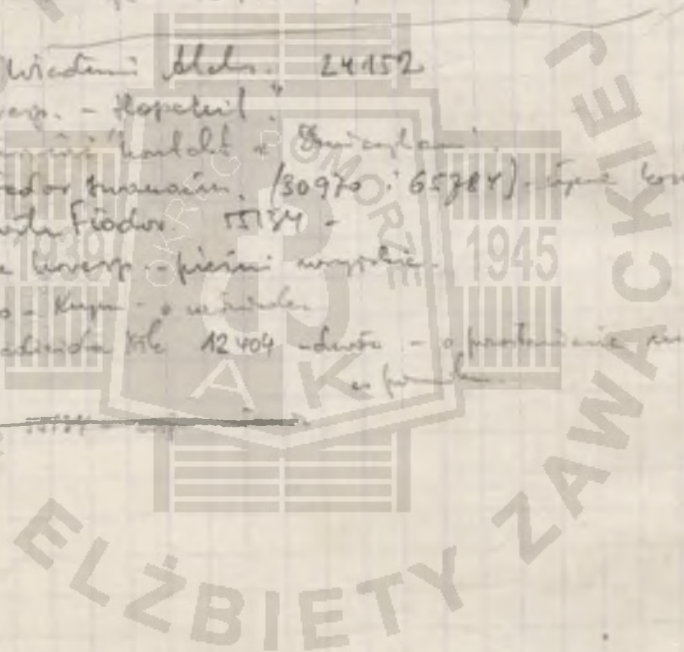
~~Franciszek Skierka (ur. 1890 r.)~~
Gdańsk ul. Beethowena

Jan Mienik
Gdańsk-Orunia, ul. Serbska 11 m 4



Diagnosy:

- 1) Steinias, karłowicz Michał, Kielce B 312
(Blagos Waldemar, Wolarka 37.411) 11
tytuł krótki - opracowanie przez W. Karłowicz.
tytuł "Las Procy" Kielce - krótki od 1901 r.
- 2) Steinias Sierż, Kielce 37.407 - opracowanie, opracowanie
na podstawie pracy W. Karłowicza - krótki o tytuł 1900
- 3) Peripatus kon 24082
tytuł krótki - opracowanie na podstawie pracy W. Karłowicza, Kielce.
tytuł krótki - opracowanie na podstawie pracy W. Karłowicza
- ~~4) Steinias kon 25772 NRT - opracowanie~~
- ~~5) Steinias kon 40942 tytuł "Kielce"~~
- ~~6) Steinias~~
- 7) Steinias Wiedem, Kielce 24152
tytuł krótki - opracowanie
na podstawie pracy W. Karłowicza
- 8) Steinias Fedor Wiedem, (30970: 65388) - tytuł krótki
- 9) Steinias Kon Fiodor 15154 -
tytuł krótki - opracowanie na podstawie pracy W. Karłowicza
- 10) Steinias Kon - tytuł krótki
- 11) Steinias Kon 12404 - tytuł krótki - opracowanie na podstawie pracy W. Karłowicza
- ~~12) Steinias Kon 15154~~

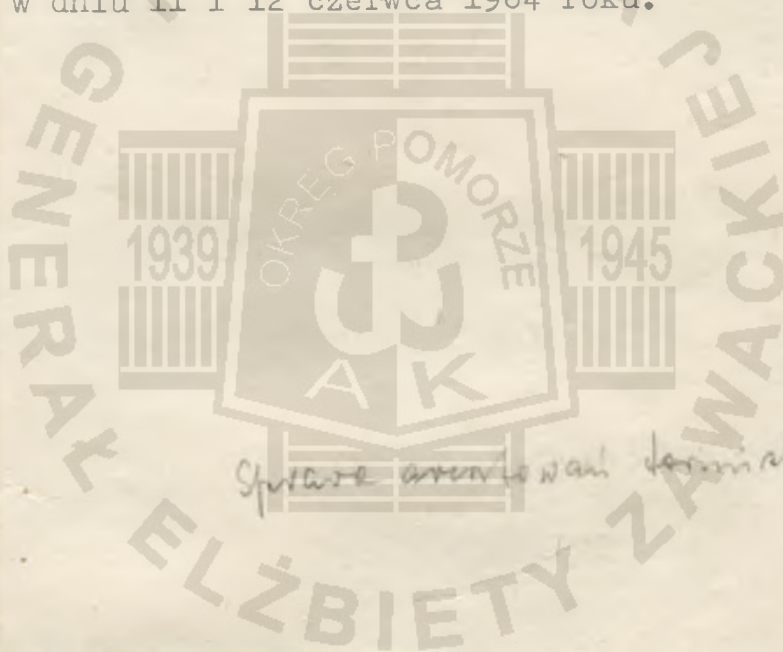


RELACJE

Marii Zaleskiej Pitera byłej więźniarki
obozu koncentracyjnego Stutthof

Nr. obozowy 12319

spisane na podstawie nagrania na taśmę magnetofonową
w dniu 11 i 12 czerwca 1964 roku.



SZYMAŃSKI TADEUSZ
Oświęcim
Muzeum

2

Nazywam się Maria Pitera z domu Zaleskich. W 1939 roku w połowie października przeszłam granicę suchą w ten sposób, że kupiliśmy z moim kuzynem autobus i zapelniliśmy go 17 profesorami z uniwersytetu jagiellońskiego w Krakowie. Trudności z uzyskaniem przepustki ze Lwowa pokonaliśmy dzięki znajomości języka rosyjskiego no i zegarkowi mojego nieobecnego męża. Jechaliśmy potem do Warszawy pociągiem towarowym 3 dni. Po przyjeździe do Warszawy bardzo prędko nawiązałam kontakty przez różnych znajomych.

Dzięki zdradzie byłego kuriera Ostoi, który był kurierem między Toruniem i Warszawą - 2 października 1940 roku Gestapo zaaresztowało grupę 150 osób, między innymi tego dnia zaaresztowany został Paweł Piątkowski, który zginął w Stutthofie, Witold Lendzion i wielu, wielu innych. Kobiet było w tej grupie 11 aresztowanych, wszystkich nazwisk już dziś nie pamiętam, - z zapamiętanych to: p. Walentyna Narewska, p. Bołtuciowa, Hania i Iza Malejko, Halina Stencel z Warszawy, Barbara Starzewska.

Nie wiedzieliśmy wtedy kto i ile osób zostało aresztowanych z tej t.zw. sprawy toruńskiej. Dostawiono nas na Szucha. Ja zostałam aresztowana w mieszkaniu mojej przyjaciółki na Krakowskim Przedmieściu, róg Koziej /Kozia 12/. W ostatniej chwili udało mi się schować pod stół 1 gazetkę, drugą gazetkę i adres lotników kanadyjskich, uciekinierów z obozu, których w przed dzień zdołaliśmy wysłać na wschód, oraz moją legitymację - zniszczyłam, w jaki sposób to już nie będę opowiadać.

Badali mnie bardzo długo i dokładnie, wozili na Szucha, na Pawiak, nocą wozili po Warszawie, kazali pokazywać różne mieszkania, o których udawałam że nic nie wiem, tłumacząc się tem, że nie znam żadnych mieszkań w Warszawie, że wogóle prawie Warszawy nie znam, gdyż mieszkałam we Lwowie.

Pamiętam dobrze niektóre z przesłuchań. Przypominam sobie np. jedno, w czasie którego zobaczyłam w aktach swoje pismo - raport, które dałam Ostoi.

Ponieważ maszyna była zepsuta pisałam ten raport odręcznie to też poznałam odrazu swoje pismo i gdy mi go pokazano powiedziałam, że to ja pisałam. Zaskoczyło to gestapowców, to moje przyznanie się z miejsca, ale muszę zaznaczyć, że przedtem skomunikowałam się z p. Piątkowskim, który prosto kazał mi wyprzeć się wszystkiego. Niestety, gestapowcy wiedzieli, że pan Piątkowski po ślubie z p. Turkowską zamieszkał u moich rodziców w Celestynowie. Stworzyłam więc tylko pierwszorzędną bajeczkę, że ja o niczym nie wiem chociaż poznaje swoje pismo, ale p. Piątkowski, mieszkając u moich rodziców, prosił mnie o napisanie pewnego listu, bo skaleczył się w rękę, która mu obierała i dlatego było mu bardzo trudno pisać, więc pisałam pod jego dyktando, ale co to było - tego nie pamiętam. To moje tłumaczenie prosto zaskoczyło gestapowców. Wieczorem tego dnia wywieziono mnie do zupełnie pustego pokoju na Szucha. W pokoju tym nie było żadnych mebli, prócz maleńkiego stolika pod maszynę do pisania i krzeselka. Ściany były opryskane krwią, zobaczyłam krwawe odciski rąk na ścianach - widok ten zrobił na mnie straszne wrażenie, ale ja przecież nie miałam nic do stracenia. Nikogo nie zdradziłam, żadnego nazwiska nie wymieniłam i postanowiłam że nie wymienię.

Zaczęło się okropne bicie, osłaniałam się odruchowo rękami - zbita byłam potwornie od góry do dołu. Skończyło się to tem, że gestapowiec schwycił mnie za włosy i czołem uderzał kilkakrotnie o ścianę. Wtedy straciłam przytomność.

Obudziłam się w zupełnie innym pokoju - leżałam na jakiejś kozetce, czułam smak alkoholu w ustach i dusiła mnie krew w gardle. Spojrzałam na ręce, miałam całe zakrwawione i czułam, że krew spływa mi po szyi - krew wypływała mi z ucha.

Pierwsze wrażenie po odzyskaniu przytomności - to strach czy czegoś podświadomie nie powiedziałam? Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że otaczali mnie cywilni, którzy mówili po polsku. Gdy zobaczyli, że otrzeźwiałam, zaczęli mnie bardzo przeproszać - mówiąc że nastąpiła pomyłka. Przełknęłam ten skrzep w gardle i powiedziałam, że dziwne pomyłki robią. Odwieźli mnie wtedy spowrotem na Pawiak. Na Pawiaku umieścili mnie w celi "25".

Była to cela dla krawcowych, które chodziły codziennie do szwalni, a ja zostawałam w celi - one przychodziły tylko na obiad i potem wieczorem. Wtedy dostawało się jeszcze na Pawiaku chleb z odrobiną margaryny. One, wiedząc o tem, że mnie bardzo biją - cała bielizna była we krwi, nie mówiąc już o sińcach, jakby kiełbasy na całym ciecie, pozostałości po gestapowskich pejczach i batach - nacierały mnie tą margaryną zeskrobywaną z chleba i okładały mnie kompresami.

Powtarzało się to przez 2 tygodnie. Po upływie tego czasu przyszła jedna ze strażniczek i szepnęła mi, żeby przygotować się na transport. Wtedy, bodaj że to było 8-go listopada, ustawiona została na korytarzach straż niemiecka, ale kobiety - strażniczki polskie pełniły w dalszym ciągu służbę. Jedna z nich przyniosła mi już następnego dnia, po moim przywiezieniu na Pawiak, gryps z miasta, w którym pytano mnie co trzeba wyjąć ze skrytek w mieszkaniu, gdzie byłam aresztowana, gdyż mieszkanie było zaplombowane, ale rewizji jeszcze nie było. Właścicielka mieszkania nie była aresztowana, gdyż w momencie "wizyty" nie było jej w domu, widziała to wszystko z bramy naprzeciw ich domu - był tam chyba jakiś hotel i zdążyła zniknąć. Na grypsie tym napisałam odrazu - wszystko co się da - oczywiście miałam na myśli, żeby wyjąć wszystko ze skrytek. Dużo później, już po przyjeździe do Szwecji, dowiedziałam się, że zdjęto plomby na mieszkaniu, wszystko usunięto i plomby spowrotem założono. Nie wiem dlaczego Niemcy nie zrobili odrazu rewizji a tylko mieszkanie zaplombowali. W czasie rewizji, którą przeprowadzili w późniejszym czasie, zerwali parkiety, rozbili piec, drzwi i wogóle splądrowali wszystko - znaleźli skrytki, ale zupełnie puste. Wyobrażam sobie jak byli rozczarowani.-

Wracam teraz do tego, jak to było z moim wyjazdem. Wyprowadzili mnie ostatnią z działu, nazywanego jak mi się zdaje ^{Syberia} Syberią. Na podwórzu przed więzieniem oddziału męskiego stała ciężarówka, przykryta plandeką z ławkami i tam zastałam wszystkie więźniarki prócz p. Darbary Starzewskiej, która zachorowała na zapalenie płuc i w wysokiej gorączce leżała w szpitaliku na Pawiaku, - posadzili mnie między 2-ma essesmanami uzbrojonymi w karabiny, specjalnie pilnującymi mnie.

(Palminy)
popr. M. P. Z.

Nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy. Byliśmy głodni, było to w porze, tuż przed wydawaniem obiadu, jedliśmy tego dnia tylko po kawałku chleba, popitego kawą. Jechaliśmy w stronę Modlina, a wiedzieliśmy, że w tym kierunku, w lasku pod Warszawą masowo rozstrzeliwali, przypuszczaliśmy więc, że jedziemy na śmierć, tembardziej że zauważyliśmy przymocowane do samochodu łopaty i kilofy. Minęliśmy jednak Modlin, przejechaliśmy przez Narew. Zatrzymaliśmy się w miejscowości, której nazwy dziś nie pamiętam, ale później dowiedziałam się, że stamtąd pochodził ks. Niewiadomy, który nosił imię ojca Sylwestra, rzeczywiście miał na imię Józef, pracował w Stutthofie w entlausungskammer. Wtedy było już ciemno, ale przedtem przejeżdżaliśmy szosą, gdzie pracowały jakieś kobiety - Niemcy kazali nam śpiewać. Współtowarzysze zwrócili się do mnie abym zaczęła. Zaczęłam śpiewać *Óto dziś dzień krwi i chwały* - podchwycili inni, śpiewaliśmy pełnymi głosami, mijając te pracujące kobiety, one kiwały do nas rękami. Zaczęliśmy nabierać pewności, że nas nie stracą, bo chyba nie wieźliby nas tak daleko na rozstrzelanie, bo przecież mieli miejsce straceń tuż pod Warszawą. Kobiet było nas 11, ilu było mężczyzn nie pamiętam, ale wszyscy byliśmy z tej samej sprawy.

Późnym wieczorem przyjechaliśmy do Grudziądza. Mężczyzn i mnie jedną z kobiet wysadzili na Młyńskiej przed gestapo. Wprowadzili mnie do celi w piwnicy, gdzie było wody 5 - 10 cm, ciemno zupełnie, prycza bez niczego, bez żadnego koca. Pozostałe kobiety przeprowadzone zostały do więzienia śledczego na Sądowej.

Na Młyńskiej codziennie wzywali mnie na przesłuchania, nawet prosili i używali najprzeróżniejszych metod aby ze mnie coś wydobyć. Powiedzieli, że zawiozą mnie spowrotem do Warszawy, aby pokazać gdzie są jeszcze skrytki w mieszkaniu na ulicy Koziej. Powiedziałam, że nie wiem o żadnych skrytkach, że nie znam tego mieszkania, że byłam tam krótko, bo zatrzymałam się tam tylko u mojej znajomej, a przecież moje miejsce zamieszkania było w Cebstynowie.

Ostatecznie po 2 tygodniach przeprowadzono mnie do więzienia śledczego, gdzie były osadzone współwięźniarki z Warszawy. Każda z nas była umieszczona w innej celi i zasadniczo nie mogłyśmy mieć styczności, ale przecież jakieś sposoby znajduje się, żeby się porozumieć. Np. na spacerze.

Tam też porozumiewałyśmy się. Ja robiłam sobie różne kawały - plac spacerowy graniczył z jakimś parkiem, gdzie było dużo ptaków, i kukułki, i sójki i inne, a ponieważ mam zdolności do naśladowania, więc kukałam, gwizdałam ku uciesze i zabawie innych więźniarek. Robiłam też "koncerty" w więzieniu, gdzie echo się roznosiło, sprowadzałam całą menażerję do więzienia, aby tylko rozweselić jakoś współtowarzyszki. Okazało się, że w więzieniu są także więźniarki z Torunia, między innymi p.Kazimiera Jackowska i cała rodzina p.Piątkowskiego, matka, jego 2 siostry i zdaje się i ojciec.

Pozatem była rodzina byłych właścicieli kina w Toruniu, niestety nie przypominam sobie ich nazwiska. Rodzinę tą zadenuncjowała p.Kazimiera Jackowska i syn z tej rodziny został skazany na śmierć i stracony w Toruniu w 1940 roku, jakoś pod koniec roku.

W więzieniu tym spotkałyśmy różne kobiety, była między innymi służąca jakiegoś doktora, posądzona o słuchanie radia. Skazana była na śmierć, wiedziała o tem, ale była tak spokojna, że naprawdę dawała nam przykład. To była bardzo prosta kobieta, ale swoim zachowaniem wprawiała nas w podziw. Jako zawodowa kucharka dawała nam różne recepty na potrawy i rozmaite przyprawy. Była zawsze spokojna i pogodna.

Pewnego razu, nie wiem jakim cudem to się stało, dość, że aufzejerka Niemka zwróciła się do mnie z pytaniem czy nie znam haftów - zawsze byłam zdolna do robót ręcznych, więc bardzo chętnie zajęłam się robotą ręczną, byle tylko nie siedzieć beczynnie. Sprowadzano tam bardzo dużo materiałów do robót ręcznych, ona zauważyła, że ja znam się na tym, więc zrobiła ze mnie pewnego rodzaju nauczycielkę - prowadziła mnie po celach aby pokazywać i uczyć jak się haftuje i robi inne ręczne roboty. Robiło się naprzykład bardzo dużo podstawek z koralików.

Pod koniec 1940 r. zostały zwolnione p.Bolk i p. Doniecka, która była aresztowana ze mną razem, w tym samym lokalu. To była obywatelka rosyjska - Rosjanka - pracowała jako masażystka w Warszawie w którymś szpitalu. Została również zwolniona p.generałowa Bołtuć, resztę wywieziono gdzieś, nie wiedzieliśmy gdzie. Mnie zostawili sobie na osłode. Zostałam tylko jedna jedyna z naszej grupy - polityczna. W niedługim czasie dostałam egzemy na całym ciele od czubka głowy do palców od nóg. Wyglądało to okropnie, poprostu otwarta rana, cała byłam szkarłatna.

Czy bolało mnie to - nie wiem; byłam przyzwyczajona do bólu po masażach na Szucha i na Pawiaku, wiem tylko, że mnie to piekło i co chwila bielizna przylepiała się do tego, - było to bardzo nieprzyjemne i przeszkadzało mi w ręcznej robocie bo ręce były ciągle wilgotne. Lekarz więzienny przekazał mnie z miejsca do gesuntheitamtu. Więc w więziennym ubraniu, w pończochach pasiastych, bardzo szkałatna, z bardzo śmiesznymi, sterczącymi do góry warkoczykami - szłam dumna, z głową do góry. W gesuntheitamcie, jak mnie zobaczyli, bez badania przekazali od razu do dermatologa w mieście, oczywiście to wszystko działo się przez gestapo, bo ja podlegałam gestapo. Na drugi dzień przyszedł po mnie gestapowiec z psem i chciał mnie zabrać, ale aufsejerka uważała, że to "nie wypada", abym chodziła po mieście w więziennym ubraniu i dawała mi moje własne ubranie. Po przyjsciu do tego lekarza dermatologa, okazało się, że w poczekalni było dość dużo ludzi /lekarz pracował sam, bez pielęgniarki/, ale gdy wyszedł i zobaczył mnie, natychmiast zabrał mnie do gabinetu. Gestapowiec chciał wejść razem, ale doktor go nie wpuścił. Ten doktor nie był Polakiem to był Belg zamieszkały w Polsce od 25 lat /o tem dowiedziałam się od więźniarek z Grudziądza/, jednak w gabinecie zapytał mnie po polsku skąd jestem? Wyjaśniłam, że jestem z Warszawy, gdzie byłam aresztowana jako więzień polityczny. Powiedział mi, że mam egzemę, że wie jaka to egzema, że może ten rodzaj egzemy wyleczyć w ciągu jednego dnia, ale że nie zrobi tego, bo przecież "proszę pani, nie wiadomo co panią czeka - dam więc pani pewne środki, które uspokoją i sprawią, że pani to nie będzie bolało, ale wyglądać będzie pani okropnie i że tę egzemę wykorzystamy, aby pani przychodziła tutaj 2-3 razy w tygodniu na zastrzyki, których zażądać przez gestapó. Rzeczywiście doktor zażądał tych zastrzyków /to były jakieś zastrzyki wzmacniające/, prócz tego zażądał od gestapo aby dawano mi podwójną porcję jedzenia i godzinę codziennego spaceru. Na spaceru nie zgodzili się, ale dali mi podwójną porcję jedzenia, 2 gramy margaryny i czasem jakąś zulangę. Moje wizyty u doktora powtarzały się co 2-3 dni /po każdej wizycie mówił gestapowcowi, kiedy mnie ma przyprowadzić, podając dokładnie dzień i godzinę następnej wizyty. Za każdym razem zapisywał mi 1/2 litra spirytusu salicylowego i puder, bo chociaż mogłam myć się wodą, stwarzał pozory, że to coś groźnego. Każda wizyta u lekarza rozpoczynała się tym,

że ten dobry człowiek dawał mi szklankę mleka i 2 bułeczki, zatrzymywał mnie około 20 minut, badał mnie z wielką powagą, zapisywał ten spirytus i puder, a ja zażywałam świeżego powietrza, no i poznawałam Grudziądz. Pewnego dnia gestapowiec nie zaprowadził mnie do doktora, wtedy on przyjechał sam do więzienia, dał mi zastrzyk, mówiąc po cichu, że te zastrzyki kosztują po 20 marek za sztukę, że to na koszt gestapo i cieszył się bardzo że tak naciąga gestapo. Ta sytuacja trwała kilka miesięcy. Lekarz ten to naprawdę bardzo porządny człowiek i bardzo chciałabym go odszukać, aby mu podziękować za uratowanie mego zdrowia, ale nie wiem czy on żyje jeszcze, bo to był już wtedy stary człowiek. Aż pewnego dnia pod koniec października powiedział mi, że za parę dni wywiozą mnie do obozu i radził mi abym starała się dostać do Stutthofu, bo tam są wszystkie współwięźniarki, z którymi przyjechałam z Warszawy. Byle tylko nie wywieźli do Rawensbrück. Dodał jeszcze - ~~xxx~~ jakie są warunki w obozie, tego Pani powiedzieć nie mogę, w każdym razie nie będzie pani siedziała tylko za murami. Teraz dostanie pani zastrzyk i jutro nie będzie śladu po egzemie - i rzeczywiście sprawdziło się wszystko. Na trzeci dzień po tej ostatniej wizycie kazano mi się ubrać i wywieziono. Pojechałam do Malborka - byłam tam na takiej stacji rozdzielczej, gdzie tworzone transporty. Po tygodniowym pobycie w tym przejściowym więzieniu zawołali mnie do kancelarii, gdzie gestapowiec-urzędnik powiedział do mnie - "dokąd ty jedziesz?" Pamiętając słowa dobrego doktora - z miejsca powiedziałam - Stutthof - i po południu tak zwaną grunemina to jest więziennym autem zawieziono mnie do Stutthofu z jeszcze jedną, która była ukarana za ucieczkę z pracy i miała być w obozie kilka miesięcy.

W Stutthofie postawili nas przed bramę wejściową do samego obozu i kazali czekać. Zobaczyłam wtedy pierwszą Izę Malejko, która mnie poznała i puściła wiadomość po całym obozie że przyjechała Marysia Zaleska. Zaczęły się spacerować rozmaitych więźniarek i pomimo, że nie wolno było nawet kiwnąć ręką, ale jakoś zaraz porozumiałyśmy się. Pod wieczór zabrano nas do kąpieli. Tu był pewien mały wypadek. Miałam jeszcze na ręku mój sygnet, pierścionek z brylancikiem no i obrączkę oraz inne drobnostki /zegarek, medalik/, ale zapomniałam wspomnieć, że przedtem wpuszczono nas do ustępu, gdzie spotkałam Izę Malejko, która powiedziała mi, żebym co mogę oddała, bo wszystko zabierają.

Oddałam jej mój sygnet i pierścionek, medalik schowałam - została mi tylko obrączka. Przed tą "kąpielą" Niemcy próbowali zdjąć mi obrączkę różnymi sposobami, próbowali mydłem, podkładali igły, ale to wszystko nie pomagało, wtedy chcieli przeciąć obrączkę ale zaczęłam krzyczeć "najlepiej utnijcie palec" - naturalnie za to dostałam w buzię. Ale w tym czasie przechodził koło effektenkammer komendant Pauli i słyszał, że się tu coś dzieje. Na jego zapytanie ten Niemiec z effektenkammer powiedział że ja nie chcę oddać obrączki i że wołam żeby mi ucięli palec z obrączką. Wtedy Pauli powiedział: zostawcie to jej - a ja prędko zażądałam żeby napisali że komendant zezwolił mi nosić obrączkę. W ten sposób udało mi się zachować obrączkę, którą nosiłam przez cały obóz i którą mam do dziś. Za to jednak blokowa Jackowska była na mnie wściekła, mówiła mi, że mogłam ją zdjąć, że poprzedniego dnia widziała ją na moim lewym ręku a dziś mam ją na prawym, ale zawsze jakoś z tego wybrnęłam i do dziś ją noszę. Potem zaczęła się kąpiel, puszczanie naprzemian bardzo gorącej wody to znów zimnej, ale jakoś przeszłam przez tę kąpiel, dali mi męską bieliznę, bardzo zniszczoną koszulę męską i kalesony i takiż drelich. Stamtąd z mokremi włosami, a było już bardzo zimno, pędem do bekleidungskammer, żeby sobie wziąć korki, - tam, nie pamiętam, czy to był wtedy Knoth, czy ktoś inny "obdarował" mnie takimi dżubanymi holendrami. Mierzili nie nogę tylko na wysokość, a ponieważ jestem dosyć długa uważali, że powinnam mieć bardzo dużą nogę, to też holendry miałam ze 4 numery za duże, tak, że te dżubane drewniakki szły sobie naprzód, a ja w nie wskakiwałam, najczęściej jednak trzymałam je w ręku, a chodziłam bosą - żadnych skarpet ani pończoch nie było. Po otrzymaniu drewniaków, przeszłam do szpitala na badanie ginekologiczne. Tam było już bardzo dużo oficerów i podoficerów, którzy przyglądali się, jak to badanie się odbywało. Doktor Jasiński szepnął mi wtedy: "niech się pani nie krępuje, proszę nie zwracać nawet uwagi". Po tym badaniu przeprowadzili nas do baraku. Mam wrażenie, że to badanie miało na celu sprawdzenie czy się nie jest w ciąży. W baraku spotkała mnie od razu p. Jackowska. Poznała mnie. Iza Malejko zaraz podeszła i dała mi paczkę papierosów paczkę tytoniu, zapalniczki i bibułkę jako podarek od naszych chłopców. Bardzo podniosło mnie to na duchu, bo przecież jeszcze nie zdążyłam się nawet otrząsnąć z tego gdzie jestem, a już przesłano mi palenie, wiedząc, że palę, a kobietom nie

wolno było kupować papierosów w kantynie, która jeszcze wtedy była.

Na drugi dzień kapowa naznaczyła mnie do zmiany pracującej na dworze, bez niczego ciepłego, bez żadnych dodatkowych ubrań, tylko w tym drelichu. Przy tej pracy spotkałam dziewczynkę może siedemnastoletnią z Torunia, nazywała się Irena Witkowska, bardzo mizerną i zauważyłam, że ma ona zapalenie pęcherza. Po powrocie na obiad zwróciłam uwagę Jackowskiej, że ona jest chota, żeby ją jakoś oszczędzić, że ona nie może stale chodzić w tych mokrych drelichach. Odburknęła mi, że to nie jest moja rzecz. Wieczorem pani Jackowska łaskawie zaprowadziła mnie na swoją sztubę i zaczęła mnie wypytywać czy nie wiem co się dzieje i wogóle co słychać, jak to zwykle pytało się gdy przyszedł zugang o wszystko. Następnie zaczęła opowiadać o swoich bohaterskich wyczynach, ale tego to już ja nie będę powtarzać, gdyż wiedziałam o jej "bohaterstwie" jeszcze w Warszawie, więc też powiedziałam jej to prosto w oczy, na co przyrzekła mi, że tu długo nie będę. I od tego czasu zaczęła mnie szykanować. Nie dopuściła aby przyniosły mi coś te, które pracowały na flickammer. Naprzykład, gdy przyniosły mi skarpetki i szalik, odebrała to odrazu "bo to w obozie zakazane". To też w bardzo krótkim czasie, jeszcze pod koniec 1941 roku, dostałam zapalenia płuc. Dostałam się więc do szpitala na oddział męski, bo szpitala kobiecego nie było wtedy, a tylko jeden pokój dla kobiet na rewirze męskim. Tam działy się niesamowite rzeczy. Dowiedziałam się o tem, bo zaraz obok była łaźnia, gdzie topili ludzi, robili "rzymskie łaźnie". Działo się to w ten sposób, że gotowali jakieś zioła odurzające i delikwenci się topili, a specjalistą w tym był Franek Włodarczyk. On pracował potem gdzieindziej, usunęli go stamtąd, gdyż bardzo go zaczęli szykanować więźniowie. Brał on między innymi udział w zamordowaniu pana Karola Starzewskiego, męża pani Barbary Starzewskiej, która została na Pawiaku. Popularnie nazywali go nauczycielem Potem p.Włodarczyk pracował w Politische Abteilung, tam znowu przysługiwał się bardzo podoficerowi Liedkemu, który "kochał" chodzić na egzekucje. Może to jest zapomniane i przebaczone, ale może ludzie nie wiedzą o tem, trudno mi to mówić, może powie także o tem i dr.Jasiński, który wie chyba o tamtych czasach najwięcej.

W trzy dni po zapaleniu płuc, znowu blokowa miała władzę nademną, - umieściła mnie wtedy we Flickammerze, ale że

okazało się, że umiem szyć na maszynie, więc zaczęłam łątać bardzo, bardzo źle wyprane /ze skrzepłą krwią jeszcze/ koszule, gdzie roiło się od żywych jeszcze wszy. Pozatem reperowałam koce i wszystko co było do reperacji. To trwało do kwietnia 1942 roku /mniej więcej/.

Wtedy to wyszła "afera" - historia z paleniem papierosów, w której wpadła pani Narewska. Dostała ona paczkę papierosów z wypisanym swoim numerem, przyslaną przez jednego więźnia, jej przyjaciela z przed wojny. Po odstaniu po buzi od SS-mana Ditmana /dostała tylko raz/, powiedziała: "nie tylko ja jedna palę", a gdy zapytał ją kto więcej pali - zaczęła wymieniać. Wtedy poszło 23 kobiety i około 100 mężczyzn, którzy dostarczali "palenie" kobietom. Ona to wszystko wyśpiewała. Zaczęli je wypytywać - przyszła też kolej na mnie. Pierwsze pytanie było skąd ja dostaję papierosy, a ponieważ pani Narewska pracowała w tym czasie w Neubau jako sprzątaczką i dostawała tam papierosy i takie niedopałki, a ja od niej również dostawałam, więc z zimną krwią powiedziałam że dostawałam od niej.

Powiedziałam, że palę bardzo niewiele, ale wtedy palę kiedy dostaję papierosy od p. Narewskiej. Powiedziano mi na to, że przecież pracując w Flickammerze mam styczność z mężczyznami i pewnie od nich dostaję papierosy - odpowiedziałam, że przecież nie wolno nam nawet z mężczyznami rozmawiać.

Była w tej sprawie papierosowej również jedna Niemka, nazwiska jej nie pamiętam, na imię miała Hilda. Miała ona czarny winkiel, pracowała potem w futrach, tam wybito jej oko, potem wstawili jej szklane oko, a potem jak otwierali puf - ona zgłosiła się sama. Przedtem jeszcze zaczęli namawiać wśród politycznych aby zgłosiły się do pufu, oczywiście żadna z Polek nie zgłosiła się. Bardzo się Niemcy temu zdziwili, ale nie zmuszali. Z Polek zgłosiła się jedna z Torunia, że tak powiem "zawodowa" z czarnym winklem. Zgłosiła się też "Krępa", no i właśnie Hilda. Żyły one w specjalnych warunkach, mieszkały w osobnych barakach poza obrębem obozu, ale nie wiem jak, bo nigdy tam nie byłam i nie widziałam ich warunków życia.

W obozie było kilka Polek z czarnymi winklami, były to prostytutki z Torunia, ile ich było nie pamiętam, ale pamiętam, że mówiono, że w początku 40 roku, cały puf toruński Niemcy aresztowali i przywieźli do Stutthofu. Było wtedy, przez pewien czas, dużo czarnych winkli. One dostały osobną sztubę / w tym samym baraku/, zdaje się, że to była szósta. A

Co się z nimi stało, już nie wiem, ale zdaje mi się, że je gdzieś wywieźli, ale tego napewno nie mogę twierdzić.

Wracając jednak do sprawy papierosów. Skończyło się bunkrem, a potem z miejsca wysłali nas do pracy w lesie, do ścinania drzew, do karczowania pni, do wyrównywania terenu, do wożenia piasku, a właściwie do noszenia piasku taczkami, takimi bardzo prymitywnymi taczkami. Nosiłyśmy też gałęzie, składały je na jedną kupkę i wykonywałyśmy różne takie prace. Była to bardzo ciężka praca, pod gołym niebem, a najprzykrzejsze było to, że obok nas, na naszych oczach ginęli mężczyźni, którzy poprostu umierali z wycieńczenia.

Powrót do obozu z lasu był "normalny" - śpiewający. Szliśmy w kolumnach - najpierw szli mężczyźni zdrowi, a właściwie jeszcze mający siły, potem słabsi, a na końcu tacy, których trzeba było prowadzić, trzymając pod ręce, ci poprostu wlekli się, i wreszcie, których już tylko nieśli - nieżywi.

Orkiestry obozowej w tym czasie jeszcze nie było. Apele odbywały się wtedy przed barakami. W początkach jeszcze stawiano więźniów na naszych oczach, między kuchnią, bo wtedy kuchnia była jeszcze w tym pierwszym niewielkim baraku tuż za bramą, i latryną, gdzie było później bekleidungskammer - tam była latryna. Stawiano tam bock, wywoływano numery i po apelu, tam właśnie "odbierano" karę bicia na oczach wszystkich. To było straszne przejście dla matek, których synowie dostawali bicie, dla żon, i naturalnie dla nas wszystkich.

Ja sama dostałam tylko 10, właśnie po tej sprawie z papierosami - musiałam liczyć uderzenia głośno, ale powiedziałam sobie, przepraszam za powiedzenie, ale to było obozowe powiedzenie - dupa nie szklanka, nie pęknie.-

I potem dwa tygodnie bunkra o chlebie i wodzie.

Ale był ktoś, kto mnie podpasał - to była panna Wanda Rukształ, lwowianka, która miała przed wojną tutaj gdzieś Zakład fryzjerski, dostała się do obozu i ona to właśnie w czasie spaceru przechodząc koło okna bunkra powiedziała: "uważaj pod ostatnim ustępem" i ja tam codziennie znajdowałam pół porcji jej chleba, bo w bunkrze dostawaliśmy tylko 1/4 porcji chleba i pół kubeczka letniej wody.

Po dwóch tygodniach, jak przyszedłam z bunkra na sztubę - pierwsza rzecz to zapytałam czy która nie ma papierosa, ale wtedy Wanda Ruksztal przyniosła mi trochę zupy, mówiąc "Misieńku, ja dla ciebie tutaj uszparowałam troszkę zupy - ty musisz zjeść, bo ty jesteś bardzo głodniutka".

W ten sposób ona zawsze się dzieliła, a sama była bardzo drobna i maleńka, taki pinczerek, - bardzo, bardzo dobry człowiek, ale poprostu kłębek nerwów.

Po bunkrze, jak już mówiłam, musiałam pracować w lesie pod gołym niebem w bardzo ciężkiej pracy. Byłam już czarna okropnie i ledwie że się trzymałam na nogach. Wanda pracowała przy kartoflach - kradła kartofle, wynosiła po jednym potem do późnej nocy piekła je w piecu w popiele, a wtedy budziła mnie żeby zjadła te kartofle. Kiedyś zobaczyłam tę szmatkę, w której Wanda przynosiła kartofle, - trochę odszedł mi apetyt, ale w nocy nie widziałam nic, więc kartofle bardzo, bardzo były smaczne.

✓ Pozatem później Zosia Piasecka, która zaczęła prowadzić szpitalik oddziału żeńskiego dała mi znać, żeby za każdym razem po swoim obiedzie przychodzić do niej na dożywienie. Ona nie okradała chorych tylko zawsze umiała dostać więcej. Ona stawiała na oknie zupę, sama stawała w drzwiach, patrzyła czy kto nie idzie, a tymczasem ja zjadałam trochę zupy. To "podciągnęło" mnie szybko.

Bardzo nie lubiłam chodzić w tym brudnym blauzjgu - prałam więc to wszystko prawie codzień w zimnej wodzie w umywalni i suszyłam na piecu.

Pewnego dnia poszukiwali nowych pracowników do Neubau, a że chodziłam czysto ubrana, zwrócili na to uwagę i zabrali mnie. Wtedy blokowa Jackowska powiedziała, że do tej pracy ja się nie nadaję. Mimo to zostałam przydzielona do tej kolumny, do Neubau. Dostałyśmy wtedy po 2 nowe sukienki, jedną letnią, drugą zimową, czarne fartuchy, białe chusteczki i skórzane korki, takie skórzane lacze. Pozatem przeniesiono nas na sztubę gdzie mieszkały Niemki, to były przeważnie bibelforszerki, żebyśmy nie stykały się z brudem, bo Niemcy bardzo bali się wszy. Było nas 16-cie plus kolumna pralnia dla SS, kto ją prowadził nie pamiętam.

Praca zaczynała się o szóstej rano od zbierania i czyszczenia butów i stawiania ich na tym samym miejscu, potem pokolei czyszczenie ustępów, czyszczenie korytarzy, sianie łóżek

oficerskich w pokojach, sprzątanie dokładnie w pokojach, sprzątanie biur.

Po obiedzie wiórkowanie parkietów wszędzie, we wszystkich pokojach, na korytarzach i t.d. Ponieważ ja byłam dość silna, dobrze zbudowana więc najczęściej dostawałam najwięcej, mimo, że "dowódca" naszej kolumny Wagner bardzo dobrze do nas się odnosił - np wtedy gdy dostałam jakiś szalony ból głowy i ogłuchłam ; nic nie słyszałam, zauważył to i zapytał mnie dlaczego nie idę do szpitala, a wtedy były już aufzeğerki, to było już po 1942 roku. Między nimi była tam panna Kopf, która bardzo wtrącała się do naszego szpitalika i ona to właśnie dokonywała pewnego rodzaju selekcji, która z więźniarek ma być przyjęta do szpitala, a która nie - więc przeważnie chore nie zgłaszały się do szpitala bo bały się, że zostaną pobite przez nią i wyrzucone. Nic im to nie pomoże, przeciwnie zwróca na siebie uwagę Kopki, która miała ten system, że wybierała sobie ofiary.

Wtedy na zapytanie odpowiedziałam Wagnerowi, że nie zgłaszam się do szpitala, bo panna Kopp nie przyjąłaby mnie, nawet nie dopuściłaby mnie do lekarza. - "Jak to" - zdziwił się ogromnie i z tym poszedł do dra Heidla i do Meyera, który kazał odprowadzić mnie do szpitala. Heidel posłał gońca po doktora Roszkowskiego. Ja w szpitalu czekałam. W tym czasie Kopka uderzyła mnie parę razy w głowę, zemdlałam, zaczęła mnie kopać. Wtedy podeszła Zosia Piasecka, odciągnęła mnie, a w tym właśnie czasie przyszedł Heidel i dr. Roszkowski. Heidel widząc to wszystko zabronił Kopce wstępu do szpitalika. Zostałam w szpitalu, położyli mnie do łóżka, dostałam nagrzewania lampą czerwoną. W tym czasie dostałam ropnego zapalenia kolana Zosie Buske "Buzia" i przynieśli ją do rewiru. Pamiętam taki incydent jak Buzia leży, czeka na przyjście doktora, strasznie blada i akurat wchodzi Jackowska i powiada do niej tak: "Co ty tu udajesz, leniuch jesteś, nie chce ci się pracować - wstawaj z łóżka, wyłaż - inaczej pójdziesz do komory". Na to nie wytrzymałam i powiedziałam Jackowskiej "czy pani już naprawdę zatraciła człowieczeństwo". "Napewno Pani nie czuje jak Zosię boli, ale nie wolno pani w ten sposób postępować. Pani miejsce jest na obozie, tu pani nie ma nic do roboty," a ona na to "nareszcie mam ciebie w szpitali i wyładujesz - wyjdiesz przez komin" - nic nato

odpowiedzieć nie mogłam, ale słyszała to Zosia Piasecka i powiedziała, że załatwi to przez doktora Roszkowskiego. Od tej pory Jackowska nawet nie miała wstępu do szpitala. Jakiś czas byłam jeszcze w szpitalu. Po wyjściu ze szpitala wróciłam jeszcze do Neubau, ale prosiłam Wagnera, żeby mi zmienił pokój Kopp, bo to ja właśnie poprzednio sprzątałam jej pokój. Bałam się że się będzie na mnie mściła. Pamiętam jak Kopka wtedy przyszła, zawołała mnie do swego pokoju, zdjęła buty zakrwawione, pończochy zakrwawione, swoją spódnicę-spodnie również we krwi i zadowolona z życia powiedziała że: - wysłałam na łono Abrahama 20 żydówek - . Potem się dowiedziałam, że to się odbywało w ten sposób, że ona uderzała Żydówki w twarz, one upadały, wtedy Kopka wskakiwała obiema nogami na klatkę piersiową załamywała im żebra, całą klatkę piersiową i tak pokolei wykończyła jednego dnia 20 Żydówek. Wtedy kazała mi zabrać te rzeczy skrwawione, buty umyć, spodnie wyczyścić żeby nie było ani jednej plamki. Poszłam do Wagnera i pokazałam to, a widząc to Wagner zmienił mi pokój uwalniając mnie od Kopki.

W bardzo niedługim czasie przyjechał rzekomy narzeczony Kopki. Byłam przypadkowo świadkiem, gdy ona przedstawiała go komendantowi - mój narzeczony - komendant Hoppe zapytał:

"Który to już z rzędu, czy pani z tym narzeczonym ma tę dziewczynkę"? Ona miała już czworo dzieci i każde miało innego ojca, ale to nie przeszkadzało, chociaż Kopka nie cieszyła się sympatią nawet Niemców. W bardzo krótkim czasie wywieźli ją, zdaje się że dostała spowrotem przydział do Rawesbruck. Wtedy gdy wyjeżdżała stałam na tarasie i przyglądałam się jak się odbywa jej wyjazd. Przyszedł do niej jeden z SS-manów z zawiniętym w biały papier jakimś bukietem, okazało się że to były tylko witki jakichś różg, czy coś w tym rodzaju. Tak się skończył pobyt Kopki w Stutthofie. Na jej miejsce przydzieloną została Bothe. Z tą można było dojść do porozumienia, jeżeli ktoś jej czegoś nie zadenuncjował - wtedy biła, kopała, ale przecież one wszystkie w tym kierunku były dobrze wyszkolone.

Powrócę jeszcze do tej panny Witkowskiej Ireny, którą spotkałam w pierwszych dniach mego pobytu w Stutthofie. Mieszkała na tej samej sztubie, to znaczy na trójce, w kącie, ciemnym kącie, na parterze spała. Z kąta tego było

bardzo czuć, ale nic dziwnego, przecież ona była ciężko chora na pęcherz. Miała zapalenie pęcherza i nie miała żadnej pomocy. Okazało się, że jej siennik jest całkiem przegniły. Pani Jackowska kazała ten siennik wynieść do umywalni czyli do wachraumu, potem dała jej jeden koc i kazała tam Irenie Witkowskiej spać. Dziewczyna strasznie się męczyła, czasem udało nam się ją przeszwarcować na naszą sztabę, ale ryzykowaaliśmy, że rano Irena dostanie straszne bicie od Jackowskiej, pozatem miałyśmy takiego SS-mana zwanego przez nas Bombą, choć w rzeczywistości nazywał się Milentz, który nie szczędził bicia za byle co. Mógł być jeden jedyny ręcznik o pół centymetra źle powieszony - to wystarczało, aby on na delikwentce, czyli właścicielce ręcznika mógł połamać stołek. Między innymi Wandę Ruczkał, która mi pomagała wtedy gdy byłam w lesie, zbił strasznie, oblał zimną wodą, postawił na dwie godziny na zimnie - wtedy ona zeszytniała całkiem - myśmy ją odciągnęły. Oczywiście starałyśmy się ją rozgrzać, ja wzięłam ją do swego łóżka. Moje łóżko było wtedy nad łóżkiem blokowej, która się wtedy przeniosła gdyż u niej remontowało się względnie przedzielało się jej sztabę. Nad ranem Wanda woła z przerażeniem: Miśku, Miśku ja ciebie podsiusiałam, ty się na mnie nie gniewaj, ale ja ciebie podsiusiałam! Oczywiście jakżeż mogłam się na nią gniewać, bałam się tylko, że działo się to nad blokową, a tak bardzo chciałam jej jakoś pomóc. Udało się rano, zaraz po apelu jakoś przeszwarcować na męski obóz da doktora Jasińskiego, tam dostałam salolu, Wandę faszerowałam salolem, żeby się z nią nie skończyło tak jak z Ireną Witkowską, którą blokowa Jackowska odprowadziła na pierwszyzastrzyk śmierci, który jej dał sanitariusz Haupt. Ja pamiętam, jak Jackowska prowadziła Irenę na męski obóz, wiedziałam gdzie i poco i powiedziałam Jackowskiej: "niech się pani opamięta, niech pani pomyśli co pani robi, jak pani ludziom w oczy spojrzysz". Odpowiedziała: "Zaleska, stul mordę, albo ja ci ją stule". Wiemy o tem, że Jackowska potem odprowadziła jeszcze Szydłowską na zastrzyk śmierci, gdyż ona dostała ataku hysterii i wiele jeszcze innych kobiet.

W Neubau pracowałam do czasu zachorowania na tyfus. Po chorobie nie wróciłam już tam, tylko zaczęłam pracować w Strohsztubie, tam haftowałam dla żony Hoppego, nie wiem

skąd się dowiedział, że umiem haftować koralikami, jakąś balową suknię, wzór, który sama rysowałam i przesłałam jej do oceny, uznała że dobry. Pozatem rysowałam modele sandałów ze słomy, które tam robiłyśmy i sama też robiłam te sandały, ale że wtedy byłam bardzo wyczerpana po tyfusie, zasypiałam gdziekolwiek tylko siadałam. Pewnego razu, w czasie obiadu zemdlałam w Strohsztubie. Jackowka przyszła z Chemnitzem, raportführerem, zastali mnie zemdloną i Chemnitz kazał oddać mnie do rewiru, gdzie doktor Roszkowski stwierdził, że to jest ogólne osłabienie a opad krwi jest ponad 300, dziwił się ogromnie że jeszcze żyję z takim opadem. Któraś z pań dostała właśnie paczkę z zastrzykami wątrobiażnymi, dała mi jeden zastrzyk, który zrobił mi dr. Roszkowski. Prócz tego dostawałam codziennie jeden zastrzyk glukozy i wtedy zostałam już na stałe i do końca w szpitalu.

Gdy dowiedziałam się, że będzie ~~zssirz~~ transport chorych, sama się zgłosiłam aby jechać z nimi. Podróż opisałam już poprzednio i Wala Felchnerowska przekazała go w czasie swoich relacji.

Wracając jeszcze do zastrzyków śmierci - robione były na męskim rewirze, na kobiecym dostała zastrzyk Rosjanka, która w jakimś szale, może nawet w obłąkaniu wdrapała się na druty zupełnie naga, to było zimą, pokaleczoną okropnie trzymali ją do rana w bunkrze, a rano po zastrzyku jakimś odurzającym, przenieśli do naszego rewiru i tam dr. Heidel osbiście robił je zastrzyk śmierci na naszych oczach. To trwało parę sekund - ciało zszarzało, potem zczerniało. Jeśli chodzi o stosunki w szpitalu to współpracowałam tam z Zosią Piasecką. Ponieważ pracowałam przedtem w Neubau i miałam tam jeszcze ciągle chody, znali mnie, starałam się chodzić tam z byle jakimś głupstwem, po uprzednim porozumieniu się z Zosią Piasecką, nosiłam jakieś papierki, raporty. Zawsze miałam wstęp do rewiru SS-mańskiego i tam kradłam i wynosiłam stamtąd glukozę, kamforę i inne lekarstwa. Jak się potem okazało to wyniosłam całą skrzynię glukozy. To nie było bohaterstwo, nie wiem nawet jak to nazwać, prosto jakieś poczucie obowiązku pomocy i wykorzystanie możliwości. Glukoza szła do naszego szpitalika, a Niemcy się ogromnie dziwili, że w czasie epidemii tyfusu kobiety nie umierają, a myśmy mieli i kamforę i glukozę dla podtrzymania serca w momencie kryzysu. Zastrzyki szły zresztą także i do rewiru męskiego. Jeśli chodzi o

stosunki na rewirze, to będę broniła Zosi Piaseckiej, która musiała być bardzo stanowcza i w wielu wypadkach nawet ostra bo inaczej nie dałaby rady, ale ona była bardzo sprawiedliwa, nikomu krzywdy nie zrobiła. Napozór była bardzo ostra, ale ona przecież ryzykowała życiem bardzo wiele razy, nieraz wspólnie z nią wyciągałam Żydówki, które przychodziły z transportu i leżały pod Waschraumem, czekając na to, żeby ściemniało i wtedy miały pójść do komory. Jedną taką wyciągniętą spotkałam w Malmö, poznałam ją, przywitałam słowami: "Jesteś, żyjesz, jakże się cieszę", ale ona udała że mnie nie poznała, Pamiętam ten transport Żydówek z Kłajpedy. ~~W~~ Liczył 12 tysięcy, wszystkie były rejestrowane, poszły od razu na nowy obóz. Niemcy zaangażowali je do kartofli, praca o której myśmy marzyły. Poszły tylko raz, potem nie chciały i wtedy Niemcy wyznaczali do kopania rowów strzeleckich, gdzie one spały pod namiotami, stały w wodzie, nie miały możliwości wysuszenia swoich ubrań to też ginęły tam jak muchy. Jak poszedł transport Sześćset, to w niedługim czasie przywozili wynędzniałą resztę z popękkanymi nogami i wogóle na wykończeniu. Z transportu tego Foth wyprowadził do komory gazowej 38 kobiet ciężarnych.

Wprawdzie rewir kobiecy miał pomieszczenie w końcu baraku kobiecego, ale ja zawsze wynalazłam jakiś powód, żeby przedostać się do rewiru męskiego. Na gestapo miałam powybijane zęby, ropiąły mi, a dentysta był na rewirze męskim, Kiedyś dali mi znać że jest skazany i będzie stracony jakiś oficer polski, który wogóle nie przyszedł na obóz, siedział zdaje się 6 tygodni w bunkrze. Po otrzymaniu tej wiadomości, pod pozorem że idę do dentysty, poszłam na rewir męski - w gabinecie lekarskim i dentystycznym było takie okienko, przez które można było wszystko widzieć. Dostałam się tam i widziałam na własne oczy jak Hoppe kłócił się z Chemnitzem, kto będzie go rozstrzeliwał. Chcieli go najpierw powiesić ale on oparł się temu mówiąc "jestem oficerem polskim i według prawa międzynarodowego mogą mnie tylko rozstrzelać" i wtedy oni we wdóch kłócili się który z nich pierwszy będzie strzelał; ten "zaszczyt" przypadł oczywiście Hoppemu jako komendantowi.

Jeśli chodzi o gazowanie, to oprócz Fotha, gazował jeszcze taki Niemiec, którego nie pamiętam nazwiska - był ospowaty, wysoki. On wyprobował działanie gazu.

Przyszedł akurat wtedy transport z Warszawy. Oni nie byli jeszcze zarejestrowani. Wybrano 40 mężczyzn, postawiono ich przed naszymi barakami, jeden z nich oddał mi książeczkę do nabożeństwa, którą mam do dziś, mówię, że jest to jego książeczka od Komunii Św., z tym że jeżeli będzie można mu oddać, to prosi o przechowanie. Co się z nim stało nie wiem, więcej nigdy go nie spotkałam. Tego samego wieczoru, już po apelu, po godz. 9-tej, o zmierzchu, zaczęła się strzelanina. Co się okazało - że Niemcy wybrali 40 mężczyzn - starzy więźniowie, uprzedzili ich że prowadzą do gazu, wtedy oni zaczęli uciekać. Zaczęła się strzelanina, jednak ich pozbierali, zamknęli w gazkammerze i okazało się, że w ciągu 3 minut ciała całe były czarne, poprostu spalone. Wobec tego Niemcy uważali, że trzeba oszczędzać na gazie - przenieśli te ciała od razu do krematorium i posłali do drugich 40-tu i wtedy nie wiem, może to właśnie ta druga czterdziestka zaczęła uciekać, już nie pamiętam, w każdym razie była ta strzelanina, nawet jeden z więźniów był ranny w baraku. Wtedy tej drugiej partii dali bardzo małą ilość gazu, ato działo się około 10-tej wieczorem. Na drugi dzień gdy przyszli ci, którzy pracowali przy gazkammerze o 6-tej rano, zastali jeszcze żywych i takich musieli kłaść do pieca. Opowiadał mi to jeden który tam pracował. Żydówki też szły do gazu - były to przeważnie te, które wracały z aussenkommando. Tym mówili, że pójdą do szpitala, do sanatorium i te szły do gazowania i to w gazkammerze.

Ale wracając jeszcze do rewiru kobiecego. Rewir kobiecy założony został pod koniec 1941 roku, albo początek 1942, a ja jeszcze pracowałam w Flickkammerze i Zosia pracowała tam też. Pewnego dnia przyszedł Heidel i wskazał na mnie. Ja jednak "nie znałam języka niemieckiego", gdyż od razu po przyjeździe do obozu zorjentowałam się, że na funkcje są wyznaczane tylko te, które dobrze znają język niemiecki, a ja w żadnym razie, za Boga, nie chciałam by- na żadnej funkcji. Komedie były z pisaniem listów po niemiecku, bo ja niechciałam zdradzić się ze znajomością tego języka. Wtedy też wymówiłam się Heidlowi tym, że nie znam języka niemieckiego i wtedy wybrali Zosię Piasecką, która pochodzi stąd i znała perfect język niemiecki. Prosiła mnie o pomoc w urządzeniu szpitalika, dawałam jej rady. Urządziło się i bardzo długo Zosia była sama, aż bardzo zwiększyła się liczba więźniarek. Od samego początku był doktor Jasiński i dr. Mirau z Gdańska,

który później zmarł i to był właśnie jedyny normalny, uczciwy pogrzeb w Stutthofie. Pauli zezwolił na ten pogrzeb dlatego, że jak chodziły słuchy, doktor Mirau uratował życie żonie Paulego, ale czy to była prawda - to nie wiem.

Można jednak powiedzieć, że doktor Mirau powinien mieć glorię, bo poświęcił życie dla innych. Panowała wtedy epidemia biegunki, ludzie marli jak muchy, więc dr. Mirau wyszukiwał jakichś środków do wyleczenia chorych i ustalenia powodów zachorowań i sam się zaraził.

Pamiętam jak wystawili jego ciało w trumnie przed wyjściem przed bramą. Komendantem był wtedy jeszcze Pauli, który odszedł ze Stutthofu gdzieś we wrześniu czy październiku 1942 r., a wtedy przyszedł Hoppe, ale Pauli podobno też nie był pierwszy, przed nim był bardzo krótko, jak ja przyszedłam to już go nie było, ale mówiono że był Miller. Wtedy Hoppe był jakoby zastępcą. Adjutantem był Glass - i to adjutantem zarówno Paulego jak i Hoppego. Glass był później więziony i jest więziony w Niemczech Zachodnich. Wzywali mnie na proces przeciwko niemu, ale odmówiłam, jak również na proces przeciwko Liedtkemu, przeciw Hauptowi, przeciw drugiemu Knothowi, jak również w tym procesie ma być sądzony Glass. Pytano mnie przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Szwecji czy zgadzam się stawać jako świadek, ale odpowiedziałam że nie chcę, bo zawiodłam się na sprawiedliwości niemieckiej.

Wracając do rewiru żeńskiego to po doktorze Mirau przyszedł doktor Roszkowski, a potem było lekarzy więcej. Był między innymi doktor Łoziński, który rzekomo odebrał sobie życie, ale to nieprawda - on się zatruł. To było już pod koniec naszego pobytu w obozie. Był on bardzo ofiarnym lekarzem, ale nie mógł patrzeć na te wszystkie zbrojne niemieckie. Był on w obozie z synem, który został lauffrem rewirowym i to wiem od jego syna. Znałam tę rodzinę, bo właśnie byłam aresztowana u Bronki Łozińskiej, która była szwagierką doktora Łozińskiego.

Jeśli o śmiertelność na rewirze kobiecym, to tam naprawdę bardzo mały procent umierało, nawet na tyfus. Umierały te kobiety, które miały bardzo osłabione serce.

Była naprzykład pani Schumacher z córką. Umarła ona na moich rękach, bo wtedy byłam już pielęgniarką. Umarła także w szpitalu Zosia Krukowska, której angina przeżuciła się na płuca i umarło wiele, wiele jeszcze innych, ale ratowane były naprawdę bardzo usilnie.

początkowo byłam pielęgniarką nocną, a Zosia siedziała ze mną nieraz do późnych godzin przy ciężko chorych i ratowałyśmy im życie. kobiet właśnie tymi zastrzykami kradzionymi z rewiru SS-mańskiego.

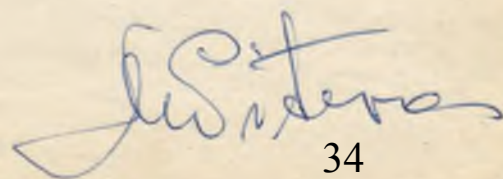
Był taki wypadek, że zachorowała matka siedemnaściorga dzieci, /była później w Szwecji/, przez dwa dni nie wyczuwałyśmy wcale puls, a jednak odratowałyśmy starszkę.

Z Niemców jeden tylko Heidel był lekarzem i Haupt był głównym sanitariuszem i Knoth. Breit natomiast był więźniem, który przyjechał z jakiegoś innego obozu wraz z transportem "zielonych". Prócz Breita przyjechał także Łabędź z Bydgoszczy, syn aptekarza, który podpisał listę angedojcz, aby wyjść z obozu, choćby do wojska i byle tylko choć parę dni być na wolności. Co się z nim stało - nie wiem. Był tam jeszcze Szurlej, Kazio, taki wysoki, długi, szczupły, Breit i byli dentyści i dwaj, którzy pracowali w Neubau. Był jeszcze Niemiec i Polak, podobno kominiarz z Poznańskiego, nazywał się Klimczewski czy Klimkowski. Jeden z nich pracował jako pomoc lekarzowi dentyście, a drugi jako technik dentystyczny.

Zosia Piaseska była u mnie w Szwecji, pływała wtedy jako kucharka na promie "Koperniku".

Najstarszą więźniarką była Szczypińska, która miała numer 8 tysięcy. Jeśli chodzi o najwyższe numery widziałam więcej niż 117 tysięcy. Szurlejowa już miała numer ponad 100 tysięcy.

Ja byłam do końca i pamiętam, że w marcu 1945 roku i w kwietniu Stutthof był przeładowany uciekinierami. Było sporo Rosjanek, które rodziły, więc chodziłyśmy na nowy obóz. Na nowym obozie robiłyśmy opatrunki, gdyż w ostatnim okresie było tam dużo rannych od bombardowań.



Proces Hoppego

Zacząło się od tego, że napisał do mnie p. Seweryn Palicki - szukał mnie. Podano mi jego adres z tym, że jeśli chcę nawiązać kontakt to mam napisać. Oczywiście odpisałam, że jeśli mogę w czymś pomóc to bardzo chętnie służyć swoją osobą, ale moje możliwości są bardzo skromne, a to ze względu na to że jestem chora. Byłam wtedy w sanatorium płucnym. Otrzymałam bardzo szybko w odpowiedzi list, że nie chodzi o pomoc, ale o to, abym ~~zgodziła~~ się zeznawać jako świadek w procesie przeciwko Hoppemu, Heidlowi i Knothowi. Chodziło o Knotha, który pracował w szpitalu. Ten drugi Knoth jest obecnie w procesie.

Zgodziłam się, ale był moment że chciałam się wycofać, jednak znajomi mi powiedzieli: "że prochy tych, którzy zginęli nie mogą mówić - więc muszą mówić żywi". Byłam wtedy zaraz po operacji płuca - byłam bardzo słaba. Mimo tego pojechałam do Sztokholmu, do ambasady niemieckiej, gdzie przyjechał również doktor Miller czy Meller. Był bardzo uprzejmy. Ja odnosiłam się do niego źle, bo uważałam że to "Szkop". Zapytał czy byłam w Stutthofie - na moją twierdzącą odpowiedź, zapytał czym mogę się wykazać, że byłam w obozie. Zaczęłam, wzorem przesłuchań w Gestapo, trochę kpić, że to chyba odrazu widać i tak dalej. Dał mi wtedy plik fotografii, abym wybrała z nich fotografię Hoppego. Odrazu znalazłam - kilka w cywilu, en face, i z profilu. To samo powtórzyło się z fotografią Heidla - wtedy powiedziałam, że chyba nie potrzebuje przeglądać - miał charakterystyczną szramę na lewym policzku, był wysokim blondynem. Kazano mi jednak odnaleźć jego fotografię, więc bez wahania wskazałam Heidla. Co do Knotha, to nie wiedziałam, o którego chodzi. Byłam przygotowana na tego grubego z Kuchni i bekleidungskammer. Jednak znalazłam fotografię, chociaż nie tego Knotha, na którego byłam przygotowana. Wtedy dopiero uwierzono mi, że byłam w Stutthofie.

Następne pytanie to było jak długo byłam w obozie i jaki miałam numer. Wtedy zaczął mnie pytać co mogę powiedzieć na temat tych trzech.

Powiedziałam, że bardzo dużo, gdyż pracowałam w Neubau i wiele rzeczy widziałam, sprzątając w biurze Politische Abteilung. Widziałam wyroki podpisane przez Hoppego. Pracując w szpitalu widziałam rozmaite wyczyny Heidla i tu także mam dużo do powiedzenia. Spytano mnie czy widziałam jak Hoppe kogoś zamordował lub nad kimś się znącał. Odpowiedziałam, że to nie było trudno, bo działo się to codziennie. Mówiłam o powieszeniu tego Rosjanina w obozie, o tem jak będąc w rewirze u dentysty widziałam rozstrzelanie jednego polskiego oficera, który siedział sześć do ośmiu tygodni w bunkrze, a wtedy widziałam i słyszałam kłótnię Hoppego z Chemnitzem o to kto będzie pierwszy strzelał - pierwszy strzelał Hoppe, a potem poprawiał Chemnitz.

Powiedziałam także o tym, jak z góry z Neubau widziałam prowadzonych skazańców, których potem wieszali, -
Wszystko to opowiedziałam w pierwszym zeznaniu, które trwało około dwóch godzin. To przesłuchanie w ambasadzie w Sztokholmie było w początkach czerwca, a w listopadzie zostałam wezwana przez szwedzką policję, aby czempredziej wyrobić wizę wjazdową do Zachodnich Niemiec, bo za trzy dni jest proces w Bochum. Byłam bardzo osłabiona po amputacji płuca i zarządzałam samolotu. W ciągu trzech kwadransów miałam załatwiony bilet do Düsseldorfu i naturalnie i wizę. Policja szwedzka odwiozła mnie do domu własnym samochodem. Dostałam prawie 1000 koron na rękę od wice-konsula w Halmstadt, z tym, że suma ta była "do wyliczenia". Naturalnie po przyjeździe do Bochum kazałam się zawieźć do najlepszego hotelu - uważałam że należy mi się to "za Stutthof" - dostałam pierwszorzędny apartament, który kosztował 50 mrk dziennie, ale za to był ze wszystkimi wygodami. Tego samego dnia poszłam zobaczyć gdzie jest sąd - chciałam również zobaczyć resztę Sztutthowian - świadków. Wiedziałam, że pan Seweryn Palicki i pan Bolesław Waniorek będą napewno i będą również inni o których nie wiedziałam. Następnego dnia pojechałam taksówką wcześniej, chodziłam po rozmaitych korytarzach w kółeczko - siedzi Waniorek, już gęba uśmiechnięta - "Pani Zaleska, doczekaliśmy się, Jak to dobrze!"

Pyta się co kto wie! Odpowiedziałam, że mu nic nie powiem. Zobaczymy co będzie.

Wezwali najpierw p.Waniorka. Potem p.Lisika i p.Seweryna Palickiego. Był również Szurlej. Potem wchodzi ja. - Z miejsca zarządałam krzeselka, zdziwili się bo wyglądałam bardzo dobrze, ważyłam 74 kg po tej operacji i byłam pełnokrwista, to był 1955 rok. Wyjaśniłam, że jestem po amputacji płuca i nie mogę stać. Zarządałam również tłumacza bo przecież łatwiej odpowiadać jak się człowiek namyśli, a znając język niemiecki, zanim tłumacz przetłumaczy to już człowiek wie co ma mówić.

Mówiłam po polsku, ale jak się bardzo zdenerwowałam przeszłam na czystą niemieczynę. Sędziowie zdziwili się, dlaczego zarządałam tłumacza, na co odpowiedziałam, że mieszkam już tak długo w Szwecji i dlatego płacę te dwa języki.

Pierwsze moje wrażenie, gdy weszłam na salę, zobaczyłam odrazu po lewej stronie siedzącego Hoppego, Heidla nie było. Hoppe nic się nie zmienił, absolutnie ten sam, w cywilnym ubraniu, przystojny, patrzył na mnie wilkiem tak samo jak dawniej. Knoth z miejsca mnie poznał, uśmiechnął się nawet.

To był listopad 27-my lub 28-my, rok 1955. Hoppe bezczelnie poprostu patrzył na mnie, nie odwaracając ani na chwilę oczu. Sędzia zapytał czy ja znam oskarżonych - odpowiedziałam, że tak i wskazałam - to jest Hoppe a to jest Knoth. Nie dodałam, broń Boże, ani żaden komendant, ani scharführer, tylko poprostu Hoppe. I zapytałam gdzie Heidl. Zmieszali się troszeczkę, a ja powiedziałam, że występuję przede wszystkim przeciw Heidlowi, bo to nie lekarz, jeśli zabijał a przecież składał przysięgę ratowania życia ludzkiego. Po tym moim powiedzeniu nastąpiła pewna konsternacja, ale natychmiast zareplikowali, że w tym wypadku to oni mnie będą pytać, a nie ja ich. Odpowiedziałam : dobrze, ale wobec tego to ja nastawię się tak jak nastawiałam się w Gestapo.

I Zaczęło się,- "Co Pani wie o zbrodniach p.Hoppego?"

"O zbrodniach Hoppego wiem bardzo wiele".- odpowiedziałam, a że już przedtem sobie przypominałam wiele, zresztą miałam różne wycinki z gazet, o procesie Mejera i innych, więc to przypominało mi bardzo dużo faktów.

Nie mówiłam datami, ale latami i okresami roku. Na to Hoppe wstaje i powiada: "Proszę jej nie wierzyć, bo Polacy wszyscy kłamią, i ja jej nie znam, ja jej nigdy nie widziałem w Stutthofie".

No to wtedy ja "Co! przez półtora roku pan mnie dziesięć razy dziennie spotykał na korytarzu w Neubau. A kto panu kąpał psa, którego pan szczuł na pasiaki, a mnie pies lizał, a nie ugryzł. Czy pan to przypomina sobie? to byłam ja; - kto panu sprzątał pana trzy pokoje, jak nie ja".

"Nie, to była Ursul Glowaki"-

"To nie była żadna Ursul Glowaki, tylko Urszula Głowacka"- odpowiedziałam.

On mnie pyta "Kto był wtedy kapową w Neubau?"- ja na to: Pani Anna Szczypińska najpierw, a potem pani Zofia Jackowiak.-

Wtedy sędzia zwrócił mu uwagę, że to nie on powinien pytać mnie, na to są oni i prokurator.

Ale Hoppe nie zwracając na sędziów uwagi ciągle zaprzecza, że mnie nie zna i że ja w Neubau nie pracowałam.

Trzeba zaznaczyć, że na sali po lewej stronie była tablica. Po jednej stronie tej tablicy był narysowany plan Stutthofu, a po drugiej plan Neubau, pierwszego i drugiego piętra i właśnie ten plan Neubau był odwrócony.

Więc gdy Hoppe zaprzeczał temu jakoby ja pracowała w Neubau - to sędzia zwrócił się do mnie: może pani nam pokaże gdzie były apartamenta komendanta Hoppego. Ja mówię Hoppego, opuściłam naturalnie komendanta, - pokazuję "tu", ale tu jest błąd, tu powinno być okno, którego tu nie ma. Tu tych drzwi nie było. Wtedy oni spojrzeli po sobie i jeden z nich powiedział "dziękuję bardzo". Ja jednak nie zwracając na to uwagi pokazuję dalej. Tu były gościnne pokoje, tu ten, tu ten i tak dalej.

Pokolei pokazuję i wreszcie - a tu, na tym oknie, to kiedyś ukradłam im "mahandra". To był Nowy Rok, ukradłam, - i była awantura, a myśmy wypiły. A zresztą o tym fakcie to chyba Zosia Wam opowiadała.

No i potem spieszył się trochę Hoppe, ale tylko trochę. Doszło do tego, że zapytano mnie, czy ja rzeczywiście widziałam podpisane przez niego wyroki śmierci, bo temu Hoppe zaprzecza, że on żadnych wyroków śmierci nie podpisywał i nikogo nie stracił.

Na to ja: Co ! - nie podpisywał ! - to Hoppe zarzuca mi kłamstwo, a ja udowodnię, że ja podpis jego widziałam na wyrokach śmierci. Proszę o kawałek papieru i ołówek.

Hoppe miał charakterystyczny podpis / nie wiem, czy sobie przypominacie/.

Było najpierw O - kropka i takie duże H, potem p jedno, drugie p mniejsze troszeczkę i wszystko to podciągnięte.

Zamknęłam oczy i z zamkniętymi oczami napisałam to wszystko, podeszłam do sędziego i podałam mu mówiąc: Proszę - to nie jest fałszowanie jego podpisu, ale tak jak ja sobie to upamiętniłam, to jest odtworzenie podpisu, który ja widziałam na wyrokach śmierci.-

I tak ta karteczka przeszła przez ręce wszystkich sędziów, a wreszcie adwokat Hoppego podał ją jemu. Wtedy Hoppe zrobił się blady, był przerażony i od tej pory nie podniósł oczu, miał je cały czas spuszczone.

Jeśli chodzi o Knotha, to ja nie wiedziałam o żadnych jego przestępstwach, bo on miał z nami bardzo mało do czynienia - proszki czasem nasypywał, czasem przyszedł na rewir kobiecy i spytał czy nie potrzebujemy jakichś lekarstw. Co robił na męskim rewirze - tego nie wiem, więc nie mogłam powiedzieć.

Wtedy kazali mi usiąść sobie i przysłuchiwać się co inni będą zeznawać. Po mnie przyszedł Szurlej. Zaczął opowiadać o Hoppem, ale też spytał - gdzie jest Heidelberg?.

Szurleja przede wszystkim pytali o szesnastkę i o trupiarnię, bo on rzekomo był na szesnastce. On opowiadał o różnych nibyto sekcjach, przeprowadzanych przez doktora Heidla. W tym to baraku szesnastym, po prawej stronie od wejścia była sala dla chorych, a potem była sala sekcyjna, która miała lukę, w którą wrzucali trupy od razu do trupiarni i że Szurlej zrobił sobie dziurkę w ścianie i wszystko to widział.

Widział, że Heidel krajał żywych /prawie trupów/. Zapytano Szurleja, czy to prawda, czy to jest możliwe. Odpowiedział na to, że może przysięgać że to jest prawda. Wiercili jemu dziurę w głowie, aby dokładnie powiedział jak to mogło być z tą dziurką przez którą to wszystko widział. Więcej on wreszcie zdenerwował się, wziął kawałek papieru wyciął dziurkę i dał im ten papier mówiąc "proszę sobie przyłożyć do oka i będziecie widzieć, - a ja właśnie przez taką małą dziurkę widziałem całą salę."

Wtedy wreszcie dali mu spokój z tą dziurką.

Zeznawał dość długo. Wziął też tłumacza. Był bardzo zdenerwowany, on wogóle jest nerwowy, zreumatyzmowany, poprostu niemal cały trząsł się.

Hoppe po moim zeznaniu nie odzywał się już ani słówkiem. I zdaje mi się, że Szurlej ostatni zeznawał w tym procesie.

Potem była przerwa, czy też było tego dnia zakończone przesłuchiwanie wyznaczone na ten dzień.

W tym dniu więcej świadków nie przesłuchiowano. Wyszliśmy na korytarz. Podszedł do mnie sędzia i powiedział: pani zeznanie było bardzo dobre. Proszę jeszcze przejść ze mną i powiedzieć mi co pani mogłaby powiedzieć o zbrodniach Heidla. Więc wtedy zapytałam czy pan sędzia zechce mi łaskawie powiedzieć gdzie jest Heidel. - Na to mi odpowiedział - "Heidel nie żyje. Odebrał sobie życie w więzieniu" - zapytałam "dawno?", na co otrzymałam odpowiedź, że trzy dni temu.

Zdziwiłam się dlaczego? przecież to był lekarz, to był oficer - czyżby on stchórzył? - a sędzia mi na to:

"Prawdopodobnie nie miał odwagi stanąć oko w oko ze świadkami zbrodni po przejrzaniu poprzednich zeznań świadków.

W poprzednich swoich zeznaniach, spisywanych jeszcze w Szwecji podałam wiele faktów o zbrodniach Heidla.

Między innymi podałam fakt zamordowania niemowlęcia, z którym przyszła do Heidla więźniarka, prosząc o poradę gdyż synek jej miał pęcherzycę. Heidel był wściekły. Podobno, po ożenku życzył sobie mieć syna, a tymczasem urodziła się dziewczynka. To też widząc synka więźniarki, która przyszła z chorym synkiem, zareago-
wał w ten sposób, że chwycił dziecko za nóżki i rozbił mu główkę. To była "rada lekarza" dla chorego dziecka.

Sędziowie sprawdzili, że Heidlowi urodziła się rzeczywiście pierwsza córka. Musiałam dokładnie określić kiedy był jego ślub, jakie były z tym historie w Neubau. Wszystko się dokładnie zgadzało.

Mówiłam też, że widziałam jak Heidel robił osobiście zastrzyk śmierci tej Rosjance, która wyskoczyła na druty. On sam osobiście dawał ten zastrzyk śmierci. Najpierw kazał zrobić zastrzyk Zosi, ale ona nie zgodziła się i odeszła. Ja wtedy leżałam w szpitaliku - byłam chora. Heidel nie liczył się z obecnością chorych i w naszych oczach zrobił ten zastrzyk.

Potem mówiłam dużo o Liedtkem, który obecnie jest w więzieniu, zamknięty. On był szefem politycznego biura. Ten jest we Frankfurcie.

Mieli na tym procesie sędzić również Glassa, ale go nie przyprowadzili nie wiem dlaczego, bo miał prawdopodobnie być.

Gdzieś chorował, tak, że nie stawił się na proces.

Był on mały, łysy i z takim orlim nosem.

On był Hauptscharführerem.

Selonki i Klifotha, którzy mieli być świadkami na tym procesie nikt z nas nie widział.

W tym dniu, w którym ja zeznawałam, było nas ze Szwecji pięcioro Polaków - czterech mężczyzn i ja.

Była wezwana również Celina Czarkowska, ale ona nie mogła sobie nic przypomnieć, dlatego że ona przeważnie była w rewierze. Była chora na gruźlicę, więc oprócz Heidla, którego słabo pamiętała więcej nie mogła o nikim powiedzieć.

O innych świadkach nic nie wiem.

Żadnych świadków obrony nie widziałam.

Było na procesie bardzo dużo ciekawych, przeważnie Niemców z innych obozów, byłych więźniów.

Podchodzili do nas, gratulowali nam, że my tak odważnie, prosto w oczy mówiliśmy o sądzonych.

Bywali na innych procesach, gdzie wyczuwało się, że byli więźniowie mieli jeszcze "pewnego stracha" przed dawnymi władzami obozowymi.

Ja sędziemu opowiadając to wszystko, stwierdziłam że jestem pełna satysfakcji, bo przecież ja kiedyś byłam za kratkami i w obozie, a oni byli wolnymi i maltretowali nas. A teraz losy się zmieniły i być może ja ich jeszcze przeżyję.

Sędziowie gdy przekonali się, że mówimy prawdę, kiedy na przykład opowiadałam dokładnie różne fakty, ustosunkowali się do nas przychylnie, można nawet powiedzieć, że bardzo dobrze.

W tej sprawie mieli ponad trzystu świadków do przesłuchania, ale nas Poaków ze Szwecji było tylko pięcioro. Z Polski nie było nikogo.

Nie wiem czy był ktoś z Norwegów lub Duńczyków.

Było podobno bardzo dużo Niemców i Polaków, byłych więźniów Stutthofu, którzy mieszkają w Niemczech Zachodnich.

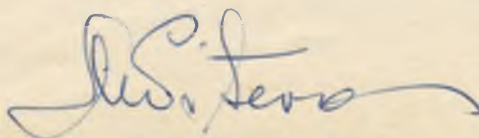
Jeśli chodzi o podejście sędziów do tej sprawy, to wyglądało na to, że początkowo chcieli załagodzić tę sprawę.

Przypuszczam, że Niemcy nie wezwali świadków z Polski, bojąc się że Polska może zażądać wydania Hoppego, a przecież w Niemczech Zachodnich zniesiona została kara śmierci.

Tam w Bochum wyrok był bardzo łagodny.

Z zaprenumerowanych gazet niemieckich dowiedziałam się że żona Hoppego i dzieci jego dostali pełną emeryturę starszego oficera i ta emerytura miała być im wypłacana do czasu kiedy Hoppe będzie zwolniony.

Palicki i Waniorek mogą jeszcze więcej powiedzieć, a ja mam wycinki z gazet szwedzkich z tego okresu, przetłumaczę je na język polski i mogę przysłać przetłumaczone artykuły.



Sprawa odszkodowań.

Sprawa odszkodowań jest dość trudna, ale jednak wypłacają rozmaite odszkodowania.

Starałam się o odszkodowanie "za utraconą wolność" - odrzucono mi tę sprawę. Staram się więc już i to długo, o odszkodowanie za utracone zdrowie. Mam przecież amputowane jedno płuco. Pokazywałam wszystkie klisze - prześwietlenia. W Göteborgu był lekarz "zaufany", zapłacono mi podróż, tam był ten lekarz Niemiec, który stwierdził, że był tylko w Hitlerjugend, a jego ojciec był więziony w obozie. Wtedy zapytał go z jakim winklem był jego ojciec - czy z zielonym? - odpowiedział że z czerwonym. Pokazałam mu kolejne prześwietlenia od 1953 roku - dał mi 70 % utraty zdrowia. Dziwił się bardzo, że mogłam przyjechać w tym stanie zdrowia. Odpowiedziałam mu na to, że przeszłam obóz, więc nauczyłam się być mocniejsza niż jestem w istocie.

Przekazał mnie do innego lekarza, na szczęście Duńczyka, który podszedł do mnie bardzo serdecznie i bardzo po ludzku.

Otrzymałam wykaz co mi może przysługiwać za utratę zdrowia. W sumie miało to wypaść coś 18 tysięcy marek i stała renta po 140 marek miesięcznie.

Sprawę odszkodowania prowadzę jeszcze, właściwie prowadzi ją adwokatka z Düsseldorfu. Obecnie miałam ostatnią od niej wiadomość-, że jeśli udowodnię, że mój mąż miał wyższe wykształcenie to zostaną zaliczona do wyższej kategorii i wtedy dostanę dużo większe odszkodowanie. Ogólnie biorąc Niemcy stawiają różne przeszkody szczególnie Polakom, którym najchętniej woleliby nic nie wypłacać.

Byli więźniowie Stutthofu zamieszkali w Szwecji.

Są to:

Marian Jankowski - pracował u szoferów - nie lubi mówić na temat obozu, nawet nie starał się o odszkodowanie z Niemiec. Zamieszkuje w Halmstadt.

Brzeziński - mieszka w Sztokholmie

Włodzimierz Lisik mieszka w Malmö

Józef lub Władysław Potarzyński

Bolesław Waniorek

Palicki Seweryn mieszka na północy Szwecji, był świadkiem na procesie Hoppego

Józef Szurlej mieszka w Göteborgu - był sanitariuszem ostatnio ciężko chorował psychicznie.

Wanda Sokolnicka mieszka pod Boros

Paszczuk 1939 - dokładnie nie znany adres.

Halina Strzelecka Sund, Skolgetan 5

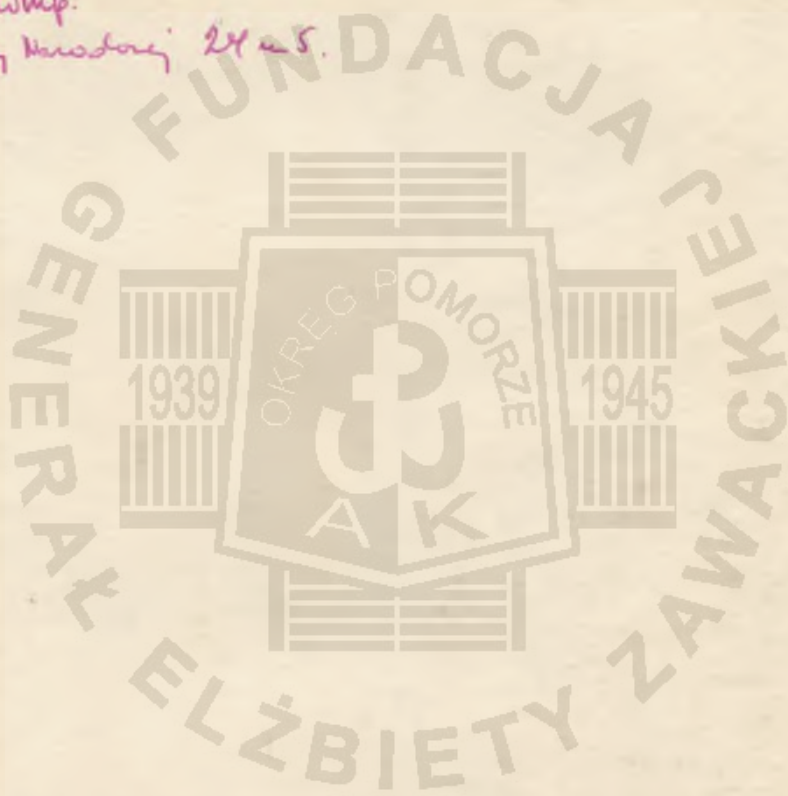
Lespinski ze Huszender - S. Muszalski nr. 1895v.

Data umi. inwentarza 15. IX 1942v. (pamięć Wit. Kusiela).

Wacław Provel

Gorzów Wlkp.

ul. Ks. Rasy Muszalskiej 24 w 5.



Evakuacja obozu

15. VI. 1964 r.

Ewakuacja drogą morską opisana przez b.więźniarkę Marię Pitera - Zaleską /Nr ob. 12319/ w liście do współwięźniarki Walerii Felchnerowskiej /Nr ob. 17450/.

Felchnerowska : Marysia Pitera zostawiła dokładny, pisany na gorąco obraz ewakuacji . Ja byłam z autorką w tej samej grupie ewakuacyjnej, ale w tym czasie przechodziłam tyfus, a po wyzdrowieniu byłam tak słaba, że nie mogłam widzieć tego wszystkiego, cā ona mogła wiedzieć.

"Dwa tygodnie makabrycznej podróży".

"Żegnaj Stutthofie!" - bramy obozu otwarte, ale niestety nie na wolność, bo konwój dookoła. Pociąg długi, wagony towarowe wypełnione po brzegi ludźmi, szkieletami, chorymi, którzy ledwie poruszać się mogą na własnych nogach i ciężko chorymi, którzy w wysokiej temperaturze są transportowani i jadą w nieznaną, tak samo jak ludzie zdrowi. Kobiet jest stosunkowo niewiele bo 140, w tym 61 chorych ; mężczyzn ok. 700. Już się ściemniło a pociąg wciąż jeszcze stał na torach. Warkot zbliżających się samolotów zapowiadał nalot. I istotnie, po chwili ~~xxxx~~ ~~przezięły~~ precudne snopy rakiet rozdarły ciemności a ciszę przecięły huk bomb spadających gdzieś niedaleko. W wagonach przerwano rozmowy. Słyszać było tylko ciche jęki chorych, ułożonych w zbyt niewygodnych pozycjach - rzadko znalazło się miejsce leżące. Wreszcie szarpnięcie jedno, drugie ... i ruszyliśmy. Krótkie westchnienie do Boga z prośbą o pomoc i opiekę. Zanim pociąg sformułowano i przetoczono na główny tor upłynęło przeszło dwie godziny, aż ruszyliśmy. Noc była cudna ; księżyc wytoczył się na ciemnoszafirowe niebo i ciekawie zaglądał

do wnętrza wagonów przez okratowane okienko. "Po co zaglądasz, ciekawski ? Przecież już nie raz widziałeś nas w naszej nędzy. Po co swoim czystym blaskiem razisz nasze oczy ?" Pociąg skręcił, księżyc ześlizgnął się z okienka, a ciężko chora spieczonymi ustami prosiła "Pić!" Trudno się przecisnąć z butelką wody do chorej zonglując w ciemnościach między skurczonymi nogami siedzących na podłodze wagonu. Miarowy stук kół sennie nastrojał, choć myśli tłukły się pod czaszką w niepewności głuchej : "Dokąd nas wywożą ?" Różne krążą pogłoski ; jedni mówią że ze względu na bliskość frontu rosyjskiego chcą nas wywieźć gdzieś w bezpieczne miejsce. Inniznów, że likwidują obóz. To było jasne, bo już począwszy od stycznia były transporty, o których chodziły najczęściej bardzo mętne wieści. To znów, że transport ten ze względu na przewagę chorych jest przeznaczony na wykończenie, że po prostu załadują wszystkich na stary statek, wypłyną na pełne morze i zatopiają. Ale gdzie była prawda z nas narazie nikt nie wiedział. I nikt też nie wiedział jak długo będzie trwać ta podróż.

Pierwszy przystanek - Stagen. Widać zniszczenie zabudowań gospodarczych i w wielu miejscach zgliszczą jeszcze tlejące. Wieś zdaje się jakby wymarła. Nigdzie nie widać ludzi, nawet nie odzywają się psy. Pociąg stanął, a po chwili znów nalot - bomby fosforowe padają bardzo blisko pociągu, ogień całymi płachtami rozlewa się dookoła. Palą się budynki, jasno jak w dzień, ale pociąg nie tknięty. Gdzieś daleko słychać detonacje, nie rzadko terkocze karabin maszynowy, więc nadzieja: może Rosjanie wiedzą o naszym transporcie, może nas odbiją. Dziecinne pomysły ! Pociąg rusza. Jedziemy wprzód i znów się cofamy, i znów jedziemy. Powieki kleją się do snu. Chłód poranka daje się we znaki, ale trzeba czuwać i pamiętać nie o sobie, bo chorym wciąż czegoś potrzeba. O białym dniu zatrzy-

maliśmy się nad Wisłą w Nickelswalde. Kto mógł, kto był zdrowy wyszedł z pociągu wyprostować kości. Wisła, jakby nie widząc tej przeokropnej nędzy ludzkiej spokojnie płynęła szepcząc odwieczną pieśń o sławie polskich rycerzy, a może o bohaterских czynach powstańców Stolicy, a może o nas, o naszych rodakach, których krew spłynęła jej wodami a ciała otuliła pieśczośliwie falami. Na przeciwległym brzegu widać jakieś budynki, ale też robią wrażenie jakby nikt tam już nie mieszkał. Na prawym brzegu, w dół, jak okiem sięgnąć tabuny koni wynędzniałych pasących się na skąpej jeszcze runi. Na wałach gdzie niegdzie posterunki - pilnują by nie uciekły ich ofiary. O, naiwni, gdzie uciekać? Przecież wszędzie spotkamy się z wami, bo ten maleńki skrawek, na którym się jeszcze swobodnie poruszać możecie jest tak usiany wojskiem, policją i gestapo, że co 100 m. można się natknąć na jedno z takich indywiduów i usłyszeć: "dokąd?" albo coś w tym rodzaju. Zmęczenie i głód coraz bardziej zaczęły dokuczać, ale nie ~~nie~~ ma nadziei że coś dostaniemy. Roznieśli maleńkie ogniska by przy ich ogniu trochę się rozgrzać i zagotować wody. Okazało się, że jest zabitych kilka koni i że można dostać mięso. Rzuciła się głodna gromada i z radością poprzynosili kawałki mięsa. Dziwnie wyglądało całe błonie nad brzegiem Wisły upstrzone kocami zawieszonymi na palikach i słaniającymi przed ostrym wiatrem. Ogniska obstawione najprzeróżniejszego rodzaju kubkami i menażkami pełnymi końskiego mięsa. Tylko ciężko chorzy pozostali w wagonach, których trzy razy przenoszono z wagonu do wagonu. Noszy nie było i dużo trudu kosztowało nim się zdołało wytłumaczyć władzom, że jednak chorzy i ranni po ~~na~~ lotach w lagrze nie mogą leżeć na wilgotnej ziemi, na wietrze i deszczu. Wagonów jednak dali bardzo mało, tak że niektórzy, a zwłaszcza mężczyźni nie mogli się zmieścić i część chorych pozostała pod go-

łym niebem. Z pozamykanych wagonów słychać było okropne jęki, wołania o pomoc i ratunek, stukania i dopraszanie się aby otworzyć. Ale nikomu nie było wolno zbliżyć się, otworzyć wagon i podać choć trochę wody. Warta chodziła i po prostu odpędzała tych, którzy chcieli nieść pomoc. Wieczorem nadjechał pociąg z rannymi żołnierzami niemieckimi. Jęki rannych mieszały się z jękami naszych chorych. Deszcz i chłodny wiatr siekł skulonych pod kocem, leżących na mokrej ziemi. Nie było przy czym się rozgrzać, bo wszystkie ogniska pozalewano. Na pytanie kiedy pojedziemy dalej odpowiadano nam, że o 23⁰⁰ będzie statek i należy przygotować wszystkich chorych bo oni pierwsi będą ładowani. Rozpoczęła się druga z rzędu noc spędzona w arcy niewygodnej pozycji. Nie było też pewności czy istotnie statek będzie tej nocy. Koło północy przybił do brzegu statek, na który przeniesiono rannych żołnierzy, a dla nas była przeznaczona barka długości ok. 30-40 m., szerokości 5-6-m., wysokości 2,5 m. - stara, zniszczona, w której dawniej przewożono zboże, ze śladami i uszkodzeniami od pocisków. Z trzaskiem odsunięto drzwi wagonów i wśród jęków zaczęto wnosić chorych, składowano ich nad samym brzegiem, tuż koło barki. Przerzucono deskę jako pomost i zaczęto ładować. Przez odsuniętą z góry lukę wrzucano kolejno każdego z chorych nie zwracając uwagi na to, że jest wysoko, że ktoś w takim upadku złamie sobie rękę czy nogę, że rozbije głowę, potłucze czy że spadnie na poprzednio tam wrzuconego. Wśród przeraźliwych jęków, krzyków, napędzania odbywało się w pośpiechu ładowanie. Było nam już wszystko jedno - czy zginąć teraz czy pójść na dno w tej pływającej trumnie. Z kobietami obeszły się te bestie trochę łaskawiej, bo do luki wpuszczono drabinę, po której spuszczano w dół jak na saneczkach chore owinięte kocem, najczęściej głową na dół. Oddział szpitala żeńskiego i męskiego był zaopatrzony staraniem sani-

tariuszek - naturalnie Polek - i sanitariuszy w małe apteczki, ale tych nie pozwolono nam zabrać, bo stwierdzono, że nam tych lekarstw ani materiałów opatrunkowych nie potrzeba. Miła perspektywa ! Więc jednak pójdziemy na dno!... Pozasuwano luki. W sąsiedztwie gdzie byli mężczyźni słychać było ciągłe jęki. Powoli powietrze w przedziałach było tak duszne, że trudno było oddychać. Żadnego pkną; żeby chociaż zostawili małą szparę w luce. Pragnienie zaczęło dokuczać, ale o tym, żeby dostać wody do picia nie mogło być mowy. Bo trudno przejść między leżącymi pokotem na zmierzwionej słomie ciablami w takich ciemnościach, wdrapać się bez drabiny po prostopadłej ścianie, odsunąć deskę z luki by się wydostać na dach barki, gdzie było wątpliwym dostać wodę. Barka holowana przez stateczek dopłynęła szczęśliwie do Helu.

Był to dzień 29 kwietnia - pierwszy dzień naszej niezwykłej podróży w barce - trumnie w nieznane. Na Helu marynarze ze stojącego obok statku dostarczyli nam kilka wiader wody. To wystarczyło jedynie do ugaszenia pragnienia tylko chorym. Znowu posypały się pytania : czy tę barką jedziemy dalej, czy dadzą nam coś do jedzenia i picia, czy długo pojedziemy i dokąd. I znowu przeróżne były odpowiedzi - że pewnie przeładują nas na statek Czerwonego Krzyża, że narazie nie obiecują nam nic do jedzenia, bo my sami wybierając się na transport powinniśmy pomyśleć o zaopatrzeniu się w zapas żywności chociaż na trzy dni. O naiwni, kto może myśleć o zapasach w lagrze, gdzie już od stycznia nikt nie dostawał paczek z domu, a z porcji wydzielanych trudno było coś zaoszczędzić. Jak długo i dokąd jedziemy nikt nie umiał nam odpowiedzieć. Wielu było takich, że próbowali się oburzać, ale większość była zupełnie zobojętniała - było nam wszystko jedno co z nami zrobią i dokąd wywiozą. Około 15⁰⁰ przymocowano barkę do parowca

i wypłynęliśmy na pełne morze. Oczywiście nie przeładowani na inny statek. Za barką na długiej linii płynął kuter rybacki, na którym był komendant transportu. Morze było spokojne jak rzadko. Coraz bardziej maleje półwysep Helu. O, jak inaczej wyglądał on dawniej !. Na pierwszym planie widać zatopiony statek sterczący połową kadłuba, dalej ruiny budynków i przetrzebiony las. Smutny to widok, bo dał nam obraz naszej ukochanej ziemi nie widzianej przez nas tyle lat, przez którą przeszli nasi gnębiciele - najeźdźcy. Bólem ścisnęło się serce, zapanaował jakiś dziwny żal i tęsknota i wzrosła nienawiść do tych, którzy zabrali nasze ziemie, wyniszczyli mienie, zabrali wolność, wydarli ojczyznę, dla której chcemy żyć. Lecz przyszły refleksje : Żyć ? Przecież to jasne, że w tej trumnie zginiemy bez wyroku, bez śladu na dnie morza. Może za godzinę albo najdalej jutro. Ktoś przyniósł wiadomość, że mamy wylądować na Bornholm, że ze względu na to, że są chorzy będziemy oddzieleni w specjalnym dla nas obozie, itd. Więc znów nadzieja : może jednak dopłyniemy ? Mija pierwsza noc na pełnym morzu. Na dachu barki jakiś dziwny ruch, słychać krzyki nawołujące do pośpiechu jednego z konwojentów, jakieś krótkie liczenie : raz, dwa, trzy... i znów naglenie, wyzwiska i przekleństwa. Co to jest ? To był pogrzeb tych, którzy pomarli w pierwszej dobie naszej podróży morskiej. A było ich pięćdziesięciu. Pragnienie stawało się nie do zniesienia ; pijemy morską wodę, która jeszcze bardziej pobudzała pragnienie. Zaduch w lukach był tak okropny, że trudno opisać. Coraz częściej słyszało się : "Jestem taka głodna. Czy nie macie chociaż skórki chleba ?". O Boże, jakie to straszne kiedy się nie może pomóc, poratować chociaż tych najsłabszych. Niektóre kobiety miały w swoich "zapasach" trochę kaszki mannej, którą gotowałyśmy dla chorych na morskiej wodzie w kuchence. Nieraz udało się zdobyć od konwojujących

trochę kawy - też słonej, którą słodziłyśmy i podawałyśmy chorym.

W trzecim dniu naszej morskiej podróży skoczył do wody zdrowy mężczyzna i płynąc dawał kilkakrotnie znak ręką jakby pożegnania. Na nasze wołanie "człowiek za burtą!" rzucono z kutra koło ratunkowe. Spokojnie podpłynął do koła, chwycił je, i widać było, że nie czuje żadnego lęku. Zatrzymaliśmy się, odcumowano kontrtorpedowiec, który cofnął się na ratunek. Już nie widzieliśmy czy go wyłowiono, ale prawdopodobnie tak, bo po kilku ~~dniami~~ godzinach zabroniono nam wychodzić na barcę. Rozpędzano wszystkich do luk i znów zaczął się ruch na dachu. Trudno było oddychać w mrocznej i dusznej luce. Stałam więc na drabinie, którą pewnie zostawiono przez zapomnienie i tylko głowę wychyliłam, kiedy zobaczyłam okropny widok : pogrzeb żywych i umarłych. Tak, to prawda - żywych. Ludzi nagich - prawdopodobnie dlatego, gdyby morze ich wyrzuciło na brzeg żeby nie można było rozpoznać że są z lagru. Trzymając za ręce i nogi na komendę: "raz...dwa...trzy " rozbujane ciała rzucono do wody. Widziałam broniącego się przy rozbieraniu, wprawdzie bardzo słabo ale jeszcze żywego człowieka, którego wyciągnęli z luki . Po paru ogłuszających uderzeniach i kopniakach rozbujali i rzucili. Ale człowiek ten jeszcze płynął i wołał - potem siły go opuściły. Nie ma kary na tych łotrów ! Dłużej nie mogłam patrzeć na tę zbrodnię. Zeszłam na dół i zwinęłam jeszcze jedną nić na kłębek zbrodni, z którego powoli rozwinę wszystko to co widziałam i przeszłam.

Dzień w dzień powtarzały się ruch na dachu barki. Wiadomo było co to znaczy, bo ludzie umierali z pragnienia, głodu, z braku lekarstw i opieki w chorobie. Od chwili, kiedy znaleźliśmy się na barce przez cały czas podróży do Flentzburga nie dostaliśmy nic do jedzenia ani wody. Podróż trwała od 27 kwietnia

do 3 maja włącznie. Parę dni przed dobiciem do brzegu we Flentzburgu przeżyliśmy straszną noc. Morze było spokojne i nasza holowana barka lekko pruła toń Bałtyku. Noc zapowiadała się cicho i wszyscy jak mogli poukładali się do spoczynku. Wcisnęłam się na dach barki w kącik koło zwoju lin i cieszyłam się, że nie muszę być w dusznej i natłoczonej luce. Sen i zmęczenie owładnęło mną i usnęłam skurczona. Obudziły mnie huk i gdzieś niedaleko. Prześliczne snopy rakiet rozsypujących się wkoło wydały mi się jakimś dziwnym snem. Przekonałam się, że stoimy w miejscu, a jak okiem sięgnąć widać okręty wojenne i łodzie podwodne niemieckie. Warkot samolotów nie słychać, ale rozsypujące się rakiety i eksplozje były wystarczająco wyraźnym wskaźnikiem, że to nalot na morzu. Coraz więcej rakiet i coraz bliższe eksplozje. Widziałam na horyzoncie palący się statek. Pomyślałam o naszym losie. Co się stać może za chwilę? Przecież ta łupinka pójdzie na dno nawet wtedy, gdy zostanie trafiony jakiś bliżej stojący statek, że się nie oprze większej fali, że się rozpadnie na skutek silniejszego wstrząsu. Żadnego ruchu na barce, wszyscy zamarli w dreszczu zgrozy, myśląc że to już kres naszej makabrycznej podróży, że się już nigdy nie spełnią marzenia z wielu lat niewoli i nędzy, że nigdy nie zobaczymy naszej ojczyzny i tych wszystkich, którzy tęsknią za nami. Czekaliśmy w tym pocie strachu i bezradności bez okrucy nadziei że ocalejemy. Gorące modlitwy popłynęły ze strwożonych serc do stóp Stwórcy, by Bóg nas wysłuchał. Holujący nas parowiec ruszył całą parą i szybko zaczęliśmy mijać okręty wojenne stojące w szyku bojowym, niemo czekając swego losu. Wydostaliśmy się z pierścienia żelaznych potworów i nie zmniejszając szybkości popłynęliśmy dalej. Daleko za nami widać było rakiety i czasem płonące statki. Największe niebezpieczeństwo minęło. Mijaliśmy zatopione statki, których kominy i

części masztów sterczały nad wodą. Uwagę naszą zwróciły bandery zawieszane do pół masztu na niemieckich ~~statkach~~ statkach. Ale nikt nam nie umiał, czy też nie chciał powiedzieć na znak jakiej żądoby. Podświadoma radość ogarnęła nas nasuwając przenajróżniejsze domysły. Dopiero 3 maja zagadka została rozwiązana wiadomością podawaną z ust do ust, że Hitler nie żyje. Trudno opisać radość na widok świeżej zieleni drzew na brzegu, do którego przycumowano barkę. Zdziwiliśmy się, że już są takie zielone nie zdając sobie sprawy, że przecież cały tydzień byliśmy na pełnym morzu, a wiosna przez ten czas dawała całej przyrodzie jakby dla naszej radości i pokrzepienia naszych serc znekanych świeżą sukienką. Słodka zimna woda zdawała się być naszym wybawieniem po tylu dniach pragnienia. Obawa, że zabraknie wody do picia minęła. Jedynie głód dawał się we znaki. Rano 4 maja pozwolono wyjść na brzeg i rozdzielano chleb. Dziwnym nam się wydawało, że możemy swobodnie chodzić po brzegu i zaroślach, że nie spotykamy posterunków, które spotykaliśmy przez cały czas niewoli. Świadomość, że nie jesteśmy jeszcze wolnymi wstrzymywała nas od tego żeby dalej zwiedzać brzeg. Na drugi dzień naszego postoju nasi ludzie wykopali duży dół, w którym złożono tych co zmarli w czasie kiedy wpłynęliśmy do zatoki i nie mogli ich wrzucić za burtę. Wszystkim Kazano wejść do luk i w tym czasie pogrzebano 27 ofiar. Po południu przeholowaną barkę do dużego handlowego statku uszkodzonego, który już dość długo stał w zatoce. Nie posiadaliśmy się z radości, że możemy wreszcie oddychać świeżym powietrzem i że wolno nam swobodniej poruszać się niż na barce. Jeszcze tego dnia rozdzielono chleb i pierwszy raz od wielu dni ciepłą zupę i kaszę. Zaczęły chodzić pogłoski, że jakby wojna z Niemcami skończona, że nami zajął się Czerwony Krzyż. Pięć dni przebytych na tym statku dało

nam dużo wypoczynku po trudach podróży, tym więcej, że dość regularnie dawano obiady i kolacje. Wśród chorych też była widoczna poprawa, bo dostawano trochę lekarstw. Wiadomość, że Szwedzki Czerwony Krzyż wziął nas pod swoją opiekę i że wyjeżdżamy do Szwecji jako ludzie wolni była wprost nie do uwierzenia. Ogarnęła nas jakieś dziwne rozczulenie i radość, że jesteśmy znów ludźmi o pewnym znaczeniu, nie tak jak to było dotychczas - traktowano nas jako coś niepotrzebnego, co trzeba wyniszczyć, wyciągnąwszy poprzednio wszystkie siły.

10 maja przeładowano nas na mniejszy statek handlowy ".... .", którym mieliśmy wyruszyć do Szwecji. Luka przeznaczona dla chorych wydała nam się luksusowym szpitalem, bo można było ułożyć chorych wygodnie na rozesłanej słomie przykrytej białym płótnem. Wszyscy czuli radość, że opuszczają ziemię tyranów, więc przy dźwiękach orkiestry dołączonej z transportem z innego obozu - Neugammen odpłynęliśmy spokojni i ufni, chociaż jeszcze pod dozorem niemieckiej policji. Cóż znaczy 24 godz. drogi w niewygodzie i na pokładzie dla nas, coś my się tyle czasu błakali po morzu w okropnej niepewności. Nikt nam teraz nie zabraniał podziwiać pięknego brzegu Danii, nikt nam nie kazał zejść z pokładu, mogliśmy swobodnie poruszać się i cieszyć pięknem morza.

11 maja od rana gęsta mgła zasunęła krąg widzenia i nasz parowiec zatrzymał się w obawie, by nie trafić na pola minowe. Upojeni szczęściem wolności nie zdawaliśmy sobie sprawy, że może nam grozić niebezpieczeństwo. Dopiero w południe mgła opadła i widzieliśmy jak bardzo blisko podpłynęliśmy do już oznaczonych pól minowych. Mijały nas niezliczone statki i okręty niemieckie pełne rozbrojonego wojska, a myśmy wiedzieli, że dziś oni są bez znaczenia, a za to my będziemy mieli prawo mówić o niemieckiej kulturze, którą poznaliśmy na własnych plecach. Powoli

zbliżaliśmy się do ziemi szwedzkiej. Na widnokręgu najpierw słaby, a potem coraz wyraźniejszy zarys lądu. Widać spokojnie płynące żaglówki i motorówki, już widać jak na dłoni cały port. Serce bije mocniej, bo czyż wiemy jak nas przyjmą ? jak nas potraktują ? Kto tylko mógł wyszedł na pokład, by przyjrzeć się ziemi, której władze mają nas przygarnąć, nas, bezdomnych, bez ojczyzny, steranych, wycieńczonych, słabych i chorych. Statek zatrzymał się dość daleko od portu, podpłynęła łódź policji portowej, ale już z daleka było widać serdeczne znaki powitania i przyjazne uśmiechy na twarzach załogi. Dookoła zaczęły podpływać żaglówki, motorówki i łodzie, i u wszystkich widziało się ten sam serdeczny uśmiech, a może i współczucie. Po złożeniu broni i amunicji przez policję niemiecką powoli wpłynęliśmy do portu witani przez tłumy ludności szwedzkiej na molach, a nawet z okien pobliskich domów powiewały chusteczki. Łzy radości cisnęły się do oczu, ale nie można pokazać łez. Na brzegu całe oddziały Czerwonego Krzyża i harcerze. Orkiestra nasza wciąż gra jeszcze marsz za marszem, a człowiek krzyczyłby z radości, że to już nareszcie koniec ucisku, prześladowania i niewoli. Pani z opaską - tłumacz podchodzi do statku i mówi po polsku: "Witajcie rodacy". W krtani coś dławi a łzy popłynęły jak groch. O, jakże to cudownie móc płakać z radości, jak dobrze czuć się bezpiecznym i zostawić za sobą bicz niemiecki odbierający siłę i chęć do życia..Na każdym kroku spotykamy się z serdecznością i życzliwą pomocą tych, którzy nas przyjęli, zaopiekowali się nami, dali możliwość wypoczynku i powrotu do równowagi i siły. Myśl o przyszłości jeszcze drzemie, jedynie tkwi głęboko wryta nienawiść do naszych ciemiężców, a szczerą wdzięczność dla narodu szwedzkiego i wiara w trwałą przyjaźń nigdy nie wygasnie w naszych polskich sercach. "

W. S. S.

Relacja Olszewski Roman z Włocławka
ul. Kościuszki 50 m. 3
Sopot

s. 43 - 84



RELACJE

Roman Olszewski

były więzień obozu koncentracyjnego Stutthof i Mauthausen

urodzony 24 października 1913 roku.

Numer obozowy w obozie Stutthof - 14274

Numer obozowy w obozie Mauthausen - 12354 R

zamieszkały przed wojną we Włocławku

obecnie : Sopot ul. Kościuszki 50 m 3.

zawód : prezes Spółdzielni budowlanej.

Nazywan się Olszewski Roman, pochodzę z Włocławka, jestem 1913 rocznik. Byłem więźniem obozów koncentracyjnych Mauthausen, gdzie miałem numer 12354 i Stutthof - numer obozowy 14274. - - -

Aresztowano mnie 13 września 1939 roku pod Rowem jako jeńca wojennego. Byłem podoficerem 31 pułku artylerii lekkiej z Torunia. Zostaliśmy okrążeni i wzięci do niewoli. Początkowo byliśmy "skoszarowani" w klasztorze w Łagiewnikach pod Łodzią, skąd przesłano nas do Kutna i dalej w październiku 1939 roku do Woldenbergu, do Stalagu II C. Wiosną 1940 roku przeniesiono mnie do kompanii

rzemieślniczej do Oflagu II C. W jesieni tego roku podpadłem władzom obozowym za szerzenie propagandy przeciw rekrutacji jeńców-żołnierzy na robotników cywilnych zatrudnianych w Rzeszy. Odtransportowano mnie do Szczecina, skąd bez żadnych przesłuchań dalej przez Berlin, Wrocław, Pragę czeską, Wiedeń do Mauthausen, do obozu koncentracyjnego. Przyjechałem tam w końcu lutego 1941 roku w grupie około 50 osób. Byłem w mundurze wojskowym. Dostałem się na blok VII, Stuba A, gdzie większość stanowili Polacy. Blokowym był niejaki Unek, z pochodzenia Austriak, wiek około 50 lat, nosił zielony winkiel. Porządek, warunki higieniczne, czystość na blokach były w obozie w Mauthausen /w porównaniu ze Stutthofem, jak później się przekonałem/ zupełnie możliwe. Mieliśmy prześcieradła, ręczniki, łyżki, miski - i jedną szafkę na 3 więźniów. Pozatem warunki przydziału do pracy były tam jakoś ustabilizowane. Natomiast ilość morderstw dokonywanych samowolnie na więźniach była ogromna większa niż /jak później stwierdziłem/ w obozie Stutthof. Mordowali wszędzie. Mordercami byli przede wszystkim "zieleni", którzy w Mauthausen mieli władzę nieograniczoną. W Mauthausen pracowałem w kamieniołomach jako jeden z 1200 więźniów. Nad nami był oberkapo Zaremba, Ślązak z pochodzenia, z zielonym winklem, człowiek wymagający, ale przychylnie odnoszący się do Polaków. Wszystkie "lepsze miejsca" obsadzał w miarę możliwości Polakami. Ja osobiście zawdzięczam mu życie. Dostałem się przypadkowo do tak zwanej Strafkompanii kamieniołomów, gdzie pracowaliśmy z kolegą Kapsą Romanem oraz Wróblewskim Piotrem z Gdańska w bardzo ciężkich warunkach.-
Dla zobrazowania stosunków, panujących przy pracy podaję następujące fakty. + - - - - -

Na parę dni przed Wielkanocą przekazano do naszego bloku niejakiego księdza Cebulko z Poznania, albo z Gniezna. Był on specjalnie nienawidzony przez SS-manów, którzy prawdopodobnie musieli być uprzedzeni przez komendanturę. Bito go i poniewierano nim wszę-

dzie. Na bloku i przy pracy nie miał chwili spokoju. Zarzucano mu jakoby przyczynił się do wykończenia mniejszości niemieckiej w czasie działań wojennych 1939 roku. Wbijano mu agrafki pod paznokcie, kopano okutymi butami, bito - po twarzy i gdzie popadło. Nie było na nim kawałka zdrowego ciała. Spuchnięty i siny, stale był torturowany. Pewnego kwietniowego dnia zdziwiłem się względnym spokojem, jakiego zażywał ksiądz Cebulko. Pod pozorem zaopatrzenia się w kamienie podszedłem blisko do księdza i zapytałem co to ma znaczyć że dali mu trochę spokoju. Odpowiedział mi: "Tak ale za jaką cenę - za chwilę skończę na drutach, na rozkaz tych szubrawców". Rzeczywiście za mniej więcej pół godziny wyprowadzono go poza grupę pracujących i poprowadzono na druty. Kiedy zbliżał się do posterunku zauważyłem, jak ręka jego wykonała znak krzyża. Potem już bez wahania przekroczył linię dozwoloną. Zaterkotał karabin maszynowy. Ksiądz zwałił się na ziemię. Mimo że trafiony został trzema pociskami to żył jeszcze aż do chwili odtransportowania go do bramy krematorium. Odetchnęliśmy wszyscy że ustała wreszcie jego męka. - - - - -

Był też wśród nas lekarz poznański - Żyd. W tym czasie był on jedynym Żydem w naszym komandzie. Zastosowano wobec niego nowe metody pracy. Musiał biegać z ciężkim kamieniem w rękach, aż do zupełnego wyczerpania sił. Kiedy pod wpływem zupełnego zmęczenia nie był w stanie podnieść nogi, aby przejść przez podwyższenie, na którym biegły tory kolejki - jeden z najbardziej zażartych SS-manów uderzył go kilofem w plecy. Nieszczęśliwiec zwałił się twarzą na tory. Rozbił sobie czoło. Stracił przytomność. Dla przywrócenia przytomności kazali więźniom oblać go wodą. Kiedy otrzeźwiał, scena powtórzyła się z tym, że kiedy upadł po raz drugi SS-man zdjął pasek z bioder i założył go na szyi ofiary. Powoli zaciskał pętlę aż tamten posiniał. Wtedy pętlę zluźnił i oblewając nieszczęśnika wodą przywrócił go do przytomności. W tym dniu zostawiono go w spokoju, aby za kilka dni dokończył rozpo-

częste dzieło. - - - - -

Podobna sytuacja spotkała mnie także. Z ciężkim kamieniem na plecach ganiałem na rozkaz kapo Nagela, zielonego przestępcy niemieckiego i napewno w niedługim czasie byłbym wykończony. Kiedy byłem już u kresu sił nadbiegł kapo i uderzył mnie drzewcem łopaty w prawe ramię, obezwładniając mi zupełnie rękę. Na moje szczęście nadszedł oberkapo Zaremba, który przywołał mnie do siebie i zapytał co to wszystko ma znaczyć. Zarembę znałem gdyż przychodził na nasz blok odwiedzać znajomych Polaków, więc śmiało powiedziałem że Nagel dybie na moje życie. Sygnał na zakończenie robót zakończył również i ten incydent. Wieczorem Zaremba przyszedł na blok, gdzie w gronie Polaków omówiliśmy całą sytuację. Zaremba zaopiekował się mną i skierował mnie do innej pracy, do budowy baraków, a tam już Nagel nie wtrącał się bezpośrednio. - - - - -
Potem będąc już w Stutthofie zobaczyłem Zarembę na placu obozowym. Zaopiekowałem się nim skolei, zaopatrując go w chleb. Przypomniałem mu jego wkład w moje istnienie. - - - - -

W czerwcu 1942 roku po apelu ogłosili blokowi, aby wszyscy fachowcy branży drzewnej, stolarze, cieśle, dekarze zapisali się u blokschreibera, bo będą zwolnieni z obozu, wyjadą do jakiejś fabryki na komando. Jak wspominałem pracowałem w Mauthausen w kamieniołomach, a ostatnio wykonywałem różne roboty budowlane i wiedzieli że jestem fachowcem w tej branży. Przyszli więc koledzy do mnie z Naruszewiczem Czesławem, który zaproponował mi abyśmy zgłosili się na wyjazd, może będzie nam lepiej niż w Mauthausen, co też zrobiliśmy. Zgłosiło się zresztą wielu, z których wyselekcjonowali grupę 126-ciu, w tym było trochę Polaków. Tych, których pamiętam, naturalnie jeśli chodzi o Polaków to byli: Naruszewicz Czesław /kleryk/, Rozpłochowski Stanisław z Bydgoszczy, Laskowski Stanisław z Płocka, Smyk Jan, Gerdon Jan, Chmielewski Adam prawdopodobnie z Rypina i jeszcze kilku Polaków. Wśród nas byli również Austriacy i Niemcy. Jeśli chodzi o Niemców to zgłosili się prze-

ważnie tacy, którzy tam, jak to się mówi po obozowemu, byli spaleni, to znaczy podpadli za jakieś machlojki obozowe i chcieli wyrwać się z obozu. Nikt z nas z początku nie wiedział gdzie mamy jechać, bo mówili nam że mamy być zwolnieni z obozu i że ~~my~~ będziemy gdzieś w jakiejś fabryce pracować jako rzemieślnicy. W ostatnich dniach czerwca zebrali nas razem, zewidencjonowali, nie wysyłali już na komando. Dostaliśmy tak zwaną żelazną porcję na 4 dni i przewieźli nas samochodami na stację pod eskortą SS-manów. Było kilkunastu podoficerów i żołnierzy wachmanów, zawiadywał tą ekipą zastępca komendanta. Na stacji zapakowali nas do bydłych wagonów i przez 4 dni wieźli nas do Gdańska. Obchodzili się z nami, jak na warunki obozowe, wyjątkowo po ludzku. Z Gdańska samochodami przewieźli nas do Stutthofu. Pierwsze nasze wrażenie było raczej dobre. Stutthof w stosunku do Mauthausen, którego sam widok był przygnębiający, ogromne mury z kamienia, wszędzie był kamień, wydał nam się jak sanatorium, bo to w otoczeniu drzew, sosen i brzoź, ta komendantura przyzwoicie wyglądająca. Odbieśliśmy wrażenie czegoś dużo przyjemniejszego niż Mauthausen. Cała nasza grupa, tych 126-ciu, to wszystko byli już starzy obozowcy, którzy przeszli już ciężki obóz przez rok, półtora, dwa lata, a byli wśród nas i tacy, którzy mieli już za sobą 5 lat życia obozowego, bo siedzieli jeszcze długo przed wojną - to byli Niemcy i Austriacy - dla tych życie obozowe, taktyka obozowa dobrze była znana. Nie przeraziliśmy się więc Stutthofu, nawet jak wspominałem Stutthof wydał nam się przyjemniejszym od Mauthausen. - Zachowanie SS-manów nie robiło już na nas wrażenia, znaliśmy już to dobrze, tembardziej że nie potraktowali nas jak zwykły zugang, a tylko jak przerzuconych starych obozowców. Przyjechaliśmy ponadto jako rzemieślnicy, chociaż prawdę mówiąc, było tam prawdziwych rzemieślników najwyżej 10%. Przyjechaliśmy do Stutthofu 6 lipca 1942 roku. Przeprowa zili nas przez tę bramę Stutthofu, podprowa-

dzili nas pod kuchnię, była gdzieś godzina 2-ga, już po obiedzie, dali nam w kubkach zupę. Poznaliśmy wtedy odrazu Janka Kroplewskiego i Antka z kuchni, którego nazwiska nie pamiętam. Zupa wydała nam się dość smaczna. Chciałem jeszcze zaznaczyć, że w ostatniej chwili przed wyjazdem dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Stutthofu, to też my Polacy mieliśmy już zebrane cały szereg nazwisk ludzi, do których mieliśmy się w Stutthofie zwrócić. Dowiedzieliśmy się tego od byłego komisarza Gdyni Sokoła i obecnego wiceministra Rusinka. Ja w Mauthausen spałem w jednym łóżku z Sokołem, mieliśmy jedną szafkę, wiele miesięcy byliśmy razem, a z Rusinkiem zapoznaliśmy się przez Sokoła i tak się złożyło, że byliśmy jednego dnia zwolnieni z karnych komand. Oni pochodzili przecież z tego obozu Stutthof, stąd też pamiętali wiele nazwisk, podali je nam, opowiedzieli o stosunkach panujących w Stutthofie, tak że przyjechaliśmy nie jako zupełni nowi, surowi ludzie, a jako starzy obozowcy, znający już wszystkie chwytaki no i wiedzieliśmy już wiele o Stutthofie i ludziach w tym obozie. Cała nasza grupa to byli ludzie silni, zdrowi, mocni to też mieliśmy zasilić obóz Stutthof, jak później dowiedzieliśmy się. Wziąwszy to wszystko pod uwagę zdawało się nam początkowo, że zmieniło się nam na lepsze. Takie było nasze pierwsze wrażenie. Gdy przyszliśmy już na obóz, oczywiście mowa jest o starym obozie, odrazu rozdzielili nas na różne bloki. Ja z kilkoma kolegami, między innymi z Naruszewiczem dostaliśmy się początkowo na blok 3. Blokowym naszym był Kowalski, muszę powiedzieć że bardzo przyzwoity człowiek - do nas odnosił się bardzo po ludzku. My oczywiście rozumieliśmy co on może, a czego nie może bo przecież nie byliśmy już nowymi. Jakieś krzyknienie czy nawet uderzenie nie traktowaliśmy jako wyrządzoną krzywdę, bo dobrze wiedzieliśmy że jesteśmy w obozie koncentracyjnym. Dlatego w przeciwieństwie do takich co to u mamusi pod fartuszkami wychowani, nie braliśmy takich drobiazgów jakoś tragicznie. Poważnie traktowaliśmy

my jakieś rzeczy duże, konkretne, a takie drobiazgi to były rzeczy proste i z tego zdawaliśmy sobie sprawę dokładnie. Dlatego to chcę powiedzieć, że ten Kowalski, jak na warunki obozowe, dobrze się do nas odnosił. Rozmawialiśmy z nim często, on dowiadywał się od nas o warunkach i stosunkach jakie panowały w Mauthausen, wspominaliśmy mu o Sokole, Rusinku, o innych, których znał bo wyszli z obozu stutthowskiego i w ten sposób pierwsze nasze stosunki obozowe nawiązaliśmy. Nie przechodziliśmy w Stutthofie żadnego zagan- gu, byliśmy traktowani jak starzy obozowcy i z miejsca liczyli się z nami wszyscy, bo niejeden z nas dłużej był w obozie jak ci w Stutthofie. Ponadto nie pozwolilibyśmy sobie przewodzić - była nas przecież grupa 126 chłopa i jeśli były jakieś próby nalotów, to potrafiliśmy się w jakiś radykalny sposób obronić. - - - - -

Chcę jednak powrócić do naszych wrażeń i przeżyć, bo to jest według mnie najistotniejsze. W okresie, w którym przyszliśmy to rzeczywiście obóz Stutthof był na wymarcu. Ludzi było niewiele zresztą ludzie ci byli tak wygłodzeni, tak wystraszeni, tak prze- lęknięci, tak wyniszczeni /przyszliśmy po 1-szej epidemii tyfusu/ że wprost nie da się to opowiedzieć. Żeby zobrazować ich "siłę", jakąś tężyzną fizyczną tych ludzi, dam dla przykładu taki obrazek: 25-litrowy kocioł z zupą niosło w Stutthofie z jednej strony 8 lu- dzi i z drugiej ośmiu, dosłownie to wyglądało tak że za uchwyty trzymało po dwóch, z boku jeden drugiego trzymał za łokcie, chwy- tał się go, żeby jakoś udźwignąć ten kociołek, podczas gdy w Maut- hausen dwóch normalnych ludzi niosło kocioł większy bo 50-litrowy. Ilu mogło być wtedy ludzi? nie mogę dokładnie powiedzieć, ale blo- ków było chyba sześć i żaden z nich nie był zapełniony. Spaliśmy pojedynczo i były jeszcze wolne łóżka. Nie wiem ile było na koman- dach, ale wiadomem mi było że tak zwane Aussekkomanda. W każdym razie obóz nie był przepełniony, ale wprost przeciwnie były jesz- cze wolne łóżka. Oczywiście zaczęło napływać coraz więcej więźniów i obóz zaczął się powiększać. Ale o tym będę mówił później, chcę

wrócić znowu do pierwszych wrażeń, do pierwszego stosunku nas do pracy i do współkolegów. Rozdzielono nas na różne komanda pracy, my Polacy wszyscy albo prawie wszyscy byliśmy w jednym komandzie. Pracowaliśmy na tak zwanej nocnej szychcie Rozpłochowski, Laskowski, Gordon, Chmielewski, Naruszewicz i ja, a również był z nami Adolf Czop z Pragi czeskiej, stolarz z zakładów lotniczych - z czerwonym winklem. Było w naszym nocnym komando około 30 do 40-tu ludzi. Były wtedy całe masy nart zbieranych od cywili Niemców i naszym zadaniem było /zresztą zarówno dziennej jak i nocnej zmiany/ skrobać te narty do czystego drzewa, a następnie kolumna malarzy, u których kapem był Knopik malowała te narty na biało. Okazało się później że przygotowywali te narty na zimowe uderzenie, no i ta akcja trwała długo, bo ja mówię obecnie o lipcu 1942 roku. Poszliśmy więc wszyscy najpierw na tę nocną zmianę do stolarni i tam naszym kapo był Mach Alfons, bardzo przyzwoity człowiek ale spłoszony, wystraszony, zresztą jak wszyscy inni. Ci ludzie byli niesamowicie spłoszeni, wygłodniali, że to się poprostu nie da opisać. Oni byli tak torturowani, tak bici bo w Stutthofie nie było wtedy żadnego ładu i porządku. Jeśli chodzi o Macha, to ten biedak chciał nam pomóc ile tylko mógł, ale on nie wiele mógł pomóc nam ani nawet sobie. W każdym razie Mach robił wszystko co było możliwe aby nam ulżyć, oczywiście pod względem pracy, wykonawstwa robót, bo pod innym względem nie miał żadnych możliwości. Żeby ja jeszcze dać obraz ówczesnego Stutthofu, to trzeba powiedzieć o wyżywieniu, a właściwie o głodzie. I ja tu żadnych bajek nie opowiadam, jak inni "peeci", którzy byli miesiąc czy dwa w obozie i odsztawiając męczenników teraz jakieś brednie mówią, nie mające nic wspólnego z obiektywną prawdą, ale mówię to co przeżywałem i widziałem naocznie w bardzo ciężkim okresie obozu Stutthof. Żeby zobrazować jaki był głód, to dla przykładu mogę powiedzieć że jak gdzieś przy nartach znaleźli paski skórzane z surowej skóry to od-

rzynali te paski i gotowali z tego zupę dodając nać od marchwi. Ponadto jedli też klej stolarski, nawiąsem mówiąc jeśli ktoś jadł klej to bardzo szybko się wykańczał, bo wiadomo że klej ~~już~~ był szkodliwy dla zdrowia. Wskazuje to jednak do jakiego stopnia panował głód. Głód był straszny, poprostu nieda się to opowiedzieć. W Stutthofie jeden chleb był na 12 ludzi, w tym czasie w Mauthausen taki sam chleb dostawaliśmy na trzech. Jaka olbrzymia różnica. Jeśli chodzi o zupę - to była ona w Stutthofie strasznie rzadka i nawet nie cały litr na człowieka - mówię o tej pierwszej fazie mego pobytu w Stutthofie, bo później nieco się poprawiło, a w tym samym czasie w Mauthausen dostawało się pełen litr zupy, a nawet była i dolewka. Jeśli chodzi o stan sanitarny, o higienę - to była pod psym, coś straszego, wszy, brud, pędza nie z tej ziemi, podczas gdy w Mauthausen już było to jakoś uregulowane, były prześcieradła, były prysznice, umywalnie. ~~Była~~ Ogólnie mówiąc był tam pewien porządek, pewien ład, a jeżeli chodzi o Stutthof to, jak się to mówi pospolicie, kto raniej wstał ten rządził. Dla przykładu : my mieliśmy tak zwaną nocną szychę więc po rannym apelu szliśmy spać, to jeżeli jakimś SS-manowi coś strzeliło do łba, to wpadł na sztabę i zerwał z kółek i zapędził do innej roboty, a na noc trzeba było znowu iść na swoją robotę, do swego komanda. Jednym słowem było straszne bezkrólewie. Jeśli chodzi o komandofurera w tej nocnej zmianie to był niejaki Base - SS-man, Gdańszczanin, straszny zbrodniarz, bandyta niespotykany, sadysta i odnośnie wrażenie, że wariat, bo spał, spał, aż w pewnym momencie budził się i pierwszego lepszego, którego złapał - bił, rozbijał, nawet i zabijał. To był straszny człowiek, bali się go wszyscy jak ognia. Muszę powiedzieć, że odnośnie naszego zespołu z Mauthausen, miał pewne względy, jeśli to tak można nazwać, poprostu mniej nas się czeplaliśmy nie wiem czemu to przypisać, ale ogólnie to był straszny drań. - - To byłyby pierwsze momenty, pierwszy okres naszego pobytu w Stutthofie. Trwał on jednak dość długo, bo tych nart były tysiące, więc

trzeba ten okres liczyć nawet na miesiące, aż chyba do zimy. Jeszcze jedno - w tym czasie skontaktowaliśmy się, to znaczy ta nasza grupka 12-tu czy 14-tu z więźniami Stutthofu, bo mieliśmy jak już wspomniałem, pewne rozeznanie, wiadomości, o tych ludziach. - - -

Jeśli chodzi o nazwiska, które przypominam sobie z pierwszego okresu pobytu w obozie to: Janek Kroplewski i Antek z kuchni, to byli ludzie którzy przyjęli nas pierwszym kubkiem zupy. Poza tym Kowalski-blokowy, sztabowego nie pamiętam. Ze stolarni: Mach Alfons, Kwapisz Zygmunt, Knopik, Zdrojewski stolarz z Bydgoszczy pracował u Zygmunta Kwapisza, Cyganek z Kartuz, Foterek Czesiek, Rutkowaki, braciszek zakonnik z Gdyni, pracował w stolarni, to był bardzo zrównoważony człowiek. Z ciesielskich warsztatów: kapo Krakowski, Szyller, stelmach z zawodu, Polak z czerwonym winklem, Rogowski, ale nie Adam który był w magazynie, to był drugi Rogowski, pochodził z Gdyni, był też Radka, stary numer, z Gdyni, nosił szczerwony numer /Kaszub z pochodzenia/. Oni mieli czerwone numery, a my mieliśmy białe łatki, czarne numery i czerwone winkle, oczywiście jeśli ktoś był polityczny, a oni nie nosili winklów tylko mieli czerwone numery łatki i na nich czarne numery. To byli pierwsi więźniowie. To był też Szramka, Patron, ten co później uciekał. Był Kozłowski blokowym, w tym czasie jak go poznałem to był blokowym na "szóstce". Poznałem wtedy też Musolfa, Czerwińskiego, szofera, był razem z Musolfem w warsztatach. Gdy ja przyszedłem to Musolf był już w warsztatach, poprzednio podobno był blokowym. - - Czerwiński był dobrym fachowcem, pracował w warsztatach, był na bloku Kozłowskiego. Znałem też Władka Mikołajczyka, który podobno poprzednio był w kuchni, ale za moich czasów był sztabowym. Był też Koczyński Tadeusz, którego później powiesili. Pamiętam jego charakterystyczne powiedzenie w tym pierwszym okresie. Poszliśmy kiedyś do Józefa Niewiadomego do kotłowni, bo tam było ciepło, w niedzielę. Była nas dość duża grupka - zeszliśmy się na pagadusz-

kę. On był stubendinst, musiał pilnować porządku, szczególnie, aby łózka były dobrze posłane, a niektórzy nie wiedzieli jakie były konsekwencje złego posłania tych łózek, bo jeśli jedno czy dwa były źle posłane to jak wpadli SS-mani, to cały barak poprzewracali. I ten Kopczynski wtedy tłumaczył, że niektórzy mają pretekst, że musi nieraz szturchnąć czy krzyknąć jak ktoś źle tę swoją pryczę utrzymuje, a nieraz jemu większą przykrość wyrządza wywarcie pewnej presji na tych ludzi, jak tym krzywdzonym. On się tak wtedy tłumaczył. W naszym pojęciu to było wtedy zrozumiałe, bo w warunkach obozowach nie było innej kary jak cielesna. Dzisiaj za przekroczenia płaci się mandat - wtedy mandatem było jak dostał w tyłek czy wogóle jakaś kara cielesna. Wtedy absolutnie nie można go było nazwać jakimś zbrodniarzem czy sadystą - nie wiem co mu zarzucano i za co skazano go na śmierć, wtedy jednak to nie był człowiek, któremu można było coś specjalnego zarzucić. Pamiętam też z tego okresu Franka Włodarczyka, pracował już wtedy w Politische Abteilung, ale bardzo często chodził do szpitala i wtedy widziałem go jak przechodził koło naszych okien. Naszym łącznikiem między Mathaziakami i innymi był Czesiek Karuszewicz - to był nadzwyczajny człowiek. Potrafił do każdego znaleźć podejście, był inteligentny, mądry, ale to wszystko mało - on miał serce i potrafił myśleć, wykorzystywał każdą okazję aby współbraciom, a nawet nie tylko współbraciom, ale wogóle współwięźniom pomóc. Robił to w taki sprytny sposób, że go nie zdemaskowali, niestety w ostatnich dniach naszego pobytu w Stutthofie poszedł do szpitala bo źle się czuł, badanie wykazało że miał gruźlicę, pojechał do Szwecji i tam zmarł. - - - - -

Dzieliliśmy się z kolegami przeżyciami z Mauthausen, a oni z kolei opowiadali nam o swoich przeżyciach w Stutthofie. I wtedy dowiadywałem się o rzeczach, których nie widziałem osobiście, a tylko znam z opowiadań. Wyrażali się bardzo źle o Musolfie, o Kra

Krakowskim, o Kozłowski, zresztą jego "wyczyny" to sam widziałem. Kiedyś staliśmy na apelu pewno 2 godziny, bo kogoś brakowało. Szukali na blokach i właśnie u Kozła znaleźli jednego, który spał w sienniku, to Kozłowski zatkął go na śmierć i przywlekli na apel już trupa. Pamiętam ten moment. - - - - -

Natomiast było wielu innych, Polaków, jak Konarzewski, Kwapisz, Knopik i inni to ci ludzie, na ile widziałem robili wszystko, żeby pomóc współwięźniom. Na czym ta pomoc polegała? Nie dając się zepchnąć Niemcom z pewnego stanowiska, przemycali, przechowywali ludzi słabych, którzy gdzie indziej byłiby napewno wykończeni. Trzeba tu dodać, że w tym czasie kiedy przyjechalismy z Mauthausen to prawie wszystkie ważniejsze funkcje obozowe, naturalnie jeśli chodzi o funkcje w pracy, były w rękach Polaków, w przeciwieństwie do Mauthausen gdzie wszystko było w rękach Niemców "zielonych", a więc tych bandytów, podczas gdy w Stutthofie funkcje w pracy sprawowali Polacy i to Polacy polityczni z czerwonymi winklami i z wyraźną literą P i było wiadomo że to są więźniowie polityczni. - - - - -

Chciałbym jeszcze powiedzieć o SS-manach, których pamiętam z tego pierwszego okresu. To byli: komendant Pauly, mówili o nim, że to zbrodniarz, bandyta, że trzeba przed nim uciekać jak przed zarazą. Ja go mało widziałem, tylko na apelach, zdaleka, a zresztą on w krótkim czasie był odkomenderowany ze Stutthofu. - - Rapportführerem był Weiniger, lekko utykał na nogę, Blockführerami byli Bomba /Milentz/, Peters- krzykacz, tuman skończony, drań. Był też z Tigenhofu SS-man /chyba nazywał się Kosch/, taki zawsze uśmiechnięty, niski. Ten, nawiasem mówiąc, był dla nas dobry, zawsze dawał nam "cynki" o rozmaitych nalotach, przestrzegał, uprzedzał nieraz w ostatniej chwili - to był jedyny SS-man, o którym mogę mówić pozytywnie. Był poza tym Lutz, komandofürer Ziemerei i Tischlerei. Był Base, bandyta nieskończony. Jeśli chodzi o Lutza

nie widziałem, ale mówili mi o nim koledzy Szyller, Radke, Rogowski i inni, że to był bandyta, który dosłownie siekierą zabijał, ale o tym mówili mi, natomiast na własne oczy widziałem, jak zabijał Base - kijem, dragiem, zgniatał ludzi na śmierć. Później był w DAW - Meller. Był też w tym pierwszym okresie Leising, było dwóch braci Knoth, jeden był w rewizje, drugi w Bekleidungskammer. Najgorszy, który rzucał się w oczy swoim bandytyzmem to był Haupt, starszy sierżant, szef szpitala, zbrodniarz w moim pojęciu nie do opisania. Widziałem na własne oczy jak zabijał ludzi, gdy przechodzili do szpitala, nogą, kijem, czy czym popadło. Pamiętam też Maiera - Bociana, ale to nie z pierwszych dni mego pobytu. Wracając jeszcze do kolegów, których poznałem w pierwszych czasach to byli jeszcze Szwarebard Juliusz, malarz Walek, nazwiska jego nie przypominam sobie, ^{Kohyński} Komarzewski Władysław, Sikorski Augustyn, Nogajski, Herber, Węgrzynowicz, Jasiński, Witkowski /trzej ostatni lekarze/, Lewndowski Wacław, Raganowicz, Kostrzewa, Rutkowski, Niewiadomy Józef, Kmiecik Czesław, Kamiński Edek, Drzewoszewski z Torunia, Edek Biniewicz, Wiktor Poćwiardowski, Józef Kucharski, Czesław Brzozowski, Grochowski, Kozłowski Stanisław, pracował w Schusterei, ten ostatni mieszka w Łęborku obecnie, Piotr Dowbieszko, pracował w Schweinerei. - - - - -

Chciałbym jeszcze wspomnieć tu o sprawie sabotażu, który zaistniał w tym czasie w Stutthofie, a o którym wiedzieli tylko bardzo nieliczni. To była inicjatywa Czeška Naruszewicza, bo mnie nie przyszłoby to do głowy. Zresztą nie była tylko jego inicjatywa, ale był on zreżyserowany przez Czeška. Niemcy, którzy przyszli z nami z Mauthausen zorientowali się że są przegrani w Stutthofie, bo władza, ta wewnątrz obozowa była w rękach Polaków. Dla przykładu podam tu Szwarebarda, Szymańskiego, Macha Kwapieszę. No więc ci Niemcy z Mauthausen chcieli za wszelką cenę uzyskać jakieś stanowisko, zdobyć jakieś znaczenie w obozie. W tym czasie trzeba

było pilnie wybudować barak w tej przedniej części, naprzeciwko kobiet, za kuchnią i ten batak miał być przeznaczony na Bekleidungskamer. Chciał z tego skorzystać jeden z tych, którzy przyszli z nami, Austriak Michel, z zielonym winklem. Długo siedział w obozie, był spryciarz i chciał się w tej robocie "pokazać". Nawiązał kontakt z Naruszewiczem i namawiał go żebym ja podjął się z nimi razem tę robotę wykonać. Ze mną bezpośrednio nie mógł się umawiać bo ja po niemiecku nie umiałem ani wtedy, ani do dziś nie nauczyłem się. Wiedział z Mauthausen że ja te rzeczy potrafię robić, więc przez Naruszewicza poddał myśl, żebyśmy ten barak prędko zrobili, żeby poprostu "zabłysnąć" przed władzami obozowymi, że oni coś tam potrafią i coś znaczą. Czesiek przyszedł do mnie w nocy i zaczęliśmy się naradzać jak to zrobić żeby z jednej strony z nimi mieć dalej kontakty, ale z drugiej strony nie dopomóc im w dojściu do jakiejś władzy. No i rada w radę wykombinowaliśmy. - Baraki te były z elementów drewnianych, to były ciężkie elementy, to też więźniowie Stutthofu nie bardzo mogliby im podołać, a nasi byli silni, więc zaczęliśmy stawiać te baraki. Stawiając elementy nie daliśmy na noc odpowiednich rozpór, a tylko tak je ustawiliśmy, że przy najmniejszym powiewie to wszystko miało runąć. I tak istotnie się stało, bo ci Niemcy byli za głupi, żeby to wiedzieć, a Polacy jeśli nawet ktoś się zorientował /bo wiedzieliśmy tylko my dwaj z Naruszewiczem, nie mówiliśmy nikomu, bo za taką historię groziłaby szubienica/ to nie zdradził się ze swoimi wiadomościami. Całym reżyserem był Czesiek, on tłumaczył mi co Niemcy mówią a z nimi rozmawiał po niemiecku. No i po 2 czy 3 dniach cały ten barak runął, a razem z barakiem upadł mit o wielkości tych Niemców, czy Austriaków. My znaleźliśmy ich, wiedzieliśmy co to za dranie są, gdyby dorwali się do jakiejś władzy i w ten sposób nie dopuściliśmy aby się czymś wyróżnili czy odznaczyli. - - - - - Niezależnie od tego ten Michel, o którym wspominałem, po jakimś okresie dostał się na hilfekapo do stolarni, a potem jakoś coś po-

kręcił i został naszym kapo, a Macha zabrali na dzienną szychtę. Mach to był fachowiec wybitny, dużej klasy, zresztą ja już wspominałem, że to był bardzo porządny człowiek, zupełnie przeciwieństwo do tego Michela, który o tyle musiał się z nami liczyć, że nie był żadnym fachowcem, więc był uzależniony od nas, bo on tylko umiał gadać, porozumieć się z władzami, ale jeśli chodzi o znajomość pracy to był kompletne zero. - - - - -

Gdy sprawa nart przestała być paląca, to zlikwidowali naszą szychtę i przeszliśmy na pracę dzienną, normalnie jak wszyscy inni. My z Naruszewiczem, Rozpłochowskim, Snykiem Stasiem, Chmielewskim Adamem i Laskowskim poszliśmy do Zimmerei do Krakowskiego a Gordon poszedł do maszynowni, do Kwapisza. Tam na tej dziennej zmianie pracował z nami stary obozowiec z czerwonym winklem, niejaki Szyller, imienia jego już nie pamiętam, pochodził z pod Ciechocinka, był z zawodu bednarzem, zresztą bardzo dobry fachowiec. On był już długo w tym obozie, miał wiele wiadomości i przekazywał co było i jak było. Mówił o Krakowskim, o Musolfie, o Koźle, i o innych, bo my tych ludzi nie znaliśmy z ich przeszłości. - - - W tym czasie kiedy przeszliśmy do Zimmerei, to już napływało do obozu coraz więcej ludzi i zaczęliśmy coraz więcej nawiązywać znajomości, może nie tyle ja co Naruszewicz. To był bardzo żywy, ruchliwy człowiek, mówił po niemiecku, po rosyjsku, wszystkim się interesował, nawiązał kontakty ze schreibstuba, z arbeitseinsatzem, z rewirem i stworzyliśmy za jego inicjatywą jakiś zgrany zespół, szczególnie jeśli chodziło o wyłapywanie czy zabezpieczenie tych ludzi, którzy w jakiś sposób byli zagrożeni. Przypominam sobie, że w naszym komandzie, poprzez Naruszewicza i Leszka Zdrojewskiego, który był wtedy gońcem w Arbeitseinsatzu /nazywali go laufer/ umieściliśmy czterech młodych chłopców, Rosjan, w wieku od 12-tu do 15 lat i ukrywaliśmy ich tam u siebie, bo przecież chociaż oni przychodzili do pracy, ale przecież nic nie umieli robić no i by-

li tak wycieńczeni, że trzeba było im pomóc. Ponadto było trzech oficerów lotników - Rosjan, potem zostali przerzuceni do innego obozu i nazwisk ich nie pamiętam. Poza nimi było jeszcze cały ~~szereg~~ szereg innych, między innymi był również nasz obecny wiceprzewodniczący Szczepny, dzięki takim kanałom. Poprostu było cały szereg ludzi, którzy nie potrafili robić, ale w jakiś sposób trzeba było ich utrzymać. Był też u nas porucznik Bohdan Czapski. - - - -

Naruszewicz wyszukiwał przede wszystkim inteligencję czy młodych, poprostu pomagał wszędzie, gdzie trzeba było pomóc. On był w kontakcie z Leszkiem Zdrojewskim, z Sikorskim, z Herbarem, z Nogajkim i innymi, przez których załatwiał, żeby takich słabszych ludzi jakoś ukryć, żeby nie poszli do Waldkolumny czy też innych ciężkich robót, gdzie za miesiąc, dwa czy najwyżej trzy byli by się w jakiś sposób wykończyli. Bo to i głód i ciężka praca no i wpływy atmosferyczne, to wszystko sprawiało, że wcześniej czy później ludzie ginęli, a w warsztatach, gdzie znaleźli pewną opiekę, pod dachem, no i lżejszej pracy mogli się uratować, tembardziej, że już w obozie zaczęło się trochę zmieniać. To był już rok 1943, zaczęły już przychodzić paczki. A od tej chwili kiedy zaczęły się paczki to i życie zaczęło się zmieniać na lepsze w sensie odżywienia. Taka sama pomoc jak u nas była i w stołarni. Tam z kolei Zygmunt Kwapisz był bardzo wyczulony na to żeby pomóc gdzie się tylko dało i robił rzeczywiście bardzo dużo. Pamiętam że u niego był też cały szereg ludzi, którzy nie mieli pojęcia o stolarce, był lekarz rosyjski, był Polak-major, z którym nawiasem mówiąc spotkałem się po wojnie i wielu, wielu innych. Julek Knopik był kapem w malarzarni i też robił bardzo dużo aby jak najwięcej ludzi przetrwało. Władek Konarzewski "ukrywał" słabszych na holzplacu. W tym czasie były już warsztaty DAW /Deutsche Ausrüstungs Werke/ i te warsztaty, bardzo niewielkie w tym czasie kiedy przyszedłem do Stutthofu, zaczęły się ogromnie rozrastać i dawały moż-

ność "urządzenia" wielu więźniów. Najpierw była tylko stolarnia, ciesielnia, ślusarnia, małe warsztaciki, które później rozrosły się i powiększyły. Nastąpił rozdział między rzemieślnikami, którzy pracowali dla obozu, to były niewielkie grupki /np. Leising komando/ i coraz większymi warsztatami DAW. - - - - -

Nasza akcja pomocy nie szła tylko w jednym kierunku. Na przykład w leśnych komandach kapami byli przeważnie Niemcy, bo tam nie trzeba było fachowców, to wiem że do nich chodzili Polacy ci którzy coś znaczyli w obozie, i zawierali z nimi jakieś ugody, żeby nie torturowali i nie gnębili podległych sobie więźniów. Jeśli nie można było inaczej to załatwiano się ich przez szpital, bo takich najgorszych była możliwość "ustawić" przez szpital, to też Niemcy bali się rewiru, który był obsadzony przez Polaków. - - -

To były akcje obrony czy też ratowania nie tylko garstki ludzi, bo ci których umieszczano w warsztatach to w stosunku do masy obozowej to była garstka zaledwie, ale był i jeszcze inny kierunek. Próbowaliśmy oddziaływać na tych ostrzejszych, mniej wyrozumiałych ludzi na "stanowiskach" jak Krakowski, Musolf, czy nawet Kozłowski. Przecież tych ludzi wszyscy się bali, dosłownie na samo wspomnienie ich to drżeli ze strachu, a my robiliśmy próbę oddziaływania na tych właśnie najostrzejszych. Jak taki facet był w humorze, to jakimś okrężnymi drogami rozmawiano się z nim w łagodny sposób, mówiło się że przecież to wszystko są nasi bracia, koledzy, żeby jak w jakiś sposób zmiękczyć ich serca, złagodzić ich stosunek do współwięźniów. Próby te udawały się dość dobrze. Pamiętam taki moment, kiedy Musolf jednego z więźniów zaczął bić, maltretować, za to tylko że znalazł u niego pod łóżkiem miskę zupy, to Naruszewicz skrzyknął nas wszystkich, myśmy podbiegli i dosłownie zagroziliśmy Musolfowi, że "przestań draniu, łobuzie, dość już nazabijałeś, namordowałeś - przestań, bo inaczej będzie z tobą źle". I pomogło. Na Niemców, którzy najwięcej wyzywali się

w komandach leśnych, Naruszewicz również starał się wywrzeć wpływ łagodzący. Jeśli chodzi o Kozłowskiego, to za młóich czasów był on blokowym na szóstym bloku w starym obozie. Jak wspomiałem my po przyjściu do obozu byliśmy na bloku Kowalskiego, na trójce, potem razem z nim przeszliśmy na 5-ty blok, bo w tym okresie obóz rozrósł się niesamowicie, tak że jeśli początkowo jak przyszedłem to było nas na jednym bloku 100 do 120-tu, to później było do 700 ludzi na bloku i właśnie wtedy spało na jednym łóóku po dwóch, trzech a Zugang to nawet do pięciu na jednym łóóku. W tym czasie gdy przyszedłem to obóz był jakby "na wymarcu". Ile mogło być wtedy ludzi, trudno powiedzieć, było 6 bloków, ale bloki nie były pełne. W każdym razie nie było więcej więźniów jak do tysiąca, a w niedługim czasie w jakiś błyskawiczny sposób zaczęło do obozu przybywać więźniów. Wtedy nas, to znaczy tych mathauziaków przetrzucili na blok 5-ty razem z Kowalskim. Lagerältestrem był wtedy jakiś ksiądz, Gdańszczanin, nazwiska jego nie pamiętam, - charakteryzował się tym, że ciągle biegał, nie chodził. Po nim lagerältestrem został Leman. Komendantem był jeszcze Pauly, ale niedługo po naszym przyjściu był odkomenderowany ze Stutthofu. Rapportführerem był Wieniger, kulawy na jedną nogę, on był w stopniu kaprała. - - - - -

Ale wracając do rozrostu obozu. Jak zaczęło napływać dużo więźniów, to przenieśli nas na 5-ty blok razem z Kowalskim, który muszę powiedzieć robił dużo dobrego, to co w warunkach obozowych było do zrobienia, przede wszystkim nie był sadystą, nie mścił się na ludziach, porządek trzymał, tego czy owego wykrzyczał, nieraz nawet szturchnął, ale to rzecz normalna w takich warunkach, ale nie znęcał się, nie nadużywał władzy i nietylko nie zabijał, ale nawet nie odnosił się w jakiś ordynarny sposób do więźniów na swoim bloku. Sądzę że nie było człowieka rozumnego, myślącego, żeby postawił mu zarzut, że on w jakiś sposób się odnosił się do obozowców, w przeciwieństwie do Kozła, który był

blokowym szóstego bloku bo to był poprostu podły człowiek. - -
Stubowym na tym naszym piątym bloku był Bernard Fering, później
był blokowym na 15-tym bloku. On był jednym z tej grupy co razem
ze mną przyjechała z Mauthausen, Austriak z zielonym winklem, sam
chwalił się tym że był "kasiarzem", a to była specjalna grupa z
zawodowych przestępców i oni uważali się za coś lepszego. Jeśli
chodzi o tego Bernarda, to przypominam sobie, że był na tyle ludz-
ki, że w zimie 1942/43 grzał wodę w piecu i wieczorem jak małaolat-
ki przychodzili z roboty to mieli przygotowaną ciepłą wodę do my-
cia. W ten sposób on pomagał, a jak na warunki obozowe to była
wielka rzecz. Ten fakt świadczy o tym, że i między Niemcami, wpra-
wdzie rzadko, ale znalazł się człowiek, który starał się w miarę
mężności pomóc innym. I ten właśnie Bernard był takim zupełnie
możliwym człowiekiem, zresztą i później jako blokowy 15-go bloku
odznaczał się tym, że choć krzyczał, wrzeszczał, ale nikomu krzyw-
dy nie zrobił. Jeśli już kogoś uderzył, to wiadomo było, że ten
musiał zrobić coś, co zaszkodziło ogółowi. Trzeba zdać sobie z
tego sprawę, że w obozie był przede wszystkim ogół, były numery,
a nie było jakichś panów. - - - - -

Jak już wspominałem w końcu 1942 roku obóz rozrastał się
ilościowo - tłok robił się niesamowity, warunki sanitarne nie do
pomyślenia, wszy, głód, nędza. W pewnym momencie, już dokładnie
nie pamiętam kiedy to było, wszystkich nas z bloku piątego rozrzu-
cili po innych blokach, po to aby blok piąty przygotować dla eks-
trazugangu. Nie wiedzieliśmy dla kogo, ale cały ten blok został
opróżniony. Ja dostałem się na blok szósty, do Kozłowskiego, wraz
z kilkoma kolegami. Później okazało się, że na blok 5 przyjechali,
przypuszczalnie z Gdańska, tak zwani Pälizeihäftlingi, to byli
więźniowie, którzy mieli białe numery na rękawie, nie mieli żad-
nych winkli. Nie znam bliższych szczegółów, co to byli za więź-
niowie ze względów politycznych, nie ^{interesowałem} interesowałem się tym, w
każdym razie to nie byli tacy więźniowie jak my. My nosiliśmy

numery na spodniach i na piersiach, winkle zależnie od charakteru zarzutu, a oni mieli tylko białe numery, bez winkli. Blokowym był tam zdaje się Höltzer, on chodził tak troszkę bokiem, to był Niemiec czy Austriak z zielonym winklem. - - - - -

Co jeszcze chciałbym dodać ze swoich wrażeń po przyjeździe do Stutthofu - nie było tu żadnej organizacji, nie było żadnego porządku, życie było zupełnie nie ustabilizowane, każdy SS-man rządził się jak chciał i dopiero jak przyszedł na komendanta Hoppe, to trochę to wszystko uporządkował. Jak wspominałem, gdy przyszliśmy to był straszny głód, Hoppe zarządził zwiększenie racji tej zupy. Dostawaliśmy wtedy litr, a nawet litr i ćwierć, i to zupy gęstszej, szczególnie marchwi dodawali, podczas gdy w tym pierwszym okresie, jak tylko przyszliśmy to była taka sytuacja, że jak w takim kotle 25-litrowym było 2-3 kartofle - to dużo i o takim, który dostał kartofla w zupie, to mówiło się tak, jak obecnie mówi się o człowieku, który wygrał w Totka. Dosłownie w obozie wszyscy wiedzieli, że dzisiaj ten a ten dostał w zupie kartofla. Hoppe zarządził też, że nie wolno brać do pracy tych, którzy pracowali w nocnej szychcie. Mogliśmy w dzień spać. Po drugie wyżywienie bezsprzecznie polepszyło się no i po trzecie, ale to już w późniejszym okresie, to oficjalnie podali nam do wiadomości że nie wolno było bezkarnie bić. Poprostu zaprowadził jakiś porządek. Za moich czasów w nocy SS-mani byli poza terenem obozu, za wyjątkiem komandofürera, jakim był na przykład Base na nocnej zmianie. Inni byli poza obozem. - - - - -

Chciałbym wrócić jeszcze do tej pomocy, bo nie można nazywać tego jakąś organizacją, chociaż niektórzy przypisują sobie miano jakichś działaczy. Ja uważam, że tego nie było, była poprostu zwykła ludzka pomoc, jeśli ktoś nie zatracił człowieczeństwa, bo i to w obozie było łatwym. Pomoc ta wyrażała się w najrozmaitszych formach. Przypominam sobie wypadek Orłowskiego Jerzego, cy-

gana, skrzypka. W jakąś niedzielę zapędzili ich tam do pracy do lasu, to była specjalna niedzielna karna praca. Zobaczył to Naruszewicz, przyszedł do mnie i powiada "ratuj go" bo tam tłukli, zabijali. No i w ostatniej chwili udało mi się go wyrwać, pod pozorem jakiejś próby w orkiestrze czy coś podobnego. To nie był ten major Orłowski, któremu pomagał Knopik, zrobił z niego szklarza. Zresztą Knopik wielu pomagał. Bo trzeba powiedzieć, że dzięki temu, że wielu Polaków było kapami czy blokowymi, jak Gordon, to oni w jakiś sposób łagodzili dolę współwięźniów, naturalnie nie mówiąc o takich jak Kozioł czy Musolf, ale to byli bandyci bez sumienia i o takich ludziach aż zgroza wspominać. Ogólnie biorąc, dzięki temu, że Polacy potrafili tę jakąś władzę utrzymać, to zaryzykują powiedzieć, że setki, a może tysiące ludzi przeżyło. Gdyby te funkcje objęli Niemcy to zginęłoby wiele tysięcy więcej, gdyż to byli "pożeracze" życia ludzkiego, a szczególnie polskiego. To twierdzenie uzasadniam przeżyciami i obserwacjami z Mauthausen, gdzie rządzi Niemcy, "zieloni". - - - - -

Słyszałem różne wersje, różne mowy "twórców" orkiestry obozowej - chcę powiedzieć zupełnie obiektywnie, jako jeden z tych, którzy byli pierwsi, kto był pierwszymi orkiestrantami. Kto dał myśl stworzenia orkiestry, to nie wiem, ale najbardziej "kręcił się" koło sprawy utworzenia orkiestry Austriak, który grał na wolonczeli, z zielonym winklem, pozatem Bolek Cichocki z Gdańska, Janek Krzywiński z Grudziądza grał na klarnecie, ja grałem na trąbce, Zaleski grał na jazzie, jak to nazywaliśmy, na bębenku. Było nas najpierw pięciu. Potem w miarę jak przychodziło więcej obozowców, została ogłoszona zbiórka na instrumenty. Kto mógł dać pieniądze, kto miał instrument, to pozwolili sprowadzić i w szybkim tempie orkiestra się rozrosła. Byli tam później : Serocki z Grudziądza, Klaman ze Starogardu, Jasiński, Bukowski z Gdyni, jeden Francuz, Pawełek Frymark grał na pianinie, Rosjanin Roman Bepalko

grał na klarnecie /nazywaliśmy go Roman/, Darmochwał Olek na skrzypcach, doktor Duszyński grał na saksofonie, był też lekarz weterynarz, który grał na drugiej wiolonczeli. Orkiestra rozrosła się było trzydziestu i więcej ludzi w orkiestrze. W samych początkach istnienia orkiestry grywaliśmy na szczycie, przy waschraumie, koło śmietnika, przeważnie w soboty po obiedzie i w niedziele. - Schodzili się tam więźniowie - to było blisko obozu kobiecego i kobiety też słyszały. Usiłowaliśmy robić jakieś koncerty, jeśli to tak nazwać można było, bo potem jak była już duża orkiestra, to istotnie były koncerty, graliśmy poważne utwory. Później musieliśmy grać wtedy jak wracały kolony z lasu, ale to już było w dużo późniejszym okresie, pewno koniec 1943 roku, a orkiestra, właściwie ten zaczątek orkiestry, powstał już w 1942 roku. To wtedy wyszło takie zarządzenie, ale wtedy w 1943 roku to zdarzyło się zaledwie kilka razy - widocznie Niemcy coś tam eksperymentowali. To przeważnie było w niedzielę, bo na starym obozie to tylko co druga niedziela była wolna. Dyrygenci zmieniali się - był taki Willi z różowym winklem, potem nie pamiętam kto go zmienił, a ostatnio Niemiec z zielonym winklem nie jestem pewny jak się nazywał Norbert chyba Neuman. To nie był żaden dyrygent, tylko taki pajac, który dekował się w orkiestrze. Przedtem było kilku dobrych muzyków, między innymi był Pawełek Frymark, skromny człowiek grał na pianinie. W pewnym momencie, naturalnie mówię znowu o starym obozie, nie wiem na czyje zarządzenie, przypuszczalnie Rapportführera, dostałem polecenie, żebym na każdy apel przychodził z trąbką. Byłem najpierw na apelu, a po odliczeniu szedłem do przodu, po drabinie wchodziłem na dach baraku i czekałem na znak Rapportführera Chemnitza. Jak wszystko się zgadzało dawał mi znak i wtedy moim zadaniem było trąbić na cztery strony świata sygnał, aby SS-mni schodzili z posterunków, z postenketty, jak się to nazywało. Jeśli stan się nie zgadzał, to musiałem sterczyć na tym

dachu tak długo aż dali znak, czasem godziną i dłużej. Namarzyłem się nieraz porządnie, bo czasem trwało to dość długo. Raz gdzieś schowali się więźniowie, to trwało kupę czasu aż ich z psami znaleźli. To czekanie trwało czasem godzinę, dwie, ale najdłuższe apele to były już na nowym obozie, a wtedy grał już na trąbce Blaszcze, bo ja zachorowałem w starym obozie na tyfus i po tyfusie doktor Węgrzynowicz powiedział mi, żebym nie wracał do trąbki, bo to mogło mi zaszkodzić. Tyfus przechodziłem późną wiosną 1943 roku i tu muszę powiedzieć że tylko dzięki doktorowi Węgrzynowiczowi żyję. Miałem tyfus plamisty, wtedy chorowało bardzo dużo i bardzo niewiele przeżyło ten tyfus, ja należałem do tych szczęśliwców, którzy się z tyfusu wygrzebali. To było akurat w czasie kiedy murowali komin krematorium i będąc jeszcze w gorączce przyglądałem się temu kominowi i myślałem czy też pojedę tym kominem, czy nie. Znałem już przecież krematorium z Mauthausen. I wtedy właśnie opiekował się mną doktor Węgrzynowicz. Robił co było w jego mocy, przychodził, pocieszał mnie, na duchu podtrzymywał, dawał lekarstwa. Koledzy przychodzili pod okno, odwiedzać mnie. Przychodzili pod okno między innymi Naruszewicz, Krzewski, Rozpłochowski, Krzywiński, Snyk. Nie wolno było wchodzić na salę. Z sali tyfuśników były małe drzwi i tamteży, nie bawiąc się w wynoszenie, wyciągali za nogi zmarłych, bo tam zaraz naprzeciw była trupiarnia. Ja leżałem zaraz przy tej trupiarni na piętrze. Jak przeszedłem kryzys to przenieśli mnie na inną sztabę, jako ozdrowieńca, zdaje się że na 10-tą czy 11-tą sztabę. Wtedy było już w obozie więcej lekarzy, bo był już to okres, kiedy przenosili na nowy obóz, bo już cała lewa strona to znaczy 4-ty, 3-ci i 2-gi blok były zajęte przez szpital. Po tyfusie jeszcze pewno 11 tygodni jakoś mnie Węgrzynowicz w rewirze przechowywał, bo najgorzej było, jak przyszło się taki osłabiony prosto do pracy. Wiele rzeczy zapomniało się, łatwiej można byłoby przypomnieć szczegóły, gdyby było nas razem kilku kolegów z tego okresu. - - - 80 - - -

Przed wszystkim chciałbym jednak zwrócić uwagę na działalność dobroczynną ludzi tego typu co Czesio Naruszewicz, Leszek Zdrojewski, Zygmunt Kwapisz, August Sikorski, Władek Konarszewski. Zależy mi bardzo aby sprostować pewne rzeczy, które zwróciły moją uwagę gdy czytałem książki tych wąsowiczów. Stawiają tam różne sprawy w takim świetle, aż zdaje się, że albo nie mieli pojęcia o życiu w obozie, albo byli parę godzin, bo poprostu nie chce się w głowie pomieścić, żeby człowiek, który był w obozie i widział wszystko - mógł w taki sposób pisać. Cały szereg niescisłości i to nie tylko niescisłości, ale ordynarnej nieprawdy, a ponadto wielkiej krzywdy dla ludzi /Sikorskiego, Pawłowskiego i innych/, którzy naprawdę z poświęceniem, z narażeniem życia / bo każde zde-maskowanie takiej roboty, że się pomagało innym, to groziło śmiercią/ pomagali współkolegom. Moim zdaniem wielu ludziom, może już dziś nieżyjącym i ich pamięci, wyrządziło się olbrzymią krzywdę - bo to były oszczerstwa, wyrządzające wielką krzywdę ludziom, o których mówią, a ponadto jest to sfałszowaniem prawdy obiektywnej i historii o Stutthofie. Nie można tak spłycać tego zagadnienia, że starzy obozowcy po przyjeździe Zugangu chodzili wyłudzić od niego żarcie - to jest ordynarne kłamstwo, przecież ci starzy więźniowie wyszukiwali jeszcze w Zugangu ludzi, którym trzeba było pomóc i przestrzec przed pewnymi niebezpieczeństwami, jakie groziły w obozie. I jeszcze Zugang nie wszedł na obóz, jak już myśleli - gdzie, kogo można umieścić. I tu chcę powiedzieć o Sikorskim Augustynie, o Leszku Zdrojewskim, o Naruszewiczu. I takich było wielu.- Przecież zanim Zugang dowiedział się o tym, gdzie przyszedł i po co, to już cały aparat ludzi myślał jak im pomóc. Stwierdzam to z całą świadomością i odpowiedzialnością i mogę udowodnić to dowodami i świadkami, bo ludzie stali jeszcze przy bramie w cywilnym ubraniu, kiedy już właśnie ci starzy obozowcy myśleli o pomocy dla nich. Niejednokrotnie spotykali się z negatywnym stosunkiem. Przypominam sobie również że jak przyjechali ci z powstania warszaw-

kiego, to Meier tłumaczył, że tam za drutami są bandyci, zbrodniarze, żeby z nimi nie rozmawiać, nie chodzić tam. A jednak ludzie szli do nowych. Szedł Knopik, Zygmunt Kwapisz, Naruszewicz, Konarzewski i inni. Było ich tam sześciu czy siedmiu i nie szli po chleb, ale przechodzili koło nich, żeby w jakiś sposób dać im "cynki", chcieli podać im chleb, a nawet niektórym podawali. W tym czasie nie było już w obozie takiego głodu, bo to co wspominałem o nędzy i głodzie w obozie to był rok 1942 i początki roku 1943, a jak później zaczęły przychodzić paczki, to nie można mówić o głodzie, jako takim. Można mówić że było źle, ale to nie to samo co głód.- Bo jeśli ktoś dostał paczkę, choćby to był sam razowy chleb, to już nie musiał jeść tej zupy z liści pokrzywy, czy buraków, czy wytlóków, a znowu dla tego co nic nie dostawał, zostawało więcej obozowego jedzenia. Czyli o głodzie już wtedy nie można mówić, bo wtedy nie groziła już śmierć głodowa. - - - Słyszę też czasem, jak dziwią się że mógł ktoś przeżyć parę lat w obozie i stawiają takim ludziom zarzuty - to już jest potwarz w najgorszym wydaniu. To jest albo głęboka nieświadomość, albo perfidia - nie wiem jak to nazwać. Bo nie znając tych spraw, jakże można o kimś mówić. Ja sam byłem w obozie, byłem bity, kopany i nie mam najmniejszej pretensji do tych ludzi. Pamiętam, że kiedyś miałem 4 wrzody na szyi, chodziłem zgarbiony i jak szliśmy "zu fünf" to zwracali uwagę, żeby iść równo, bo łatwiej było liczyć, a ja szedłem taki skrzywiony, to któryś tam doskoczył i rąbnął mnie pięścią w te wrzody - zobaczyłem tysiące gwiazd. I czy ja mam mieć do niego pretensję? nie, bo on nie zrobił tego dla jakiegoś specjalnego sadyzmu, znęcania się, ale to było jakieś przypadkowe uderzenie. To były w obozie rzeczy względne. Kto przeżywał obóz, ale przeżywał go faktycznie, to umiał odróżnić zło od przypadku, czy od dobrego. W końcu 1944 roku życie obozowe to było już zupełnie coś innego, ale i wtedy trzeba było rozumieć, że to nie było sanatorium, ale obóz koncentracyjny.- - -

Wtedy zresztą było pewne rozrzedzenie, bo w starym obozie, małym, liczącym około 4 tysięcy ludzi, było więcej SS-manów niż w okresie późniejszym, kiedy w obozie było 30 tysięcy ludzi, a SS-manów było mniej, bo ich tam wypychali na front, a na ich miejsce przychodzili z Wehrmachtu starsi i kaleki. Panowały dużo łagodniejsze stosunki. Wielu ludzi złagodniało. Tu trzeba powiedzieć o takich ludziach jak na przykład Krakowski - to był kapo Zimmerer, młody, silny chłopak i opowiadali mi Szyller, Kowalski i inni, że robił dużo krzywdy współwięźniom. Potem dzięki Naruszewiczowi zmienił się bardzo. Naruszewicz miał wielki dar zjednywania ludzi. To był człowiek z wielkim poświęceniem, potrafił znaleźć jakiś wspólny język ze wszystkimi, czy to był Niemiec, czy Rosjanin, czy Polak. Czy to był prosty człowiek, czy inteligent. Z jednym pomodlił się /to był kleryk/, drugiemu list napisał, innemu znów dał kawałek chleba, mydło czy ręcznik, czy też postarał się o zmianę koszuli, robił wszystko co w jego mocy. Nawiasem mówiąc, ja musiałem jego pracę dekować, poprostu robić za niego, a on zawsze teczkę pod pachę i chodził niby to w sprawach komanda, a w rzeczywistości to szperał gdzie, co, komu trzeba było pomóc. To był prawdziwy społecznik. Zresztą on nie był tylko sam, wielu takich było, bo walka jakaś zakulisowa, podziemna bezwzględnie w obozie była, nie nazywam tego organizacją polityczną czyyjkąś inną, tylko to była odruchowa, choć trochę zorganizowana pomoc. Byli tam Rosjanie, byli inni komuniści, między innymi i mnie nazywano tam komunistą, choć nim nie byłem, bo wogóle w tym czasie o tych sprawach nie wielkie miałem pojęcie, ale to była tylko pomoc koleżeńska, wynikająca z natury ludzkiej. Wspominałem już kolegów, którzy w tej pomocy odznaczyli się chęć dodać jeszcze jednego flegra, który pochodził z Lipna, zdaje się Rylski /nosił literę A - Amerykanin/ on też bardzo włączał się do tej pomocy - widziałem się z nim już po wojnie. Jeśli chodzi o szpital, to jeśli trzeba było kogoś zdekokować, jak na przykład podpadł i musiał zniknąć na jakiś czas z

komanda to wtedy szło się do Węgrzynowicza, czy do któregoś innego lekarza, czy do flegrów, szli nasi mówiąc że przyjdzie taki jako chory i że trzeba go przemycić. I wtedy taki gość znajdował schronienie w szpitalu. Dla przykładu, żeby nie mówić gołosłownie to podaję taki wypadek. Kiedyś Pabst zamordował jednego Polaka na bloku i o tem wiedzieliśmy i wtedy niejaki Ręcki z naszego komanda, chłop wielki, przeszło 2 m. wzrostu, wyskoczył i tak mu nagrzmocił ile tylko wlaźło, zbił Pabsta "na kwaśne jabłko". Tenże blokszreiber Pabst pobiegł do przodu do Chemnitza że go napadli Polacy, te "polnische banditen" gdy spełniał swoje obowiązki służbowe. Zwołali zaraz wielu SS-manów, wpadli do nas i kazali Pabstowi wskazać tego, który go pobił. Ale w międzyczasie już Czesiek Naruszewicz zorganizował pomoc. Szybko Ręckiego do szpitala, flegrzy wpakowali go między chorych i jak SS-mani wpadli, zebraли komando, żeby Pabst go poznał, to już go nie było. Dosłownie dzięki momentalnej pomocy ten Ręcki przeżył. Nieraz to dosłownie sekundy decydowały, bo gdyby go złapali - to pewna śmierć. Nawiasem mówiąc tego Niemca Pabsta później powiesili w obozie, bo udowodnili mu że popełnił zbrodnię. Ale wtedy była rozróżba nie z tej ziemi i tylko dzięki rewirowi można było go uratować. Podobnych wypadków było masę.-----

Trzeba powiedzieć, że wszyscy, którzy robili tak dużo dobrego, to robili to tak po cichutku, że tym ludziom, którzy przyszli dużo później, to nawet nie śniło się że można było tyle zrobić. Oni nie robili tego dla popisywania się, czy żeby się wobec kogoś czy wobec czegoś pochwalić - robili to bezimiennie, przypuszczalnie do dziś nie wspominali o tym nikomu, ale ja byłem z świadkiem tego i uważam, że raz wreszcie trzeba to powiedzieć, dać świadectwo prawdzie. Bo twierdzenie że jeśli przeżył tyle lat to musiał być takim czy innym to jest tak krzywdzące, że prosto nie znajduję na to określenia. Jeśli więc chodzi o Zugangi, to stamtąd wyłapywało się ludzi, co do których były wątpliwości, że

dadzą sobie jakoś radę i takich ludzi pakowało się pod dach, do warsztatów, a tam już właściwie mało co groziło. Nie chcę przez to powiedzieć, że z warsztatów nikt nie umierał, ale w stosunku do leśnych komand to był bardzo mały procent. Takich wyłapywali Herber, czy Nogajski, czy Sikorski, czy Franek Włodarczyk, i choć ja osobiście mało się z nimi stykałem, znałem ich bardzo dobrze, kontaktował się przede wszystkim Naruszewicz, wiedziałem jednak że robili bezwzględnie wszystko co było w ich mocy, ale nie robili tego oficjalnie, bo gdyby Niemcy zorjentowali się że pomagają w jakiś sposób, no to czekałaby ich szubienica czy kula w łeb. Robili to jak najbardziej dyskretnie, bezpośrednio nie oddziaływali, a tylko drogą pośrednią. Oni przekazywali Leszkowi, Leszek Cześkowi Naruszewiczowi, ten znowu dawał pod opiekę tego czy innego mnie czy któremuś z nas starych - mówię w tej chwili o naszym komandzie bo jak gdzie indziej to się odbywało to nie wiem. W ten sposób wielu ludzi się maskowało, ukrywało. - - - - -

Mówi się o umarłych, że umarłym należy się wielka cześć i chwała, a ja stwierdzam, że to nie jest to o co chodziło, bo gdy oni umierali to prosili aby pomyśleć o żonie, o dzieciach, a z drugiej strony pamiętać o zbrodniach, które popełniali Niemcy, a ja tego nie widzę. Mówi się o umarłym i jemu się kadzi, a on już nie potrzebuje żadnego kadzidła, bo już nie żyje, ale trzeba pomyśleć o tem, o co nas prosili. Nie, żeby dawać pieniądze, ale trzeby pomocy moralnej - to będzie pamięć o zmarłych. Uważam, że i ja i moi koledzy i to prawie wszyscy nie jesteśmy w porządku wobec tych kolegów, którzy zginęli, a nie ma obozowca, oczywiście ja nie liczę tych jako obozowców, którzy byli parę ostatnich tygodni czy nawet miesięcy w obozie i to niejednokrotnie po paru latach dobrego życia, więc uważam że niema obozowca prawdziwego, który wywiązałby się wobec tych którzy zginęli. - - - - -

To byłoby narazie to co chciałem powiedzieć na temat niektórych przeżyć w starym obozie. Może innym razem opowiem o zmia-

nach jakie zachodziły w życiu obozowym i o obozie w okresie późniejszym to znaczy o tak zwanym nowym obozie, o ewakuacji i wyzwoleniu. - - - - -

Relację zebrała

Krzyszyna Kozłowska

lutego 1965 r.

Roman Olszewski



Ewakuacja obozu, ucieczka, oswobodzenie

W styczniu 1945 roku byłem na 12-tym bloku i w dniu ewakuacji byłem chory na grypę, miałem zamiar nie brać udziału w ewakuacji, bopowiedzieli, że kto czuje się chory może zostać w obozie - chciałem więc zostać, ale koledzy, szczególnie Jasio Krzywinski, powiedzieli, że mnie nie zostawia samego, że muszę iść. Ponieważ jednak czułem się źle, to koledzy szybko oderwali ze szczytów łóżek parę desek, zrobili takie prymitywne sanie, dlatego, że gdybym był bardzo słaby to chcieli posadzić mnie na te sanie i ciągnąć. Wobec tego, chociaż w takim stanie, w gorączce, w grypie, jednak poszedłem razem z kolegami - z dwunastym i piętnastym blokiem. - 25-go stycznia, gdzieś około godziny 1-ej, w obiad, opuściliśmy obóz Stutthof, zdaje się jako ostatnia grupa. Gdy wyszliśmy na szosę, która prowadzi w kierunku Gdanska i zobaczyłem niemieckich uciekinierów i rannych żołnierzy, z temblikami na ręku - to odrazu ozdrowiałem. Praypomniał mi się rok 1939, jak my wycofywaliśmy się. Wtedy Niemcy śmieli się z nas, że uciekaliśmy - porównałem to w myśli i to odrazu doprowadziło mnie do zdrowia. To była jakby rekompensata za 1939 rok. Nie będę omawiał takich szczegółów, jak noclegi na szosie, gdyż chyba dopiero na 29 3-cią noc wylądowaliśmy w żydowskim obozie pod Pruszczen. Tam przed nami była inna grupa i odeszła, a my zajęliśmy to miejsce na nocleg. Hanno zrobili zbiórkę i wyprowadzili nas z tego obozu przy lotnisku w Pruszczu i prowadzili nas dalej. Od tego dnia, po wyjściu z tego obozu Żydówk zaczęło się zabijanie. Już dobrali nam się do skóry, głównie tym, którzy opadli z sił. Jeśli zatrzymywał się taki biedak, nie mógł już iść, to początkowo koledzy mu pomagali, ale kończyło się tak, że zastrzelili nie tyl-

ko tego chorego, który tak osłabł, że nie mógł iść, ale i tych którzy mu pomagali. Skutkiem tego wszyscy pchali się do przodu, poprostu jeden przez drugiego starali się dostać do przodu, żeby nie być na końcu kolumny, bo tam najbardziej narażeni byli na śmierć. Dlatego i ta pomoc koleżeńska w jakiś sposób zaczęła się ograniczać, bo i ci zdrowi, którzy mieli jeszcze jakie takie siły byli narażeni na śmierć. Zresztą to za mało powiedziane narażeni, bo konkretnie z tyłu szedł jeden SS-man, w skórzanej czapce, i strzelał wszystkich którzy wydawali mu się osłabli, którzy szli z tyłu. I tak od Fruszcza zaczęła się ścieć trupami nasza trasa, którą byliśmy prowadzeni. Następną noc nocowaliśmy w wiosce, nie wiem jak ta wioska się nazywa, to było gdzieś między Fruszczen a Żukowem. I tam właśnie dostaliśmy pierwszy raz od wyjścia z obozu, po paru dniach marszu, trochę ciepłej zupy, którą zorganizowali gospodarze z tej wioski. Gotowali ją gdzieś po drugiej stronie, podczas gdy my nocowaliśmy w stodole po innej stronie wioski. Wieczorem zacząłem kombinować żeby uciec, póki miałem jeszcze trochę sił, bo już zorjentowałem się, co się święci. Więc póki czułem jeszcze trochę sił postanowiłem jakoś się urwać. Porozumiałem się z Aleksandrem Darmochwałem bo i on to samo miał na myśli i wieczorem niepostrzeżenie, przesunęliśmy się tam gdzie gotowali tę zupę, gdzie zastaliśmy Wacka Lewandowskiego. We trzech naradziliśmy się co robić, ustaliliśmy że zaryzykujemy ucieczkę no i sposób postępowania. Zwróciliśmy uwagę Olkowi Darmochwałowi, że chyba on powinien zostać, bo w kolumnie był jego ojciec, starszy człowiek i uważaliśmy że chyba on powinien zostać pomóc ojcu. On jednak, po rozważeniu, powiedział, że ojcu i tak nie ma możliwości pomóc, więc będzie próbował swoje życie ratować. Zdecydował, że ucieka razem z nami. Ustaliliśmy wtedy sposób

ucieczki. Zorientowaliśmy się, o których godzinach są zmiany posterunków, bo wiadomo, że w czasie zmiany żołnierz czuwa, a najmniej czujny jest mniej więcej w połowie swojego posterunku, więc postanowiliśmy, że będziemy uciekać jakieś 1/2 godziny po zmianie warty. To było już chyba po północy. Wyszliśmy tylnymi drzwiami, pobiegliśmy kawałek w pole, tam położyliśmy się w śnieg, czekając czy jest jakiś ruch, czy zauważono naszą ucieczkę. Odczekaliśmy trochę - był zupełny spokój, znak że nikt naszego braku nie zauważył. Wynurzailiśmy się w śniegu, głowy owinięliśmy sobie ręcznikami, żeby nie było widać ani naszych ubrań ciemnych, żeby było jak najwięcej bieli, bo w ten sposób na śniegu nie byliśmy zdaleka widoczni i pojedynczo skok. Aby dalej od wioski. Udało nam się to dobrze. Gdy byliśmy już od wioski w takiej odległości, że gołym okiem nikt nas nie mógł zobaczyć, zaczęliśmy się dalej razem już posuwać. Ani ja ani Damochwał zupełnie nie znaliśmy języka niemieckiego, ani też bardziej terenu, więc naszym takim przewodnikiem został Wacek Lewandowski, który mówił doskonale po niemiecku no i znał teren bo był przecież Gdańszczaninem. Po drodze napotkaliśmy takie ciemne wzgórki, odwaliliśmy nogą trochę śniegu i zobaczyliśmy że to trasy naszych kolegów, zastrzelonych poprzedniego dnia przez SS-manów. Trzeba było odbić z tej trasy, bo przewidywaliśmy że na tej trasie, którą przechodziła kolumna, musiała być wmożona czujność zarówno ze strony SS-manów jak i Niemców cywilnych. Postanowiliśmy, że gdybyśmy kogoś spotkali to nie przyznamy się że jesteśmy ze Stutthofu. W ten sposób dostaliśmy się do lasu, gdzie trochę odpoczęliśmy, bo przedtem przedostając się przez jakiś rów, czy też drogę polną jakoś niżej położoną, wpadł w śnieg do samej szyi Wacek Lewandowski. My z Olkiem jakoś przeszliśmy bokiem, a Wacek wpadł w ten śnieg i nie mógł się wydostać. Gdy zorientowaliśmy się że on sam sobie

nie da rady, bo to nerwy, strach i opadł zupełnie z sił, to zdjęliśmy te ręczniki, związaliśmy jakby w jeden sznur, dowiązaliśmy jeszcze paski i jeden koniec rzuciliśmy Lewandowskiemu, ja trzymałem drugi koniec, a Darmochwał jedną ręką trzymał się drzewa a drugą podał mnie i jakoś w ten sposób powolutku wyciągnęliśmy Wacka z tego śniegu. Jak wydostał się z tego śniegu to był całkowicie wyczerpany i fizycznie i nerwowo, załamał się i chciał zrezygnować z dalszej ucieczki, bo nie miał już zupełnie sił. Przekonaliśmy go jakoś że musimy wiać jak najdalej, od tej trasy się oderwać. Po krótkim czasie przyszedł do siebie, wtedy zabraliśmy jego bagaż i jakoś dobiliśmy do lasku. Tam odpoczywaliśmy pewno pół godziny, bo wszyscy trzej byliśmy zmęczeni i zdenerwowani. Po tym krótkim odpoczynku poszliśmy dalej. Dochodząc do głównej szosy, jak dale się orjentuję, z Pruszcza do Gdańska, w wiosce, której nazwy też nie znam, napotkaliśmy dwóch żołnierzy niemieckich, prawdopodobnie na posterunku, jakiego schupo czy coś w tym rodzaju. Wtedy Lewandowski wyciągnął rękę w górę krzyknął "Heil Hitler", Olek też, i tym niemcom wydało się, że to ktoś z ich grona, więc opuścili karabiny, bo już mieli je zwrócone w naszą stronę, my udając spokój przeszliśmy koło nich. Nie zatrzymali nas na szczęście bo poprzednio postanowiliśmy, że darmo życia nie oddamy, każdy z nas miał w rękawie nóż i byliśmy przygotowani że będziemy się bronić. Ale nie zaistniała taka potrzeba. Gdy doszliśmy do tej głównej drogi z Pruszcza do Gdańska zaczęło już powolutku świtać. Zobaczyliśmy platformę konną, która jechała w stronę Gdańska, więc Lewandowski po niemiecku zaszwargotał czy ten furman nie zabrałby nas do Gdańska. Zgodził się, więc wiele nie namyślając się usiedliśmy na tej platformie i tak wjechaliśmy do Gdańska. Przed Gdańskiem co kilkadziesiąt metrów stały pa-

posterunki - zatrzymywały wszystkich pieszych, którzy wcho-
dzili lub wychodzili z miasta. Nas nie zatrzymywali, bo wy-
glądaliśmy na tej furze jak ładowacze-robotnicy i w ten spo-
sób dostaliśmy się do środka miasta. Było już prawie widno,
ludzie szli do roboty. Weszliśmy we trzech do klatki schodo-
wej wskazanej przez Lewandowskiego i on poszedł na górę zoba-
czyć czy jego matka jest, bo matka jego mieszkała nie u sie-
bie ale u krewnych czy znajomych. My dwaj nie mieliśmy czekać,
aż wyjdzie kobieta z jednym lub dwoma wiadrami w ręku i kiw-
nie nam głową. To będzie znak że trafiliśmy dobrze, wtedy ma-
ryza nią iść, bo ona wskaże nam drogę. Staliśmy tam może 15,
może 20 minut, trudno powiedzieć jak długo to było, bo każda
sekunda liczyła się na godziny a nawet na dni. Ludzie chodzi-
li w jedną i drugą stronę, a my, uciekinierzy, poprostu
drżeliśmy z przerażenia. Durmochwał już nawet zaczął wątpić
czy Wacek zechce nam pomóc, może już się ulotnił, ale odpo-
wiedziałem mu że na tyle co ja Wacka znam to on tego nie zro-
biłby, że pewno coś tam jeszcze nie jest załatwione i dlate-
go musimy czekać. I rzeczywiście, za parę dalszych minut po
tej naszej rozmowie, wyszła kobieta z wiadrami, przechodząc
kiwnęła nam głową, zawróciła i poszła na górę, a my za nią.
W czasie tego czekania, gdy przechodzili ludzie to udawalis-
my że coś poprawiamy sobie, tak jakbyśmy wstąpili na chwilę
coś poprawić sobie przy bucie. Weszliśmy do mieszkania. Były
tam dwie starsze panie, jedna z nich to była matka Lewandow-
skiego Wacka. Były przestraszone, przerażone, ale przytuliły
nas jak mogły. Tam było bardzo ciasne mieszkanie, a wnim 2
rodziny, więc nie było możliwości żebyśmy tam dłużej zostali,
przy ich najlepszych chęciach nie było możliwości nas tam za-
trzymać. Do wieczora jednak zatrzymali nas. Wyglądaliśmy stras-
nie, brudni, nieogoleni, oblodzeni, czarni no i wygłod-
nieli. Pierwsza czynność to było umyć się, ogolić. Dali nam

coś ciepłego do zjedzenia i pozwolili nam spać. Wieczorem, po naradzie postanowiliśmy, że Wacek zostanie a my dwaj z Darmochwałem opuścimy ten dom. Była tylko kwestia w jaki sposób się wydostać i gdzie pójść. Uradziliśmy że syn tej pani, znajomej czy krewniej Wacka, wyjdzie na dworzec i kupi nam bilety do Gdyni, wróci, a wtedy my pójdziemy za nim na odległość wzroku, bo nie znaliśmy Gdańska. Zachowaliśmy tę ostrożność żeby nie narazić tego człowieka na śmierć gdyby nas złapali, bo widano że w takim wypadku czekałaby nas śmierć. Olek Darmochwał był już taki wystraszony, że wogóle nie chciał się ruszać, mówił że woli żeby go zabili byle znowu nie przechodzić tego strachu. A jednak trzeba było się ruszyć więc jakoś na przekumaczyłem i poszliśmy. Na dworcu wszędzie ciemno, bo obowiązywał verdunklung. Wieczór, światła żadnych nie było ani na stacji, ani w pociągu, nikt nie rozmawiał, wszystko odbywało się bezszmerowo, po cichutku. Wsiadliśmy w pociąg i pojechaliśmy do Gdyni, której żaden z nas nie znał, języka niemieckiego też nie znaliśmy, ale chcieliśmy dostać się do Eksau, do Kczawa, bo tam mieszkali rodzice kolegi obywatelskiego Matyszkiewicza, na którego ja znałem dobrze i wiedziałem od niego że tam mieszkają jego rodzice, mają jakiś majątek, więc liczyliśmy że na wsi łatwiej będzie się przechować. Dojeżdżając do Gdyni usłyszeliśmy już polską nową i podsłuchaliśmy, że Toruń zajęty i że tam ludzie byli na okopach, że tam wszystko rozbiło się, bo w Toruniu są już Rosjanie. Postanowiliśmy że będziemy udawać, że my właśnie z pod Torunia wracamy, żeby jakoś zmylić Niemców, że nie jesteśmy ze Stutthofu. Ubrania mieliśmy cywilne, ale krzyże jeszcze były widoczne na plecach i na spodniach. W Gdyni wysiedliśmy z pociągu na dworcu głównym i usłyszałem jak jakaś pani odezwała się do kogoś po polsku. W jednej chwili decyzja. Podszedłem do niej, wzięłem ją pod rękę i szepnąłem do ucha "w pani rę-

ku nasze życie". Ona od razu zorientowała się - nie odezwała się nic, tylko ręką dała mi znak że rozumie. Wtedy podszedł z drugiej strony kolega Darmochwał, wziął ją też pod rękę i wyszliśmy tak we trójkę tunelem na tę stronę, gdzie dziś ul. Czerwonych Kosynierów i poszliśmy dalej tak razem przez Grubówek do Chyloni. Mijaliśmy dużo posterunków, które zatrzymywały wszystkich mężczyzn, ale kobietom dali spokój. Nas nikt nie zatrzymał, bo ta pani prowadząc nas cały czas coś szwargotała po niemiecku, my tam niby odpowiadaliśmy "jawohl, jawohl jawohl", ale wcale nie wiedzieliśmy co ona mówi. W ten sposób przedostaliśmy się do Chyloni. Tam poszliśmy w boczną ulicę, Kartuską, zdaje się nr. 57 i wtedy ta pani powiedziała "tu mieszkają moi rodzice". Poszła naprzód sprawdzić, czy w domu nie ma jakichś Niemców, a my mieliśmy czekać aż ona wyjdzie i lekko zagwiżdże to będzie znaczyło że śmiało możemy wejść. Przeczywiście za parę chwil wyszła i mogliśmy wejść do mieszkania. Tam prędko zrzuciliśmy marynarki, żeby nie zauważyli krzyżów - zostaliśmy tylko w koszulach, no i odstawiliśmy tych uciekających z pod Torunia, męczenników "dla Vaterlandu". To była pani Kobakowska, młoda osoba, mogła mieć 18 - 20 lat, jej powiedzieliśmy prawdę o sobie i dowiedzieliśmy się że ona była łączniczką z partyzantki i stąd znała różne chwytły. Rodzice jej nie wiedzieli prawdy o nas. Umyliśmy się, dali nam jeść, a matka pani Kobakowskiej martwiła się że nie ma wolnego pokoju, a jedyny wolny jest zimny. Ubolewała nad tym, a nie wiedziała że my nawet w psiej budzie byłibyśmy chętnie spali, bo co w naszej sytuacji znaczył zimny pokój, ale nie mówiliśmy bo nie chcieliśmy ich przerazić. Następnego ranka, po śniadaniu, dali nam trąchę chleba na drogę i pani Kobakowska wyprowadziła nas przez lasy w stronę Koczewa. Kiedy widać już było Koczewo pożegnaliśmy się z nią i poszliśmy dalej sami. Niedaleko Koczewa cywile odwalali śnieg, a naprzeciw-

ko jechała żandarmeria polowa i ci nas zatrzymali. Był tam między nimi jeden oficer, który umiał po polsku, a my przecież mówiliśmy tylko po polsku. Zapytali nas skąd jesteśmy. Opowiedzieliśmy im tę bajeczkę o Toruniu, że pracowaliśmy przy okopach i jak radzieckie czołgi najechały to uciekliśmy razem z wojskiem i że teraz chcemy zatrzymać się gdzieś na wsi. Ten oficer nam uwierzył i kazał zgłosić się do sołtysa, czy jakiegos tam starszego wioski, aby nas do jakiegos gospodarza przydzielili. Tym razem dobrze nam się udało, ale nie na długo, bo gdy doszliśmy jakies 100 m od glownej drogi, która prowadzi z Pruszcza na Kartusy przez Rządowo, to uslyszeliśmy 3 strzały i gdy doszliśmy do drogi to zobaczyliśmy szeroki pas wyścielonego śniegu. Domyślaliśmy się że to przechodziła kolumna naszych Stutthowiaków, i rzeczywiście tak było. Za parę minut z za zakrętu wyjechały sanie, na których jechały 2 SS-parki i 2 SS-osnowy 9 podoficer i szeregowy i to był ten właśnie w skórzanej czapce który siedzi z tyłu naszej kolumny i tak strzelał do ludzi i dalej okazało się, że on przed chwilą zabił takich jak my i na tym zakręcie zstrzelili. Jak nas zobaczyli to zaraz "halt", wskoczył z sani i zaczął nas wypytywać: co, skąd i tak dalej. Jak mogliśmy takstękaliśmy znowu tę samą piosenkę o Toruniu. Kobiety te odjechały dalej a z san, wskoczył i ten podoficer i zaczęli nas badać. Mieliśmy znowu szczęście w tym naszym nieszczęściu, bo mnie kazali rozpiąć marynarkę, chcieli zobaczyć czy koszula obozowa, ale ja akurat na dzień przed ewakuacją dostałem od niewiadomego cywila koszulę, a znowu u Darmochwała szukali w chlebaku, a on tam miał, z ostatniej paczki otrzymanej przed ewakuacją, skarpetki wełniane ręcznie robione i domowy chleb. Gdyby zajrzeli do tego chlebaka, to choć niewiele tam zostało ale jednak znaleliby obozowe jedzenie, a Olek miał koszulę obozową. Ten podoficer zabrał mi skarpetki i poszedł naprzód, a ten w skó-

rzanej czapce kazał nam stanąć pod drzewem, Darmochwałowi ponadto kazał rozłożyć ręce i już podnosił karabin, odbiegnieńczył go i w tym właśnie momencie ten podoficer powiedział "halt". I znowu nadzieja zaświtała. Ten w skórzanej czapce zapytał co ma robić, na co ten podoficer odpowiadał że ma nas zostawić. No i razem odeszli do san. Poraż zastanowienie - co robić dalej? pójdziemy naprzód to napotkamy kolumnę, możemy spotkać SS-owców, którzy nas napewno poznają, albo któryś z kolegów mógłby odezwać się do nas i w ten sposób nas zdemaskować. Cofnąć się w tył - też nie można bo tam ci SS-ki zauważą nas i wtedy jako podejrzanych napewno zastrzelili by nas. Ostatecznie powolutku, udając zmęczonych, poszliśmy do wioski. Po prawej stronie na początku tego Kczewa /wtedy nazywało się Eksan/ jest kuznia. Weszliśmy tam i dowiedzieliśmy się, że w wiosce jest masa hitlerowców bo tu z obozu prowadzili. Tymczasem zrobił się już wieczór. Weszliśmy do jednego domu po lewej stronie, tam znowu zobaczyliśmy pełno uciekinierów. Znowu odjeżdżamy marynarki, ja byłem w cywilnej koszuli, a Darmochwał w swetrze. W pewnym momencie jakoś wywołałem gospodynię do pokoju i tam powiedziałem jej że poszukuję Matyjaszkiewicza, że jestem jego kolegą, że on był plutonowym podchorążym kawalerii /żeby wiedziała, że ja go znam/, że on był z nami w obozie i razem ewakuowany. Ona zrozumiała że ja go szukam i ogromnie się przestraszyła. Ja jej powiedziałem że uciekliśmy z obozu i chcemy dostać się do rodziców Matyjaszkiewicza i żeby nas z nimi skontaktowała. To była Kaszubka^{Vodka}-rolna Przynęła nam swego pomocnika, robotnika gospodarskiego, łoleka, żeby on nam pomógł. Nazwiska tej kobiety nie znam, choć byłem u niej po wojnie 2 razy, żeby podziękować za pomoc. Temu robotnikowi powtórzyłem wszystko. Odpowiedział, że tu nie mogą nas zatrzymać bo kręci się wielu SS-ów i że w wiosce

stoją Stutthowicy, ale poradził nam iść na wybudowanie. Wy-
prowadził nas z mieszkania, przeprowadził przez główną dro-
gę, na boczną, wskazał nam kierunek i poszliśmy dalej. Prze-
szliśmy przez zamrożone jezioro, podczołgaliśmy się pod
górzę i usłyszeliśmy szczekanie psów. Kierując się słuchem
doszliśmy do tych wybudowań. Świeciło się małe światełko
, zapukaliśmy do okna, wpuścili nas do mieszkania. Ci ludzie
nazywali się Paczoszkowie. Jan Paczoszka z żoną i czworo małych
dzieci /od 2 do 6-tnu lat/ które już spały. Nie odmówili nam
przenocowania na strychu. Różno rano, gdzieś koło 10ej lub
11-tej godziny przyszła do nas gospodyni, przyniosła nam
chleba z masłem, kawy i zostaliśmy na strychu do zmierzchu.
Wtedy wrócił Paczoszka z pracy z wioski i zabrał nas na dół
do mieszkania, a przedtem puścił psa z łańcucha, dla bezpie-
czeństwa. Powiedział nam, że w wiosce pełno ludzi ze Stutt-
hofu, że są w kościele, ale nie wiedział jeszcze wtedy co my
za jedni. Dopiero wieczorem po kolacji chcieliśmy się unąć,
rozebraliśmy się i oni zobaczyli u mnie na pierśi medalik,
który dała mi matka gdy wychodziłem na wojnę. Wtedy dopiero
wytyli się podejrzeli, że jesteśmy jakimiś szpiegami, którzy
poszukują uciekinierów, bo po tym medaliku poznali że my Po-
lacy. Wtedy otworzyli nam swoje serca, a my powiedzieliśmy
że jesteśmy uciekinierami z takiej właśnie kolumny Stutthof-
kiej i że się ukrywamy. Od tego czasu całe dnie byliśmy w
tym sianie, wieczorem schodziliśmy na dół, a oni pilnowali,
żeby ktoś nie przyszedł i dawali nam ciepłą strawę. Byliśmy
godzinę, dwie na dole i znowu na strych w sianie. I tak trwa-
ło przeszło 5 tygodni. Żyliśmy na strychu, a ci ludzie nara-
żając swoje życie ukrywali nas, karmili, a nawet słyszeliśmy
jak odprawiali różne modlitwy i różaniec w naszej intencji,
żebyśmy jakoś przetrwali. W dzień wyglądaliśmy przez szparę,
słyszeliśmy zbliżający się front, ale czas dłużył się strasz-

nie. Kiedyś mówiliśmy o tej kobiecie, że się tak wystraszyła gdy zapytałem o Matyszkiewicza i pokazało się, że ona dlatego tak się przestraszyła, bo noc przed nami był u niej Nikodem Matyszkiewicz i ona myślała, że my jego szukamy. Faczosa powiedział nam wtedy, że Matyszkiewicz ukrywa się u niejakiś Grzeniów, niedaleko na wybudowania, skontaktował nas ze sobą i nocami przychodziliśmy do siebie, naturalnie jak była zawieja śnieżna, tak że ślady zaraz zasypywało. Ponadto skontaktował nas z oficerem rosyjskim, który ukrywał się w ziemianyn przez siebie bunkrze. On był na robotach w tej wiosce, latem zrobił sobie z gliny bunkier i jesienią uciekł od swego gospodarza i ukrywał się w tym bunkrze. Wywił go ten faczosa, nosił mu jedzenie, a gdy śnieg nie padał, to w bunkrze było naszykowane trochę grochu i suchego chleba, na wypadek jak nie mogli dojść do niego. W tym czasie były często jakieś oblężenia, a jak był taki "diabol" to my, żeby nie naratać tych ludzi, po poznananiu się z tym oficerem, poszliśmy z tym oficerem do bunkra, ten bunkier to była taka w glebie zrobiona nora, która miała 3 stoki, wejście przez jakiś dziurę przykrytą deską, na której była darnina i krzączek przechodził przez tę deskę. Jak weszliśmy do bunkra i przykucyliśmy się to wyglądało, że to prawdziwy krzączek. Do oddychania była rura 2-calowa przeprowadzona pod drzewo, przez którą przechodziło powietrze. Bunkier był zrobiony na jedną osobę, był umocniony gałęzmi dębowymi, było tam również legowisko, na nogi wygrabana w glinie dziura. Wysokość była taka, że można było stać. W pewnym czasie było nas tam pięciu, było strasznie duszne, bo powietrze zbyt dużą nie dostawało się przez tę rurę. Był w bunkrze ten oficer rosyjski, nas dwóch, Matyszkiewicz i jeszcze jeden, szwajcar od krow dojenia, on uciekł z wioski bo chcieli go w ostatniej chwili wziąć do wojska, no i musiał się ukrywać. Każdy, który wchodził tam był

świadom tego, że w razie gdyby nas nakryli, to była przygotowana banka z ropą i zapalki, więc gdyby nas nakryli, to żeby nie dać się zamordować, to mieliśmy zapalić tę ropę i sami mieliśmy dobrowolnie zadusić się. W czasie gdy byliśmy w bunkrze, to brat naszego gospodarza Franciszek Paczoska wystarał się nam "lewe" papiery i znova w nocy poszliśmy do Paczosków. Byłem nieogolony, zmoczony, ubranie mokre, bo w tym bunkrze tak się żyło, a ja ostatecznie byłem w bunkrze, podczas gdy inni wyszli, więc po powrocie do Paczoszków unyłem się, powiesiłem ubranie do wysuszenia i poszedłem spać na siano. Ten oficer został w bunkrze - nazwiska jego nie wiem, mówił nam że był kapelmistrzem w orkiestrze, dostał się do niewoli, potem przenieśli go na roboty do tej wioski i potem zrobił ten bunkier i uciekł. Miał w bunkrze skrypcę. Nawiązał kontakt z Paczoskami i oni go przez cały czas od lata żywili. W wiosce znają jego nazwisko, bo tam pracował. Postanowiono było że będziemy przetrzynani do Sopotu przez brata naszego gospodarza, Franciszka, który wykombinował nam papiery. Ja miałem być pierwszy, drugi Darnochwał a trzeci Nikuś, bo tak nazywaliśmy Katuszkiewicza. Na drugi dzień rano Paczoska z Darnochwałem zabili cielaka "na drodze", a tu naxax obława prowadzona przez SD. Jakoś w pierwszym momencie nas ominęli, poszli do następnego gospodarstwa. Paczoska ich zobaczył przykryli zabitego cielaka gnojem i zawołali do nas że jest obława. Szybko zeskoczyłem do mieszkania, ubrałem spodnie i usiadłem, wziąłem dziecko na kolana - udawałem że jestem w bliskich stosunkach z tym donem. W tym czasie przyszli ci SD z obławy. Podpadło im że tu coś za dużo mężczyzn i te młodych w wicku wojskowym - było nas przecież czterech. Jan Paczoska chwycił worek i poszedł do wioski, Franciszek miał zaświadczenie od lekarza że jest chory, to go zostawili w spokoju, a nas dwóch zabrali ze sobą do następnej wioski i tam znova ob-

ława. Jednego SS-mana zostawili żeby nas pilnował. To był Ukraińiec. Zobaczyły to 2 kobiety-Bosjanki, zagadały go i ściągnęły do mieszkania, żeby nam umożliwić ucieczkę. Darmochwał chciał, żebyśmy skorzystali z okazji, ale ja nie zgodziłem się na to, bo przecież wiedzieli skąd nas wzięli, to wróciliby do Paczozków i wystrzelali całą rodzinę. Nie mogliśmy ratować swego życia, kosztem świadomego narażenia tych którzy i nam i innym pomagali. Zgodził się ze mną i zostaliśmy. Widzieli nas ludzie z wioski, ci u których byliśmy w pierwszych momentach i ci z kuźni także. Nikogo więcej tam w wiosce wtedy nie złapali. Zaprowadzili nas do Przodkowa i wpakowali do budki-remizy strażackiej. Przez dalsze dwa dni złowili jeszcze więcej, tak że było nas tam chyba 28 osób. Jeść nam nie dawali. W niedzielę, akurat jak ludzie wychodzili z kościoła po "gorzkich żalach", wprowadzili nas z tej remizy. Czekał już samochód ciężarowy, na którym było pełno SS-manów z karabinami. W sobotę robili już przesłuchania polowe. Przesłuchiwali najpierw mnie, i to przed tą remizą. Mówiłem bardzo głośno. Pytał mnie podoficer i przeglądając moje rzeczy znalazł ten fałszywy dokument i pamiątkę, którą dostałem od Cześka Naruszewicza - wizerunek Boski z ciernią, na tym wizerunku było napisane "Ecce homo"-Oto człowiek. Okazało się że ten podoficer to był katolik z Westfalii. Zapytał czy jestem katolikiem, potwierdziłem że tak, wtedy zapytał skąd pochodzę, powiedziałem że "Leslau", zresztą tę piosenkę to już na pamięć umiałem. Olek słyszał co ja mówiłem to później powtarzał to samo. Mam wrażenie że było moim szczęściem że trafiłem właśnie na takiego człowieka, na katolika i jego jakoś sumienie ruszyło. No więc jak następnego dnia wyprowadzili nas z tej remizy, to czterech z tej grupy odstawili na bok. To byli Darmochwał, ja, jeden starszy gospodarz, u którego znaleźli karabin, a jego syn uciekł z wojska.

ska i jakiś rządcą czy agronom, którego wzięli za zabicie
świniaka. Wtedy Olek powiedział "no Roman, to już będzie nasz
nasz koniec". Wszystko tak wyglądało, ale ja miałem silną
wiarę, że i to przeżyjemy. Resztę to znaczy 24 ludzi załado-
wali na samochód i odjechali, a nas czterech zostawili. Rus-
cili nas wolno. Prędko zniknęliśmy. Jak szliśmy przez wioskę
koło kościoła, cmentarza, to wybiegali ludzie z wielką radoś-
cią, całowali nas, poprostu po rękach, po kolanach, bo wszyscy
cy byli przekonani, że nas rozstrzelają. Tak bardzo cieszyli
się że wyszliśmy cało z tych rąk niemieckich. - - - - -

Do kilku dniach rozpoczęliśmy dalszą wędrówkę, do
Sopotu. Wtedy nie było już widać tych krzyżów obozowych, sta-
raliśmy się przez cały czas je zmywać, no i w tym bunkrze
wszystko się zatarło. Włosy już nam porządnie odrosły, by-
liśmy odkarmieni i już podobni do ludzi, zawdzięczając to
Iaczoszkom, bo to byli bardzo ofiarni ludzie i pomagali nam
jak tylko mogli. Według planu przewiózł mnie pierwszego -
Franciszek Iaczoszka w słomie na furze konnej do Sopotu, jak
dziś pamiętam na ulicę Adolf Hitler strasse 571 - była tam
stolarnia. Tu w Sopocie przejął mnie Jan Jasiński, który był
już wcześniej o wszystkim powiadomiony. On był z Dużego Kac-
ka i miał mi w jakiś sposób pomagać. Pracował w Sopocie. - -
Tymczasem na drugi czy trzeci dzień po wywiezieniu mnie z
Koczewo zostało zajęte przez Rosjan i ani Olek Darmochwał,
ani Mikuś nie przyjechali, bo byli już wyzwoleni przez woj-
sko radzieckie, które doszło do Dużego Kacka i tam 7 czy 8
dni stali. No i ten, który o mnie wiedział i który mi począt-
kowo pomagał był odemnie odcięty. Znowu byłem skazany na łas-
kę losu. Ukrywałem się więc w tej stolarni w trumnie, bo tam
były takie wielkie trumny, chyba na trzech czy czterech nie-
boszczyków. Całe dni siedziałem więc w takiej trumnie, a w

nocy wychodziłem, zabierałem psu, takiemu dużemu wilczurowi, jedzenie. Część zjadałem od razu póki było ciepło, a resztę zabierałem w taki baniaczek na później. Jedłem dwa razy dziennie. Jednego dnia przypilnowałem jak do chorej Niemki, mieszkającej w podwórzu przychodziła siostra zakonna, jakoś wyznałem że to jest Polka, i jak wracała od tej choroby to za ryzykowałem i wyszedłem naprzeciwko. Powiedziałem: "chcę z siostrą rozmawiać". Kiwnęła ręką że rozumie i że bym poszedł za nią. Poszedłem zachowując pewną odległość, aż do mieszkania tych sióstr - one mieściły się tam, gdzie dziś jest w Sopocie przychodnia specjalistyczna, okulistyczna i inne, to było już pewnie po 5 dniach mego ukrywania się w tych trumnach. Wpuściły mnie te siostry do siebie, dały mi jeść, pozwoliły uzyć się, ogolić. Powiedziałem im o sobie i to że jestem uciekinierem ze Stutthofu. Wypytywały mnie czy to prawda o tych mordach w obozie i wogóle o wszystko. O obozie im opowiedziałem, ale co się działo gdzie indziej to nie wiedziałem, bo byłem przecież "dobry" 5 lat za drutami. Dały mi przed wyjściem chleba, kartek żywnościowych, z których nawiasem mówiąc, nie miałem możliwości skorzystać. Ta moja samotność w Sopocie trwała chyba siedem czy osiem dni, nie licząc tych dni kiedy opiekował się mną Jasinski, i po tym czasie weszło wojsko radzieckie. Najpierw weszły oddziały do Kolibek i z przerwali połączenie Niemców w Gdańsku z Gdynią. To było chyba we środę, a w czwartek było już wojsko radzieckie w Sopocie. Najpierw wkroczyły pieszce oddziały, za nimi czołgi, dwoma kolumnami. Jedni szli tą ulicą Adolf Hitler Strasse, obecnie 20 Października, a drudzy torami kolejowymi. - - - - -

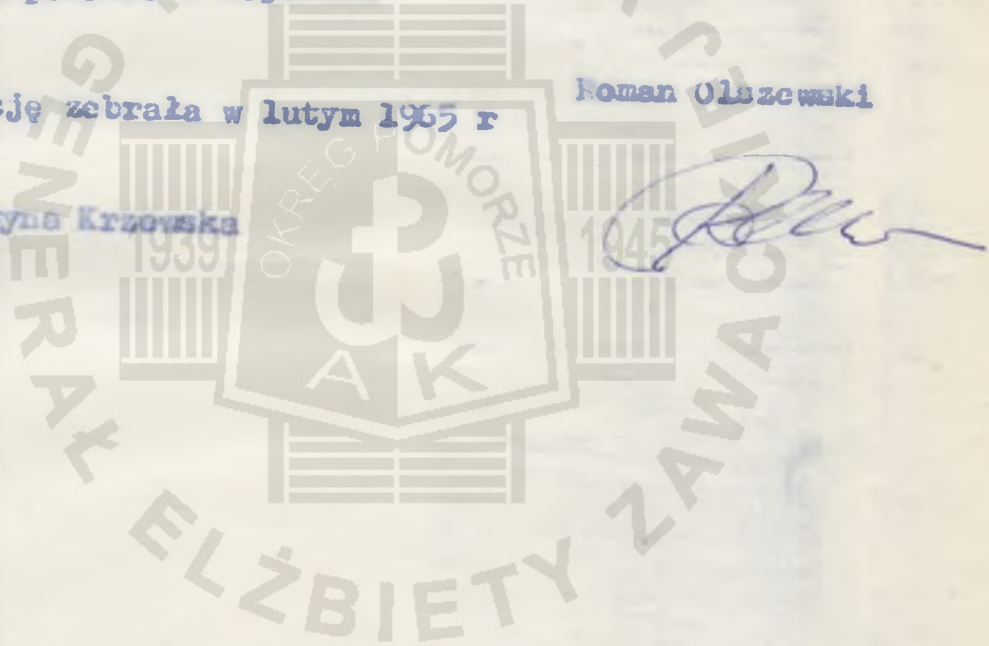
Ostatnią noc spałem już nie w tych trumnach, bo Niemcy już poprzedniego dnia uciekli w stronę Wrzeszcza, zostali tylko starcy. Sopot zajęty był bez żadnego boju, kilkanaście dni przed oswobodzeniem Gdańska. - - - - -

Na zakończenie chciałem jeszcze dodać, że jeśli chodzi o Kczewo, o wybudowanie Kczewo, to u każdego gospodarza ktoś się ukrywał - u sąsiada Paczoszków, podczas tej obławy, ten ktoś ukrywał chciał się uciekać. Niemcy puścili za nim serię i całą głowę mu przełupali - nie znałem jego nazwiska, ani numery, wiem tylko, że to był też obozowiec. Po oswobodzeniu poszedłem do Paczoszków, Darnochwała już tam nie było. Podziękowałem tym ludziom, bo przecież to im właśnie zawdzięczałem życie. Byłem jeszcze u nich dwa lata temu, ale oni obecnie mieszkają w Redzie. Widziałem się również po wojnie raz jeden z panią Kobakowską w Wejherowie, chociaż ona mieszkała podobno w Sopocie.

Relację zebrała w lutym 1965 r

Roman Olszewski

Krzyszyna Krzowska



Wyjątki z listu b. więźni a obozu
Stutt hof opisujące ewakuację obozu
bar ksu i imi. - Waniorek Bolesław
nr oboz. 6059 5.88-92



Waniorek Bolesław
6.054

inż. Bolesław Weniorok zamieszkały obecnie w Szwecji

Jönköping 24.III.53 r.

..... Ze Statthofu wywieźli nas do Wisłoujścia. Tam czekaliśmy cały dzień w deszczu na otwartym polu. Wieczorem, przy pomocy więźniów Niemców, wystrzelali chore Żydówki, wrzucając je do dołów po bombach. W nocy kazali nam załadować naszych ciężko chorych do barki rzecznej, przyczym wrzucali ich do luk z wysokości 3 m. Nie chcieliśmy wpięrow wejść na tę barkę. Wreszcie zaczęli bić i strzelać. Dr. Łuczak, kilku Norwegów i ja uplastowaliśmy się na pokładzie. Co się dzieło wewnątrz trudno opisać, okropne jęki chorych w gorącym leżącej kilku-ma warstwach na sobie. Holownik wysięgnął nas na wodę odczepił i zostawił nas swemu losowi. Wtedy tylko czekałem, kiedy nas zatopią. Wyglądało to dość tragicznie. Dopiero po godzinie przyszedł holownik marynarki wojennej, który zabrał nas do Hel. Tam nie mogłem poznać portu wojennego. Wszystko było zbombardowane i noc okrętów sterczało ponad powierzchnią wody. Spędzili nas do luku. Wieczorem zbrali konwój i poięgnęli w stronę wyspy Bornholm. W nocy wyęłżkiem z kilku znajomymi na pokład, by mieć łódec. Mieliśmy szczęście, pogoda była ładna i nie było wiatru ani fali, co było naszym ratunkiem, inaczej byłaby nasza krypa się przewięcia. Poza tym w jednej małej łacie usadowili się SS i to osłodziło naszą barkę od zatopienia. Gdzie tylko zawitaliśmy: Bornholm, Sassnitz, Wa....., Szwecja, Kilonia, wszędzie nie pozwolili SSom wysięść, gdyż obawiali się tyfusu. Tak jechaliśmy 9 dni i nocy bez wody do picia na pół chlebie wydany w Statthofie jeszcze. Więźniowie Niemcy wyrzucali w nocy umarłych i ciężko chorych poza burtę. To było okropno. W łacie, gdzie myśmy byli Niemcy byli bardzo okratni wobec współwięźniów i kopiąc robili sobie miejsce do leżenia. Myśmy mogli tylko siedzieć na piętach lub tobożkach. Im bliżej do zachodu, tym woda była więcej szona i nie można się było myć czy golić. Na redzie w Kilonii 4 maja 45 zauważyłem, że wszystkie okręty i statki handlowe miały flagi opuszczone na pół maszta. Wtedy zrozumiałem, że Hitler nie żyje, chociaż Niemcy nie chcieli tego przyznać. Wreszcie 6 maja sawinęliśmy /po przejściu kilku bombardowań nocnych w Kilonji/, do Flensburga. Dobiliśmy do brzoza i zaczępnęliśmy wody oczyszczonej z kanałów kanalizacyjnych, smakowała jak nektar lub szampan. Na drugi dzień / 7 maja / usięścili nas na redzie Flensburga na statku "Rheinfels". Był to olbrzymi statek około 15000 ton pę, budo-

wany na przewóz lokomotyw, któryś w czasie wojny Niemcy przewo-
zili. Tam zbrali około 4 tys. więźniów z różnych lagrów jak
Belsen, Neuengamme i różnych "kommando". Tam dostaliśmy trochę
ciepłego jedzenia. Wieczorem podstępnie radła i dowiedzieli-
my się o zakończeniu wojny. Dnia 9 maja witaliśmy angielskie
czołgi i wozy pancerne posuwające się wzdłuż wybrzeża duńskiego.
Wtedy ś.p. Wagner i ja poszliśmy do kapitana prosząc o łódź, któ-
rą moglibyśmy wiozować do komandanta angielskiego oznajmiając
mu o tym, że tu znajduje się 4 tysiące więźniów z obozów koncen-
tracyjnych. Kapitan statku odepchnął nas do SS-dowódcy. Wiedzieli-
śmy to w tego by nas czekało. Wtedy SS-i już posrywali swoje od-
znaki SS i nawet przebierali się w cywilne ubrania. W południe
zjawiła się patrol marynarzy niemieckich i zaczęli sakłować za-
dunki celem wysadzenia statku w powietrze. Przeciw nam skierowa-
li karabiny maszynowe. Po południu przyjechał pewien lekarz woj-
skowy z innym oficerem i kazali marynarcom zabrać swoje manatki
i wysiedść się. Przed wieczorem zawezwał kapitan statku po 1 prze-
stawiciela każdej narodowości więźniów. Poszliśmy znów z Wagnerem.
Tam był ten lekarz wojskowy oraz pewien młody mężczyzna,
którego przedstawiono jako reprezentanta szwedzkiego konsulatu
w Flensburgu. Okazał nam, że dnia następnego mamy pojechać do
Szwecji dzięki szwedzkiemu Czerwonemu Krzyżowi. Mówili, że przy-
dzie tu mniejszy statek, który zabierze wszystkich więźniów -
poza Niemcami i Austriakami. Wtedy spytałem się, czy jesteśmy
już wolni, bo to było przecież dla nas najważniejsze. Wtedy otr-
zymałem wymijającą odpowiedź, że co prawda popłyniemy pod "krak"
"opieką niemieckiej policji"/Niemieckie policja a SS było przeciw
to samo/. Nie wierzyliśmy w tą bajkę. Za dużo już takich słysze-
liśmy w czasie 5 1/2 lat. Jednak - jak to bywało z każdą "parolą"
w Statthofie, że wiązało się choćby z najmniejprawdopodobną - tro-
chę nadziei. Następnego ranka o godz. 7ej przyemował motorowiec
m/s "Homburg" pod flagą Czerwonego Krzyża lecz z szaloną policją
niemiecką. Statek był mały w stoczni do "naszego" Rheinfel-
sa. Wreszcie po groźbach i namowach zaczęli pierwsi schodzić.
Przenieśliśmy naszych chorych i o godz. 12-iej dnia 10 maja 1945
opadaliśmy Flensburg. Dla chorych wynoszoneo łukę słomą i
przykryto brezentem. Otrzymaliśmy trochę dobrego jedzenia. Wte-
dy to chorował ciężko na tyfus płamisty szargamistrz ze Starogard
który był z nami od początku w Statthofie /niestety zapomnieli-
śmy jego nazwisko - pamięć moja popsuła się strasznie w Statthofie/.
W czasie przejazdu szedł przed nami niemiecki torpedowiec z urza-
dzeniem do wyławiania min. Spotykaliśmy różne małe okręty i
statki pełne niemieckich żołnierzy wracających z Norwegii i Dani
krzyżujących "Der Krieg ist aus", "Heimat....." Nie mogliśmy zapeł-

nie uwierzyć, że rzeczywiście płyniemy ku wolności. Pewnego dnia zmarł zegarmistrz, serce jego nie wytrzymało - nie było zresztą zastrzyków. Zameldowaliśmy o tym kapitanowi statku. Ten polecił zwłoki owinać linami i przymocować do nich ciężar /żłom/ i powoli na desce spuścić zwłoki do morza. Gdy przygotowania były gotowe, kapitan zatrzymał maszyny, zaszalutował flagę i powołał naszęliśmy spuścić zwłoki naszego towarzysza do morza. Było to coś niesłychanego. Tak uroczyście to się odbyło. I to dla jednego trupa, kiedy myśmy byli przyzwyczajeni widzieć setki trupów leżących wzdłuż baraków, na których nikt nie zwracał uwagi, zwłoki oznaczono numerem i wyrzucano do krematorium lub później nawet palono na stosach, kiedy krematorium nie mogło nadążyć a ostentacyjnie dobijano ciężko chorych i wyrzucano za burtę poza burtę? To było nadzwyczajne. Powoli zaczęto prześwitywać pamięć, kiedyś sławo zamkniętej o "majestacie śmierci"! Wtedy powiedziałem, może my jednak jesteśmy jedziemy ku wolności? Drugiego ranka natrafiliśmy na mgłę i wsiadaliśmy czekać. Po kilku godzinach mgła opadła i wkrótce znaleźliśmy się na wodach terytorialnych szwedzkich. Torpedowice już poprzednio odpłynęły. Do nas przyjechała szalupa szwedzkiej marynarki wojennej, rozbrzmiała z krzykiem policje niemieckiej. Po pewnej chwili przyleciał helikopter jako pierwsze pozdrowienie z Malmö, później komisja lekarska. Około godz. 17-iej wjechaliśmy do portu w Malmö. Domy były czyste, nie znajdowaliśmy śladu bombardowań. Na statku naszym znajdowali się Polacy i dyrygent Czech z orkiestry KL Neugamme z instrumentami. To też wjeżdżaliśmy z muzyką. Ludzie na brzegu nie nie rozumieli. Natomiast my: wjeżdżaliśmy zasieki z drutu kolczastego i żołnierzy z nasadzonymi na broń bagnietami. Czy to nowy obóz? Polacy znajdujący się na nabrzeżu uspokoiłi nas: "Te są dobrzy ludzie". Podzielono nas na narodowości i oddzielnie umieszczono nas Polaków wpieryw na przystani jachtklubu w porcie. Tam otrzymaliśmy szklankę kakao i dwa kawałki chleba. Później autobusami zawieźli nas do żaźni. Tam przed lekarza, który wziął na pamiątkę mój numer obozowy /6059/. Przy rozbioreniu były same ładne młode dziewczynki, które gwałtem, mimo protestów ścigały z brudnych i osr.. ciała "gacie" i inną bielizną i sukienki nagich wpaszczały pod prysznic. Wtedy to powiedziałem, że te młode śliczne dziewczęta szwedzkie na przywitaniu to dobry symbol. Napewno będziemy mieć tu dobrze. Po prysznicu z którego nie chcieliśmy wyjść, przechodziliśmy przez korytarz, gdzie stała ładna panna /żenów/ z dużą strzykawką i kazała nam pokazać jej tylną część ciała /trzeba było się dobrze wypiąć i pokazać jej "kuper", by mogła dobrze opylić nas proszkiem DDT /przeciw wszom/. Wszystkie rzeczy nam wpieryw zabrano i dali nam

dryliczy wojskowe i bieliznę nową i wysłali do szkoły, gdzie spa-
 liśmy na materacach i bieliźnie z papieru. Na drugi dzień wiele
 ludzi wrzuciło torebki z przyborami toaletowymi, owocem i ciast-
 tkami przez płot, gdyż byliśmy w kwarantannie. Wieczorem po kon-
 cercie naszej orkiestry - usiedliśmy pod ogrodem i zaczęliśmy
 śpiewać różne pieśni i piosenki. Tego nie mogli Szwedzi zrozumieć:
 "Co wczoraj wydarci śmierci, dzisiaj już wesela się i śpiewają?"
 Wnet też dwie ulice okalające dziedziniec szkolny były pełne lu-
 dzi, którzy w skupieniu słuchali naszego śpiewu. Na zakończenie
 zaśpiewaliśmy "Jeszcze Polska...", a Szwedzi zaśpiewali swój pię-
 kny hymn "Du gank, du fria..." /Ty stary, ty wolny kraju/.
 Po badaniu rentgena przenieśli nas do willi Czerwonego Krzyża,
 gdzie mieliśmy wspaniale. Po dwa tygodniach wywieziono nas do
 Borås miasta o 60 tys. mieszkańców o przemysł włókienniczym, gdzie
 gdzie umieszczono nas w szkole dla dziewcząt, gdzie urządzono
 szpital dla chorych na gruźlicę. Tu leżeliśmy w salach razem z
 innymi narodowościami. Tu zmarł po kilku dniach Naruszewicz /Je-
 go brata księdza spotkałem w Rzymie później/. Opieka lekarska i
 pielęgniarska była wspaniała i b. sumienna. Wiele zawiązało się
 przyjaźni i nawet małżeństw między pacjentami i pielęgniarkami.
 W roku 1945 nie założono mi odny. Służyłem często za tłumacza i
 pomagałem w biurze szpitala. Przeprowadzono mi operację żyłaków
 i fistuły. Od 1 listopada 45 przeniesiono nas na wieś około 50km
 od Borås do małego szpitala, gdzie mieliśmy doskonale. W lutym
 1946 założono mi odnę na lewej stronie i zoperowano mi szczękę
 górną /była pełna materii/ oraz znów fistułę. 10 września 46 roku
 zacząłem pracować u architekta w Borås a 7 lipca przeniosłem się
 z moim szefem do Jönköping, miasto o 50 tys. mieszk./kolebce zapa-
 żek/, ślicznie położonym na południowym brzegu jeziora "Vattern",
 drugiego co do wielkości jeziora w Szwecji. Jezioro to jest 120 km
 długie i bardzo głębokie, głębsze od Bałtyku.....
 wzywali nas na proces przeciw b.komendantowi
 Hoppema, lekarzowi dr. Heidlowi i SS-Sehar Müllerowi Otto Knott.
 Było to w roku 1955. Wtedy pojechali do Bochum na przes: Lisik,
 Palicki, Brzeziński, Szarlej, p. Żelwska/?/ i ja. Sędzią śledczym
 był Dr. Fröge, który tu był w Sztokholmie i nas przesłuchiwał.
 Później otrzymaliśmy wezwanie w listopadzie. Okazało się, że
 wszyscy świadkowie Niemcy: m.i. Klifot, Zelonka /którzy odpowia-
 dali podobno z więzienia za nowe sprawy/ i wielu innych wycofa-
 li swoje zeznania obciążające. Norwedzy nie przyjechali. Jedynie
 my-Polacy byliśmy najważniejszymi świadkami oskarżenia. Najwięcej
 dusili Szarleja, który jako "Pfleger" widział zastrzyki usnierea-
 jące. Nim myśmy dojechali do Bochum, powiesił się Dr. Heidl po
 kilka dniach procesu. Hoppe skrył się za ciemnymi okularami.

Pracował 10 lat w Szwajcarii jako ogrodnik i wrócił do Niemiec, sądząc, że nikt go nie pozna. Również podobno zamknęli starego Knotha oraz Reddiga. Nie wiem, czy takim wytoczono proces. Sąd przysięgłych zasądził Hoppego na 5 lat więzienia i Knotha na 2 lata. Prokurator wniosł apelację do Sądu Najwyższego, który polecił przeprowadzić śledztwo jeszcze raz. Proces odbył się 13 maja 1957 również w Bochum. Byliśmy tam znów w czwórkę bez Szurlejaj p. Zalewskiej. Dużo przyjemniejszy przewodniczący sądu. Skazali Hoppego na 9 lat więzienia i 6 lat utraty praw obywatelskich i Knotha na 3 lata i 3 lata utraty praw obywatelskich. Prawdopodobnie zaspeluje znów prokurator, który domagał się dożywotniego więzienia dla Hoppego. Mam wycinki z przebiegu drugiego procesu /nie wiele piszę/, gdyby Ciebie lub kogoś interesowały specjalnie. Oczywiście sąd zapłacił nam podróż 1 kl. ekspressem oraz diety. Jednak muszę przyznać było to bardzo nieprzyjemnie rozwijać te sprawy znów, tymwiecej, że wiele szczegółów zatarko się w panięci. Niestety nikt nie mógł zdobyć dokumentu, z którego wynikałoby, że Hoppe osobiście podpisał wyrok na więźniów lub podpisał wniosek o przeprowadzenie gazowania. Szczególnie pytali o Żydówki i komorę gazową, której rysunek im posłałem /zrobiłem go z panięci w roku 1946, tak samo plan okna, dość dokładny. Pytasz się, czy czytałem książkę o Statowie. Czytałem tę książkę przez tego młodzieńca, który częściowo pracował u Ciebie. Niestety było tam wiele nieścisłości, które starałem się sprostować dla Instytutu Źródłowego istniejącego swego czasu w Lond. Natomiast jeden z Norwegów /nie policjant/ Øivind Linde z Oslo, którego spotkałem później w Oslo w roku 1951 przysłał mi książkę o Statowie norweska, wydana przez b.więźniów policjantów. Jest tam w niej kilka rysunków oraz nawet ta okropna pieśń, którą ułożył któryś z "Zielonych".

..... Adam Rogowski na początku nie oszczędzał się Później przechodził aż 12 operacji. Zacheiako na się nowej operacji / lub też może za ciężko pracował w fabryce włókienniczej/ i podczas operacji zmarł z powodu krwotoku. To już chyba z 4 lub 5 lat temu.

.....

/-/ Bolek

Kuczora Franciszek
ul. Dnieżkowskiej 3 m. 5
Gdańsk - Włocławek

s. 93-102



Kuczora Franciszek

Franciszek Kuczoła
były więzień obozu Stutthof

numer obozowy zapomniany
aresztowany w dniu 1 września 1939r
przebywał w Victoria Schule, potem Nowy Port
Stutthof do 18.IV.1940r. potem Sachsenhausen
zamieszkały przed wojną w Gdańsku
obecnie Gdańsk Wrzeszcz ul.Orzeszkowej 9 m 5
emeryt - lat 69

Przed wojną pracowałem na kolei. Byłem ustawiaczem na Trojanie. Poprzednio pracowałem w innych działkach, byłem na zastępstwie na Zaspie, ale że miałem trochę dużą buzię, to przenieśli mnie na Trojan. Tam byli jeszcze Stojewski i Olszewski. Miałem egzamin na kierownika pociągu i byłem ustawiaczem. Dojeżdżałem czasem do Westerplatte, do bramy, ale dalej nie bo tam była już inna drużyna, a w mojej drużynie miałem jeszcze więcej Polaków. Był tam Wenta - on mieszka obecnie na Siedlicach na ul.Malczewskiego. Niemcy mieli mnie

już długo na oku. Byłem na ostatnim zjeździe Hallerczyków w Krakowie i tam mnie sfotografowali i potem jak byłem aresztowany i moja żona zaczęła się o mnie starać to pokazali jej tą fotografię i zapytali " a tego pani znasz?" Moje dzieci były w harcerstwie. Jak zaczęła ta burza chodzić to byłem trzy czy cztery razy z dziećmi napadnięty. Podał mi na mnie ciuchy, wszystko. Chodziłem skarżyć się w Komisariacie, ale co to pomogło? - nic. Wiedziałem że jak będzie wojna to od razu jestem gotów. I rzeczywiście zanim pierwszy strzał padł na pocztę, to mnie już zabrali. Aresztowali mnie 1 września 1939 roku o godzinie 3-iej rano. Jak przyszli mnie aresztować to gestapowcy byli jeszcze w cywilu a z nimi był jeden kolejarz. Prz-y aresztowaniu byli w porządku - spokojni. Dopiero jak przyszedłem do Victoria Schule, bo tam mnie od razu zaprowadzili to od razu w nocy dostałem swoje aspijeruty. Wepchnęli mnie do takiego baraczkę na podwórzu tej szkoły. Stamtąd zaraz 2-go czy 3-go września jedna część poszła do Stutthofu. Poszedł Młodzieniewski, Lendzion i inni, a ja się jeszcze zostałem we Victoria Schule. Stamtądabrał mnie Schwartz do Nowego Portu. Ten Schwartz to był SS-man, obrsturnführer, który był najpierw w Nowym Porcie, a potem w Stutthofie. W Victoria Schule byłem pewno 8 albo 10 dni. Był tam też Ackol i Kuschell. Ten ostatni prowadził aprowizację. I to on umieścił mnie zaraz w Nowym Porcie w kuchni jako kucharza. On znał mnie już przedtem, bo ja od jego rodziców przed wojną kupowałem bydło. On był krupierem w kasynie w Sepecie. I to właśnie Kuschell mnie uratował, bo gdybym był od razu poszedł do Stutthofu, to a wtedy byłbym poszedł razem z innymi w wielki piątek na rozstrzał. Bo ja miałem u Niemców trzy krzyżki. Oni wiedzieli kto był prawdziwym Polakiem a kto nie. - - Ale jak mnie aresztowali to powiedzieli że byłem w mniejszości

ci polskiej. W Nowym Forcie byłem od września do zimy. Gwiazdkę spędziłem jeszcze w Nowym Forcie. W tym czasie kiedy wzięli więźniów z Nowego Fortu do kopania w Piannicy, to Schwartz coś tam wykombinował i przenieśli mnie do Gdyni do kossar emigracyjnych, ale tam byłem tylko jedną noc i jeden dzień i spowrotem przewieźli mnie do Nowego Fortu i tam byłem jeszcze do stycznia albo do lutego. To był ostatni transport z Nowego Fortu. Ja poszedłem razem z chorymi, bo wtedy już likwidowali Nowy Fort. Jak przyszedłem do Stutthofu to było znowa przyjęcie z batami, z biciem. Tam był wtedy Wolf, Neubauer SS-mani. Neubauer nas przyjmował. Oprócz niego Leising, Henba /Milentz/. Był też Ackolt, ale on nie wtrącał się w te przy przyjmowanie. Wtedy w Stutthofie był jeszcze Lutz, ale on nazywał się wtedy Sznydkowski, był Schwartz, no i komendantem był Pauly, a jego zastępcą obersturmbahnführer Wilhelm, to było jego nazwisko. On był komendantem w Nowym Forcie. - - - -

Jak przyjechałem do Stutthofu, to były już tam chyba 3 baraki. Była kuchnia, był ten barak gdzie był Maks Rybiński no i tam gdzie byli ci wszyscy Gdańszczanie i księża. I ja zrazu byłem w tym baraku, tam też był Lendzion. Potem z tego baraku zrobili straffkommando. Po przyjeździe do Stutthofu najpierw dwa albo trzy dni poszedłem do pracy, ale nie do lasu, a tylko do Entlassungskammer. Tam pracował Cymerek, Janek Gdaniec, Melt czy coś podobnego to nazwisko zna Janek Gdaniec /Jan Gdaniec padał to nazwisko jako Maron/- uwaga zbierającego relację/. Tym byłem parę dni i zaczęli mnie namawiać żebym poszedł znów do kuchni. Przychodził i Ackolt i Schwartz pytali czy chciałbym pójść do kuchni, ale ja prosiłem żeby mnie tam nie dawali, miałem już dość tej kuchni w Nowym Forcie. Wtedy zaczęli mnie namawiać Rybiński, Lendzion i Fersen, że jak będę w kuchni to dla nich będzie lepiej. Jak zaczęli mi mówić "idź Franek, idź - będzie nam trochę lepiej" to się w

końcu zgodziłam i poszedłam na tego kucharza. Nie chciałam iść to już desyć dostałam batów jako kucharz w Nowym Jercie. W Nowym Jercie to było gotowane na 1000 do 1500 ludzi, ale dokładnie nie można powiedzieć bo tam był ciągle ruch jednych wywozili drugich przywozili, taki ciągły był przychód i rezechód. W Stutthofie gotowałam na 4000 ludzi. Tam przedtem bardzo duże unierzało, potem już troszkę mniej. Co dawali mi do gotowania? minimalnie, prawie nic, et trochę kartofli, kasza, ryż, co oni tam gdzieś uszabrowali to przyszło do kuchni. Miałam sam dbać bardzo o to żeby było choć coś do ugotowania. Nie chcę chwalić Kuschla, ale to, chociaż SS-san to była taka dobra dusza i co mógł zdobyć od Niemców to dawał do kuchni. Kuschell to był podoficer, Oberschiffner, a Schwartz to był Obersturmführer. W kuchni pomagał mi Maks Rybiński i Janek Debrowolski. To właśnie Maks Rybiński zaniósł tym co ich rozstrzelali w wielki piątek tą ostatnią wieczną. Zimno było bardzo, a my chodziliśmy w tym co mieliśmy na sobie ubrane wtedy jak nas aresztowali. Nie dali nam żadnych ubrań, nie ciepłego. A w barakach było zimno, w tym baraku gdzie ja byłam to nie było żadnego piecyka, nie pamiętam żeby coś było do ogrzania. Tam mogło nas być na 150-ciu. Do księży to oni odnieśli się bardzo źle, bo tak im Hitler rozkazał, no i do tych co poszli na rozstrzelanie to też tak źle jak i do księży. Ale z początku to do Gdańszczan tak źle się nie odnosili, dopiero później jak z nich zrobili to Straffkommando. Z księży to był ksiądz Muzolewski, on pracował w kartofelschele kommando, był ks. Komorowski, był wiecki z tych co ja pamiętam. Jak zrobili z Gdańszczan to straffkommando to popędzili ich do lasu do roboty, a żywności to kazali dać im mniej niż innym. Na 10-ciu chłopów miałem dać jeden chleb, ale ja im więcej dawałam, to samo zamiast wody, jak mi kazali - to dawałam

in kawę albo supę. W tym czasie to pamiętam że miał być jeden rozstrzelany - Żydek. Tych Żydków to co ja wiem to było sześćdziesięciu. Oni przyszli prędzej niż ja. Widziałem ich, ale nie często, bo ja na lagier duże nie chodziłem, bo cały dzień w tym diabelskwie, w tej kuchni byłem zajęty i tak dosyć po mordzie dostawałem, że tam czasem nie depilkowałem czegoś, że czasem dawałem coś na lewo, a potem tacy poszli się pochwalić że dostali coś ode mnie. Nakoniec dostawałem się do bunkra, bo poradził mi Ukraińiec, z zemsty za to że zakazałem mu wynosić margarynę. To był też więzień, on sprzątał w kuchni i kradł. Bo i on poszedł poskarżyć, że ja dawałem jeść tej karnej kompanii, on to widział i widział co innego że ja drugim pomagałem. Jedną tylko Kusbhelli co zdobył to dał mi do kuchni o tem może powiedzieć Perason, bo to on mi powiedział że wplercz to nie potrzebowali łyżek, a jak ja przyszedłem do kuchni to musieli sobie drewniane łyżki porobić. Do bunkra dostawałem się pięć dni przedtem, jak nas wysłali do Sachsenhausen. Ja cały czas spędzałem w kuchni, nocowałem też tam. Odrazu jak tylko dostawałem się do kuchni to musiałem i nocować tam. Chodziłem też na ten barak Gdaiszczak, zajrzałem tam trochę, bo mnie zrobili Stubenältestren, to musiałem tam zajrzeć. W tym bloku co stał naprzeciw kuchni to były już prycze i w tym baraku była izba chorych - tam Haupt urzędował. On zresztą wtrącał się do wszystkiego, ja też od niego dostawałem, za to niby że nie było czysto. My przecież byliśmy więźniami i nie mieliśmy nic do gadania, że ja kuchen prowadziłem kuchnię to najpierw do mnie i Haupt i Leubauer i nawet Pauly, bo on też przychodził na kuchnię. On wszędzie zajmował. Od Paulego też dostawałem. Bo Pauly spoczątku sam był. On nie mieszkał w obozie, ale jak wpadał to rozprawiał się. Za moich czasów to Askolt był Rapportführerem - on zbierał ra-

porty i sprawdzał stan więźniów, ile było. Co było na obozie, to ja nie bardzo wiem, bo byłem stale w kuchni. Tam pracowało nas sześciu, a nawet potem ośmiu. Oprócz tego było kartofelschale - to było krypelnikommando. Tam dużo się zmieniali, dochodzili i odchodzili. To była taka tajna organizacja, bo jak kto zachorował czy był bardzo słaby to wciągali go do obierania kartofli, był wtedy pod dachem, nie chodził do lasu. - - Kto wtedy przydziałał pracę to mało nie interesowało. Mnie do kuchni wziął Schwartz i Kuschell. Schwartz prowadził ewidencję więźniów. - - - - -

W Wielkim Tygodniu chodzili już pogłoski że tamtych mają rozstrzelać. Coś ze cztery tygodnie oni nie mieli już z nami styczności. Tam ich było w tej strafkolonie coś 39 chłopca. Tam byli Iendzion, Greuzman, Młodzieniowski, Bloch, Komorowski, dużo Gdańszczan. Oni byli już od nas całkiem odizolowani. Wieczorem poszli przez. I tego właśnie wieczorem przyszedł Rybiński i powiedział po cichu, żeby dać im kawy, bo Młodzieniowski chce pić, to ja im jeszcze uszykowałem w Rybiński im tę kawę zaniósł. Strażnik był jeszcze jakiś możliwy i Rybiński mógł im kawę podać. Ze ich rozstrzelali dowiedzieliśmy się od Chinczyków co tam byli i od innych jeszcze. Było tych Chinczyków trzech internowanych - oni byli przy SS-ach. I to właśnie oni nam powiedzieli "puk" i wtedy wiedzieliśmy już co się zrobiło. To było w marcu w wielki piątek w 1940 r.

Wtedy już dużo wywieźli więźniów i dużo nowych przywieźli. A jak mówili, że na zwolnienie, to można było wiedzieć co to było za "zwolnienie". W kuchni też zmieniali. Tych co pamiętam to był tam Mokwiński, on powinien lepiej pamiętać, bo on był jeszcze młody wtedy. Tam był też Władzio Nikołajczyk, on był jeszcze wcześniej przede mną i był jeszcze jeden ale nazwiska nie mogę sobie przypomnieć no i ten Ukraińiec.

Jak on mnie wtedy przeszkartyl, to przyszedł do kuchni Neubauer, wszystkich wywalił, a mnie do piwnicy wziął, tam pod kuchnią była piwnica. W tej piwnicy zaraz mnie po mordzie nalał, chciał mnie zastrzelić, ale jakoś tej odwagi nie miał i nie zastrzelił, ale zabrał mnie za bramę i do bunkra. Tam zaczął mnie obrabiać. Codzien dostawał 25. I z bunkra zabrali mnie na transport, żeby transport nie szedł akurat, to tym tam został w tym bunkrze. Ale to Schwartz widział co się robi i sam mi powiedział że ma pojechać. Kuschell pojechał z nami do Sachsenhausen. To był duży transport - pewno ze 2 tysiące. Z jednego piekła przyszli my w drugie piekło, ale tam nas już nie znali. W Stutthofie nie dostawaliśmy żadnych paczek - tylko przez znajomych miałem możliwość podać listy z grypsy. I nie tylko swoje. To też ten Ukrainiec widział i o ten domógł. Te listy od innych więźniów to ja miałem w marynarce i jak mnie wziął Neubauer to wtedy kolega mi zamienił marynarkę. To był Ast. Jak ja przyszedłem z bunkra, to zacząłem pytać kto ma moją marynarkę, powiedzieli mi, że to Ast ma, ten żołnierz. No i my się znówu ponienialismy i mam tę marynarkę jeszcze dotąd - na pensję, cały czas trwało. Te grypsy wyosili z obozu moi znajomi, chociaż to byli SS-mani. Kuschell wyosił, Schwartz, Ackolt. To było wielkie ryzyko. A ten Ukrainiec powiedział. Było wtedy wielkie zamieszanie, to ja prędko marynarkę zrzuciłem i podali mi inną. I dopiero jak wyszedłem z bunkra na blok i to w ostatnią godzinę przed transportem to się dowiedziałem, kto ma moją marynarkę i zamieniliśmy się znówu. Żeby byli skapowali te grypsy to by mnie wykończyli, a tak, że mieli tylko podejrzenie to dostawałem w tyłek. - - - - -

Moja żona starała się o mnie, myślała że mnie wypuszczą, ale jak jej pokazali tę fotografię to odrazu wiedziała

że nia na żadnej nadziei. Na tej fotografii to ja miałem bia-
łą czapkę, bo my Hallerczycy takie nosiliśmy. A ja już za mło-
dego chłopca to strajkowałem w szkole, a rodzice musieli cier-
pieć za to. Byłem wtedy pod Starogardem. W roku 1908 i 1909
był u nas strajk szkolny, a ja go organizowałem w naszej wios-
ce. W pierwszej wojnie to wzięli mnie do wojska, a Belina or-
ganizował "Polnische Wehrmacht" i ja tam się zgłosiłem jak -
przyszły z Rumunji w siedemnastym roku. W Krakowie na Plan-
tach dostaliśmy przeszkolenie i mieliśmy uderzyć na Rosję, ale
my nie chcieliśmy i wtedy nas przesłali do Łonży na 6 tygodni
a potem do Francji. - - - - -

W Sachsenhausen jakoś moja opinia była niezła i tam
nie byłem kucharzem. I dopiero jak potrzebowali do Linzu to
kazali się zgłosić kucharzon i musieliśmy się zgłosić. I wte-
dy Lorents mnie złapał i poszedłem do Linzu za kucharsa. - -

Wyżywienie więźniów tym co oni dawali - to nie było moż-
na. W Stutthofie to my kradliśmy. Kuschell dopomagał mi do te-
go kradzenia, okradaliśmy Góblera, on był magazynierem. A
Albrecht Kuschell nie mówił po polsku, to był zaparty Niemiec,
ale był człowiekiem. Wyciągnęliśmy nieraz worek grochu, kaszy
czy ryżu. Chleb to wtedy przywozili nam. Wydawali tyle na ile
wypisał zapotrzebowanie Kuschell. Wydawali na taki stan więź-
niów jak był poprzedniego dnia w obozie. Był magazyn główny
tam gdzie mieściła się Krankenstube, w tym pierwszym baraku.
Ja miałem przy kuchni też magazyn, to był taki podmagazyn.
Do tego podmagazynu ja miałem klucze. Wszystkie odbierałem rano
po apelu. Zawsze było parę porcji więcej, bo przecież w nocy
umierali, a za tych umarłych to mogłem komu innemu podsunąć.
Raz to pamiętam, że w nocy, w ciągu jednej nocy, zmarło coś
pięćdziesięciu ludzi. Wykańczali się z choroby i z wycieńcze-
nia. Ale i wykańczali SS-mani. Z tych najgorszych co najwięcej

wykańczali to byli Peters, Haupt, Bomba-Milentz, Neubauer. - Leising to roznaicie, on miał takie swoje humory. Jak czasem kota dostał, to też wykkańczał. Był jeszcze jeden taki maly, nie pamiętam jak on się nazywał ale to był też kawał szatana. Jak wyjeżdżali na aussenkomanda, to dostawali swoje przeznaczone jedzenie, jeśli wieczorem wracali to dostawali jedzenie na cały dzień - taki przydział. Margaryny to dostawaliśmy 2-3 dkg na więźnia, to tą margarynę dawaliśmy do jedzenia, do zupy. Do gotowania dawali nam kasze, groch, ryż, suche buraki takie wytłoki, ną i soczewicę - to przypalało się jak cholera. Mieliśmy sześć kotłów. Dwa były tylko do kawy. To też musieliśmy gotować dwa razy, zaczynaliśmy to nasze gotowanie o 3-ej albo o czwartej rano. Największy kocioł miał pojemność 200 do 250 litrów, były też po sto i po sto pięćdziesiąt litrów. Te kotły były wankowane. Potem na podwórku stały takie stare wanny kąpielowe i takie duże cebry i tam wlewaliśmy to jedzenie. Kucharze sami nalewali do misek. Nieraz przychodzili po trzy, cztery razy ci sami więźniowie, co się tam działo to trudno powiedzieć. Byli tam SS-mani. Jak upomniałem to niech Bóg breni. Odemnie było żądane, żeby był porządek i jak nie dopilnowałem to dobrze dostałem od Haupta. A jak tam można było dopilnować. Z Krankenstube przychodzili po jedzenie więźniowie. Przychodzili: Prage, dr. Witkowski, dr. Mirau. Ale dużo to ja nie mogłem się interesować. Zawsze przy wydawaniu jedzenia byli SS-mani i jak nie mogliśmy dopilnować porządku to bili, a my dostawaliśmy też i to pierwsi. Wydawanie obiadu trwało godzinę, nieraz dłużej. Rano były porcje porobione - chleb i kawa, cukru to tam był bardzo maly przydział. W magazynie głównym pracowali Polacy - ale kto tam był to już dziś nie mogę pamiętać. - - - - -

Słyszałem kiedyś że na tej sztubie gdzie byli Żydzi

to jednej nocy kilkunastu się powiesiło, ale to tylko sły-
szalem - tam był sztabowy taki Maks - Żyd, to on bił ich
tam, kopał, ale i on dostał też porządnie od Heubnera. Ci
Żydzi to przyszli z Victoria Schule oni byli z Kartuz, z Gdy-
ni, z Gdanska, a że ten Maks był trochę nie "tego", miał tro-
chę kota jak to się mówi, to go wzięli za sztabowego. - - -
Ja tak dużo nie wiem, bo byłem cały czas w kuchni, ale Milew-
ski powinien wiedzieć więcej, bo on brał jedzenie do rozdzia-
ku dla tej strażkomy. On żyje jeszcze i mieszka albo w Li-
pcach albo w Oruni, to jest emerytowany kolejarz. Z tych co
pamiętam że byli razem w obozie to dwaj Pełwiardowscy Franek
i jego brat. Ten Franek też żyje i mieszka we Wrzeszczu na
ul. Zbyszka z Bogdana. Pamiętam też Langowskiego Zygmunta,
bo znałem go przed wojną, mieszkał blisko mnie., a ja miesz-
kałem przed wojną w Gdansk na ulicy, która teraz nazywa się
Aksentna.

Franciszek Kuczora.

Relację zebrała :

Krystyna Krzewska

Szramke Alfons z Golaniska
nr oboz. 636:

ul. Ślunickiego 46
Golanisk - Wressis

S. 103-104



Szramke Alfons
636

A l f o n s S z r a n k e

były więzien obozu koncentracyjnego Stutthof

numer obozowy 636

zamieszkały przed wojną w Gdańsku

obecnie Gdańsk Wrzeszcz ul. Kurwickiego 46

zawód : elektryk

Ja zostałem aresztowany drugiego dnia wojny o godzinie 9-tej rano razem z trzema kolegami, którzy byli kolejarzami. Przypadkowo znalazłem się w ich domu i tam zabrali nas wszystkich. Zabrali całą ich rodzinę, tam było pięciu chłopaków i ja szósty. To było w Gdańsku koło Dyrekcji na tak zwanym Platz. Siedzieliśmy spokojnie, a tu przyjechał samochód, przyszło 6-ciu cywilów, kazali nam podnieść ręce do góry. Kobieta w płacz. A oni zrobili rewizję, szukali sztandaru wioślarskiego, bo kolega miał nasz sztandar wioślarski, ale nie mogli go znaleźć, więc zaraz nas wszystkich razem zabrali do samochodu i zawiezli do Victoria Schule. Cały pierwszy dzień to musieliśmy tam stać przy ścianie. Wieczorem to

zaczęli nas ganiać po tym całym terenie szkolnym, ale wiesz-
rem to dali nam do jedzenia taką niby supę czy kawę, a naj-
więcej to tam było wody, no i paczkę suchego chleba. Wpakowa-
li nas do piwnicy, było tam trochę słomy, tak parę słonek na
krzyż położonych i tam przepędziliśmy noc. Rano pobudka i zno-
wu jakieś ekscesy, to kazali zapakować i takie tam róż-
ne zajęcia dawali. No a czwartego albo piątego września przy-
szły autobusy i zabrali nas na transport do Stutthofu. Jak
przyjechaliśmy tam to było tylko ogrodzenie i wewnątrz w le-
sie stały namioty. Jak nas transport przywieźli to były chy-
ba trzy albo cztery samochody, a w każdym samochodzie mogło
być ze 60 osób - napakowali nas jak śledzi. - - - - -

Namioty, które zastaliśmy w Stutthofie to mogły być
przewidziane na 5 osób, a nas tam wpakowali co najmniej 2 15
osób. Rekomendujemy w ubraniach i to przez parę tygodni. Nie
rozbiieraliśmy się wcale. Jak przyjechaliśmy do Stutthofu to
tam już był jeden cały transport - było ze 20 namiotów już
ustawionych, to musieli wpiery zrobić już chyba cywile albo
sami SS-mani przygotowali. Skąd byli ci przed nami przywiezie-
ni to nie wiem. - - - - -

Już w Victoria Schule były pierwsze "wypyty". Tam
było Gestapo i cywile. Siedzieli przy stołach i po kolei każ-
dego wypytywali : gdzie urodzony, gdzie pracował, gdzie i do
jakiej organizacji należał. Muszę przyznać się że mnie trak-
towali troszkę lepiej niż innych, może dlatego że pracowałem
na Stecni gdańskiej, ale moich kolegów tych co byli przy ko-
leci to od razu bili strasznie. Od nich chcieli wiedzieć o tym
przysposobieniu kolejowym i dlatego zaczęło się tam na nich
lanie nie z tej siemi, a mnie obyło się jakoś bez tego.
Pytali mnie gdzie należałem, to powiedziałem że do klubów wie-
ślarskich, do Gdania, do chórów śpiewaczych. Od razu wtedy do-

stałem numer 636. I ten numer miałem cały czas w Stutthofie. Do samego końca miałem ten sam numer, nigdy nie zmieniał mi numeru. W Stutthofie jeszcze raz robili ewidencję i tę kartotekę. Drugi raz spisywali, ale robili to sami, ja chyba nic nie podpisywałem. Zabrali mi wszystko, osobiste rzeczy, nawet grzebyk zabrali, wszystko poszło to torbki razem było spakowane. Nie pamiętam już żadnych nazwisk z tych co przyszli razem do Stutthofu. Twarsze tak, to zapamiętałem dziś chyba poznałbym tych ludzi, ale nazwisk to już nie mam w pamięci. Fatalnie straciłem pamięć po obozie. Ze Stutthofu to niektórych pamiętam na przykład Sikorskiego Augusta - on pracował wtedy w stolarni. Macha też pamiętam też był w stolarni. Był tam też taki czarny, on był kapo w stolarni, nazywał się Szwarcbard, ale on przyszedł później niż ja. Ja byłem przez cały czas w Stutthofie, tylko ostatnie dwa lata chodziłem do cegielni, ale to też rano wychodziliśmy a wieczorem spowrotem do obozu. Ja przeważnie robiłem instalacje elektryczne w lagrze. Pierwszą zmianę to znaczy w 39 na 1940 rok to już mieszkaliśmy w barakach, bo to drzewo, które rąbaliśmy to od razu takie mokre poszło na tartak i z tego były deski, z których stawialiśmy baraki. Na początku wszyscy pracowaliśmy przy wyrębie lasu, a potem jak zaczęli budować baraki, to ja miałem szczęście dostać się do pracy jako elektryk. Kiedyś przy apelach wieczornych komendant i Neubauer kazali wystąpić elektrykom. Myślałem, że może potrzebują gdzieś do bambra albo do fabryki i tam pójdę, to zaraz wyskoczyłem 3 kroki naprzód, a Neubauer zapytał czy niema więcej elektryków. Za chwilę wystąpił jeszcze jeden kolejarz. Zaraz też dostałem się do baraku założyć tam instalację. Tam był przedtem cywil, a oni chcieli tego cywila wypędzić. Pracowałem z nim 14 dni. On był przy tej robocie od początku, bo tam spoczątku byli cywile,

drzewo wozili i inne roboty robili i był też ten elektryk. Testarał się już o materiał, ale go wypędzili, a ja zacząłem robić oświetlenie uliczne, światło zakładałem w barakach. - Jak budowali dom komendantury to także robiłem tam instalacje. Potem warsztat i na koniec zigeleikommando. W tym komandzie było 100 chłopów i ja wtedy też się tam dostałem. Miałem w tej Zigelei całą instalację elektryczną pod nadzorem, pilnowałem tego, robiliśmy remonty, naprawy ale byliśmy na szczęście zdaleka od lagru. To były dla mnie najlepsze czasy. Te ostatnie lata to nie były już takie złe. - - - - -

Jak przyszliśmy do obozu to tu gdzie teraz stoi komendantura to był dom starców, budynek do połowy murowany. - Chyba był dwupiętrowy. Część była drewniana. Na początku była tylko kuchnia polowa, potem jak baraki zaczęliśmy robić, to najprzód stawialiśmy kuchnię. - - - - -

Kto tam był wtedy? - z SS-żanów to był Neubauer, Leising, Kneth, to było ich dwóch, jeden wysoki, chodził zawsze z cygarem, ten miał schreibstube pod sobą i ten ryży co był w kuchni, a potem w bekleidungskammer. Był jeszcze jakiś - Meier, scharführer, taki wysoki, chudy, Peters, Bomba to było przezwisko, on nazywał się Milents, był cieśla z Oruni - Szaydkowski, który potem nazywał się Lutz. Leising to też był cieśla. Jeszcze jeden, ale jego nazwiska nie pamiętam, on też zawsze chodził ze Szaydkowskim. U Leisinga był kapen Niemiec z zielonym winklem, to ten zawsze z Zelonkem siedział razem i z Klifothem. On był taki szczupły, nawet chudy, oni byli trzej najlepsi koledzy. Na starym obozie byłem najpierw w drugim bloku, tam później obok nas były kobiety, potem byłem w piątym bloku, potem u Koszowskiego na 6-tym i u Zimmermana. Byłem też koło rewiru na sztabie siedemnastej, to była sztaba w bloku z prawej strony. Potem na nowym obozie to też by-

łem na różnych blokach. - - - - -

Kiedy było zrobione napięcie w drutach ? dokładnie nie pamiętam ale to był rok 1942, wtedy przyszła duża grupa elektryków, oni przyszli razem. Ja w 1942 roku byłem już w cegielni, miałem tam zakażenie nogi. Ale na tyfus nie chorowałem. Wcześniej jeszcze bo w 1940 roku miałem zapalenie płuc - wtedy byłem na rewirze, tam był wtedy doktor Kopeczyński, on był pierwszym lekarzem, a nad nim był taki stary cywil, chyba felczer ze Stutthofu, z wioski, to nie był SS-man to właśnie on przychodził przeprowadzać kontrolę nad doktorem Kopeczyńskim. On przynosił pigułki, najwięcej aspirynę, bo co tam oni dla więźniów mieli wtedy - aspiryna na wszystkie choroby. Drugi raz byłem w nowym szpitalu jak dostałem zakażenia nogi, robili mi operację. Do szpitala przyjeżdżał też ten gruby Haupt, a z lekarzami to był Witkowski z Sopotu, chyba Jasiński i był Węgrzynowicz. To było już w 1943 roku. Nie chciałem iść do szpitala, przez 14 dni chodziłem, a wiesz ciwie włókłem się do tej cegielni, aż jednego wieczora ten Niemiec z cegielni powiedział do SS-mana żeby wieczorem koniecznie poszedł do szpitala, bo miałem już wtedy ze 40° gorączki. I zaraz następnego dnia zrobili mi operację. - - - -

W cegielni to w dzień pracowali nasi z obozu, palili pod piecem, a w nocy mieli dwóch palaczy cywilnych. To była cegielnia prywatna, ten mistrz mieszkał tam obok i jak my przyszliśmy to naszyby nie były jeszcze w ruchu. Stały okryte papierem i dopiero my musieliśmy je czyścić, ustawiać i uruchomić na nowo. Tam była praca bardzo ciężka, ale najgorsza to dla tych trzech ludzi co byli przy piecu. Dostali tam trochę więcej tej supki, ale co to pomogło. W tej gorączce, co tam była, szczególnie jak otworzyli piec to dosłownie lało się z nich jakby byli wodą oblani. No i przy glinie, przy

ładowaniu też była strasznie ciężka praca. Tych ludzi co na wózki ładowali glinę to naprawdę zawsze trzeba było łażować. To też między tymi ładowaczami to byli strasznie osłabieni, wieczorem to wielu z nich trzeba było kłaść na wózku i zawozili ich do lagru, a czy taki człowiek potem wyzdrowiał to ja już nie wiem. Tam było straszne osłabienie bo przecież wyjmowali te gorące cegły, ładowali i zaraz nakładali do pieca następne żeby piec zamknąć. Ta cegielnia szła już na początku, potem ją wstrzymali i po jakimś czasie na nowo uruchomili - dziennie musieli przygotować gliny na 18 do 25 tysięcy cegieł. W cegielni nikt długo nie wytrzymał, najwyżej 4 do 6 tygodni praca była ciężka nie do wytrzymania. Tam był kapen Bilkowski Emil, potem Zelenke. To było straszne tempo.

Byłem raz przy tym jak zawozili trupy na Zaspę. Byłem przy ładowaniu. Jak zawieźliśmy tam to te trupy już się rozkładały, ciekło z trumien. Długo leżeli na holspiacu zanim zawieźli na Zaspę. To były czerwone bejcowane z desek trumny. Jedyna normalna trumna to była zrobiona dla doktora Mirau. -----

Na ewakuację to wyszła nas grupa 100 do 120 osób, cała Zigelei. Poszliśmy razem z blokiem 5 i 7. My poszliśmy do Ganz, tam byliśmy w takim Arbeitslagrze i w tych barakach przesiedzieliśmy pewno 3 tygodnie. Potem zrobili zbiórkę i mieliśmy dalej maszerować, no ale nas tam z tych około 1500 ludzi to zostało chyba 800 jak doszliśmy do Ganzu. Jak zrobili tę zbiórkę to chorych zostało tam może 300, a reszta poszliśmy jakieś 4 km, a tu słysząc strzelanie coraz bliżej to wtedy ten komendant co nas prowadził, to był SS-man z Litwy, ale porządny człowiek - poszedł do wioski zapytać się co to słysząc. Powiedzieli że Rosjanie blisko i że nie przejdziemy. Wtedy kazał zrobić w tył zwrot i spowrotem do lagru. -

Jak przyszliśmy to ci chorzy co tam scetali to odrazu wszyscy zrobili się zdrowi, to jak nas zobaczyli to wiedzieli co jest i wydrowieli odrazu. Następnego dnia jak wtaliliśmy to obóz był pusty - SS-manów nie było i wszyscy rozessiliśmy się. Na dole było już wojsko rosyjskie. W drodze jak nas prowadzili to SS-mani się zmieniali. Mogło ich być ze dwudziestu. - Ale tych starych asów to już nie było żadnego. Ci drudzy to byli tacy starsi, a na koniec przyszli Litwini i Ukraińcy. W Gansu do pracy nie chodziliśmy, nie tam nie robiliśmy. Ja już dużo nie pamiętam, będę musiał porozmawiać z kolegami, to razem więcej sobie można przypomnieć. - - - - -

Gdy była rozprawa przeciw tym dziesięciu SS-manom, byłem wzywany na świadka i wtedy mówiłem dobrze o tym SS-manie co był na przodzie, który zawsze wychytywał jak były jakieś zwolnienia, on był zawsze zadowolony jak miał swoje cygare, to był Ackolt, ten nikogo nie ruszył, to był dobry człowiek. Jak mógł to pomagał. Moja matka napisała do lagru że w porcie została moja wypłata, bo ja pracowałem w Radzie Fortu, jako dźwigowy, to Ackolt napisał do tek firmy, że ja siedzę w lagrze i żeby wypłacili mojej matce pieniądze. To też na tej rozprawie w sądzie powiedziałem, że ten człowiek nie był w stanie nikogo skrzywdzić. On dostał tylko 2 lata za przynależność do SS. - - - - - U

Z Rady Fortu był w Stutthofie Ziółkowski czy podobnie się nazywał. Ci z Rady Fortu to byli tacy co pracowali na wyższych stanowiskach i oni potem byli w Stutthofie. Był też w Stutthofie drugi dźwigowy Budzisz - to był Gdańszczanin. Był też Król Stanisław - on zaraz po wojnie przyjął tutaj w Gdańsku kapitanat - co z nim teraz, to nie wiem. - - - - -

Jednym z pierwszych kucharzy to był Kuczera, jego pamiętam z pierwszych czasów w Stutthofie. - - - - -

Był też w Stutthofie jednym z pierwszych Pawłowski, nazywali go Kikiriki, ale to wtedy był już stary człowiek. Pamiętam także Szynańskiego - krawca i jego syn Maks Szynański, który teraz pracuje w Stoczni. Więcej jak przyjdzie sobie to jeszcze podam.

Alfons Szranke

Relację zebrała

Krystyna Krzewska

Gdańsk, listopad 1964 rok.



Patron Franciszek
nr oboz. 2099

zam. Nowy Dwór Gdański



Patron Franciszek
2.099

F r a n c i s z e k P a t r o n

były więzień obozu koncentracyjnego Stutthof

Numer obozowy 2099

zamieszkały w Nowym Dworze Gdańskim

zawód : pracownik Powiatowej Straży Pożarnej

Ucieczka z obozu

byłem w obozie więziennym i czułem się jak w więzieniu, więc ciągle myślałem o tym aby się z tego więzienia wydobyć. Bardzo długo przygotowywałem się do ucieczki. Śledziłem wszystkie błędy, które popełniali ci, co poprzednio uciekali i starałem się żeby nikomu nie dać poznać że szykuje się do ucieczki. Wiedziałem, że wszystkich, którzy uciekali - złapali SS-mani przy pomocy psów, podarli ich psami, porozrywali psami i przynosili te poszarpane ciała do obozu, żeby dać nauczkę innym, przestraszyć ich. W Stutthofie było około dwunastu psów i te używane były do łapania uciekinierów. Żeby zatrzeć ślady przed psami, postarałem się od tych co nowi

przychodzili do obozu, trochę tytoniu, takiego prostego, w liściach, miałem gumę z dętek samochodowych, kawał drutu, benzynę no i zapalki, zapalniczkę. Ponieważ pracowałem przy ściekach, które wychodziły z obozu do lasu, a byłem starym więźniem to mnie tak bardzo nie pilnowali, więc wszystko to tam przy tych ściekach przyszykowałem, łącznie z zapasami jedzenia. Miałem marmoladę, suchary, które z domu dostałem i trzymałem kilka miesięcy, żeby sobie zabezpieczyć na podróż, bo ci którzy uciekali to byli głodni, szli gdzieś do gospodarza i jeśli uniknęli złapania przez psy to taki gospodarz zaraz ich wydał. Oprócz tego miałem trochę mydła, cukier. Wszystko się postarałem. Ja wychodziłem poza lagier, poza ten obóz, ale dalej to była postenkette, ten łańcuch posterunków i oni pilnowali, że dalej nie można było wyjść. Ja mogłem chodzić poza obozem, ale naturalnie tam gdzie pilnowali z tej postenketty. Wszystko to, co sobie przygotowałem miałem schowane przy jednej pompie. - - - - -

To był dzień 25 sierpnia 1943 roku. Przy branie, w kierunku cegielni, miał posterunek jeden Scharführer, pamiętam jeszcze jego nazwisko, to był Weiss z Brodnicy, zobaczyłem że usiadł sobie trochę za barakiem - to była okazja, a ja takiej okazji pilnowałem, żeby nie zapisali numeru gdy wychodziłem. Miałem numer 2099 - oni znali mój numer i jak wychodziłem, to zapisywali. Wskoczyłem przez okno z baraku, ponijając ten posterunek, a ten co był na budce to nie widział, że ja wskoczyłem, uważał że pomiędzy jednym barakiem a drugim był posterunek, który przepuszczał, to on już naturalnie uwagi nie zwracał. Koło godziny 11-tej przed południem wziąłem to wiaderko, które miałem przygotowane i pilnie uważałem na te posterunki w postencecie. - - Posterunki schodziły wtedy, gdy zatrąbiono zbiórkę. To by-

za tak zwana postenketu i oni musieli stać tak długo, dopóki wszyscy, którzy wyszli, nie wrócili do obozu, a jeżeli kogoś było brak, to tak długo trębacz, który wchodził na dach i trąbił jak wszyscy byli, nie zatrąbił. Tym trębaczem był Olszewski, o ile się nie mylą - to on tak długo nie trąbił dopóki wszyscy się nie zesali. Jak on zatrąbił zbiórke - wszyscy wachmani schodzili się. Ja się tak przygotowałem, że jeżeli spostrzegą, że mnie brak i dłuższy czas trąbki nie będzie, to będę uważał że zauważyli moją nieobecność i wrócę. Gdy wychodziłem to zobaczyłem, że po mojej lewej stronie stał taki młody SS-man, wysoki i rozmawiał z jakąś kobietą, a z prawej strony siedział taki starszy z czarnym psen. Jeden od drugiego był w odległości nie większej jak 30 do 40 metrów. Upilnowałem taki moment, że ten starszy był odwrócony, a ten drugi rozmawiał z tą kobietą, która jakoś tego SSmana wykręcała w swoim kierunku, że zdawało mi się, że prosto zmazała mnie do ucieczki - tak patrzyła na mnie. Wtedy ja, takim zupełnie spokojnym krokiem przeszedłem przez tory i myślałem że może mi się uda. Chciałem ratować się ucieczką, bo mi wszyscy koleday poumierali. - Przeszedłem przez tory, ale tam zaraz była szosa, więc jakbym tam wyszedł - to zaraz mnie złapią. Więc poszedłem koło krematorium do lasu i aż pod Stegną przedostałem się przez szosę. Tam gdzieś w lesie był taki taras i jak doszedłem do tego tarasu to zobaczyłem tam podarte ubranie z jakiegoś więźnia - krzyże były na spodniach jeszcze widoczne. Jak spojrzalem na to ubranie, to przypomniałem sobie tą książkę o Robinsonie, jak on spotkał ślady człowieka. Wtedy pomyślałem, że to chyba ostatnie sekundy mego życia - w razie zobaczą że mnie niema, to będzie ze mną to samo co z tym co jego było to ubranie. Przypomniałem sobie, że jakieś dwa tygodnie

przedtem dwóch Kuskich schowali się w taką szklaną watę w nowym lagrze i chcieli uciekać. Wtedy ja osobiście ich na noszach niosłem, to wnętrześci z nich powyciągały psy, a oni jeszcze żyli - nieśliśmy ich z jednym pielęgniarzem do rewiru. Jak zobaczyłem to ubranie, to przypomniałem sobie tych ludzi i pomyślałem że lada moment może mnie to samo spotkać. No ale przedostałem się przez szosę i wtedy te k krazyże, które miałem na plecach, zasmarowałem skombinowaną z kuchni sadzą z margaryną, bo przecież nosiłem te czerwone krzyże i było je widać. Przed tym jakieś dwa tygodnie nie dałem sobie golić brzośki na głowie, żeby ta kysina pokryła się trochę włosami i żeby tak odrazu nie było widać, że jestem z obozu. Poza tym postarałem się o koszulę taką, jaką nosili niemieccy pocztarzy w białe i czerwone prążki. Tak przyszykowany i ubrany, wziąłem to wiaderko na rękę i niedzani, pomiędzy zbożem przedostawałem się. Odszedłem już parę kilometrów i w pewnym miejscu spostrzegłem mężczyznę jadącego na rowerze, on także mnie zauważył, zsiadł z roweru i po niemiecku powiedział że to jest prywatna droga, no i szybko krokiem zbliża się do mnie. A ja przecież byłem słaby i wyczerpany, jak każdy z obozu, wiedziałem że on odrazu mnie pokona, więc włożyłem rękę do kieszeni i szybko biegłem do niego. Jak zobaczył że ja tak lecę prosto do niego, to złapał rower i pojechał. A ja odszedłem dalej. Widzę że tam błoto, ale stoi jakiś wóz i na gronadzie leży nawóz. Kłosa Rosjanka nakłada ten nawóz. Wóz stał sam, bez koni, odszedłem więc do niej i zapytałem po rosyjsku czy można prosto przejść. Odpowiedziała "nie idzicie, tam grań, błoto, nie prejdietie" i wskazała, że u jakiegoś gospodarza jest przejście. Udałem że nie słyszę i poszedłem przez błoto. - Było bardzo głęboko, ale przedostałem się jakoś przez to

bloto tak w ubraniu, ze wszystkim, a jak przeszedłem na drugą stronę to zauważyłem że było tam coś ze 6-ciu mężczyzn, ale oni nigdy nie spodziewali się że ja przejdę. - Tam na polu stał owies w snopach, zacząłem niby te snopy przestawiać i w ten sposób przechodziłem coraz dalej. Nieraz uzyskalem jakiś szum. Odrazu zrobiłem się taki naprężony, bo przecież tyle lat siedziałem w tym lagrze, od samego początku, to też jak się człowiek wydostał na wolność to był formalnie głupi. Myślałem, że już pędzą samochodami, jak to oni pędzili po tych uciekinierów, więc myślałem że to oni pędzą samochodami, motocyklami, z psami, żeby mnie złapać. A tu wychylił się statek, a właściwie kominy statku. Lotem zobaczyłem i statek, a na nim paru SS-manów. Padłem odrazu na ziemię, poleżałem trochę, a potem bardzo ostrożnie wszedłem do kanału. Myślałem że będą mnie szukać, więc stanąłem głębiej, aż miałem wodę do pach. Czulałem, że nogi drętwieją mi z zimna - woda zaczęła podnosić mnie do góry wylazłem więc z kanału i poleżyłem się na brzegu. Leżałem do późnej nocy ciągle patrząc czy kogo nie zauważę. Usłyszałem śpiewy ukraińskie u gospodarzy w pobliżu. Jak się wszystko uspokoiło, była pewno już północ. Wówczas rozbrałem się i cichutko przepłynąłem przez kanał, chwilę odpocząłem, ubrałem się i poszedłem dalej - wszedłem do świtu. Wtedy zobaczyłem świeżo skoszony bób, stał w takich dziesięciokach, był wysoki. Tam się schowałem, bo byłem pewny, że nikt go nie będzie woził, bo był mokry, dopiero skoszony. Jak zrobiło się już całkiem widno - usłyszałem śpiew, to był Francus, śpiewał po francusku i grabił ściernisko. Lotem przyszło jeszcze dwóch mężczyzn - ci rozmawiali po ukraińsku - mówili coś przeciw Hitlerowi, gdy to usłyszałem to chciałem z nimi nawiązać kontakt. Jakoś jeden z nich podszedł bliżej, wtedy odchyliłem snopy i zawołałem do niego

go "Towarzysz, ruski - pozwól" i jak on mnie zauważył to za-
pytałem czy tu można siedzieć spokojnie. Odpowiedział mi,
że nam siedzieć cicho, bo jego gospodarz idzie z psem na
polowanie. I rzeczywiście o jakieś 30 metrów zobaczyłem -
idzie Niemiec z dubeltówką i psem, w takim kapeluszu z piór-
kiem. Bałem się tego psa, ale on do mnie nie leciał, tylko
ganiał po polu. Potem przyszedł jeszcze raz ten Ruski i po-
wiedział po rosyjsku, że wieczorem przyniesie mi kawałek
chleba. Przesiedziałem tam do późnego wieczora, ale w tym
czasie jak oni poszli na obiad, to ja zmieniłem miejsce,
schowałem się w ostatnie snopy, bo bałem się że mnie mogą
zdradzić i czekałem do wieczora co będzie dalej. Późnym wie-
czorem faktycznie usłyszałem jak przyszli i że rozmawiają,
że mnie żaliją, że przynieśli kawał chleba, a mnie już nie
ma. Wtedy zacząłem lekko kaszlać żeby mnie usłyszeli. No i
usłyszeli, podeszli bliżej i dali mi chleb. Ten chleb to by-
ła sama pleśń. Zjadłem go i rozmawiałem z tymi ludźmi. Je-
den z nich powiedział, że szkoda że uciekam, bo i tak zła-
pią. On też uciekał, doszedł aż do Warszawy i tam go na moś-
cie Kierbedzia złapali i spowrotem do tego gospodarza przy-
wiezli. Myśleli że ja też ucieknę od gospodarza. Podzięko-
wałem im i poszedłem dalej. Znowu szedłem całą noc. W ogó-
le szedłem tylko nocami. Najgorzej było gdy kończyła się
noc, a nie było gdzie się schować. I tak było tej nocy, ale
zobaczyłem taki późny rzepak - wysoki był. Schowałem się
w tym rzepaku - bałem się głowy wychylić. Naraz usłyszałem
jakiś szum i zdawało mi się jakby ktoś koło mnie latał. -
Głowę miałem taką ogłupiałą, byłem taki mocno przejęty i
nie wiedziałem czy mi się nie zdaje. Naraz usłyszałem, jak-
by stęknęcie. Wtedy naciąłem nożem rzepaku, owiązałem go
dokoła głowy, żeby się zdawało, że to kępka wyższego rzepa-

ku i zacząłem leciutko podnosić się - nie zobaczyłem nikogo i nic poza jakimś gospodarzem, który orał o około 300 m odzienie. Obejrzałem się dokładnie i uspokoiłem się no i przestałem słyszeć szmery. Wieczorem poszedłem dalej. O świcie nie miałem gdzie się ukryć, był tylko duży krzak łoży, to też wlałem do tego krzaka, w sam środek. Rano przyszło dwóch chłopaków z krowami, uwiązali krowy przy tym krzaku, a sami bez przerwy biegali w około. Zrobiło się całkiem widno i zobaczyłem, że bardzo bliźutko stało gospodarstwo i słyszałem, a nawet widziałem że tam młócili. Do obiadu siedziałem w tym krzaku jak pół żywy - na obiad ci chłopcy poszli, maszyna ucichła a ja wypełzłem z tego krzaka do jakiegoś rowu i tym rowem popędziłem dalej. W ten sposób posuwałem się bardzo powoli aż doszedłem do Wisły. Zorientowałem się już że byłem pomiędzy Nogatem a Wisłą. Teraz najgorzej było przedostać się przez Wisłę. Były łódki, ale ja bałem się wziąć łódkę. Wszedłem w wodę, dość długo mogłem iść, potem zacząłem płynąć. Na nieluznie stał jakiś statek i z tego statku ktoś przez cały czas obserwował mnie przez lornetkę. No ale jakoś przedostałem się na drugą stronę. Tam odpoczywałem pewno ze 24 godziny, jadłem tylko takie czarne jagody - jeżyny. Potem ruszyłem dalej, z początku brzegiem Wisły, bo tam były takie łożyny, to mogłem czasem nawet w dzień iść, ale przeważnie siedłem nocą. W jednym miejscu spotkałem krowę, doszedłem do niej i zacząłem ją doić, a tu jakiś człowiek to zobaczył, przyszedł i powiada "ty pieronie, ale krowa to jest moja". Mówił po polsku, więc zacząłem mu tłumaczyć że jestem głodny, no to już nie krzyczał tylko kazał mi uciekać "żebyśmy obaj nie poszli do obozu" domyślił się widocznie że skądś uciekam. Poszedłem więc dalej. Potem siedzę na brzegu Wisły i odpoczywam, aż tu przyleciał może dwunastoletni chłopiec, zauważył mnie i za-

czął uciekać, ale się przegrócił, złapałem go, przyprowadziłem nad Wisłę - trząsie się ze strachu. Bałem się, że mnie zdradzi. Nie wiedziałem co z nim zrobić, była taka chwila że chciałem go wrzucić do wody, ale to dziecko, nic nikomu nie winne no i naprawdę sam nie wiedziałem co robić. Zacząłem go pocieszać, pocałowałem nawet w głowę, zrobiło mi się tak jakoś dziwnie. Zacząłem go prosić, żeby nikomu o mnie nie mówił, że ja tu jestem. Że ja jemu nic złego nie zrobię. Przynękał mi że mnie nie zdradzi, więc go puściłem. I rzeczywiście widocznie nikomu nie powiedział, bo nie zauważyłem, żeby szedł ktoś w moją stronę. I tak poszwałem się, aż doszedłem niedaleko Grudziądza. Byłem już wtedy taki wyczerpany, że jak napotkałem w polu druty, to nie wiedziałem jak przejść przez nie, dołem czy górą. Jeżeli chciałem iść przez wierzch, to nie mogłem nogi tak wysoko podnieść, a jak jak przechodziłem dołem to nie miałem siły podnieść się. - - Tak wyczerpany - myślałem że to już mój koniec i wtedy zobaczyłem takiego starszego gościa, już pewno po sześćdziestce i on zauważył mnie i zaczął do mnie coś mówić. Usiłował mówić po polsku - wołał "choc, choc tutaj". Podeszedłem, a on mówi "müde", odpowiedziałem, że tak, jestem zmęczony. Zaczęliśmy mówić po niemiecku. Radził mi żebym się położył i że on też był w niewoli w pierwszej wojnie i wie co to jest niewola. Dał mi papierosa, ale jak zapaliłem, to tak mi się zakręciło w głowie, że mało nie upadłem. Wtedy on kazał mi iść jeszcze ze trzy kilometry, że tam za górką jest taki domek biały i koło tego domu są brzoźki, że w tym donku mieszka kobieta - katoliczka, nazywa się Kiedrowska i tam są dwie łódki. Doszedłem jakoś te parę kilometrów i rzeczywiście wszystko się zgadzało - ta kobieta akurat stała na dworcu. Poprosiłem ją, żeby przewiozła mnie na drugą stronę. A ona zaraz mówi "panie pan chyba z lagru, chodźże

pan tutaj". Poszedłem do mieszkania, poczęstowała mnie jedzeniem i zaprowadziła do stodoły. W tej stodole byłem trzy dni. Po tych trzech dniach ta kobieta dała mi taki warunek, trochę to śmieszne, ale tak było. Ona chciała żebym podpisał jej taką deklarację że ją po wojnie poślubię to wtedy ona mnie przechowa. To była starsza kobieta, córka pastora, wdowa, męża jej Niemcy zabili, miała jednego syna, który był na wojnie. Dwie siostry tej kobiety pracowały w Grudziądzu w Gestapo. Widziałem je bo odwiedzały ją w niedzielę, ale ja byłem wtedy schowany w stodole i tam przynosiła mi jedzenie. Dała mi 24 godziny do namysłu. Żebym był jakimś kłobuzem, to nie nasyślałbym się, przecież chodziło o życie, ale popatrzałem na nią, była pewno dwa razy starsza niż ja i pomyślałem sobie że oszukać jej nie mogę. Na drugi dzień powiedziałem że zgodzić się na ten warunek nie mogę. Wtedy dała mi na drogę trochę pożywienia i poszedłem dalej. Ale w tym czasie jak byłem u niej to był taki wypadek. Byłem w stodole na górze, na zbożu i ta kobieta przyszła do mnie porozmawiać. Ja jej jakoś zwierzyłem i opowiadałem o sobie, ona była ciekawa, a okazała mi swoje dobre serce, drabina była przystawiona. Naraż motor zabrzączał, przyjechał jakiś schupo, ona momentalnie zsunęła się na dół i słyszałem jak rozmawiała z tym schupo, pytała czy nie mają jakichś niewolników, bo trzeba mieć a ona jest sama i przydałaby się pomoc. Poszedł chwilę, porozmawiał, ale widocznie to był jej dobry znajomy, bo chociaż widział tą drabinę, ale na szczęście nie poszedł zobaczyć. Ja myślałem o tym że nie mam nic pod ręką żebym się ratował, zresztą byłem taki wyczerpany, że nawet żadnego oporu nie stawiałbym. No ale pożegnałem tę kobietę i wyruszyłem dalej w drogę. Szedłem chyba 24 godziny i taki byłem ogłupiały, że po tych 24 godzinach wróci-

łem dokładnie w to samo miejsce skąd wyszedłem. Były tam jakieś zagajniki, piski, a ja byłem trochę wypoczęty, szedłem więc już się nie zatrzymując tylko uważałem żeby nie zetknąć się z robotnikami i wreszcie wieczorem, jak wczeszedł księżyc doszedłem do takich dwóch dużych stogów słomy i zobaczyłem, że to właśnie stamtąd poprzedniego dnia wyszedłem. Tak całą dobę w kółko chodziłem. Przesiedziałem w tym lesie do nocy, wybrałem sobie 3 gwiazdeczki i poszedłem w kierunku Wisły, patrząc na te gwiazdki. Przechodziłem koło Kamionki Starej, Kamionki Nowej, Kamionki Poprzecznej i dotarłem aż do Rypina. Tam gdzieś przenocowałem u jednego gospodarza. Chciałem iść do wioski Firany - tam miałem adres dobrego znajomego, razem pracowaliśmy w straży pożarnej, ja go wziąłem do siebie, on potem został zwolniony i jeszcze drugi brat, a jeden zmarł. Nazywał się Grochowalski, mieszkał w Firanach. Byłem już bardzo zmęczony, nogi miałem odparzone, jak zdjęłem buty i onuczki to na onuczkach zostały paznokcie. Napotkałem jakieś małe gospodarstwo, tam były ślady stawów rybnych i takie małe mieszkanie. To było koło Sadłowa. Gdy tam doszedłem, to pomyślałem, że w takim małym mieszkaniu to pewno będzie ktoś z majątku i zaszedłem tam. Była jedna kobieta i dwóch młodych mężczyzn, jeden miał jakieś 30 lat, a drugi młodzieniec pewno około 17 lat. Wszedłem, powiedziałem, że jestem podróżny, bardzo wyczerpany i może mogą dać mi coś do jedzenia. Niechętnie ale dała mi troszeczkę zjeść i zapytała gdzie idę. Widać było po mnie że skądś uciekam, bo byłem taki czarny, chociaż miałem mydło, ale mydło już tego brudu nie brało. Wtedy powiedziałem, że byłem na robocie w Niemczech koło Berlina, że jestem żonaty i mam czworo dzieci, że żona mi umarła, a gospodarz nie chciał mnie puścić, a ja przecież muszę gdzieś ulokować dzieci, bo one nie mogą po ulicy biegać, więc uciek-

len. Jak załatwię to wszystko, to do niego wrócę. Taką bajkę powiedziałem, bo inaczej nie mogłem mówić. I zapytałem się o te Firany, bo w myśl moją, to te Firany miały być gdzieś w pobliżu. Ta kobieta powiedziała że nie zna takiej wsi Firany. Ale coś ze cztery razy pytał do kogo tam idę. Odpowiedziałem jej że jeśli nie zna takiej wsi to nie może znać tam ludzi. Ale zrozumiałem, że ona mnie tak wyciąga za język. Wiedziałem, że ze mną już jest tak daleko, że jak mnie złapią, to i tak mnie zastrzelą, ale ten człowiek jest niewinny, więc jak mogłem podawać jego nazwisko. No więc podziękowałem jej za jedzenie i dalej dałem sobie jakąś radę. A wtedy ten starszy mężczyzna mówi "co tak człowieka męczycie, Gajcio mu spokój i niech sobie idzie z Bobiem", a do mnie, że nam iść do wieży triangulacyjnej a stamtąd jakieś 8 km do Firan. - Jak wyszedłem stamtąd to poczułem jakby to już były ostatnie sekundy mojego życia. Zobaczyłem na polu 5 stogów, za wszelką cenę chciałem dojść do tych stogów i tam się skryć żeby ona nie wiedziała gdzie ja poszedłem. Nie doszedłem jednak do tych stogów. Zauważyłem że z mojej lewej strony jedzie na dwukółce 2 mężczyźni ile tylko koni wydadzą. Zajeżdżali mnie z przodu. Podjechali do mnie. Jeszcze wtedy chciałem uciec za każdą cenę. Pomyślałem, że wszystkich moich kolegów co uciekali to powiesili albo psami podarli i wiedziałem że mnie też nie darują. Kombinowałem, że oni z bryczki wysiądą i będą za mną gonić, to chciałem odciąć tego konia i uciekać. Może się uda. Tam był rów, ale oni jakiś ten rów przejechali, ja przeskoczyłem znowu rów, oni znowu go przejechali, ale przewrócili bryczkę i dobiegli do mnie. Jeden odrazu tak mnie kopnął, że się przewróciłem. Wtedy zacząłem ich prosić, żeby mi dali spokój, bo ja i tak ledwie na nogach się trzymam. Zapytali czy jestem Polak czy Ruski. Jak powiedziałem, że jestem

Polak, to mówią "nie uciekajcie, bić was nie będziemy". Ale to wyglądało jakby wszystko było już umówione. Za kawałek podjechał na rowerze jakiś milicjant w służbie niemieckiej który prawie po niemiecku nie mówił i on mnie zaraz wziął ze sobą, skulił mi ręce i zaprowadził mnie do Sadłowa koło Rypina. Tam był Niemiec, starszy gdań, łysy, miał jedną gwiazdkę i ten powiedział "gleich erschossen" i zapytał czy rozumiem po niemiecku. Odpowiedziałem "ja wohl". Już wtedy uważałem że nie warto kręcić, lepiej powiedzieć wszystko, bo i tak żyć nie będę to lepiej żeby mnie odrazu zastrzelili, a nie męczyli jeszcze parę tygodni. Więc powiedziałem że ucieknę ze Stutthofu. Kaszał mnie wyprowadzić, myślałem że każe mnie zaraz rozstrzelać, ale zaprowadzili mnie do takiego małego domku. Miałem zaszyty adres tego Grochowalskiego z Płan, bałem się że znajdują ten adres, więc poprosiłem tego policjanta, żeby zaprowadził mnie do ustępu. Zapytał czy nie będę uciekał, powiedziałem "jak mam uciekać, kiedy nogi trzęsą mi się ze słabości" i że jestem już 2 tygodnie na polu i nic gotowanego nie jadłem, tylko surową kapustę, buraka czy marchew. Miałem jeszcze pora przy sobie. On zaprowadził mnie do ustępu, ale prowadził mnie jak psa, łańcuch miał przeciągnięty na kółku u ręki, no i pozwolił mi wejść do ustępu. Jak tylko przytknął drzwi, momentalnie rozdarłem te zaszyte gdzie była ta kartka i kartkę połknąłem. Wtedy byłem już spokojniejszy. Przeprowadził mnie spowrotem i zapowiedział że tu będę siedział najdłużej dwie godziny. Zostawił mnie, a ja obejrzałem sobie to pomieszczenie. Tam były białe jakieś słupki, jakby wędzarnia, był tam drewniany węgiel palony, jakieś haki wmurowane, u dołu i u góry, w ceniecie, i była taka sztanga. Po godzinie przyszedł do mnie i zaprowadził do tego biura, gdzie był ten Niemiec. Przed

tym biurem stał wóz zaprzężony w jednego konia i zrobione było takie siedzenie z worka. Kazał mi tam wsiąść, nie mogłem wejść bez pomocy rąk, a ręce miałem z tyłu związane - wtedy pomógł mi wsiąść. Poprosiłem trochę wody, bo usta miałem zupełnie spalone, zawołał jakąś pannę Zosię żeby mi przyniosła wody. Ona musiała mnie napić, trochę pooblewała a za chwilę wyszedł ten Niemiec i znów powiedział "gleich schassen" i do tego, policjanta pewno ze 6 razy powtórzył "auffassen, auffassen, das ist gutes vogel" To drodze złapała nas burza i straszny deszcz - ten człowiek mnie okrywał bo widocznie litował się że jestem taki wyniszczony. Przyjechaliśmy pod Rypin, tam były koszary niemieckie i tam byli baloniarze niemieccy, zaczęli się pytać co ja za jeden - powiedziałem że jestem spadochroniarz, bo wysłaleni że mi prędzej w łeb palną i wreszcie będą miał spokój, ale oni jak to usłyszeli to zaczęli się pytać po co przyleciałem. Odpowiedziałem, tak jak umiałem po niemiecku że miałem mosty srywać, ale za szybko mnie złapali - nie zdążyłem żadnego mostu zniszczyć. W Rypinie zawiezli mnie pod tak zwaną "czarną chorągiew", tak to nazywali, bo tam jak kto wszedł, to prawie nikt żywy nie wychodził. Tam był jakiś Niemiec, kazał mnie rozkuć i zapytał skąd jestem. Powiedziałem że uciekłem ze Stutthofu. Dał mi zapalić i jakoś nieźle się ze mną obchodził. Wtedy pomyślałem że może tak źle nie będzie. Ponieważ dobrze nie umiałem po niemiecku to dali mi tłumacza. Zaczęłam opowiadać że nic złego Niemcom nie zrobiłem. To on wtedy że miałem zrobić podanie to byłoby mnie zwolnili, poco uciekać. Zapytałem go czy zna obós, czy wie co się tam dzieje, że gdybym zrobił takie podanie to dostałbym 25 na tyłek, a podanie poszłoby do kosza, takie byłoby to zwolnienie. Ten tłumacz wszystko to mu powtarzał. To tanten tylko głową pokręcił. Zabrali mi wszystko co miałem, spakowali

do werka, ten co tłumaczył dał mi kawał chleba i zaprowadzili do aresztu, tylko zapowiedział żebym nie uciekał. Ale ja nie byłem już zdolny uciekać. Obchodzili się ze mną dosyć dobrze. Tam w areszcie było kilku ludzi, jak mnie przyprowadzili, to wstali z prycky i zaczęli pytać co ja zrobiłem. Powiedziałem że uciekłem z obozu koncentracyjnego. Wtedy mówili, że napewno mnie wykonczą. Oni siedzieli za rozmaite rzeczy, takie głupstwa, to wódkę pędzili to coś tam innego. Tych wywieźli na drugi dzień na rozprawę. Ja tam byłem niecałe dwa tygodnie. Potem przyszedł jeden taki Bawarczyk, miał ze sobą taki krótki łańcuszek i na tym łańcuszku prowadził mnie znowu do tego ich biura. Było mi bardzo nieprzyjemnie, akurat był targ i było bardzo dużo ludzi. W biurze była jedna niewiasta i ona powiedziała, że teraz będą pisać protokół, a ja mam tłumaczyć się tak jak mnie będzie wygodniej. Mówiła po polsku i zapytała czy ja mówię po niemiecku czy ma tłumaczyć. Naturalnie wolałem mówić po polsku. To była bardzo uprzejma i dobra kobieta. Zapytała gdzie się urodziłem, gdzie pracowałem, gdzie w wojsku służyłem. Potem zapytała mnie co zmusiło mnie do ucieczki. Powiedziałem, że wszyscy moi koledzy pomierali, i że ja jestem w domu najstarszym synem, że jak dostałem od rodziców paczkę z sucharami to formalnie jeść ich nie mogłem, bo ja rodzicom pomagałem, a teraz siedzę w obozie i oni mi muszą pomagać. Jak wysłałem o tym, to byłem formalnie jak pijany, nawet nie pamiętam jak wyszedłem z obozu. Jak już wyszedłem to później szkodowałem że uciekałem, że wiedziałem że źle zrobiłem, ale bałem się wrócić, bo jak wrócę to bardzo mnie będą bić. Popatrzyła na mnie, potem dała mi to, przeczytała, tak wszystko było jak mówiłem - nie miałem nic do poprawienia. Odpisałem ten protokół, zaprowadzili mnie spowrotem do więzienia i wieczorem przyszedł taki starszy SS-man

i powiedział że następnego rana wywozą mnie spowrotem do Stutthofu. Aż mi się słabo zrobiło. I rzeczywiście następnego rana przyszedł i zabrał mnie, nie skulił nawet, spokojnie prowadził przez ulice. Po drodze zatrzymał się, rozmawiał z jednym kolejarzem, ja na niego czekałem. Dał mi skręcić papierosa.- Spotkalismy tego dnia z biura, znowu z nim rozmawiał. A ja zacząłem znów myśleć, żeby spróbować uciekać. Na dworcu zapytałem czy mogę odejść załatwić się. Kazał mi iść za stodołę. Poszedłem, ale tam wszędzie było pole otwarte i nie było możliwości uciekać. Zapakował mnie do wagonu, oddał moje dokumenty kierownikowi pociągu, pokiwał ręką i pojechałem, a właściwie pojechaliśmy bo nie byłem sam, było ze mną więcej więźniów. Przyjechaliśmy do Torunia, stenczas zobaczyłem już pełno SS-manów, byli z psami, zrobili kordon i prosto z wagonu zapakowali nas do takiej karetki. Na dworcu w Toruniu byli żołnierze, chcieli dać nam papierosów, rzucali, ale ci SS-mani kłócili się, chcieli nawet strzelać. Zawieźli nas do takiego baraku. To był taki długi barak. Tam ustawili nas na korytarzu i zaczęło się sortowanie. Mnie przydzielili do tych co byli przeznaczeni do Gdańska, bo to ze Stutthofu. Jak usłyszałem to słowo Stutthof, to nogi się przede mną zatrzęsły. Myślałem co mnie czeka - albo powieszenie, albo rozszarpanie przez psy, albo bunkier na 14 dni, to i tak nie wyjdę, tam już mnie wykończą. Z Torunia przewieźli nas do Malkorka samochodami, które wjechały aż za bramę do więzienia. Dopiero jak zamknęli bramę więzienia to nas wyładowali - była już pewno godzina 9-ta rano. Tam było dużo ludzi, mówili że chodzą do gospodarki, że nie tak źle, można tam coś zjeść. Bo to wtedy sobie pomyślałem, że będzie można próbować uciekać bo najwyżej mnie zastrzelą, to wolę niż iść do krematorium. Postanowiłem sobie że do tego piekła nie pojedę. Zaraz tego samego dnia po obiedzie, gdzieś koło godziny 3-ciej, wybrali nas siedmiu jechać nad Wisłę, ładować owoce. Był z nami jeden ge144powiec

załadowali nas na samochód, była też przyczepa. Pojechałem. Jeść pozwolili nam tych owoców, ile tylko chcieliśmy, aby nie zabierać nic do kieszoni. Rzeczywiście najedliśmy się tych owoców. Był tam jeden stary wachman, pytał mnie skąd jestem, częstował papierosami, ale cały czas był przy mnie i nie mogłem się urwać. Jak mu powiedziałem że uciekałem to tylko pokręcił głową że to niedobrze. Jak wracaliśmy to samochód zostawili, a nas pieszo prowadził przez miasto. A ja ciągle nam w myśli że trzeba za wszelką cenę próbować uciekać. Co nam czekać na śmierć w Stutthofie. Robiło się już ciemno. Nachyliłem się i zacząłem but poprawiać, on na mnie nie czekał, - było już ze 30 m odległości i naprawdę byłbym uciekł, ale niestety obtapili mnie tacy młodzi Niemcy, więc poprawiłem niby ten but i dopędziłem tego wachmana. Przeprowadzili nas do więzienia, a na drugi dzień rano załadowali pełniutki samochód. Między innymi było tam dwóch młodych Rosjan, na nogach mieli takie lekkie, cieniutkie buciki i kożuszki. No i powieźli nas przez Nowy Dwór do Stutthofu. Jak zobaczyłem ten las, ten oboz w Stutthofie to powiedziałem sobie "mój grób", ale trudno nic już nie mogłem zrobić. Przywieźli nas do obozu, zaraz wyładowali nas wszystkich - postawili pod ścianą, a tych Roskich poprowadzili dokoła, do krematorium i zaraz usłyszalem strzały. A nas tam też ustawiają, zapytałem czy mnie nie poznaje, a ten "du bist Patron - mein Gott, mein Gott". Za kilka minut już wszyscy wiedzieli że jestem, przecież wszyscy mnie znali - byłem od początku w Stutthofie. Zaprowadzili nas pod kanerę a tam przyszedł Hoppe - komendant i jego zastępca Meier-Pocian. Zawładali mnie, podszedłem, wyprężyłem się, tak i wiedziałem że lubią. Spojrzeli na mnie, uśmiechnęli się obaj i Hoppe zapytał czemu uciekałem. Nie miałem już wtedy nic do stracenia, więc śmiało powiedziałem, że wszyscy moi koledzy

już umarli - nigdy nie wrócą, a ja się ratowałem ucieczką - od razu tak wszystko powiedziałem. Hoppe zapytał czy mi było żal że uciekałem. To ja mu na to, że jestem najstarszy w rodzinie, że przed wojną pomagałem rodzicom, a teraz jak oni mi przysłał suchary, bo przecież nic lepszego przysłać nie mogą, to ja te suchary oblewałem kłami i nie mogłem ich jeść.- Chciałem się - mówię-jeszcze jeden raz z rodzicami zobaczyć. Pozwólcie mi ich jeszcze ten jeden raz zobaczyć - to potem możecie robić ze mną co chcecie. To wszystko mu powiedziałem. Oni stanęli, popatrzyli na mnie i między sobą rozmawiają, że Niemcom nic nie zrobili, że nie nie ukradli. Ale zapytali jeszcze dlaczego uciekałem na Warszawę, a nie do Gdyni, że pewno chciałem iść do lasu, do partyzantów. Wtedy zawołałem: "ich, partisanen - nein" i że gdybym uciekał do Gdyni to z psami poszliby zaraz za mną i psami podarliby mnie tak, jak innych co uciekali psami podarli. Tak powiedziałem. Wtedy Eocian zapytał czy chcę zostać volksdeutschem. Odpowiedziałem że byłem Polakiem, jestem Polakiem i zostanę Polakiem. Postali wtedy tak z 10 minut i Heier zapytał "co z nim zrobić" a jak Hoppe odwrócił się w drugą stronę, to zobaczyłem, że mu łzy w oczach stanęły. Tak jakos potrafiłem jego serce poruszyć. Poszedł trzy kroki i powiedział "na barak". I absolutnie żadnej kary nie otrzymałem - absolutnie nic. Miałem szczęście że trafiłem na najwyższą władzę. A potem ten gruby Knoth też mnie pytał czemu uciekałem, ale jakos tak spokojnie, delikatnie, znowu powiedziałem że uciekałem bo chciałem żyć.- Jak mnie przebierał to kazał mi dać najlepsze ubranie. - - Dostałem prawie nowe ubranie, ale mi je zabrali i dali mi te pasiaki. Musiałem w tym chodzić i dali mi takie kółka na pasiaki za to że uciekałem. Za całą karę to dali mnie do roboty do cegielni. Tam był kapo taki z polskim nazwiskiem.

Jak dowiedział się że to ja jestem Patron, ten co uciekał, to dał mi lżejszą robotę - podwórko grabić. Potem przyszedł drugi i zapytał czy umiem ogród kopać - powiedziałem, że jestem ogrodnikiem. No to kazał mi kopać ogród. Poprosiłem o sznur i całą tę robotę zrobiłem bardzo ładnie, dokładnie. I tak w tym ogrodzie grzebałem, a przyszedł Meier i zaczął mnie wypytywać jak uciskałem. Jak powiedziałem, że przepłynąłem przez Wisłę, to chciał żebym pokazał jak się Wisłę przepływa. Ja mu na to że "kalt". To on że "jetzt kalt" a jak uciekałem to nie było zimno. Przeszedł Knoth i zaczęli się śmiać że teraz nam kółka to zdaleka widać gdzie strzelać. I tak zostałem w tym ogrodzie pewno ze dwa tygodnie. Aż kiedyś w nocy, jak byłem już w łóżku, spałem przyszedł do mnie Zielenka i kazał mi iść ze sobą. Wtedy pomyślałem że to już mój koniec. Ja byłem na bloku Zielenki. Ale on zaprowadził mnie obok kantyny do takiego wąziutkiego pokoju - wchodziło się z boku - patrzę a tam siedzi Rapportführer Chemnitz. Nie bił mnie tylko jakimś patykien tak dotykał. Zaczął mnie wypytywać o której godzinie uciekłem i dokładnie kiedy - powiedziałem że 25-go sierpnia o 11-tej przed obiadem. Potem zwołał Herbera - powtórzył to co powiedziałem. I znów kiedy uciekłem - chodziło o to żebym powiedział że w nocy. Bo jak to, w dzień uciekłem a wszystko się u nich zgadzało. Kazał mi dobrze sobie przypominąć i miał przyjść na drugi dzień do cegielni po odpowiedź, ale się nie pokazał - widocznie wtedy w nocy był pijany. A ja rzeczywiście uciekłem 25 sierpnia 1943 roku o godz. 11-tej przed południem, a przywieźli mnie spowrotem 8 września 1943 roku.

Relację zebrała

Franciszek Patron

Krzyszyna Krzewska

dr Węgrzynowicz Julian
nr oboz. 9230 z Torunia

zam. Le bomb
ul. Zwycięstwa



Węgrzynowicz Julian
9230

Dr. Julian Węgrzynowicz

były więzień obozu koncentracyjnego Stutthof

Nr. obozowy 9230

zawód: doktor medycyny

zamieszkały przed wojną w Toruniu

obecnie: Łobork, ul. Zwycięstwa

R E L A C J E

Zacząć muszę od końca naszej epopei wojennej. 19 czy 20-go września w czasie bitwy pod Kutnem i Łowiczem dostałem się wraz z innymi do niewoli - dwukrotnie uciekałem i spowrotem dostawałem się do niewoli, dopiero za trzecimrazem udało mi się ostatecznie nawiać. Ponieważ nie mogłem się dostać do Warszawy przez puszcę Kampinowską, postanowiłem wraz z innymi udać się do swoich miejsc zamieszkania. Przed wojną mieszkalem w Toruniu, więc tam się udałem. Wróciłem do Torunia w ostatnich dniach września, a może już w pierwszych października - dostałem się do swego mieszkania i pewno jakieś 10 dni do 2 tygodni tam mieszkalem. 18 października 1939 roku, rano, między 5-tą a 6-tą rano - usłyszałem stukanie do drzwi, otworzyłem, wchodzi Gestapo i SS-owcy.

Bardzo grzecznie zapytali czy tu mieszka pan Węgrzynowicz, a na moją twierdzącą odpowiedź równie grzecznie poproszono mnie, abym udał się z nimi na komisariat, ponieważ chcą sprawdzić personalia. Fodali palto, łaskę i do samochodu, takiego krytego brezentem, gdzie było już ze 20 osób - wepchnięto mnie. Zawieźli nas nie do komisariatu a na forty. I tam już odrazu przy wysiadaniu rozpoczęła się gehenna. Tak jak to było u nich w zwyczaju, planowane, przygotowywane, zaczęło się. Bijatyka, rozbijanie nosów, podbijanie oczu i tak dalej, poprostu maltretowanie nas wszystkich. Byliśmy tak zaskoczeni tym że poprostu nie wiedzieliśmy co to się dzieje. Nigdy nie przypuszczałem, że Niemcy, liczący się, bądź co bądź, w skali światowej jako naród kulturalny mogli być do tego zdolni. Poprostu człowiek zgłupiał. Dostało mi się trochę. Lotem spisywanie personalii, no i zamknęli nas w tym forcie nr.7. To były dawne koszary artylerii. Było tam już około 1200 ludzi z Torunia i z okolic. Przedewszystkiem inteligencja, było dużo lekarzy, chyba 16-tu, między innymi dyrektor szpitala dziś już nieżyjący. Dużo z nich zwolnili - przeważnie na skutek znajomości czy też powiązań z Niemcami, czy z jakimiś ustosunkowanymi osobami. Tak, że zostało nas czterech lekarzy: dr. Dębski, dr. Jasieński i ja, no i zupełnie przypadkowo dr. Fleszar. - - - - -

Jeśli chodzi o mnie, to wzywany byłem szereg razy na przesłuchania i to przeważnie w nocy. Zarsucano mi akt agresji w stosunku do Niemców toruńskich, a również i to, że byłem lekarzem wojskowym, w formacjach lotniczych. Chodziło o to, że w swoim czasie, w 1938 lub 1939 roku, w lokalu toruńskim "Pod Orłem", takim dość ekskluzywnym lokalu, gdzie często zbieraliśmy się, mieliśmy swoje łóżka, jak to przed wojną lotnicy - przecież byliśmy dość dobrze sytuowa-

ni - pewnego wieczora, a właściwie w nocy siedzieliśmy tam, a niżej zajmowali stół jacyś Niemcy mówiący cały czas po niemiecku na tematy polityczne wrogie Polsce. No i wtedy diabli nas wzięli, zaczęliśmy do nich przemawiać, że to przecież Polska, więc dlaczego po polsku nie mówią - oni zaczęli się stawiać, no i wtedy zrobiliśmy taki mały pogrom. Niemcy odnotowali sobie nazwiska, wszystkich tych których znali, na szczęście mego nazwiska nie mieli, bo jeszcze byłem mało znany, od niedawna zamieszkującym w Toruniu, bo mieszkałem tam zaledwie od końca 1938 roku. To też wtedy w forcie niczego nie mogli mi udowodnić, ja się naturalnie wypierałem swego uczestnictwa, no i jakoś to przeszło, w przeciwnym bowiem razie byłiby mnie rozstrzelali, jak wielu innych w lesie pod Toruniem t.zw. "Barbarki". Oczywiście te przesłuchania odbywały się normalnie według ich ustalonego trybu, z biciem, kopaniem, siściami. Potem dali mi spokój. Co do innych lekarzy nie mogę powiedzieć co im zarzucali, ale brali ich też na przesłuchania. Jednego Fleszara jakoś najmniej ruszali, ale jak się później okazało, to był człowiek urodzony w Ameryce, przypadkowo wpadł do Torunia, przypadkowo dostał się do fortu, był przewieziony do Stutthofu, ale wkrótce został zwolniony jako obywatel amerykański i wyjechał do Ameryki, gdzie i obecnie przebywa i jest tam lekarzem. - - - - -

Początkowo tak we czterech siedzieliśmy w forcie 7, potem na jakiś miesiąc przeniesiono nas do fortu ósmego - dlaczego nas przeniesiono nie wiem - może ten siódmy był przeznaczony dla innych celów, tego już nie wiem. - - - - -

Dwudziestego trzeciego marca 1940 roku kazano nam przygotować się na wyjazd. Czterech lekarzy: Dębski, Jasiński, Fleszar i ja. Prócz nas jeden Żyd, chyba 72-letni, je-

den ksiądz, jeden inżynier. Było to "towarzystwo" nie zbyt rokujące nadzieję. Element, czy też grupa ludzi, którzy według zasad hitleryzmu powinni być skazani na śmierć. - - - -

No i wyjazd w nieznane. Po drodze⁸ jedziemy z Torunia w kierunku Chełmna, przychodzą nam do głowy jakieś desperackie myśli, zastanawiamy się czy nie zrobić jakiegoś aktu rozpaczy i nie obezwładnić kierowcę SS-mana, dwóch Selbstschutzów, co byłoby się napewno udało, ale niestety spotkaliśmy się ze sprzeciwem innych naszych współtowarzyszy, którzy powiadają "no dobrze, my się wyzwolimy i gdzie pójdziemy". My chcieliśmy zginąć przynajmniej w walce, ale tamci zaprotestowali ze względu na rodziny. Wobec takiej argumentacji i to chyba większości, zaprzestaliśmy tych myśli. Dojechaliśmy do Chełmna, tam doładowano piętnastu czy osiemnastu księży, między innymi księdza Polta - to znana postać na Pomorzu. Był to czwartek czy piątek przed świętami wielkanocnymi, to też księża zostali bardzo sownie i obficie obdarowani paczkami przez katolicką ludność Chełmna i przez siostry zakonne. No i w tej zwiększonej grupie dowieźli nas do Grudziądza. W Grudziądzu samochód nasz zatrzymał się i czekał dłuższy czas. Nas nie wylądowali. Czekaliśmy tak parę godzin, nie mówiono nam nic na co czekamy, aż po tych paru godzinach podjechały dwa czy nawet trzy samochody ciężarowe, pod brezentem, kazano nam się przesiąść i okazało się, że to wiozą tak zwanych uczestników Bromberger Blutsontag / bydgoskiej krwawej niedzieli/. Wtedy nasze poczucie już całkowicie spało, byliśmy przygotowani, że to wszystko już się kończy, bo wiedzieliśmy już, że takich ludzi to Niemcy wykańczają. Było nas około 100 osób w tych, chyba, trzech samochodach. Naturalnie nie mogliśmy nic widzieć ani wyglądać to też zupełnie nie orjentowaliśmy się gdzie nas wiozą. Wreszcie dojechaliśmy do Neufarwasser, tam byliśmy tylko króciutko i

dalej w drogę. Dowieźli nas do Stutthofu. - - - - -

Do Stutthofu przywieźli nas już prawie w nocy. Było to dwudziestego trzeciego albo dwudziestego piątego marca 1940 roku. Był to Wielki Czwartek lub Wielki Piątek. Tego wieczora już nas Politische Abteilung nie przyjmował, bo to była chyba już godzina 10-ta albo nawet później - dali więc nas wszystkich z tego transportu na nowo budujący się blok, pierwszy od rewiru, baraku poprzecznego po prawej stronie. Była to chyba piątka lub szóstka. Barak posiadał dopiero dach i ściany, nie było jeszcze okien ani podłóg, nie mówiąc już o jakichś pryzkach. Było tam trochę słomy, zresztą bardzo mało, tak że leżeliśmy właściwie na lodzie. - - - - -

Następnego dnia przeszliśmy ten Politische Abteilung tam już było normalnie, typowo, ot takie cierpiętnictwo. Jedynie co mnie zastanawiało, że jeśli jest założeniem wykonać pewną grupę ludzi czy narodowości - to po co skazywać ich na męczeństwo? To mnie zastanawiało. Oczywiście ten Żyd, który z nami jechał, ten 72-letni Epstein czy Finkelstein, to już przy tym Politische Abteilung został odciągnięty za włosy i zastrzelony jak pies. Mój Boże! nawet psa tak się nie strzela. Usłyszeliśmy dwa czy trzy strzały i wiedzieliśmy, że to już jego koniec. Tu zaczęła się gehenna i moim zdaniem najważniejszym dla takiego nieszczęśliwca to było odpowiednie nastawienie się psychiczne. Jeżeli taki nieszczęśliwiec, więzień Stutthofu, zdawał sobie dokładnie sprawę z istoty rzeczy, pozatem jeśli jego napięcie nerwowe nie załamało i jeśli przystosował się szybko do warunków, jakie istniały - ten ewentualnie miał mniejsze lub większe szanse przetrwania. Byli ludzie, którzy jak to obserwowałem szybko się załamali. Ci ludzie, jeżeli nie szedł taki na druty, jak tego miałem dowody i widziałem / w tej chwili nie pamię-

tam nazwiska, chociaż długo je pamiętałem/ to i tak się wy-
 kończali. Był taki jeden czy nawet dwóch nauczycieli, któ-
 rzy nerwowo nie wytrzymali, a zdali sobie sprawę, że idąc
 do ogrodzenia z drutów zostaną zastrzeleni i poszli. Zdaje
 mi się że posten miał prawo zastrzelić każdego więźnia, któ-
 ry znalazł się jeden metr od drutów. Wprawdzie druty były
 pod napięciem, ale to nie to go wykańczało - wykańczał go
 wachman, który widział go ze swego miejsca na "bocianim gnieź-
 dzie". Ten metr od drutów to była taka linia demarkacyjna i
 jeśli tam ten posten zastrzelił więźnia to dostawał w nagro-
 dę jakiś okres, może parę dni, urlopu. Dla nich więc było
 to wielkie przeżycie i zabawa. - - - - -

Nie będę mówił o przyjęciach w Politische Abteilung,
 to są rzeczy już znane i oklepane. Mieściło się ono w tym
 drewnianym baraku i za moich czasów byli tam sami SS-mani.
 Z Polaków nie było żadnego ani tam ani przy ewidencjonowaniu
 Przyjęcie kończyło się na zrabowaniu wszystkich kosztowno-
 ci czy przedmiotów pewnej wartości jak zegarek czy obrączka,
 wogóle wszystkiego co kto miał. To był zwykły rabunek, bo
 uważam, że inaczej nazwać tego nie można - wypuszczano /na
 obóz/ tylko w rzeczach bez wartości, zresztą to są rzeczy
 znane i nie będę tego powtarzał. Potem dostawało się przy-
 dział na blok, no i przydział do pracy. To były rzeczy "nor-
 malne", setki razy już opisywane. - - - - -

Pracowałem początkowo na holzplatzu przy drzewie,
 rąbaniu, wożeniu drzewa, sprzątaniu śniegu. Tak trwało do
 maja. W międzyczasie przerzucono mnie do budowania ustępów.
 Wywoziłem śnieg, wyczerpywałem wodę, takie zwykłe ciężkie
 prace. Drugiego lub trzeciego maja 1940 roku stworzono gru-
 pę na tak zwane aussenkommando pod dowództwem oberscharfüre-
 ra Milentza pospolicie zwanego Bombą. To był Gdańszczanin

i to specjalnie palający nienawiścią do Polaków, a ten bardziej do inteligencji. Wyruszyliśmy więc na to aussenkommando do Prebernau, jak się potem okazało budować wały nadmorskie, tamę nadmorską, aby wydrzeć ileś tam hektarów ziemi z pod falew morza. Robota była w tempie "Immer laufschrift" to też ludzie padali tam jak muchy. Wywożono ich do bazy do Stutthofu, skąd znowu przywożono na to miejsce nowych. Dużo ludzi tam się wykończyło. Było nas tam przeciętnie około 200 do 250 ludzi. Mnie jakoś się udało, że po pewnym czasie onże oberscharführer Milentz kazał mi zostawać obozie i wykonywać roboty porządkowe. "Ciekawy" był ten nasz komendant Milentz - sadysta w każdym calu, znajdował szaloną przyjemność w gnębieniu inteligencji. Moją funkcją, z jego rozkazu, było czyszczenie wszystkich ustępów i śmiał się bardzo mówiąc "ty doktor, ty dobrze ten ustęp wyczyszciles". Kazał mi pozatem buty czyścić "na glana" i to nie tylko z wierzchu, ale i podeszwy musiały być wyczyszczone. To były wyraźne szykany w których oni się lubowali. Sytuacja zmieniła się po pewnym czasie, kiedy zachorowało dziecko właścicielki domu, w którym mieszkali Niemcy. Udzieliłem tam pomocy lekarskiej, na szczęście dziecko wyzdrowiało i jakoś od tego czasu Bomba zmienił stosunek do mnie, bo do tego momentu wybitnie mnie szykanował, a że nosił zawsze ze sobą szpicrutę, to za każdym razem przy rozmowie musiałem od niego oberwać po twarzy i nie tylko po twarzy. Później to ustąpiło i to tylko dzięki temu udzieleniu pomocy dziecku. Od tego czasu potrafił nawet zawołać mnie rano i dać talerz niedojadek z ich stołu. Współtowarzysze moi niestety bardzo cierpieli. Warunki były bardzo ciężkie. Głód panował wielki. Przed Milentzem był w Prebernau Lenau - to był pijaczyna, ale nie był takim sadystą, a pozatem robił dobre

interesy z temi baumajstrami. W Prebernau byłem od maja do 20-go lub 22-go grudnia. Tam też ciężko zachorowałem, ale jakoś się wykaraskałem. - - - - -

W Prebernau to było jakieś przedsiębiorstwo, jak zwykle u nich, prywatne, które płaciło do obozu za każdego więźnia trzy czy pięć marek, a nas karmiono kartoflami w mundurkach i łbami z dorszów-pomuchli. To najczęstsze nasze jedzenie. Była chyba kilka razy grochówka, to uważaliśmy za bardzo dobre jedzenie. W tym okresie zabronione były paczki, to też żadnych paczek ani listów nie można było otrzymać. Ginęli więc ludzie na skutek wycieńczenia i głodu, ginęli ludzie, którzy już nie mogli wytrzymać to też próbowali ucieczki i też ginęli. Tak że zasadniczo nikt nie uciekł z tego obozu, chociaż próby były czynione. Chciałbym jeszcze zaznaczyć, że w czasie naszego marszu, przeszło dwudziesto-kilometrowego, ze Stutthofu do Prebernau, pluto na nas, obrzucano nas grudami, kajnem, wyzywając "wy polscy bandyci" "wy urządziliście krwawą niedzielę" i takie różne historie. To robiła propaganda i specjalne nastawienie, które docierały niewątpliwie prawie do każdego z cywilów. To był przecież teren Wolnego Miasta Gdańska, a i tu ludzie byli tak nastawieni. — To był obóz pierwszy założony na dzisiejszych terenach polskich, ale wtedy to nie były ziemie polskie a teren wolnego miasta Gdańska. - - - - -

Przed samymi świętami Bożego Narodzenia wrócono nas do Stutthofu. Był to okres w którym wszyscy mieliśmy ciężkie chwile. Ja również miałem swoje przeżycia, ale wtedy czułem, że moja psychika była już całkiem zrównoważona, poprostu ja miałem wiarę, zresztą nie wiem skąd ona mi się wzięła, ale wierzyłem, że ten obóz przetrwam i doczekam Wolnej Polski. I ta moja wiara trzymała mnie i tą wiarą zarażałem innych,

którzy bliżej się ze mną zetknęli. - - - - -

Staraliśmy się pomagać jedni drugim. Naprzykład był w Prebernau kapo Ryczakowicz z pod Świecia, nauczyciel z zawodu, człowiek o nieposzlakowanym charakterze. Gdyby był inny kapo, to byłoby tam dużo więcej ludzi wyginęło. Nie wiem co się z nim teraz dzieje. Znał on dobrze język niemiecki, to ułatwiało mu życie, a on z kolei pomagał innym. Ja też mogłem już podkarmiać innych, bo Bomba jak już wspominałem mnie dokarmił, czasem tym talerzem jakichś resztek, czasem kawałkiem chleba z margaryną, to też ja nie byłem już głodny i nieraz udało mi się pomóc innym. Był też tam inspektor szkolny Burzynski, którego zabrali wcześniej do Stutthofu i dali go do kolumny karnej - straffkolony. To była wykarczalnica - na osobnym bloku mieszkali, w zimie chodzili bez żadnej ciepłej bielizny, w cieniotkich pesiackach. Nie wolno było im mieć nawet żadnego swetra i tak w dzień i w nocy. Na bloku nie wolno było usiąść. Na szczęście pomagali im inni więźniowie. Ja też po powrocie do Stutthofu mogłem trochę pomóc Burzynskiemu. - - - - -

Po powrocie do Stutthofu kazali mi znowu iść do... "porządkowych prac", znowu zamiatałem śnieg i inne takie prace wykonywałem. Pewnego razu nie zauważyłem, że z tyłu szedł Mathesius, coś mu się nie podobało, a że był to bokser, to jak mi dał "sierpowego" to odrazu znalazłem się na ziemi, a on był zadowolony, że udało mu się sierpowy. Zresztą nawet nie usiłowałem stać po jego uderzeniu, bo znałem już wtedy prawa obozowe, a wiedzieliśmy starzy obozowcy, że jak Mathesius zamachnie się tylko, to lepiej już odrazu znaleźć się na ziemi, bo on wtedy śmiał się i cieszył się, że mu się udawało położyć człowieka. - - - - -

Po krótkim czasie, bo gdzieś około 5-go czy 6-go

stycznia 1941 roku stworzyli grupę więźniów i wysłali nas na Westerplatte, dla oczyszczenia terenu. Grupa nasza liczyła około 200 ludzi. Był tam z nami jakiś unterscharführer którego nazwiska nie pamiętam, nie był z tych najgorszych, więźniowie mało go obchodzili, on był nastawiony na szabrowanie. Wyszabrował stamtąd centralne ogrzewanie, wanny, piece, cegły i wogóle materiały budowlane. Ale to był możliwy człowiek. Na Westerplatte część z nas chodziła po terenie sprzątała, ale większość była zatrudniona przy załadunkach i wyładunkach. Kiedyś znalazły się tam krowy. Jakaś grupka z naszych chodziła je karmić i doić, to wtedy nawet trochę mleka zorganizowaliśmy. Mieszkaliśmy w tym głównym budynku, a właściwie w jego resztkach. Piętro było zniszczone, ale na parterze, chociaż tam przeciekało, ale jakoś mieszkaliśmy. Często zdarzały się jakieś pokaleczenia, więc robiłem tam trochę opatrunków, inni znów wracając znosili po parę patyków, trochę gałązek, a na tej głównej sali były piecyki żelazne, tak zwane krystki, więc paliliśmy tam. Każdy starał się zorganizować coś do jedzenia, choćby trochę dorszów czy fląder, czy choćby wątroby dorszów, to też tam jakoś trochę odżywiłiśmy się. Zamykano nas w tym pomieszczeniu o godzinie 7-ej wieczorem i tylko dokoła chodził wychman, więc mieliśmy napewno trochę lepiej niż w obozie. --- Byliśmy na Westerplatte do maja. Na wiosnę oczyściliśmy teren Westerplatte już tak "na gładko", bo przed nami już go inni trochę wyczyścili. - - - - -

W początkach maja dali nas spowrotem do Stutthofu. Zlikwidowali wtedy całkowicie Aussenkommando Westerplatte. Tam mieliśmy bardzo dobrego kape - to był Pomorzanin, był on ulubieńcem tego naszego komendanta, pomagał mu wozic te materiały szabrowane do budowy willi czy domu i na koniec

z samochodu mu nawiał. Pamiętam, że cieszyliśmy się tem bardzo, bo to był bardzo miły i dobry człowiek. - - - - -

No więc w początkach maja wróciliśmy do Stutthofu, dostałem się do Waldkolory. Tam był kapen Kozłowski, ale jakoś ja od niego krzywdy nie doznałem. On wiedział kim ja jestem, ale jakoś mnie nie krzywdził. Kozłowski to niewątpliwie był człowiek chory psychicznie, jakaś taka jednostka wypaczona przez przejścia w obozie, bo niewątpliwie on też przeszedł swoje. Tam pracowałem do 22-go maja, pamiętam dokładnie że dwudziestego drugiego maja 1941 roku kazano mi dołączyć się do grupy wyjeżdżającej do Grenzdorfu. - - - - -

Grenzdorf to było aussenkommando jedno z najcięższych. To były kamieniołomy, nie góry, a pola z kamieniami? Trzeba było wozić te kamienie, tłuc i tak dalej, ale nie w tym leżało sedno, rzecz miała się tak, że to było aussenkommando przeznaczone dla eksterminacji. Tam w pierwszym rzędzie poszli nauczyciele, apóźniej księża, no i Żydzi. Typowa eksterminacja. Kogo tam mieli wykończyć to wykończyli. Z lekarzy to był tam przede mną Witold Kopczyński, Gdańszczanin. Nad nim się tam mocno znęcali, potem jego zabrali a dali mnie. W Grenzdorfie moja wiara w przetrwanie obozu zaczęła się załamywać. Wiedziałem co to jest Grenzdorf. - Kapen był Kozłowski. Ale jakaś taka samoobrona życiowa ka-zała mi dojść do przekonania, że tu też będzie można jakoś przetrwać. Komendantem był untersturmfürer - sadysta jak cholera - nazwiska jego nie pamiętam. Był też w Grenzdorfie jak w każdym aussenkommando sanitariusz "zgodnie z konwencją międzynarodową i opieką nad zdrowotnością", z tą różnicą, że ten sanitariusz miał zupełnie inne zadanie - nie zdrowotność a odwrotnie - uśmiercanie. Tam był sanitariu-

szem SS hauptcharführer Rappel. On dowiedział się, że jestem lekarzem. No i w związku z tym był taki ewenerant. Śmieszne to, ale warto opowiedzieć, bo jakimi drogami człowiek dochodził do takich sytuacji, że mógł przetrwać. No więc chodziło o to, że okolica była ogolona z mężczyzn, to też SS-mani po zajęciach, po służbie chodzili do bab. Przychodził raz Rappel do mnie i pyta: ty doktor? - odpowiedziałem, że tak, jestem doktorem. Wtedy on do mnie "wiesz co, ja trochę nie mogę" - no więc ja wtedy dawał kombinować jak mu "pomóc". Ale myślę sobie, jak cię już złapałem na wędkę - to będę trzymał. Dawałem mu więc rozmaite rady, wtedy on mi zaczął dawać a to chleba, a to zupy. Jednym słowem medycyna pomogła. Jestem przekonany, że gdybym nie był lekarzem, to Grenzdorfu nie byłbym przetrzymał. Bo tam zmian nie było, pracowało się przed obiadem i po obiedzie, czasem przychodziło się na obiad, czasem zawozili obiad na robotę. Ja przy pracy kamieniarskiej byłem krótko i to dzięki tej inpotencji tego naszego "pana", potem zatrzymywał mnie już w obozie, dawał rozmaite podle funkcje, podle w naszym mniemaniu, ale zbawienne dla przetrwania, czy też przetrzymania tego życia. A że ja powiedziałem sobie że przetrzymam, to było mi obojętne jaką pracę mi dawali. Zrobili mnie kelnerem - proszę bardzo, nosiłem im jedzenie, pamiętam kiedyś był taki dzień, że ugotowali jakiś gulasz z płuc, nie chcieli tego cholery jeść, dobrze, to ja te dwa czy trzy wazy zabrałem i do siebie. A że tam był i Sokół i inni, to ja im to zorganizowane jedzenie dawałem. Był tam też razem ze mną jeden z Torunia, nazwiska jego już nie pamiętam, wiem jednak że miał w Toruniu dużą drogerię. Ile mogłem to organizowałem jedzenia, bo ja dla siebie już przecież nie potrzebowałem. Miałem i z kuchnią kontakty, to też ile się dało to kombinowałem i przeka-

zywałem kolegom. Wreszcie w końcu 1941 roku zaczęli obóz w Grenzdorfie likwidować. To komando w Grenzdorfie liczyło również ponad dwieście do trzystu osób, codziennie po kilka osób umierało, nie mówiąc już o tym, że wykończyli całą grupę Żydów. No i tam w Grenzdorfie Kozłowski już odznaczył się sadyzmem. Po apelu, na sali to tam się straszne sceny odbywały, krzyki, hałasy - on tam walił na lewo i na prawo. Gdyby wtedy był jakiś inny kapo to zginęłoby o wiele mniej ludzi. To trzeba obiektywnie powiedzieć, chociaż, mimo tego muszę zaznaczyć, że Kozłowski miał też swoje walory. On był Polakiem i czuł się Polakiem. Obserwowałem go później, zresztą nie tylko ja ale i inni lekarze. On zresztą miał w stosunku do nas respekt i to przede wszystkim do Jasińskiego, do mnie też, choć już trochę mniejszy. W pewnych momentach on się do nas zwracał. To był chory człowiek o słabej kondycji nerwowej, który na skutek tych przeżyć załamał się. Ale bezwzględnie on czuł się Polakiem. Tego jestem pewny. Kradł, potrafił zakatrupić stołkiem, ale miał jakiś taki swój respekt do inteligencji polskiej i wielokrotnie dawał mi wytyczne czy polecenie, żeby na tego czy innego uważał i on się stosował do tego. Wszystko zależało od jego nastroju. Kozłowski raz wpadał w nastrój jakiś liryczno-religijny, innym razem, nie wiadomo było z jakiego powodu, znowu w nastrój sadystyczny, jednym słowem zmienność typowa dla choroby psychicznej, czy psychopatii, oczywiście choroby wytworzonej przez warunki czy stosunki obozowe. --- Zresztą na jego procesie ja wyraziłem swoją opinię, że to jest człowiek najpierw do obserwacji psychicznej, a dopiero później do sądzania. Za krótko ich wszystkich skazano.

W Grenzdorfie byłem do samego końca to znaczy do listopada, zostawili nas na koniec chyba ze 20 ludzi do roz-

biórki. Wtedy był już głód. Było bardzo źle. Potem dali nas jeszcze na jesienne roboty do majątku tam koło Grenzdorfu. Pracowaliśmy tam przy wykopkach kartofli, buraków, brukwi - mieszkaliśmy w majątku, byliśmy strzeżeni, zamykani na noc, ale wtedy to już głodu nie mieliśmy - "organizacja" była dobra. W końcu listopada czy w początku grudnia przesłano nas spowrotem do Stutthofu i tam od razu zamknięto do bunkrów. - - - - -

Wpakowali nas do bunkra, to była taka malutka celka tak, że nawet usiąść nie było można, tam byliśmy chyba 2 doby, myśleliśmy, że to już nasz koniec, że nas tam wykończą, czuliśmy się jak kurczak w kojcu, który nie wie, kiedy go wyjmą na zarżnięcie. Nie można było się ani dopukać, żeby załatwić jakieś funkcje fizjologiczne - poprostu tortury się tam przechodziło. Ani wody, ani chleba nam nie dali - - zapomnieli. Całe szczęście, że jako starych obozowców już nas nie rewidowali, a każdy coś miał, ten kartofle, to chleb a to nawet szmalec, tak, że nie brak jedzenia był najgorszy, ale najgorsze to było z tymi funkcjami fizjologicznymi, bo jak zostaniesz - to wśród jak cholera, a potem i bicie i wogóle niech to cholera. - - - - -

Po tych dwóch dobach wypuścili nas z bunkrów, raz i do roboty. Ja poszedłem znowu do waldkolony. Kto był wtedy kapem to nie pamiętam, ale nie Kozłowski, bo tam już jego pocharatali i był już chyba w szpitalu. Bo to właśnie w tym czasie jak nas wypuścili na bloki to Kozłowskiemu samosąd zrobili. Ja wtedy chodziłem z siekierą czy piłą do lasu. - Przychodziliśmy tylko na apele - bo to od początku, czy to w Grenzdorfie czy w Stutthofie, to apel poranny i wieczorny to była święta rzecz. W obiad nie było apelu. Ani w Grenzdorfie ani w Stutthofie. - - - - -

No więc pracowałem w tej Waldkolonie - zima, człowiek wiecznie mokry, zziębnięty, byłem wtedy na bloku piątym koło rewiru, tam był w tym czasie Stubenältestern Kamiński. Wieczorem po tym "capstrzyku" w czasie kiedy wszystkie światła były pogaszone /światła były tylko na wieżyczkach strażniczych/, ubikacja była jeszcze wspólna na środku, nie było jeszcze ustępów na blokach - to był przecież jeszcze stary obóz, bez kanalizacji, jeżeli ktoś potrzebował wyjść w nocy za swoją potrzebą, to stawał w drzwiach baraku i musiał wołać: "Herr Posten, bitte aufzmetten zu dürfen" i wtedy dopiero można było iść, ale i to nie było pewny czy nie strzelą. Między innymi pamiętam z mojego bloku jakiś ksiądz czy zapomniał wołać, czy posten nie usłyszał, czy coś innego, dość że strzał padł i koniec. To oni, ci posteni, robili sobie takie zabawy - no i zastrzelił człowieka, a za to dostał jeszcze chyba 5 dni urlopu. - - - - -

No ale ja chciałem powiedzieć jaki wpływ miał ów Kamiński na całość. Nie wiem skąd on miał wiadomości, bo ja dopiero świeżo z tego Aussenkommando przyszedłem i nic nie wiedziałem, ale co za odwaga u niego była - bo jak już było ciemno, my wszyscy leżymy, to on zaczynał mówić "proszę kolegów, sytuacja obecnie tak i tak wygląda" i opowiadał o sytuacji politycznej, strategicznej, a to był akurat czas takiego gania się po Afryce Północnej, El Alamein, no i takie rozmaite wiadomości. Nie wiem czy wszyscy słuchali, ale udawali, że nie wiedzą kto i co mówi. A to był Kamiński. Niewątpliwie on swoją dobrą robotę zrobił, bo to nas jeszcze bardziej na duchu podtrzymywało. - - - - -

Tak ja tam pracowałem, ale już nie bardzo mogłem wytrzymać - ślota, deszcz, śnieg, zaziębienia, bo tylko w tym cieniutkim ubranku - dawało mi się to już porządnie we znaki. W nocy szereg razy musiało się lecieć za tę potrze-

bą fizjologiczną - straszna rzecz to była, co 15 - 20 minut. Kombinowało się wprawdzie to jakieś butelki, to znów coś innego, ale to nic nie pomagało. Czułem, że już nie dać rady wytrzymać, więc postanowiłem jakimś sposobem dostać się do rewiru. Poszedłem więc, a wtedy w rewirze był jeszcze doktor Mirau, bardzo zacny człowiek, Gdanieczanin, lekarz. Mało się o nim mówi, ale on miał ogromne zasługi. Nawet sami SS-mani, Gdanieczanie mieli dla niego uznanie. Doktor Stefan Mirau, mimo, że wychowany w niemieckiej kulturze /mówił przepięknie klasycznym niemieckim językiem/ - - był przede wszystkim Polakiem i katolikiem. Niestety wkrótce potem umarł na tyfus. No więc w tym czasie był jeszcze w tym czasie dr. Mirau, jako jeden z najstarszych, Dębski - chirurg i Jasiński - trzech ich było. Komendant tego szpitala, stały, to był Haupt, Oberscharführer Haupt. To pewnym czasie wywołują mnie z placu. Akurat budowaliśmy jakieś ustęp. Wywołuje mnie hauptschriürer, później oberschriürer / bo zniesli to haupt scharführer/ Haupt. Każe mi pójść do pracy w rewirze. No to już dobrze. Byłem mocno zadowolony.

Przychodzę do rewiru. Haupt daje mi funkcję sanitariusza-flegra, jak to się mówiło. Dobrze jest, mierzę temperaturę, daję nocniki - pracowałem u dr. Mirau na wewnętrznym. Ludziska umierają - Mirau zaczyna się złościć, że nie pomagam mu jako lekarz. Odpowiedziałem, że mam funkcję sanitariusza i nie będę mu wlaził do pracy jako lekarz. No, ale wtedy to odczułem jakbym Pana Boga za nogi złapał, że dostałem się do rewiru - to był chyba luty czy marzec 1942r. Miałem już więc za sobą dobre dwa lata takiej poniewierki po obozie, jak się wreszcie dostałem na tego flegra. Tam ciągle byłem głodny. Nie mogłem się nigdy dosyć najeść. - Kucharzem był taki sierżant z 63-go pułku piechoty z Toru-

nia czy Grudziądzka i on mi powiada "czy ty się wreszcie kiedykolwiek najesz, czy nigdy nie najesz się?" a ja mu na to że głodny jestem. To on daje pajdę chleba z margaryną i jeszcze cukrem posypał. Co za jedzenie! A potem spanie! - siennik, poduszka, prześcieradło, podglówek i tylko jeden na pryczy! Porobiłem co do mnie należało, siadałem między łózkami na stołeczku i ... odpoczywałem. Jak mi było dobrze!

Teraz dochodzę do sprawy eutanazji. Jak się zorientowałem, to można było powiedzieć, że szpital obozowy wykonywał - tak - temu nie można zaprzeczyć. Ale to nie wykonywał personel nasz, polski, ale wykonywali Niemcy. Wykonywali flegrzy chorych dla siebie niewygodnych, czy to z punktu widzenia jakiejś uciążliwości dla siebie, jak na przykład taki chory brudził bieliznę, o! to go wykonać i już, względnie i jakichś innych przyczyn. I tu z całą odpowiedzialnością twierdząc że taki Salkiewicz - fleger, który był zdaje mi się homoseksualista, to jeśli taki 15-to czy 16-to letni chłopak mu się nie poddał - to poprostu go wykonać. Więc takie rzeczy były. Jeżeli rozchodzi się o SS-maków - to wykonywali chorych, jak zorientowałem się, od początku. Właśnie ten Oberschärführer Haupt, czy poprzednio Hauptcharführer Haupt, czyli ten stały komendant szpitala i jego pomocnicy. Tam był taki gruby Oberschärführer, nie pamiętam jego nazwiska, potem taki Schärführer też był - ci poprostu topili w łazience. Polacy nie robili tego, nawet co do Breita, to chodziły słuchy, że on coś takiego robił, że się przysługiwał, ale ja tego stwierdzić nie mogę. Nie widziałem tego. A byłem wścibski - lubiłem zajrzeć wszędzie. - - Widziałem jak tamci topili - to widziałem przez dziurkę - to mogę twierdzić. To była taka metoda. I kogo? przede wszystkim chorych, którzy nie rokowali prędkiego wyleczenia. -

To miało być coś w rodzaju eutanazji. Ale eutanazja nie była w ścisłym tego słowa znaczeniu, bo eutanazja /z greki/, to znaczy zadać śmierć człowiekowi w stanie beznadziejnym, w imię człowieczeństwa. Nie! to tego nie było - tam było według ich uznania, uznania powiedzmy ludzi niefachowych, nie lekarzy. Taki sanitariusz jakim był ten obersturnführer, uważał, że jak duża gorączka - to co ten będzie darmo chleb zjadał. On do tego podchodził z punktu widzenia użyteczności tego człowieka do pracy. Ale to topienie to była metoda, że tak powiem, trudna i mało efektywna. Mógł wykonać dwóch trzech, czy pięciu na dobę i to wszystko. - - - - -

W roku 1942 przyszedł do obozu nowy lekarz. To było krótko po moim przyjeździe do obozu, lutym albo marcem, nie miałem jeszcze funkcji lekarskiej. Poprzedniego lekarza, Gdańszczanina, którego nazwiska nie pamiętam, untersturnführera, naogół przyzwoitego człowieka, przenieśli do jednostek frontowych, a przyszedł hauptsturnführer Schröder, czy jakiegoś podobne nazwisko, dokładnie nie pamiętam jego nazwiska - i ten właśnie zaczął wprowadzać taką masową eutanazję. Ale przed jej wprowadzeniem zebrał nas lekarzy, między innymi byłem i ja tam, chociaż pełniłem funkcję jeszcze sanitariusza, ale zmuszono mnie do pójścia, bo on wiedział, że jestem lekarzem. Przez trzy dni była dyskusja na temat eutanazji - co my sądzimy o kwestii eutanazji. Przynajmniej przez 3 dni była ta sprawa omawiana. Oczywiście on to przedstawiał z punktu widzenia humanitaryzmu, że my powinniśmy sobie zdawać sprawę, jako lekarze, że są przypadki beznadziejne, więc po co takiemu jeszcze tydzień czy dwa tygodnie życia i na ten chleb zjadać, kiedy może on już teraz umrzeć. Czy my jesteśmy za tym, my lekarze-häftlindzy i czy ewentualnie podjęlibyśmy się uczestniczyć, zgodnie ze swoim sumieniem, w takich przy-

padkach i skracać to życie - przynosić takiemu człowiekowi ulgę w postaci zadania śmierci eutanazyjnej. Oczywiście z naszej strony spotkał się ze stosunkiem albo milczącym albo negatywnym. Dał nam termin 3-dniowy do namyślenia się. Naturalnie dyskutowaliśmy i nasze opinie, wszystkich jak byliśmy były oczywiście negatywne co do jego propozycji. Eutanazja z punktu widzenia lekarskiego byłaby wybaczalna, a może nawet czasem konieczna, jednak my wszyscy byliśmy tak wychowani i taką dewizą przepełnieni, że mieliśmy jedno zdanie które nam i do dzisiaj, że dopóki człowiek żyje - musimy mu udzielać pomocy lekarskiej, dopiero jak następuje śmierć kliniczna, wtedy ja mogę rezygnować, wczajniej nie. To były dla nas ciężkie momenty, tego nikt nie widział, nikt nie słyszał, jednak do dnia żyjących nas dwóch, z pomiędzy tych czterech, to jest dr. Jasiński, który jest w Wąbrzeźnie i ja, my możemy o tym powiedzieć. Niestety doktor Mirau zmarł w Stutthofie i doktor Dębski też zmarł w czasie okupacji - jednak my dwaj z dr. Jasińskim możemy o tym powiedzieć. - Byliśmy przygotowani na zagładę, bo nas w tej formie przedstawił, że jeżeli nie zgodzicie się to On chciał poprosić tu wobec świata, wobec zagranicy - szukać ludzi, którzy by za nich "wyjmowali kasztany z ognia", żeby to było usankcjonowane ludźmi innymi, którzy przystapiliby do tego zgodnie z przekonaniem. No więc byliśmy przygotowani na wszystko, nawet do tego stopnia, że przeżywając takie ciężkie momenty zaczęliśmy szukać pomocy już tylko u Boga. Strach przed końcem jest ogromny - zaczęliśmy się modlić, odmawiać litanie. Jednak na jego propozycje nie zgodziliśmy się. Nie wiem jak by się to dalej rozwijało, ale ku naszemu, można nawet powiedzieć, szczęściu, tenże hauptsturmführer Schröder, czy coś w tym rodzaju, jakieś takie nazwisko pospolite, był krótko u

nas i został przeniesiony do Oświęcimia i tam podobno, jak dowiedzieliśmy się od więźniów, którzy byli przesłani z Oświęcimia do nas, zmarł na tyfus plamisty. I tak to nam się upiekło, nie mniej on nauczył tych SS-manów, którzy byli zajęci w szpitalu. To byli : Oberscharführer Haupt, drugi Oberscharführer, taki gruby, nazwiska jego nie mogę sobie przypomnieć, Unterscharführer Knoth, to była taka ofiara, jeszcze był jakiś Scharführer i Unterscharführer - i ci właśnie zaczęli stosować eutanazję. Już nie było topienia, a zaczęli robić zastrzyki. A więc przede wszystkim chorym przewlekłe. Po tym lekarzu, przyszedł dr. Heidel. To był rok - 1942, miesiąca już nie powiem - ale wtedy już "machina" była puszczona w ruch i oni już to stosowali. Heidel w tym nie przeszkadzał - on przeprowadzał tylko segregację. Niedługo potem wybuchł tyfus plamisty, którego jedną z pierwszych ofiar był doktor Mirau. Mieszkaliśmy w jednym pokoju, nazwijmy to pokojem, mieszkało nas tam sześciu : dr. Mirau, dr. Jasiński, ja, Gliński czy Gliniecki, dentysta, a właściwie technik dentystyczny z Torunia, Pruszek - aptekarz i kapo Włodarczyk Franciszek. Były 3 łóżka dwupiętrowe. Zdaje się, że nie pomyliłem się. Więc pewnego dnia, w dzień, Mirau był jakiś nieswój - nie zachowywał się tak jak normalnie - mierzmy mu gorączkę 38°, nic wielkiego. Przespał noc, następnego dnia wstał, zaczął pracować, normalne przyjęcia, wieczorem, po odmówieniu modlitw, już nie on zaproponował jak codzień, a ktoś inny, chyba Pruszek, - zgasiliśmy światło. Nagle światło zapaliło się, patrzymy w kąciку Stefan robi siusiu - co się stało? zwracamy uwagę, że to nie tu, położyliśmy go do łóżka, a on przez całą noc nieprzytomny, najaczył. Nie mogliśmy zorientować się co to jest, podejrzewaliśmy, że to w związku z jakimś psychicznym załamaniem. - -

Następnego dnia już gorączka bardzo wysoka - on już nieprzytomny, patrzę wysypka jedna, druga - wtedy mówię do Jasiańskiego "słuchaj Bogdan, czy to nie będzie plamisty?" - pobraliśmy mu krew, wprowadzić nie mieliśmy laboratorium, ale takie bardziej ogólne, więc powiedzieliśmy Hauptowi, że tym razem trzeba krew wysłać do Gdańska, bo tu przecież potrzebne byłoby laboratorium serologiczne. Haupt pojechał szybko sam do Gdańska, przywozi wynik - 1 na 1600 fleksner.- Wtedy wiedzieliśmy już, że to tyfus plamisty. Wieczorem izolowaliśmy Mirau'a w pokoju izolacyjnym i ustanowiliśmy dyżury. Noc wypadła na mnie. Która to była sala, nie pamiętam, chyba czwórka, blisko "frauenatteilung" - zanieśliśmy go, zebraliśmy wszystko co było możliwe, właściwie środki na sercowe, ale w ówczesnych czasach żadnych środków nie było - dzisiaj inaczej, nie dałobyśmy mu zginąć. Całą noc ogromna gorączka, najaczki, harcze. I gdzieś około godz. 5-tej nad ranem zmarł, poprostu na moją rękę. Nie doczekał już zmiany lekarza. Wtedy lekarstw było dostatecznie dużo, później gdyby przyszło stosować je na taką olbrzymią ilość chorych, to mogłoby zabraknąć, jednak wtedy nie mogłem narzekać. Ale w czasie epidemii było fizyczną niemożliwością dojść do każdego chorego, no i zabrakłoby nam lekarstw, ale te najważniejsze były. W tym czasie nie było jeszcze krematorium - wywozili zmarłych na Zaspę - wtedy gdy zmarł dr. Mirau, dla niego w tischlercei wybudowano specjalną, piękną trumnę i to trumnę dębową, pięknie wymalowaną, przepisową, jak to się mówi, bogata trumna. Znany był w obozie jako człowiek - w całym tego słowa znaczeniu, humanista, z pełnym zacnością podejściem do każdego. Po śmierci dr. Mirau Haupt powiedział "teraz ty będziesz doktorem". Tak mnie awansował. Wtedy miałem już flegmów i hauserów, był tam już Kostrzewa, znałem go dobrze, odpowiadał mi i co do niego nie mam żadnych zastrzeżeń. - - - - -

Chciałbym wrócić jeszcze do sprawy eutanazji, bo chyba nikt tej sprawy tak nie zna i nikt tak tego nie przedstawił, jak ja chciałem to uczynić. Więc ta eutanazja istniała. Przed wojną nikt takiego pojęcia prawie że nie znałem, jako lekarz gdzieś, kiedyś ten wyraz spotkałem, lecz przeszedł on mi mimo uszu i mówiąc szczerze dopiero w obozie spotkałem się z eutanazją. Zaczęto ją wtedy stosować na szerszą skalę. Początkowo zaczęli ją stosować SS-mani, nauczani przez tego hauptsturmführera, którego już poprzednio wspominałem. Podpatrywałem to, najczęściej wykonywali to w sali tak zwanej opatrunkowej. Kazali się kłaść i zastrzykiwali dożylnie sublimat względnie fenol. Analizowałem potem te strzykawki. Jak się to odbywało i kto był przeznaczony? Faniętam jak to było za dr. Heidla. To był jako lekarz solidny - odbywał wizyty prawie codziennie. Ja miałem oddział wewnętrzny i gruźliczy, potem i tyfusy i wszystko się zważyło jako na najstarszego lekarza, bo potem było już lekarzy kilkunastu - przychodzili bezpośrednio kierowani do szpitala, zaraz po przyjeździe do obozu. Przyszedł także dr. Wojewaki, który z racji swojej dobrej znajomości języka niemieckiego został, nazwijmy to doktorem naczelnym. Ale ja byłem już lekarzem, który miał pewne znaczenie. No ale wracając do eutanazji - segregacja, czyli wyznaczanie kandydatów na tę eutanazję to się odbywało w ten sposób: najczęściej w rannych godzinach przychodził lekarz obozowy i obchodził oddziały, sprawdzał kartę gorączkową, pytał nas lekarzy o rozpoznanie i rokowania. Oczywiście rokowania wychodziły zawsze dobre. Faniętam taki wypadek: pewnego razu na parterze tego trzypiętrowego łóżka leży człowiek, zdaje się nazwiskiem Lewandowski, kolejarz z Chełma, Chełmży czy ze Świecia. I wtedy Heidel zapytał jak mein zdaniem ten, czy rokuje wyzdrowienie.

Odpowiedziałem, że jak mnie uczone, to w medycynie nie ma przypadków straconych i ja mam nadzieję, że on się wygrzebie. Zostawił go. A siedł z nim Haupt i zapisywał nazwiska. Heidel dawał znak ręką czy głową i wtedy Haupt zapisywał nazwisko, numer czy miejsce, gdzie leżał taki przeznaczony chory. Tego kolejarza zostawił. Na moich salach jakoś udawało mi się wytłumaczyć, że nie widzę przypadków straconych. No i ten człowiek umarł w nocy. Byłoby wszystko dobrze, gdybym był o tym pamiętał i na to miejsce wsunął innego - tymczasem następnego dnia jak Heidel przyszedł, jakoś zapamiętał wzrokowo to miejsce i zapytał co się z tym stało? Jakoś nie wykombinowałem na oczekaniu żadnego tłumaczenia i odpowiedziałem "umarł". A Heidel popatrzył na mnie, a że akurat miał zdjęte rękawiczki - to tymi rękawiczkami chlast mnie po głowie i "wiesz, mówię, że ten przypadek jest stracony". Zabolalo mnie to tymbaraziej, że traktował mnie jak lekarza i naraz to uderzenie na sali przy chorych. - - - - -

No więc w ten sposób, przy obchodzie, wyznaczał z całego szpitala na zastrzyki - jak dziś pamiętam, że przeciętnie dziennie siedemnastu. Było i więcej i mniej wypadków. Na gruźlicę Heidel nie chodził, bo tam od razu przynajmniej połowę wyznaczyłby do eutanazji. Ale bał się. Na tyfusy też nie chodził. Tylko na internę. To było jakieś 25 stanów szpitala, tych siedemnastu czy dwudziestu. Czasem było i trzydzieści parę. W roku 1942 chyba w maju, przyszła grupa Niemców i Polaków, zdaje się z Dachau. Między innymi przyszli Niemcy czerwoni - komuniści. W tej grupie było kilku Polaków, ale większość była Niemców. Oni byli przeszkoleni na flegrów-sanitariuszy. Był tam taki wysoki, którego nazwiska nie pamiętam i ten poszedł na wszystko. W tej chyba grupie przyszedł Saffkiewicz, o którym już wspominałem. Był

Mathis, który został oberflagrem, był i drugi, taki wysoki, który przede wszystkim wykonywał tę całą robotę za tych scharführerów. Zresztą Mathis też to robił, ale w mniejszym stopniu. No więc, tych wysnaczonych albo nieśli, albo jeśli jeszcze mógł iść - to musiał sam pójść, w kosmuli do umywalni, tak zwanego Waschraumu, tam był przygotowany stół z tymi przyrządami, po zrobieniu zastrzyku kazał mu z zdjąć koszulę i kazał mu na cenie w kącie położyć się. Działanie tego zastrzyku trwało jednak parę minut, tak że taki człowiek zdążył jeszcze zdjąć koszulę i dojść do tego kąta. I tak to szło. I pakołei kazał się tym ludziom kłaść na kupę - czy to było dwudziestu czy trzydziestu. To była i tak wyglądała ta tak zwana eutanazja. Nie była nasowa, ale była. O ile znam te sprawy, to działało się to tylko na terenie rewiru. - - - - -

Były też wypadki wykańczania więźniów i to nie koniecznie chorych przez flegarów, to i takie wypadki się zdarzały, ale to były rzeczywiście sporadyczne wypadki. Na tym bym zakończył tę sprawę. - - - - -

Hasłem obozu koncentracyjnego było "Arbeit macht frei", a zasadą, że kto się dostał do obozu, to wyjść może tylko przez komin. To była zasada, na szczęście nie zrealizowana, na skutek różnych czynników. I tu chciałem wspomnieć o tym hasle "Arbeit macht frei". Wracaly kolumny z pracy, zwłaszcza wieczorem, bo w obiad wracaly tylko kolumny pracujace w pobliżu obozu, dalej pracujacym dowozono tak zwany obiad. Mnie rozchodzi się o ten powrót wieczorny. - Wracaly kolumny za kolumnami, nad bramą obozu napis "Arbeit macht frei", orkiestra obozowa gra marsza jakiegoś skoczniejszego, a ci nieszczęśnicy idą, a często nbsą lub wleką tych, którzy iść nie mogą. Względnie ciągną furgonetki, na których leżą trupy czy też takie pół trupy, gdzieś tam w wald-

kolonie uderzeni deską czy pniakiem. I to wszystko do szpitala i na kupy - najczęściej początkowo do ubikacji. Potem była taka kajutka, gdzie zwalali tych nieszczęśników. Dzięki temu, że nie chodziliśy na apele - miałem więcej czasu i interesowałem się tymi "trupami". Przywozili codzień dwudziestu, piętnastu, czasem trzydziestu i to wszystko leżało na kupie. Wtedy ja zaczynałem grzebać w tych trupkach. No i rzeczywiście często wyszukiwałem takiego, który chrapał, ział, czy też miał jeszcze tętno i takiego wyciągałem, robiliśmy zastrzyki, ogrzewaliśmy, gdzieś tam zamelinowali i jest wielu takich, którzy nie wiedzą nawet że zostali wyciągnięci ze stosu trupów, a zostali żywi. Często, gęsto spotykałem się nawet z zarzutem tego naszego hauptscharführera - Haupta, który widząc mnie wołał "doktor Julius, ty już znów lecisz z tymi zastrzykami" - a ja tak przez te korytarze w płaszczu, chowając ręce ze strzykawkami, żeby Haupt nie widział, biegłem. Ale widocznie on mnie lubił, może dlatego, że ja prowadziłem laboratorium i otrzymywałem spirytus. To też często dostał odennie spirytusu i on specjalnie mnie nie prześladował. - - - - -

Jeśli chodzi o epidemie, to była epidemia tyfusu plamistego w 1942 roku, główne nasilenie miesiące marzec, kwiecień, potem w 1943 roku znowu nasilenie, chyba już nie takie wielkie, potem sporadyczne wypadki były, bo i zawsze nie było chociaż dezynfekcję przeprowadzano. - - - - -

Szpital obozowy "krankenhaus", początkowo mieścił się w barakach poprzecznych, gdzie jedna strona była chirurgiczna, druga strona była wewnętrzna, w środku sala opatrunkowa i apteka. Na początku było około 120 łóżek, a później w miarę przypływu więźniów i rozrostu obozu, warstała i ilość łóżek. Obejmował wtedy szpital dalsze baraki, najpierw

po wschodniej stronie, rozrastając się aż do drutów oddzielających obóz kobiecy, a później po stronie zachodniej, gdzie mieścił się röntgen. Szpital obozowy był podzielony na oddziały: chirurgiczny, wewnętrzny, gruźliczy i oddział zakaźny ze specjalnym wyłączeniem sal biegunkowych, które nazywano "sraczkarnią". To było schorzenie, które najwięcej wykańczało obozowców, to właśnie te biegunki zakaźne, czerwotka o typie zakaźnym. Nie można powiedzieć że to było spowodowane złą wodą w Stutthofie, raczej ogólny brak odporności organizmu, związany z trybem vegetacji każdego, ciężką pracą, niedożywieniem. Były też w późniejszym okresie oddziały durów brzusznych i planistycznych. Tak że szpital rozrósł się dosyć znacznie, bo najmniej do 1200 łóżek. - - - - -

Jaka była śmiertelność? trzeba tu rozgraniczyć śmiertelność, nazwijmy ją "normalną", boć to też nie była normalna a tylko wywołana warunkami bytowania, od śmiertelności eutanazyjnej. Jeśli chodzi o tę ostatnią, to począwszy od kwietnia czy maja 1942 roku wahała się w granicach 15 do 30 osób dziennie, przy stanie chorych około 600 osób. Natomiast w 1944 roku zmalała, dzięki temu, że ci, którzy robili te zastrzyki eutanazyjne, to znaczy ci flegrzy, zostali powołani do wojska, do sonderkomanda, tak że już w 1944 eutanazja była znacznie mniej stosowana. Mało już było, tak że nie mógłbym podać nawet przybliżonych liczb. Poza tym zbliżające się huki artylerii z frontu, ku naszemu szczęściu ten impet zmniejszały, a nawet potem ustał całkowicie. Przesztano stosować eutanazję. - - - - -

Zaznaczyć jeszcze muszę, że ponieważ obóz w Stutthofie był od początku dla specjalnych Polaków i przeważnie dla Polaków, więc funkcje obozowe, powierzane przez SS-maków, czyli więźniom obozowym, siłą rzeczy musiały

przypaść Polakom. Dzięki temu Polacy starali się utrzymać ten prymat w obozie. Pierwszymi lekarzami w szpitalu byli Polacy a w miarę przypływu więźniów przybywało i wielu lekarzy, nie tylko polskich ale i rosyjskich, którzy zresztą większej roli w szpitalu obozowym nie odegrali, oprócz dr. Soprunowa. Doktor Soprunow był bardzo lubiany, oddawał się chorem z podziwu godnym samozaparcie. Był on między innymi na oddziale biegunkowym, wykazywał dużo inicjatywy, przeprowadzaliśmy wspólnie z nim szereg badań, przede wszystkim kałków i krwi, wprowadzając pewną metodę leczenia, która dawała, moim zdaniem, dość dobre wyniki i tu trzeba podkreślić wykazywał wiele inicjatywy, podchodził do wszystkich chorych jednakowo - według zasad etyki lekarskiej. Był znany w obozie jako doktor Gärtner, od nazwiska Gärtnera, wynalazcy zarazka powodującego czerwonkę. Wyszła ta nazwa od nas i pod tym pseudonimem znany był w całym obozie. Lubiany był tak przez współkolegów jak i przez współwięźniów. - - - - - Ale, jak już zaznaczyłem lekarze polscy starali się utrzymać prymat w tym szpitalu. Przeważnie się to udawało, ale miało wpływ i na inne komanda, czy też części obozu, bo w tej samej sytuacji były inne działy administracji w Stutthofie, gdzie w dalszym ciągu Polacy dominowali i w miarę możliwości nie dawali się "wygryźć". Były usiłowania ze strony "zielonych Niemców" dominacji w obozie, ale na szczęście nie byli oni nadbyt liczni, tak, że jeśli chodzi o blokowych to zajmowali może 50% tych stanowisk, potem zaproponowali im SS-mani przejście do wojska, na co prawie wszyscy się zgodzili, czy to byli zieleni - berufsverbrecherzy czy asocjalni, z czarnymi winklami, poszli do wojska. Przede wszystkim jednak zieleni, poszli do specjalnych komand do tak zwanych - sonderkommando. Wtedy siłą rzeczy Polacy, którzy przeważnie

znali język niemiecki - utrzymali się na tych stanowiskach, nazwijmy je "ekskluzywnymi". - - - - -

W szpitalu do pomocy lekarzom byli flegery, można ich nazwać "sanituriaszami". To byli ludzie najczęściej niewykszoleni, którzy mieli za zadanie opiekować się chorymi na sali czy jak myśmy to nazywali, na bloku. Mieli oni przeciętnie po 100 chorych na bloku. Rola takiego flegiera była bardzo duża i to zależnie od jego indywidualności, mentalności i nawet człowieczeństwa - tak bym to nazwał. Flegier odgrywał dość dużą rolę. Byli tacy, którzy z całym poświęceniem oddawali się pielęgnacji chorych, nieśli pomoc, tak pod względem obsługi lekarskiej, jak żywnościowej, jak i osobistej, na przykład takim był Kostrzewa i Muszyński. To są dwaj najbardziej zasługujący na wyróżnienie w naszym szpitalu. Byli i inni, o których złego nie można powiedzieć, ale nie byli już tak oddani jak ci dwaj. Byli też niestety i inni flegery, którzy spełniali tę swoją funkcję jako, nazwijmy to, dopust boży. Tacy potrafili nawet wykańczać chorych uciążliwych, takich którzy na przykład zamierzyszczali kółka. Takim był Sefkiewicz Kazimierz, który niewątpliwie między innymi, w bestialski sposób zamordował młodego chłopaka. Tego chłopaka widziałem wieczorem zupełnie zdrowego, więc fizyczną niemożliwością było aby następnego dnia zmarł śmiercią naturalną - co mi zgłoszono. To był mord i to podejrzewaliśmy na tle seksualnym. Jeśli chodzi o Ereita, który został stracony - ja osobiście nie widziałem, żeby on był narzędziem eutanazji, choć lubiałem wszędzie wsadzić nos, słyszałem jednak że tak było, że był powolnym narzędziem, ale wykonywał to widocznie w bardzo dyskretny sposób, żeby nikt z nas nie widział. On był przez pewien czas jako kapo szpitala obozowego, był wtedy bardzo agresywny w stosunku do

chorych, szczególnie do tych nieszczęśliwców biegunkowych, którzy na skutek choroby zniszczają zanieczyszczali siennik, podłogę. Często bił ich, "wykonywał karę cielesną", która niewątpliwie przyczyniała się do ich wykończenia. Jeśli chodzi o Haupta, to z całą stanowczością mogę twierdzić, że on wykonywał tę eutanazję - widziałem to. Heidel natomiast sam osobiście nie wykonywał zastrzyków, tylko prowadził segregację. - - - - -

Jeśli chodzi o problem czy też założenie, że szpital był wykłaczalnią, to chyba jest niesłuszne, bo jak już poprzednio zaznaczyłem, była prowadzona eutanazja, czyli ta "humanitarna śmierć" i nikły procent wykłaczany przez flegrów, bo byli różni flegrzy. Flegrami byli Polacy, Niemcy, Czesi, zresztą tych ostatnich dużo nie było. Starano się, aby Niemców dawać na sale, gdzie chorzy to byli Niemcy. - -

Teraz jak odbywało się przyjęcie do szpitala? Znam ten problem, gdyż przez dłuższy czas przyjmowałem sam chorych do szpitala. Jakże były kryteria stosowane, trudno to powiedzieć, ale przede wszystkim zdrowotne - a więc gorączka. Muszę powiedzieć, że stałem się tam racjonalizstorem w mierzeniu gorączki. Ponieważ często zdarzało się że taki delikwent po założeniu termometru przewracał się i tłukł termometr, więc w tej sali, gdzie przyjmowano chorych powbijałem szereg gwoździ, do których na sznurkach poprzywiązywałem termometry i wtedy jeśli taki człowiek przewracał się z wycieńczenia czy osłabienia chorobowego, to termometr wypadł - zostawał cały. A przecież termometrów nie mieliśmy za dużo. No więc w pierwszym rzędzie przyjmowaliśmy chorych z dużą gorączką, ale nie można powiedzieć, że była jakaś granica obowiązująca gorączki. Zresztą to zależało od okresu. Okres początkowy był niebezpieczny w szpitalu, natomiast później szpital był już pewnego rodzaju szylem, gdzie można

było chorymi zonglować. Przenosiło się takiego chorego raz na chirurgię, raz tu, raz tam, aby go dłużej utrzymać i jakoś podciągnąć. - - - - -

Na rewirze była t.zw. kuchnia, gdzie był długi czas kucharzem polski podoficer, o którym nie można nic złego powiedzieć. Odżywianie było normalne jak w obozie: czy to liście buraczane, czy brukiew, czy grochowa - przynoszono to do szpitala. W pewnym czasie przyznano kaszę czy ryż, które ten kucharz robił dla biegunkowców. W późniejszym czasie, chyba w 1943 roku przyznano, na skutek naszej interwencji, dożywianie w postaci mleka, którego otrzymywaliśmy około 50 litrów przeciętnie na stan 1000 do 1200 chorych. I to trzeba było rozdzielić. Naturalnie, że to nie był problem łatwy rozdzielić te kilkadziesiąt litrów mleka między taką ilość ludzi. Ten rozdział przypadł mi w udziale, ja sam się tym zajmowałem, nosząc te kotły z pomocnikiem, takim Franciszkiem i rozdawałem to mleko ludziom, którzy według mojej oceny zasługiwali najbardziej na ten kubek mleka. Robiłem to zgodnie ze swoim sumieniem. - - - - -

Oddział chirurgiczny zasadniczo ograniczał się do zabiegów małej chirurgii to znaczy przede wszystkim trapiąca cały obóz flegmona. Nacięcia, szerokie otwarcia czy wycięcia miejsc ropiejących. Czasami zdarzały się schorzenia ostre, jak wyrostki robaczkowe, były przypadki ran, zranień na skutek postrzałów, amputacji, ale poważnych operacji było niewiele, przeważnie pourazowe względnie na skutek wyniszczenia flegmona, która po biegunce, zabierała najwięcej ofiar. Przecież to była doba, gdzie nie znano antybiotyków, więc tylko były stosowane zabiegi chirurgiczne. Powiedzmy na przykład, jak taki więzień dostał na koźle ze 200 uderzeń w pośladki, to te pośladki wyglądały jak jeden befsztyk, wszystko zakażone,

rozległe zakażenie, dodatkowe zakażenie, - to naturalnie trudno było coś na to poradzić. - - - - -

Oddział wewnętrzny - tam dysponowaliśmy lekami, nie powiem, żeby tak skąpy, jak na te czasy, na wojenne czasy, to jednak mieliśmy sporo leków do dyspozycji. Jeśli chodzi o gruźlicę, to już było gorzej - nie mieliśmy żadnych leków przyczynowych, absolutnie żadnych tuberkulostatycznych jedynie w późniejszym okresie otrzymaliśmy zestaw röntgenowski, mogliśmy prześwietlać, wtedy zrobiłem sobie taki aparat do wytwarzania odry śródplucnowej. Zrobiłem go z takich dużych półlitrowych ampulek tutefozyny czy sterofondiny, - skombinowałem, że to wykazywało ciśnienie i w pewnych wypadkach stosowałem odnę śródpiersiową. Tam między innymi stosowałem ją Rogowskiemu, Waniorce. Był też tam lekarz laryngolog, który miał gruźlicę, jemu też stosowałem odnę. - Zresztą wielu ludzi. - - - - -

Jeśli chodzi o moje ogólne wrażenie o obozie - niewątpliwie Stutthof był obozem zagłady, zasada była, że kto się dostał tam, nie mógł wyjść przez bramę, tylko przez komin krematoryjny. Dzięki warunkom wojenno-politycznym, a zwłaszcza wojennym - nie udało się to Niemcom. Nie mniej przetrwanie obozu zależało przede wszystkim od indywidualności, od pewnego napięcia nerwowego, od wiary, no i od sprytu życiowego, szybkiego dostosowania się do tych warunków. Jeżeli ktoś potrafił dostosować się, łatwiej było mu znieść te warunki. Nie mówiąc o Niemcach, który czy to był "zielony" czy "czerwony" czy też "czarny" - byli mimo wszystko forowani przez władze obozowe, natomiast jeśli chodzi o innych to najłatwiej było przetrwać Polakom, bo mieli zaplecze rodaków i rodzin. Poza tym Polacy, chyba jako najbliżsi sąsiedzi, najlepiej znali charakter Niemców, wyczuwali w

każdej sytuacji ich podejście, ich zamiary, pozatem dużo Polaków znało język niemiecki, inni szybko opanowywali język, to dawało dużo. Pozatem zaplecze swoich najbliższych, bo były okresy zakazu wszelkich korespondencji i paczek, ale były i okresy, że paczki można było otrzymywać. Te paczki w wielu wypadkach były przyczyną, że wielu Polaków przetrwało. Jeśli chodzi o obywateli Związku Radzieckiego - ci byli w dużo gorszym położeniu - byli zdani na łaskę i niełaskę, nie mieli żadnych kontaktów, żadnej podniety czy zachęty do przetrwania, garnęli się do nas i otrzymywali w miarę możliwości pomoc od Polaków i pewno wielu dzięki temu przetrwało. - Tak samo było z Czechami, chociaż było ich bardzo mało no i wszyscy znali ekspedite język niemiecki i dlatego łatwiej było im przeżyć. Jeśli natomiast chodzi o tak zwane kasty ludności i ich zawody, - naturalnie inteligencja była specjalnie prześladowana, szczególnie w pierwszym okresie - wtedy niewiele mógł pomóc spryt, przystosowanie się, czy doświadczenie. Inteligent był specjalnie na oku i specjalnie prześladowany. Im stał niżej intelektualnie, tem większy miał spokój. Inteligencja szybko załamывała się psychicznie. Najwięcej przetrwało rzemieślników, których Niemcy bardzo potrzebowali. Byli kombinatorzy, którzy podawali się za rzemieślników? Mógł być na przykład majorem, a podać się za szklarza i przetrwać cały obóz jako szklarz. Jednym słowem łatwiej było przetrwać obóz mając jakiś zawód, aniżeli bez zawodu. To mogę dziś mówić z punktu widzenia obserwacji. - -

Jeśli chodzi o obserwację - to ze szpitala była możliwość obserwowania wielu rzeczy. Samo położenie szpitala, którego okna wychodziły na stronę północną, gdzie za drutami było krematorium, komora gazowa, szubienica i zwały trocin, na tle których rozstrzeliwano. Rozstrzeliwania były przeważnie z wyroków, obserwowaliśmy je choć oczywiście wtedy obo-

wiązywało całkowite zaciemnienie, ale zawsze w tym "ferdunklu klungu" znalazła się dziurka, przez którą można było wszystk widzieć. Wykonywali więc tam wyroki, przeważnie przesłane już przez Gestapo i tam normalnie rozstrzeliwano - robili to SS-mani, kto strzelał nie pamiętam, był tam zawsze obecny konendant lub jego zastępca, był lekarz - według przepisów wykonywania wyroków śmierci. Dalej - była tam szubienica, zdaje mi się że 3 stanowiska, gdzie również z wyroku - wieszali. Wykonywali to niedbale, niejednokrotnie wieszali po dwa, trzy razy bo się skazańcy urywali. Żadnego w takich wypadkach zwyczajowego, prawa łaski, nie uznawali, że jak się urwał to powinien był się uratować - o tem mowy nie było - wieszali aż do skutku. Większość tych skazańców ginęła z okrzykiem "niech żyje Polska". Dalej widzieliśmy też komorę gazową. To była komora nieduża, na jakieś powiedzmy 100 osób, to chyba maksimum 100 osób. Ot, taka zwykła murowana "budowla" posiadająca dwie drzwi. Jedna drzwi były zamknięte, przez drugie wszystkich tych ludzi pakowali. Obserwowałem to, przeważnie gazowano Żydów. Pchano ich, poprostu wbijano, wszyscy byli w pozycji stojącej. Kiedy było już pełno, to dwóch, trzech lub nawet czterech wachmanów, SS-manów zamykali te drzwi siłą wpychając resztki ludzi. Tam były takie skoble, na które te drzwi zamykano, potem jeden z SS-manów, najczęściej Knoth, wchodził na dach i tam przez otwory okrągłe wsypywał ten gaz - cyklon. Spotkałem się z czymś powiedzeniem, że ludzie tam się długo męczyli - ja tego nie obserwowałem, raczej uważałem, że następowała dość gwałtowna śmierć. Według mojego rozeznania, mojej obserwacji, to nawet 5-ciu minut nie trwało, kiedy wszystkie hałasy, krzyki, ustawały, naturalnie to co dochodziło przez te grube drzwi i mury aż do szpitala. To było jednak jakieś 8 - 10-

trów od naszego okna do komory. Po dwóch, mniej więcej, godzinach wyciągano trupy. Czasami zdarzało się, że w ciągu jednego dnia kilka razy gazowali. Raz gnali tę grupę z Białostockiego, ale wtedy ta cała grupa się rozbiegła, bo oni zorientowali się o co chodzi i zaczęli uciekać, ale ich i tak wszystkich wystrzelali, wytłukli. Przecież tam nie było żadnych szans ucieczki - oni uciekali między nowym a starym obozem i wtedy jak tam zaczęli strzelać ze wszystkich stron, to zginęło i kilku więźniów z poza tej grupy, a my wszyscy w rewirze leżeliśmy na podłogach. Nie było sensu ginąć w taki głupi sposób. Ale takich nie doprowadzili do komory gazowej. - - - - -

Kreślił się także przy rewirze Foth, jaki miał stopień nie pamiętam, to była taka ruda małpa, jaki on miał dział też nie pamiętam, ale on również był przy gazowaniach, strzelaniach. On jednak stałego przydziału do rewiru nie miał, prawdopodobnie robił to na ochotnika. Brał udział w strzelaniu Żydówek w krematorium, tam była urządzone, coś w rodzaju, izby przyjęć, izby chorych. Obserwowałem kiedyś jedną kobietę, wchodzącą tam. Był lekki śnieg, wiosna lub jeszcze zima. Przed wejściem była wycieraczka i ta biedna kobieta wycierała tam bardzo dokładnie nogi. To była kobieta z pod Warszawy aresztowana w związku z wykryciem radiostacji. Zaraz po jej wejściu tam - usłyszałem strzał. Jednak to strzelenie, to nie była taka masowa zagłada. - - - - - Najwięcej ludzi zginęło jednak z powodu wycieńczenia, w następstwie biegunek, pozatem choroby zakaźne, tyfus plamisty i brzoźny. - - - - -

Mieliśmy stałą dobrą orientację co działo się na frontach i wogóle na świecie, to też dość długo przed ewakuacją liczyliśmy się z jej możliwością. Mieliśmy gazety, które przywoził nam Haupt: "Völkischer Beobachter", "Danzi-

ger Vorposten", i z nich umieliśmy pięknie wyczytać istotę rzeczy, pozatem nasi elektrycy i radiomechanicy mieli warsztat, gdzie przeprowadzali reperacje radioodbiorników, własność SS-manów i ich znajomych. Często "nie udało się" dokonać reperacji w ciągu jednego czy dwóch dni, trzeba było reperować dłużej, to też mieliśmy wiadomości i oficjalne i nieoficjalne też. Nawet i Londynu słuchaliśmy. Ja osobiście byłem przekonany, że jeżeli przetrwam i jeśli nie nastąpi w końcowej fazie jakaś eksterminacja całkowita - to będzie ewakuacja. Zdołyłem więc jakimś sposobem napę, przygotowałem odpowiednie ubranie, lekarstwa. Jakoś brałem to optymistycznie i innym swój optymizm przekazywałem. Ostatnie parę tygodni Niemcy palili wszystkie dokumenty, całą dokumentację. Gdyby się ta dokumentacja ze szpitala uchwalała, to dziś nie libyśmy bogactwo zdarzeń, faktów. Dużą część historii chorób ja pisałem i odznaczałem swoimi znakami "historię choroby", zaznaczałem specjalnymi znaczkami, mnie tylko wiadomymi, zamordowanie, eutanazję, wogóle starałem się jakoś te wszystkie zdarzenia zaznaczyć z tą myślą, że kiedyś dotrze to do potomności. Gdybym dziś dostał do ręki takie karty, to rozszyfrowałbym z łatwością swoje ówczesne znaczki, które były prawie że niewidoczne. Wreszcie powiedziano nam, że mamy posegregować ludzi, kto może iść na ewakuację a kto ma zostać w szpitalu. Jasne, że gruźlica, flegmony to były przypadki, które wykluczały możliwość ewakuacji. Kto czuł się możliwie to sam się zgłaszał - my wiedzieliśmy tylko, że żadnych wozów nie dadzą, więc byliśmy przygotowani na to, że tych najsłabszych, którzy nie dadzą rady iść to będą wykańczać. To też pytaliśmy kto czuje się na siłach iść. - - Lekarzy dołączyli do rozmaitych bloków. Prócz Polaków poszedł na ewakuację z lekarzy tylko Soprunow-Gärtner. Wycho-

dziliński grupami, które składały się z dwóch bloków. - - -
Ja dojechałem do łowcza z grupą, w której jednym blokowym
był Niemiec, a drugim Polak. Które to były bloki - nie pamię-
tam już dziś. W tej samej grupie co i ja siedł również dr.
Kruszewski i litewski Żyd, chyba nazywał się Finkelsztein.
Wyszliśmy z obozu koło południa. Na całej trasie wszystkich
którzy zasłabli - Niemcy rozstrzeliwali. - - - - -

Ja miałem możliwość ucieczki w czasie drogi z jakiegoś
kościółka, nie pamiętam miejscowości, w każdym razie to nie
było w Strzeczcu, bo pamiętam, że tam spałem na ołtarzu, a
to było jeszcze wcześniej i tam miałem piękną okazję ucie-
kać, ale wstrzymało mnie to, że już dużo współtowarzyszy,
współkolegów chorowało na tyfus plamisty - obawiałem się
o nich, bo Niemcy choroby zakaźne likwidowali w sposób łat-
wy, bo żeby zlikwidować chorobę likwidowali poprostu chorych
Z każdą grupą siedł, zgodnie z przepisami kultury, sanita-
riusz i tam u nas w łowczu był też sanitariusz pochodzący
z Litwa, mógł mieć wtedy ze 46 lat, zrobił się volksdeut-
schen i wpakowali go do SS. Ale wtedy na ewakuacji zaczął
już trochę myśleć. Około połowy chorych silnie gorączkowa-
ło. Zapytał mnie co to może być? - odpowiedziałem, że grupa
typu żółdkowego, typu różgowego, ale już dobrze wiedziałem
że to tyfus plamisty, miałem już doświadczenie, tysiące ty-
fuśników w obozie. Kazał mi ich oddzielić. Była tam taka
szopa. Zrobiliśmy z niej izolatkę. Strasznie było ciasno,
jak tam wchodziłem, to poprostu na leżąc wczolgiwałem się.
Jednego dnia zjawili się komisjar: Heidei, Meier i ten sani-
tariusz. Zawołali mnie, chociaż było nas tam 3 lekarzy. Za-
cząłem kręcić, że wyniszczenie, wycieńczenie no i ten okres
niepogody, bo to był już chyba koniec lutego lub nawet marzec
więc grypa. A tu chorzy najaczej - twierdziłem nadal że to

grypa typu mózgowego. Heidel jeszcze raz zapytał mnie czy to napewno grypa - odpowiedziałem, że jestem o tem przekonany. No i zostawili nas i poszli do Nawcza, tam był lekarz o nazwisku białoruskim, przyszedł z jednym z transportów białostockich - spoczątku miał literę P, potem R. No i przyszli do niego - powiedział że u niego jest tyfus plamisty. Wyciągnęli tych ludzi i rozwalili. Ot niedługo był w obozie, nie oblatany, nie dostał nawet w Politische Abteilung na tydzień, od razu dali go do rewiru, miał tam dobrze, no i przez jego głupotę wiele ludzi musiało zginąć, a przecież nie powiedziane, że wszyscy chorzy, na tyfus musieli umrzeć. Ja też w ostatniej fazie zachorowałem na plamisty i bardzo ciężko go przechodziłem, tak że nawet nie pamiętam momentu oswobodzenia. Koło mnie leżał nasz kucharz, był też ksiądz Walek, nie wiem nawet czy on żyje i szereg innych takich "prominentów. 15-go lub 16-go marca miałem szalony ból głowy, jakieś świdy w głowie - ocknąłem się, widzę stoi ktoś koło mnie, spytał po rosyjsku co mi jest - powiedziałem, że jestem chory. Wziął odornie garnuszek, wlał coś do niego, dolał trochę wody i kazał mi to wypić. To był żołnierz radziecki, który nalał spirytusu z wodą i dał mi to. Wypiłem. Zaraz potem zasnąłem - ile czasu spałem nie wiem, po obudzeniu się poczułem się lekki tylko strasznie słaby. Nabrałem przekonania, że ta wódka wtedy mnie uratowała. Strasznie cenię to że żołnierz z frontu podzielił się ze mną tą wódką. Kto on był - nie wiem, tyle że nie oficer, tylko zwykły, prosty żołnierz, szeregowiec. I tak właśnie odbyło się moje oswobodzenie, zakończenie mego długiego pobytu w obozie. - - - - -

dr. Julian Węgrzynowicz

Relację zebrala i
z taśmy magnetofonowej
odtworzyła:

Krystyna Krzewska

Kostrzewa Jan
nr oboz. 2629

zam. Łęcajce, pow. Leśbork, p-ta Godętowo



Kostrzewa Jan
2629

Jan Kostrzewa

urodzony 16.X.1914 roku w Sławęcinie pow.Jasło

Nr. obozowy 2629

Nazywany przez kolegów w obozie "Kociunia"

Zawód : rolnik

Obecnie zamieszkuje: Łęczycę pow.Łęborg p-ta
Godętowo

Do Gdyni przyjechałem w 1939 roku z "Przysposobie-
niam wojskowym". Kopaliśmy rowy przeciwczołgowe. Mieszkałem
w Rumii. Po upadku Gdyni i zniszczeniu mego mieszkania prze-
niosłem się do Gdyni na ulicę Warszawską do znajomych, gdzie
zostałem aresztowany razem z innymi 13 września 1939 roku
o godzinie 6-tej rano. Byłem ubrany po cywilnemu. Razem ze
mną byli tam Śmigaj Jan, który obecnie jest tragarzem na
stacji w Gdyni i Zwara Bruno obecnie mieszka chyba w Sopocie.
Aresztowali nas SS-mani z Gdańska. Sformowali nas wszystkich
w czwórkach, było już tam parę tysięcy ludzi. Wyprowadzili
nas na Witonino, tam gdzie jest radiostacja. Na Witoninie
trzymali nas do wieczora, a wieczorem wszyscy wymuszerowa-
liśmy do Gdańska, do Victoria Schule. Szliśmy w nocy, deszcz

padał - straszna to była droga. Szliśmy nie drogą główną, a tylko okrężnymi drogami. Najgorzej było przechodzić przez Sopot bo tam tysiące ludzi tych Niemców na ulicach, nawet dzieci, wyrostki podbiegali i tych, którzy szli na brzegu uderzali w twarz. Kobiety krzyczały żeby nas powiesić. Tak szliśmy cztery czy pięć godzin, przyszedliśmy do Victoria Schule już w nocy. Tam na dziedzińcu szklanym trzymali nas przez resztę nocy do rana. Rano tam w Victoria Schule zaraz zaczęli dawać numery, ale nie wszystkim. Widocznie im się to uprzykrzyło, więc przerwali numerowanie. Część naszych dostała już tam numery - ja jeszcze wtedy numeru nie dostałem. Zaraz po tym numerowaniu zaprowadzili nas na Westerplatte. Na Westerplacie byłem od 14-go /czternastego/ do 28-go września. Na Westerplacie robiliśmy porządkę. Tam był obraz zniszczenia! wszystko rozbite - drzewa postrącane - coś straszne-go. W tym czasie gdy byłem na Westerplatte, była tam wizyta Hitlera, ale ja go nie widziałem, bo nas wszystkich więźniów wyrzucili nad morze, na piasek, i tam trzymali nas dwanaście godzin bez jedzenia, bez niczego. W czasie porządkowania Westerplatte nie widziałem żadnych min, ani nie słyszałem żeby się rwały. Jeść nam dawano że pożał się Boże, kawałeczek chleba i trochę zupki takiej wodnistej, tę zupę przywozili skądś, ale nie wiem nawet skąd. Byłem tam do 28 września. Stamtąd zabrali nas do Neufarwasser /teraz nazywa się Nowy Port/ i dalej na roboty rolne, na niziny gdańskie, do gospodarzy. Na tych robotach byliśmy do 1 grudnia. Gospodarze, Niemcy, odnosili się do nas bardzo źle, ale nie wszyscy, ja jakoś źle pośpadłem. Byłem ubrany po cywilnemu, ale jak mnie wywozili z Westerplatte to miałem czapkę wojskową, taką rogatywkę i proszę sobie wyobrazić, że tam u tego gospodarza nie mogli znieść tej czapki polskiej - patrzyli na mnie jak na

diabła. Wreszcie jakiś fornał chwycił tę czapkę i porwał ją - powiedział, że w takim chałacie nie wolno mi chodzić. Za to dał mi inną - i później miałem już spokój, jak ta czapka znikła. Jeść dawali nam względnie, ale pracy wynagali nie z tej ziemi, od świtu do nocy. Ja miałem takie szczęście, że długo nigdzie nie pracowałem, parę dni siecką żnąłem, potem buraki wrywałem, kazali mi obcinać liście, dali nóż, a ja w życiu nic takiego nie robiłem - przeciąłem sobie palec, więc wyrzucili mnie od tych buraków i zostawili tam na miejscu gdzie spaliśmy - nie miałem pracy, więc wyszukali mi inną robotę - kazali buty czyścić - robiłem to od rana do wieczora. Ten gospodarz był wściekły na mnie - odgrażał się po niemiecku, że mi pokaże! Jak tylko ręka mi się podgoiła to wysłał mnie do murarki, jako pomocnika murar-
skiego. Przy tej pracy było 2 murarzy, starszych ludzi, miałem dla nich dwóch rozrabiać wapno. I to miałem robić tak fest, żeby robota szła. Ale ci ludzie nie spieszyli się, więc wysłali mnie, żebym u tych Niemców dzieci bawił, a jak szedł ten gospodarz to wołał mnie. Przez dwa tygodnie miałem tam dobre życie. Po 2 tygodniach wysłali mnie do innego gospodarza. Tam to już była straszna nędza. Było już dużo Polaków z Gdańska, około 30-tu. Nas przywieźli jeszcze 12-tu. Spaliśmy na pryzkach, jedzenie było bardzo złe. Tam znowu zapędzili mnie do buraków. Administrator, jakiś zniemczony Polak, zobaczył że ja to kiepsko robię, wyrzucił mnie od tej pracy już od godziny czwartej i do wieczora znowu buty czyściłem. W niedzielę kazali mi krowy paść. Stamtąd 1 grudnia przewieźli nas do Nowego Fortu, gdzie byłem do 13 stycznia 1940 roku. W Nowym Fortcie dostałem mój numer 2629, ale to jeszcze przed wyjściem do pracy u gospodarzy. Wszędzie było bardzo dużo SS-manów. Wtedy za drugim pobytom w Nowym Fortcie

pognali nas znowu na Westerpforte. Musieliśmy w ten wielki mróz czyścić cegłę. Zorganizowałem sobie wtedy prześcieradło i okręciłem się nim, bo już nawet koszuli nie miałem, a robactwa było mnóstwo, aż trudno dziś już to wspominać, takie to było wszystko straszne. -----

13 stycznia 1940 roku przewieźli nas do Stutthofu. Strasznie się to przedstawiło - zaraz po przywiezieniu apeli. W czasie apelu zaraz brali na bocka - bili okropnie, a tym biedakom których bili kazali liczyć na głos ile razy go uderzono. Umieszczono nas w baraku - był chyba wtedy tylko jeden barak, ten co później blok kobiety. Była też kuchnia i chyba ten co później było Politische Abteilung. Stał jeszcze budynek tego domu starców, ale tych starców już tam nie było. Były wtedy straszne mrozy, tak że nawet nie wszystkich wyganiaли do pracy. Ja spoczątku nigdzie nie pracowałem - tylko kazali nam robić "gimnastykę", to znaczy 2 godziny przed południem i 2 godziny po południu musieliśmy maszerować. Ludzie padali, ale nam kazano się gimnastykować i "spacerować". W tym czasie powstał już taki niby szpital, ale co to był za szpital. Było tam wtedy dwóch lekarzy doktor Mirau, i dr. Witkowski, no i naturalnie był już Haupt. W czasie tych "spacerów" przeziębilem się i dostałem zapalenia stawu w kolanie. Zgłosiłem się do tego szpitala. A tam patrzę stoi ogonek ze 300 ludzi. Haupt już to zauważył, złapał kawał żerdzi, jak zaczął walić to został tylko taki, który nie dał rady nawet uciekać. A reszta zrobiła się odrazu zdrowa. Ja spoczątku też uciekłem, ale nie daleko - nie mogłem przecież chodzić - miałem już wodę w kolanie. To też jak się przerzedziło spróbowałem znowu - poszedłem do doktora Mirau. On zrobił mi opatrunek i powiedział, że nie mogę chodzić, a tu trzeba było maszerować "na świeżym powietrzu". Doktor kazał

mi zaczekać. Stałem w kącie i czekam ze strachem czy Haupt jak przyjdzie to zostawi mnie w szpitalu, czy wypędzi, a może wykończy z miejsca. No nareszcie przyszedł, taki grubas, i zapytał doktora co tam ze mną. Doktor Mirau zaczął tłumaczyć Hauptowi, że to jest zapalenie stawu, że potrzymają mnie parę dni i będzie ze mnie człowiek do pracy. Wtedy zaczął krzyczeć że świeże powietrze dobrze mi robi, że tu nie sanatorium. Strasznie się wtedy bałem. Naraz, już spokojnie, zapytał skąd ja jestem? odpowiedziałem, że z pod Jasła. To go jakoś zaciekawiło, że jestem aż z tak daleka no i zdecydował żeby przyjąć mnie do tej izby chorych. No i zostałem i to nie na kilka dni, bo leżałem aż 3 miesiące. Kiedy podleczyłem się to zabrali nas do cegielni do Westlinken. Tam długo nie byłem, bo choroba się powtórzyła. Wróciłem z powrotem do Stutthofu - już wtedy był szpital. Dostałem się na piątą salę. Nie myślałem już, że stamtąd wyjdę. To była sala chyba wewnętrzna. Wtedy był podział tylko na chirurgię i na wewnętrzną. Wewnętrzny oddział był po prawej stronie od wejścia. To już był kwiecień 1940 rok. Jakoś w tym czasie doktor Witkowski poszedł do Hopshilu. W szpitalu zostali: doktor Mirau, doktor Jasiński i doktor Dębski. Resztę lekarzy rozesłali do innych prac przeważnie na Aussenkommando. Jak dostałem się na tę "piątkę" to mi tam powiedzieli, że szkoda że przyjechałem bo tu mogę się prędko wykończyć. Nie zrozumiałem o co chodzi. Ale po paru dniach zobaczyłem że zabrali jakiegoś chorego "chyba na płuca" mówiąc że na zwolnienie. Ci starsi więźniowie którzy byli w szpitalu patrzą przez dziurkę "jak go zwalnają". Za chwilę wynoszą go - już zmarłego, z wanny. Utopili go. Tam był taki chudy, zawsze chodził smutny, nazywał się Foszyk, on to właśnie topił w wannie - później go zwolnili. Był jeszcze marynarz, Niemiec, który świetnie mówił po polsku. Ile ludzi ten Foszyk wykańczał, topiąc w tej

wannie - to straszne. A ten marynarz - ilu on ludzi natopił to coś strasznego. Kiedyś pokłócili się z Fosnykiem o jakieś buty i ten marynarz chciał Fosnyka zabić. Potem już nie topili. Znaleźli inne sposoby. -----

W tym czasie kapo rewiru był Franek Włodarczyk. Podobno mu dużo zarzucają, ale chyba jest w tym dużo przesady. Göde był lagerältestrem - nie pracował w szpitalu, ale przychodził pomagać w tych "kapielach". Na to wszystko patrzyłem, to też chciałem się wydostać jak najprędzej ze szpitala, ale pech - chcieli i mnie wykończyć. Doktor Mirau, który mnie bardzo lubił, chciał mnie ratować. Ktoś umarł w nocy, łóżko się zwolniło, doktor kazał mi przejąć na to miejsce. Rano przyszedł Haupt - zobaczył, że moje łóżko puste, jakoś mu się pokręciło, myślał że już sam się skończyłem, on nie bardzo patrzył na "fizjonomie", a doktor Mirau starał się jak tylko mógł pomóc. Kiedyś rozmawialiśmy z dr. Mirauem - okazało się, że znał mojego wujka, który mieszkał w Gdańsku, był w Polonii w Gdańsku. Od tego czasu zaczął jeszcze bardziej mną się opiekować. Powiedział mi, że nie mogę leżeć w łóżku bo mnie wykończą - kazał chwycić się za jakąś robotę. Akurat potrzeba było kogoś do pracy w tej komorze, gdzie była brudna bielizna - wpakował mnie tam. Naturalnie, jak się tam dostałem to przez cały dzień aniż nosa stamtąd nie wychylił. Słyszałem co się tam działo - coś strasznego. Jednego razu w czasie największych mrozów ten marynarz utopił chorego - wynieśli go jako trupa na mroź, a w nocy ten człowiek odzyskał trochę przytomności i zupełnie nagi wrócił do szpitala. Trudno to sobie wyobrazić, ale jak to zobaczyli, czy też się dowiedzieli to go zamordowali jakimś żelazem. Okropne rzeczy. Trudne do opowiedzenia, nawet ciężko to sobie przypominać, o tem mówić. -----

W tej kanerze pracowałem dwa lub trzy miesiące. Potem potrzeba było kucharza - w kuchni coś tam miejsce się zwolniło. Poszedłem do kuchni. W tym czasie przychodził już jako fryzjer kolega Starzyński. Gdy tylko kilku ogolił to wpadał do kuchni. I wtedy poznaliśmy się lepiej, bo kazano mi gotować zupę, a ja nie miałem pojęcia jak to robić to Starzyński pomagał mi. Zresztą ja w kuchni byłem krótko - chyba najwyżej 3 tygodnie. Później przyjęli Trolę /on obecnie pija na jakimś statku jako kucharz/, potem był Pawlewicz. Do gotowania dostawaliśmy to samo co na obozie, tylko były jakieś dodatki. Wtedy gdy ja gotowałem dawano tego dodatku na około 20 ludzi. Dopiero w 1942 roku dawali trochę ryżu dla szpitala. Te dodatki to były tylko dla najcięższej chorych - dawali kaszę na kleik, a także bardzo niewielką ilość kaszki manny. Dla chorych na biegunkę, jak się to mówiło dla "sraczkarky" - dawaliśmy chleb suszony. To był ten sam chleb co na lagrze tylko że ususzony no i naturalnie "po drodze" prawie połowa tego chleba znikala.-----

Na początku szpital miał tylko jedno skrzydło, chorych nie było dużo, dziennie przyjmowano dziesięciu do piętnastu, to znaczy że conajmniej tylu w ciągu doby umierało. Wszystkich zmarłych chowali wtedy na Zaspie. Wywozili w trumnach, bywały wypadki, że Haupt potrzebował jechać do Gdańska, a było "zamało" trumien, to sobie dorabiał zmarłych. Prostu wykańczał chorych, no i jechał z trupami.-----
W trumnach było składane po dwóch, trzech zmarłych, zależnie od tego czy byli całkiem wychudzeni - no ile się zmieszcilo. To były takie trumny-skrzynie z najgorszych desek, przeciągnięte czerwoną farbą. Te trumny woził też czasem Franek Włodarczyk.-----

Potem, po tym kucharzeniu, to poszedłem znowu pra-

cować w komorze, ale wtedy to już było 2 komory z bielizną. Trzymano tam i czystą i brudną bielizną. To było akurat w tym czasie, jak wybuchła wojna rosyjsko-niemiecka. Niemcy zdobyli dwa statki Margaretę Górską i jeszcze jakiś drugi, którego nazwy nie pamiętam. Przyszedł wtedy do Stutthofu, akurat 21 czerwca 1941 roku transport marynarzy rosyjskich, których traktowano ulgowo, a potem gdzieś ich wywieźli. To pamięta najlepiej Starzyński, bo przyszedł tego samego dnia co ci marynarze rosyjscy. Całe zaopatrzenie a właściwie zaoprowiantowanie tych statków rosyjskich - Haupt ściągnął do szpitala. To miało być jako dożywienie dla chorych - ale co się okazało? że Haupt tę żywność wywoził do Gdańska w trumnach takich sanych jak te co szły z nieboszczykami. Ja musiałem pakować mu te produkty do trumien. Władarczyk też musiał jeździć z tymi transportami. Haupt w ten sposób podtywał się sam i swoją rodzinę w Neufarwasser, bo on stamtąd pojechał - to był stolarz z zawodu. Zresztą on wogóle z rewiru "żył". Ale on miał jednak coś wspólnego ze służbą zdrowia. Podobno on teraz siedzi, jest złapany i ma być sądzony. Był tam też Otto Knoth, ale to był taki pionek. On wrzucał gas do gaskamery bo mu tak kasali. Był podobno w Majdanku na przeszkoleniu w obsłudze komory gazowej. - - - - -

Niedługo później, po wybuchu wojny z Rosją ja objąłem stanowisko pielęgniarza. Ktoś został zwolniony, było wolne miejsce i wtedy ja się tam dostałem - zacząłem pracować wtedy pod ręką doktora Mirau. Potem mnie wyrzucili, na moje miejsce sanitariusza przyszedł doktor Węgrzynowicz, który w niedługim czasie awansował to znaczy pracował jako lekarz. A ja znowu zachorowałem na góściec stawowy i znowu byłem w szpitalu jako pacjent. - - - - -

Podczas mojej pracy w szpitalu, najgłówniejszym sze-

fem był dr. Heidel, ale on bywał niedługo w ciągu dnia, prze-
ważnie tylko na obchodzie, a całym naszym szefem był Haupt.
Dr. Heidel to był Niemiec z Sudetów, bardzo dobrze mówił po
czesku, to był bardzo inteligentny człowiek - tego nie moż-
na zarzucić, ale swoje rzeczy robił. Wykańczanie to u niego
nie było nic, ale on sam tego nie robił, wydawał tylko pole-
cenie wykończenia Hauptowi. To był taki typowy Niemiec, taka
niemiecka dusza, aby tylko wyniszczyc obcych, ale swoich ra-
tować. Doktora Heidla najlepiej znał dr. Węgrzynowicz, bo
codziennie miał z nim do czynienia. Heidel był wyniosły, du-
żo bardziej otwarty był Haupt, ten wszystko wypowiedział,
szczególnie jak sobie wypił. Naprzykład jak miał być jakiś
"nalot" na szpital to Haupt nas zawsze uprzedził, bo zresz-
tą sam się bał. Ale przypominam sobie jeszcze taki jeden wy-
padek: właśnie po zdobyciu tych rosyjskich statków przyszedł
też spirytus i trafił do mojej komory, chociaż ja o tem nie
wiedziałem. Zauważyłem jak tam przychodzili Haupt, Otto Knotl
i taki aptekarz niemiecki, SS-man, taka ruda małpa, on zresz-
tą niedługo był w szpitalu, to był unterscharführer, na i był
też Rappel - to właśnie oni przychodzili do tej komory. Mnie
wyganiali, a sami upijali się jak nieszczęście i robili awan-
tury. Ta komora była za apteką. Zauważyłem, że oni tak się
upijali i mówię do doktora Jasińskiego, że te pioruny gdzieś
u mnie schowali wódkę. Kazał mi szukać. Znalazłem taką pięć-
dziesiącio litrową banię ze spirytusem. Odleliśmy sporo do
butelek litrowych, a na to miejsce doleliśmy wody. To właś-
ciwie nie było ważne, ale takie wspomnienia. Ale jak ci SS-
mani tak się popili, to jeszcze gorzej szaleli w rewizje, ro-
bili różne brewerie, gonili kobiety po korytarzach, niestwo-
rzona rzeczy co wyczyniali. Wtedy nie było osobnego szpitala
kobiecego, a tylko było jakieś 8 - 14 kobiet na jednej izbie

chorych. Ja byłem przez 8 miesięcy pielęgniarzem u tych kobiet - ciekawe, że w 1941 roku były tam także Żydówki. Te nie były Żydówki z tych transportów żydowskich. Widocznie przypadkowo dali Żydówkę do tego naszego rewiru. Co się z nimi stało nie wiem, ale prawdopodobnie poszły "na zwolnienie" - wiadomo jakie. -----

Od 1942 roku szpital zaczął się rozbudowywać i rozszerzać, zajmować coraz nowe baraki, aż do kobiecego obozu. Jeśli chodzi o lekarzy polskich, którzy pracowali na rewirze to najpierw był dr. Mirau i dr. Witkowski, później dr. Jasiński, dr. Dębski i dr. Węgrzynowicz. Na początku z Polaków, oprócz lekarzy to był jeszcze Włodarczyk, Pruszek - aptekarz i ja jako pielęgniarz. Pruszek potem zmarł na tyfus. Doktor Mirau był pierwszą ofiarą tyfusu plamistego, który wybuchł w 1942 roku. Dwudziestego pierwszego kwietnia doktor Mirau jeszcze przyjmował chorych, a w parę dni później już nie żył. Zmarł też wtedy na tyfus SS-man Otto, taki wysoki, miał przeszło 2 m. wzrostu. Wtedy była straszna epidemia - obóz był zamknięty, nie przyjmowano żadnych transportów. Pamiętam tę datę, bo to było zaraz po gobustagu Hitlera. -----

Potem przyszedł do rewiru dr. Kaczyński i dr. Kruszewski z grupą białostocką. Wtedy jak wybuchł ten tyfus to było bardzo dużo chorych - na rewirze było pełno, na łózkach leżało po dwóch lub trzech ludzi, na jednej izbie było dwustu do dwustu pięćdziesięciu ludzi. Zresztą nie można określić ilości chorych, bo bardzo dużo chorych pozostawało na blokach. W szpitalu nie było miejsc. W szpitalu było około ----- 1800 do 2000 chorych. W tym czasie SS-mani przychodzili do rewiru w białych kitlach. -----

W pewnym momencie, w końcu 1941 roku lub na początku 1942 - przyszedł z Dachau transport, było tam 10 pielęgniarzy

to byli czerwoni, polityczni. Potem była jeszcze druga grupa - wtedy przyszedł Czech Łódzia, Saffkiewicz i inni. W poprzedniej grupie tych dziesięciu Niemców przyszedł Mathis, który został kapem. Ci wszyscy poszli potem do wojska. W tym czasie w krematorium, do palenia zwłok, był Izidor Niklasz - on teraz jest w Szczecinie. - - - - -

Od momentu przyjęcia tej grupy z Dachau zaczęto stosować zastrzyki z sublimatu, dożylnie, zamiast jak do tego czasu topienie w wannie. W tym czasie lekarzem nie był jeszcze dr. Heidel, był jakiś inny, Gdańszczanin, unter lub sturmfürer, młody lekarz. Był on krótko w Stutthofie. I to właśnie od tego czasu zaczęły się zastrzyki. Taki na przykład Mathis - ten to wysłał na drugi świat setki ludzi. Robił im zastrzyki sublimatu - dożylnie. Breit jak robił zastrzyki to nie wpuszczał nikogo, ubierał się w kitel biały jak lekarz, wkładał okulary. "Widziałem jak on to robił. Te zastrzyki robili Niency, ale i Kazik Saffkiewicz też do tego rękę przykładał. On potem był odesłany do Neugamme i był na okręcie Cap Arkona. On ma na sumieniu młodego 15-letniego chłopca. Był też wtedy taki flegler z czarnym winklem Willi Erkel. To był sympatyczny, wesóły. Był też Mikołajewski - ten już nie żyje. Do Neugamme wyjechał razem i Kniecik Czesiek. Z tych wszystkich ze statku Cap Arkona uratował się podobno tylko Saffkiewicz, widział go prawdopodobnie Leon Prusiński z Wejherowa. - - - - -

W okresie tyfusu wymarło co najmniej 30 - 40% więźniów. Po tyfusie przeprowadzono gruntowną, całkowitą dezynfekcję - całego obozu, wszystkich pomieszczeń. Dezynfekcja ta była przeprowadzona latem 1942 roku. Potem było drugie nasilenie tyfusu w kwietniu 1943 roku. W czasie tych epidemii był obóz zamknięty - nie przyjmowano transportów. Dezynfekcję

przeprowadzano jakimiś dymnymi środkami. Etapami. Najpierw jedną stronę, potem osobista dezynfekcja - wszystkich przeniesiono na tę już czystą stronę, a wtedy resztę pomieszczeń dezynfekowano. To było lato 1942. Ostatnie nasilenie tyfusu było już w czasie ewakuacji. Ale chyba największa epidemia była w 1942 roku. W czasie epidemii wszyscy zatrudnieni w rewirze wynosili trupy. Pamiętam taki wypadek, że wynosiliśmy we dwóch trupa do szopy koło ustępu - tam był już stos trupów pewno ze 3 m³, wszystkie trupy były nagie i zauważyliśmy, że u jednego głowa wisi, a on usta otwiera. Szybko zwołałem doktora Węgrzynowicza - on zaczął się gniewać, co się dzieje? żywych ludzi wynoszą - nie wiedzieliśmy nawet z jakiej sali był ten człowiek. Doktor zaraz złapał za ręce, wyciągnęliśmy, zaraz okręciliśmy go w kocie. Jeden, drugi zastrzyk, zabraliśmy na moją salę i chłop się wylizał. Chyba żyje do dziś. Zresztą to nie był jedyny wypadek, przeważnie jednak wyciągaliśmy z łazienki, takich prawie trupów i często zdarzało się, że uratowało się człowieka. To właśnie doktor Węgrzynowicz specjalnie pilnował, wyszukiwał, sprawdzał i ratował. - - - - -

Jak przyszedł z Grenzdorfu Kozłowski - nie miał żadnej funkcji, a że już był mocno "zaskłużony" w mordowaniu ludzi, więc dopadli go gdzieś na stolarni Szwarebard, Kwapisz i inni i pobili porządnie, miał złamaną rękę - przyszedł na rewir - naturalnie nawet jemu trzeba było pomóc, bo to szpital i tu udzielało się porady. Ten Kozłowski to był typ wariata, leżał u mnie na sali, byłem świadkiem jak rano wstał, zaczął śpiewać "godzinki", modlił się. Któryś chory mu przeszkodził to złapał stołka, rąbnął tego człowieka i dalej śpiewa, modli się. To był napewno pomyłony - psychicznie chory. - - - - -

Okna szpitala wychodziły na krematorium, komorę gazową, szubienicę, strzelnicę - to też wszystko co się tam działo widzieliśmy. Widzieliśmy jak Foth rozstrzeliwał w czasie apelu, potrafił w ciągu obiadu zastrzelić 60 osób, pod wieczór strzelał znowu Chemnitz, rapportführer, chodził w białej bluzie - ten drugą taką "porcję" rozstrzelał przed wieczorem. Myśmy na apele nie chodzili, stan szpitala to znaczy ilość chorych i personelu podawał kapo szpitala. To było nasze zbawienie. Pewnego razu przywieźli z lubelskiego partyzantów - tych wieszali po dwóch kolejno. Jeden zaczął mówić jacy to oni są, ci Niemcy, to ich tak zdenerwowało, że pchnęli go z szubienicy, aby prędzej wykończyć. Tych wieszali na szubienicy koło krematorium, bo na obozie, na placu apelowym to wieszali tylko za wykroczenia, przestępstwa dokonane w obozie. Wyroki wszystkie były wykonywane z tyłu. Na przykład powiesili jednego kapo z Hopenhilu, za znęcanie się nad więźniami, bo już wtedy było oficjalnie zabronione bić; tego to powiesili na placu apelowym. W czasie wieszania koło krematorium kazano nam okna w szpitalu specjalnie zaciemniać, a chorzy, którzy słyszeli co się tam działo, to poprostu mdleli - to było straszne. Ja miałem tam orkiestrę, trzech czy czterech muzykantów - to żeby zagłuszyć to co się tam działo, żeby odwrócić uwagę chorych, musieli grać, bo to wprost nie do uwierzenia co się tam działo. Jak na przykład żydówki rozstrzeliwali - najpierw robili z nimi różne hocki klocki - jakieś wyścigi - która przebiegła pewną odległość - to zatrzymywali, a te słabsze to urządzali taką komedię - kapali, szykowali niby na robotę do gospodarza. SS-manka prowadziła dookoła lagru, pod królikarnią, stamtąd po jednej do krematorium, gdzie był jeden przebrany za lekarza - jakiś SS-man, był on ze słu-

chawką lekarską, brał taką Żydówkę na wagę, zapisywał nas-
wisko, wagę, wysokość, dostawały podwójne umundurowanie i
kazali przejść do następnej sali - a w progu stał Foth albo
Chemnitz i w momencie kiedy ona przechodziła to strzelał w k-
tył głowy. Ta się przewracała. Dwóch ją zabierało, jeden ze
szlauchem krew zmywał ... i następną. W ciągu trwania apelu
potrafili pięćdziesiąt do sześćdziesięciu zastrzelić. - - -
SS-mani szli na ochotnika do tego strzelania, poprostu urzą-
dzali sobie taki sport, potem jeszcze udoskonalili i strze-
lali zaraz przy mierzeniu wzrostu. Później Żydówki zaczęły
już się bać, nie chciały wychodzić nawet na te wyścigi. Zbu-
dowali wtedy wagon kolejki - hermetyczny i w tym wagonie ga-
zowali, tak że pod krematorium już wyladowywali zagazowane,
nieżywe. To robił Knoth - bo co do gazowania - to była jego
funkcja. On i komorze gazowej to robił. Wchodził na dach i
wsypywał gaz do komory. Jak przyszedł taki jego dzień, to
chodził jak zwariowany - był pijany, nie mógł znaleźć sobie
miejsca. Bo on to był takim "naczyniem wybranym" do tych
rzeczy. On przyjechał z Majdanka, gdzie był wysłany na spe-
cjalne przeszkolenie. On nawet o tym opowiadał. Był jeszcze
jeden młody unterscharführer - ten się też chwalił Majdankiem,
ale ten był krótko. On był z Bydgoskiego. - - - - -

Ja byłem w rewirze do 25 stycznia 1945 roku, potem
poszedłem na ewakuację do Nawcza. W szpitalu zostali wtedy
tylko najszłabsi. Poszedł też ze mną Tadek Muszyński, on był
także sanitariuszem. Był jeszcze ze mną doktor Kruszewski i
doktor Kowalczyk. W ostatnich czasach przed ewakuacją było
na rewirze pewno ze 25 lekarzy, bo od lata 1943 roku jak
podał się za lekarza, to odrazu był kierowany do rewiru.
Nie byli już nawet w wagenkolonie. Tak przyszedł dr. Wojew-
ski, lekarze z Warszawy, był też taki Kwiatkowski, dzioba-
ty na twarzy, który też przyszedł jako lekarz, ale chyba nie

był lekarzem. Frócz lekarzy byli pielęgniernie. Na każdej sali był jeden pielęgniarz, do pomocy miał hauserów, którzy wykonywali pracę salowych. Oni musieli zamieść, wyczyścić, posprzątać, napalić, przynieść jedzenie. Ci hauserzy to dobierani z pomiędzy chorych, takich ozdrowieńców. Pielęgniarnie nazywani byli flegami - to już była dość ważna funkcja. Sali było jedenaste, tak że pod koniec to przeciętna liczba chorych na rewirze była jakieś 1200. Najgorzej jednak było, jak był tyfus, nie można było chorych upilnować, w nocy w gorączce, wychodzili oknem, chodzili po dachach. Pamiętam jak takiego jednego na dachu zastrzelił wartownik. Inny znów uciekł w gorączce / w tyfusie/ za bramę, schował się w drzewie na holzplacu. Zauważył to SS-man, dał znak, zaczęli go wypędzać, ale on uciekał z jednej strony na drugą, w końcu go tam w tym drzewie zastrzelili. - - - - -

Z Żydów utrzymali się dwaj Żydzi - szewcy, cholewkarze: Warski i Grymałowski, no i dwóch krawców : Kirsz i Inowłodzki, no i Szwarcbard, ale on od początku był uważany przez wszystkich jako Polak. Jeden z tych cholewkarzy przeżył, podałbym napewno, bo mieszkał w Lęborku. - - - - -

Był taki jeszcze wypadek z Muszyńskim i jednym Niemcem, który pracował w Schreibstube. Chodziliśmy na nowy obóz, na bloki na badania, szczepienia, robiliśmy też opatrunki i pewnego razu jak przechodziliśmy Muszyński uśmiechnął się do jakiejś panny; on był dość przystojny i sympatyczny, to też ona mu coś odpowiedziała i zauważył to Niemiec, nie pamiętam jak on się nazywał. Gdy wróciliśmy do rewiru, to ten Niemiec przyszedł i zabrał się do bicia tego naszego Muszki. Poturbował go porządnie a Muszka się nie bronił, bo bał się, że to Niemiec. Jak tylko ten Niemiec wyszedł to pielęgniarnie do tego Muszki "co ty się dajesz Szwabowi bić; on przecież taki sam jak i ty". Za chwilę ten Niemiec wraca,

bić dalej Muszyńskiego, że on chce zu pannę odbić? Ale wtedy Muszka już chwycił się za niego, nos mu rozbił, ucho ponadrywał, oko też podbił, zrobił go zupełnie na szaro. Ten się wreszcie wyrwał i dał znać tam naprzód że Polacy Niemców biją. Wszystkich to tam poruszyło i SS-mani też się dowiedzieli, sam komendant przyszedł, ale jakoś nic nie było. Wogóle szpital był już wtedy całkiem przez Polaków opanowany, panowały już zupełnie inne stosunki. Dostawialiśmy na przykład w szpitalu bieliznę pościelową, o czym na blokach nawet mowy nie było. Spoczątku do 1942 roku były tylko sieniaki, no i normalne 3-piętrowe prycze. - - - - -

Praca pielęgniarza polegała na tym, że pielęgniarz musiał dbać o chorych - opiekować się nimi. Rano trzeba było przypilnować, żeby chorzy się umyli, niektórzy mogli wstać, innym trzeba było przynosić wodę, potem mierzyło się wszystkim chorym gorączkę, trzeba było lekarstwa rozdzielić, a trzeba było przyznać, że w tym późniejszym okresie byliśmy w lekarstwa dobrze zaopatrzeni. Początkowo to co innego, nawet lekarstw nie było, to wtedy ten aptekarz Pruszek robił je sam, jakieś mikstury przeciw bieguncce, przeciw gorączce, czasem poprostu wodę zabarwioną dawał, ale co miał robić? Przychodzi chory, gorączka 40^o, w szpitalu miejsc niema, prosi go taki biedak "daj coś bracie - ja umieram" - to on daje mu to swoje lekarstwo i mówi "jutro będziesz zdrow, bo inaczej....". No i widocznie sugestią leczył, bo te jego lekarstwa pomagały i bardzo wielu wydrowiało. On był już wtedy nienłody, miał pewno więcej niż 50 lat. Między więźniami mówiło się, już się tak utarło, że "Pruszek pomoże", to też ogonki były do apteki ogromne, a on przez to okienko dawał te paskudstwa, gorskie, wstrętne ale jednak pomagały. On poprostu wmawiał. - - - - -

W obiad przynosiło się kocioł z jedzeniem i hauser-

rzy rozlewali zupę, nosili w miskach i podawali chorym.

Salę były myte dwa razy dziennie - żeby jakaś higienę była. To też robili hauzerzy. - - - - -
Wieczorem o 6-tej była kolacja. Bieliznę zmienialiśmy tak pościelową jak i osobistą raz na tydzień. Ale to było już w późniejszym czasie. W 1944 roku na salach było około czterdziestu chorych w normalnym czasie to znaczy jak nie było epidemii. Ale jak dostałem się na salę biegunki tak zwaną sraczkarnię, to coś strasznego co się tam działo. Umierało mnóstwo. Dwóch ludzi to tylko wynosili trupy, ci zresztą to też byli już na wykończeniu - dawało się jedzenie, ale co to pomogło. Ludzie robili pod siebie, smród tam panował nie z tej ziemi. A ja dostałem się na tę salę po wpadce z radiem. Połpadliśmy wtedy we dwóch z Muszynskim. To było tak: miały przyjść do obozu dwa radia, jedno ogólnie na bloki, a drugie dla szpitala. Elektryk powiedział tym Niemcom pielęgniarzom, co przyszli z Dachau, że słyszał na własne uszy, że to jedno radio przyjdzie do szpitala, no i oni prędko poszli i zabrali to radio od niego. Nie pytali się nikogo. Nastawiali u siebie, w swoim pomieszczeniu, a ja im zrobiłem antenę pokojową. Po jakimś tygodniu SS-mani usłyszeli muzykę, zainteresowali się tym i jednego dnia rano zrobili rewizję i naturalnie radio zabrali. Jednego z tych Niemców, takiego przystojnego, wyrzucili ze szpitala, Mathis, ten kapo, dostał porządnie na tyłek, a nas dwóch z Muszką wyrzucili ze szpitala. Wyszliśmy obaj jak sieroty - nie byliśmy przyzwyczajeni do pracy obozowej, a mieliśmy¹⁶⁶ do karczowania lasu. Jednak dzięki Nogajskiemu i Czechowi - Benschowi udało się dostać do innej pracy. Ja dostałem czterech ludzi i miałem z nimi budować drogi. Ale przecież o budowaniu dróg to ja miałem pojęcie takie jak o gwiazdach. Pracowałem tam około tygodnia. Widzę, że będzie źle ze mną, chory jestem. Więc

znowu do szpitala. Doktor Jasiński jakoś mi to podsunął - powiada że jest ta sala sroczkarzy taka zaniedbana, to mam tam przyjść. Wtedy już był doktor Heidel. Przyszędłem do szpitala, przyjmował Haupt, ale był też i doktor Jasiński. Haupt jak mnie zobaczył to mówi " ten znowu do szpitala? - jak ja będę wyglądał" - ale Jasiński powiedział że jestem chory, że mam "dursbhfal" i że się wykończę. Dali mnie więc na tę salę, a tam dziennie umiera po czterdziestu ludzi. Dosłownie jednych przyprowadzali, drugich wynosili. Przestraszyłem się, że się zarazę. Przyszędł doktor Jasiński i powiedział, że dzień wypocząłem, to już dosyć - mam zostać i brać się za robotę na sali, tylko wtedy jak miała być wizyta, to miałem się kłaskać jako chory. Nikt nie chciał tam pracować, bo wszyscy się bali. Heidel jak przyszedł na wizytę, to mnie zobaczył i poznał. Zapytał kto mnie przyjął. Wtedy dr. Jasiński zaczął mu tłumaczyć, że to tylko na parę dni, bo ja i tak się wykończę, bo stąd wszyscy pójdą na tamten świat. Heidel się tem ucieszył, bo jak słyszał że więźniowie się wykańczają, to była dla niego uciecha. Wtedy dr. Jasiński wytłumaczył mu, że ja tymczasem nogę poróc, bo na sroczkarni niema żadnego pielęgniarza. No i zostałem. Do pomocy dał mi doktor Jasiński Andrzeja Kamieniarsa /on teraz podobno mieszka w Słupsku/. Pótem Kamieniars był kelnerem u SS-ów. No ale wtedy we dwóch zaczęliśmy porządną robotę. Kamieniars znosił ze mną ukradzione "Holswolle" - chyba z pięć bali schowaliśmy w ustępach na końcu, sienniki "zorganizował" Czerwiński. No i wtedy nocami nosiliśmy chorych do łazienki /braliśmy ich na plecy/, wymyliśmy, wyczyścili, jak miała być wizyta to szprycą rozpylaliśmy olejek eukaliptusowy, sosnowy - no i jakoś już takiego smrodu nie było, ale umierali dalej tak samo - dziennie miałem

trzydzieści do czterdziestu trupów. Chleba było wtedy bardzo dużo, no bo dostawałem 60 porcji chleba, a przecież umarłym nie dawano się go, bo nawet jak był już taki całkiem na wykończeniu, to też nie można było położyć tego kł chleba, zaraz byłby brudny, zapaskudzony. Można było dać innym. Daliśmy więc 6 pajdek chleba Knopikowi, a on zato całą salę nam odmalował i łóżka na biało. Czyściutko było. Przyszedł dr. Heideł na wizytę i mówi "co tu sanatorium" i nie upłynęło nawet pół godziny, a już szczerkarsze byli na jedenastce. Wszystkich wynieśliśmy na plecach, w tej sali kazali łóżka górne zdjąć i zrobili salę dla prominentów. Mnie zostawił na tej sali - miałem tam tylko dwudziestu chorych. Leżeli tam kapowie i tacy inni prominenci. Długo tam nie byłem na tej jedyńce, wyrzucili mnie stamtąd i dali na czwórke. Tam był Czerwiński. Ale przedtem jeszcze jedynekę połączyli z dwójką. Tam na czwórce miałem ciężkie przypadki. Pamiętam jeden chory poszedł w nocy na inną salę i ukradł kawałek pajdki. Chwycili go na tym. Obudzili Czerwińskiego i mnie, bo to był człowiek z naszej sali. Tłumaczyłem że ja w nocy nie mogę pilnować, ale zabrali mnie przemocą i musiałem być świadkiem egzekucji na tym człowieku. Powiesili go do góry nogami i knyplem zabili - żeby więcej nie kradł. Takie rzeczy się działy. Później jak byłem na czwórce to miałem historię z prądem. Kiedy przyszedł ten transport z Dachau był tam taki Went, taki elegancik, wysoki, zawsze miał wyprasowane pasyaki. Went był na mnie wściekły chciał abym go słuchał, a ja znowu nie chciałem jego rozkazom ulegać, bo byłem starym więźniem, byłem przecież od samego początku i prawie cały czas w rewirze, a on przyjechał dopiero w 1942 roku. On swoich ludzi, tych którzy z nim razem przyjechali - oszczędzał, pozwalał im spać do godziny siódmej, chorzy musieli sami wstawać, mierzyć sobie

sami gorączkę, a do mnie odnosił się jak do psa. Musiałem wstawać o 5-tej, za byle co karał mnie jak nieszczęście, stale miałem nocki /dyżury nocne/. Zezłościło mnie to, więc przeprowadziłem drut od gniazdka nad łóżkiem do kłamki. Jak on rano przyszedł, nie kazałem się chorym ruszać, on złapał za kłamkę i jak go rąbnęło to wyleciał przez okno. Wrócił, odwalik drzwi kopytami i do mnie z pyskiem że go chcą zabić i krzyczy że mnie za to wykończy. A ja miałem wtedy na sali Malinowskiego, to był bokser z Wilenszczyzny i wszyscy się go bali, to ten Malinowski się podniósł, inni chorzy też powstawali, stoją w tych koszulinach i czekają co będzie. Wtedy Went się przeląkł ale kazał mi pokazać jak to zrobiłem. Zwołał wszystkich lekarzy, pielęgniarki na naszą czwórkę. Doktor Węgrzynowicz też przybiegł, chwycił za kłamkę i aż się przewrócił. Wszystkich pielęgniarzy wołał po kolei i jak go rębął prąd to mógł odejść. To mu się spodobało. I od tego czasu Went zrobił się dla mnie najlepszym kolegą. On był kapem szpitala po Breicie. Kapem był Mathis, potem Breit, a potem do końca Went. Był jeszcze Orłowski, ale ten nazywał się starszy flegger. Breit był z Buchenwaldu. Ale po tej historii Czerwiński, Tomczyk i jeszcze inni wściekli się na mnie i urządzili taką pułapkę: wzięli odemnie drut, dałem im bo nie wiedziałem na co. A oni chcieli mnie i Wentę wykończyć. Zostawili w nocy światło, a to przecież było zabronione, akurat w taki czas kiedy miałem służbę. Wenta często chodził ze mną wieczorem - sprawdzał czy wszystko w porządku. No i wtedy zauważyliśmy że u nich pali się światło. Went kazał mi pójść do nich, żeby zgasili. Poszedłem. Chwytam kłamkę, zrobiło mi się ciemno w oczach, bo to prąd 220 V, a podłoga mokra. Zemdlałem i to mnie wybawiło, bo swoim ciężarem odpadłem, a oni zaczęli się śmiać. - - - - -

Ale to mi pomogło na reumatyzm, bo ja miałem taki reumatyzm, że nie bardzo mogłem chodzić, a potem przez dwa tygodnie to poprostu biegałem, takie miałem lekkie nogi. - - - - -

Na tej sali "czwórce" byłem do końca - to była sala chirurgiczna, tę salę miał doktor Kaczyński, a potem jak wyjechał do Polic, to przyszedł do nas doktor Wojewski. - - - - -

Od 1943 roku dostawaliśmy w szpitali codziennie mleko dla chorych, dwie kany - 40 litrów, a w święta jak SS-mani szli na przepustki to bywało więcej nawet - do osiemdziesięciu litrów. Doktor Węgrzynowicz to rozdawanie mleka to robił sam, miał do pomocy takiego młodego 16-letniego chłopca Franciszka z pod Lipna. Doktor Węgrzynowicz to był takim ojcem dla chorych. Ale co on miał z tymi zdrowymi! wszyscy chcieli dostać mleko, ale doktor sam dawał, sprawiedliwość była do maksimum, zdrowy tego mleka nie dostał. Ja też kiedyś prosiłem o mleko to mi doktor przegnał, powiedział "że ty koniu możesz wedy dostać". No ale z tego powstawały rozmaite historie. Miałem naprzykład na sali dwóch takich speców od rysowania karykatur, jeden Rosjanin a drugi Polak z Wilna. Ja skombinowałem aparat projekcyjny. To był taki bardzo prymitywny aparat, zrobiony z okularów i 4 żarówek 2wusetek. Soczewki ustawiłem tak, że obraz na ścianie był normalny. Pierwsza taka aparatura spaliła mi się bo była z desek, zrobiłem drugą z płytek azbestowych, które gdzieś mi tam "zorganizowali". Wtedy ci moi rysownicy wyrysowali karykatury i robiliśmy kino. No i wymalowali stado bydła, jeden duży buhaj z głową doktora Węgrzynowicza, w kitlu i obok Franciszek z mlekiem. Spoczątku doktor się gniewał, ale potem śmiał się. Takie rozmaite rzeczy się robiło. Robiliśmy też jakby fale Wisły i flisaków. Piękne to było. - - - - -
To wszystko działało się po godzinie 6-tej wieczorem. Wtedy

już SS-manów nie było. Okna zasłaniałiśmy kocami no i rewir zaczynał żyć. Naturalnie to było już w końcowym okresie. Ale wtedy to rewir był już takim państwem w państwie. Zupełnie osobny na tle kacetu. Wieczorem pichciło się na maszynkach, były rozmaite występy, śpiewał Nietyksza z Warszawy. To już były przy końcu, a wtedy na mojej sali nie było już takich ciężko chorych. - - - - -

Najgorzszą przy końcu była sala gruźlicza "jedenastka" tam był flegren Duzdal. Gruźlików miał pod opieką doktor Węgrzynowicz - starał się o nich jak tylko mógł, nawet zrobił sam aparat do odmy. Tam na tej sali był Waniorek, Rogowski jako gruźlicy. Oni dostali się z ostatnią ewakuacją do Szwecji na barkach.

Jan Kostrzewa

Relację sebrała i z taśmy odtworzyła

Krystyna Krzewska

Nieznanski Mieczysław
mieszkaniec Gdyni, nr oboz. 4589
sam. ul. Podchorążych 69a m.7
Warszawa

S. 188-212



Nieznanski Mieczysław
4589

RELACJE

Mieczysław Nieznański
były więzień obozu koncentracyjnego Stutthof
Numer obozowy 4589

urodzony w Warszawie dnia 15.04.1906 roku
przed wojną zamieszkały w Gdyni
obecnie: Warszawa ul. Podchorążych 69a m.7

zawód: pracownik umysłowy w Ministerstwie Kultury i Sztuki
Centralny Ośrodek Pedagog. Szkoln. Artystyczn.

Nazywam się Mieczysław Nieznański, urodziłem się w Warszawie, skończyłem szkołę handlową. Do 1933 roku pracowałem w angielskiej firmie samochodowej w Warszawie. Na skutek jej zamknięcia przez blisko rok pozostawałem bez pracy, dostawałem zasiłki. Po tym mniej więcej czasie dostałem list od kolegów z Gdyni, że mogą postarać mi się o pracę, więc przyjechałem do Gdyni. Pracę dostałem zaraz. Było to w lutym 1934 roku. W chwili wybuchu wojny pracowałem na Oksywiu. Stamtąd zabrano mnie razem z innymi. Włączono nas do dużej grupy. Widziałem kilka wypadków, że z tej grupy zastrzelono kogoś, chyba trzech lub czterech. Widziałem jak byli trafieni - przeokoziółkowali do rowu i zostali tam. Nikt się nimi nie zajął. Tak doszliśmy do pobliskiej elektrowni. Tam chwilę zatrzymaliśmy się - potem - do Gdyni, ulicą Morską do bloku emigracyjnych, gdzie zamknięto nas w piwnicach. Do bloków tych szliśmy pod eskortą Niemców. Tam przez dnia-

szy czas nie dawano nam nic jeść, aż przywieszono kocioł ze stęchłą kaszą. Chociaż byłem głodny, jednak tej stęchłej kaszy jeść nie mogłem. Jestem dość wytrzymały na głód i widoczenie przy tym wielkim zdenerwowaniu jeść nie mogłem. Po kilkunastodniowym pobycie w tej betonowej piwnicy wyprowadzono nas i wtedy spostrzegłem, że jesteśmy tylko częścią pewnej wielkiej grupy, która narastała, ścierała się na tej ulicy Marskiej. - - - - -

Wyprowadzono nas pod eskortą chyba już osiemnastu. Szliśmy ulicą Moroka, Świętojańską, naturalnie prowadzono nas na piechotę. Grupa liczyła około dwadzieścia ludzi. Na tę przechodzącą kolumnę patrzyli ludzie tak jak na kłosa. Parzysta, że jeden z gipsiarzy - Samiś podbiegł i rzucił mi tabliczkę czekolady. Odrzuciłem ją do kolebki od ciemnotę. Nie miałem jednak czasu zjedlić tej czekolady. - - - - -

Z chwałą się weszliśmy do Gdańskiego ośrodka przesiedleńczego, że jesteśmy na wrogu środowisku. Nawet stare kobiety wykrzykiwały "No, idźcie na Berlin"; naturalnie nie obyło się bez płaciu i t.d. W pewnym momencie sawantyzmem lecący samolot, taki srebrzysty, a ponieważ byłem na skrajnej kolumny, to osiemnaście do mnie powiedział - "to Ribbentrop wraca z Moskwy". - - - - -

Zaprowadzono nas do więzienia na Schisstange. Poddano nas tam ścisłej rewizji. Tam też zobaczyłem pierwszy raz Mathesiusa. Wychylił się z drugiego czy trzeciego piętra i coś tam krzychał. Usłyszałem, że to Mathesius - wtedy to naprawdę nie mi nie mówiło, ale głośno go przecieś słali. Zamknęli nas znów w piwnicy. Potem był taki moment, że wybrano ochotników na Westerpforte, które podło

7-go czy 8-go września, a to już chyba upłynęło dwa tygodnie w tym Schisstange. Zgłosiłem się od razu na ochotnika. Przecież każdy z nas wiedział co to Westerplatte, tym bardziej, że w więzieniu były ciągłe egzekucje, bito tam, maltretowano i jeśli nawet nie mnie osobiście, to patrzyło się na to, więc jak usłyszałem, że mamy jechać na Westerplatte po drzewo, to naturalnie zgłosiłem się. Poszliśmy kolumną do Nowego Portu - długi, długi marsz, nieskończona ilość ulic Przewieźli nas przez Wisłę i - widok na Westerplatte. Jak to wyglądało, to wszyscy wiemy, bo przecież są fotografie. Spojrzałem na koczary, wszystko postrzelane, rozbita a orzeł polski nietknięty. Teraz jak byłem kilka dni temu na Westerplatte - pytałem co się stało z tym orłem i dowiedziałem się z wielką radością, że jest zdjęty i podobno znajduje się w muzeum w Gdańsku. - - - - -

Na Westerplatte byliśmy kilka dni, spaliliśmy tam. W dzień Niemcy puścili nas tyralierą poprzec cały teren, prosto "przeczesali" cały ten teren z tymi połamanymi drzewami. Pamiętam jeden wybuch miny, pewno jeszcze naszej polskiej, usłyszałem krzyki, ale Niemcy stali z daleka, a nam nie pozwolili się zatrzymać tylko kasli 150 dalej - widocznie o to chodziło, aby pozrywać te ewentualnie pozostałe miny. Przeszliśmy tyralierą w jedną i drugą stronę, a potem kazano nam robić porządek. Ściągaliśmy drzewa poprzecinane pociskami. Po kilku dniach tych porządków zebraliśmy drzewo, kawałki drógów, części parkanu, zabudowy. Wzięliśmy to na plecy i z powrotem pognali nas do Schisstange. - - - - -

Wkrótce później spędzono nas znów na podwórzu i zaczęto segregować. To był już koniec września. Nasza grupka

licząca około piętnastu ludzi, byli tam między innymi :
Sasinowski Władzio i Antoś Lewiński, moi koledzy szkolni,
ci, którzy zciągnęli mnie z Warszawy do Gdyni, została wys-
łana do naturalnie nie wiedzieliśmy dokąd. - - - -
Jechaliśmy jakimś holownikiem kanałem, potem przeladowa-
no nas na kolejkę wąskotorową, wagoniki odkryte, takie
burackane. Długo jechaliśmy. W drodze słyszeliśmy wrogie
okrzyki, widzieliśmy wygrażanie pięściami. Dojechaliśmy
do wioski, która nazywała się po niemiecku Eichswalde,
to było gdzieś koło Nowego Stawu, czy też Nowego Dworu.
Potem popędzono nas piechotą do dużego majątku, zamknięto
nas w stodole. Przyszedł do nas jakiś Niemiec w złotym
mundurze z niemieckiej młodzieżowej organizacji rolnej.
O dziwo - dano nam jakąś kolację i zaprowadzono nas - do
nowej ewidencji. Była tam grupka Niemców z tej organizacji
rolnej. Nazajutrz rano poszliśmy do kopania buraków razem
z tymi młodymi Niemcami. Widocznie pochodzili oni z gospo-
darstw, bo pracę wykonywali z dużą wprawą i solidnie. My
dawaliśmy sobie też jakąś radę. Po kilku dniach zorientowa-
liśmy się, że ci młodzi, chociaż nie mówili po polsku, ale
jakieś osiemdziesiąt procent z nich nosiło polskie nazwis-
ka, to byli napewno obywatele z terenu byłego wolnego mia-
sta. Odnosili się oni do nas obojętnie, ale nie wrogo. Praca
nasza była dość intensywna, pilnowali nas wachmani, ale
nas tam nie bili. Jedzenie było proste, ale nie najgorsze.
Stale powtarzano nam, że po tych pracach w polu będziemy
zwolnieni. I rzeczywiście został stamtąd zwolniony kolega
Sasinowski, który pojechał do Warszawy i później też dostał
się do jakiegoś obozu. Byliśmy tam niedługo, bo jeszcze chy-
ba w październiku przyjechały dwa samochody, w które nas za-

ładowano i wiedzorem przewieziono nas do obozu. Teren był oświetlony silnymi reflektorami. Kazano nam stanąć twarzą do ściany baraku vis a vis wartowni. Stałiśmy tam jakiś czas, a potem przez bramę do obozu. Stojąc pod tym barakiem widziałem młodego człowieka w białym kelnerskim kitelku, który niósł całą tacę kanapek z wędliną. Spojrzałem na to i pomyślałem sobie, że chyba tak nie jest. Ale szybko się przekonałem, że to przecież nie dla więźniów było tylko dla ss-manów. - - - - -

Przeprowadzono nas pod oświetleniem reflektora z wieżyczki strażniczej do baraku - właściwie to nie był jeszcze barak ale jego zaczątek, gdyż stały tylko ściany bez dachu. Jak dowiedziałem się rano unikaliśmy tak swego "przywitania". Noc przespaliśmy spokojnie, wprawdzie było bardzo zimno i mokro, bo przecież ani dachu, ani okien ani drzwi nie było. Rano zobaczyłem to wszystko już oczami więźnia, realnie. Baraki były dopiero stawiane, ściany podpierane drągami. Nie było jeszcze baraku czwartego, nie było rewiru, bo nasza waldkolona wychodziła właśnie tędy, gdzie później stanął ten barak. Zresztą tam nie było jeszcze wszystko wykarczowane. My jednak chodziliśmy dalej do lasu. - - - - -

Tego pierwszego dnia rano zebraliśmy się tą grupką nowych, podszedł do nas młody człowiek, szczupły, w binoklach, którego nazywali Kopczyński. Ten ostrym tonem po niemiecku kazał nam wejść do jednego z pierwszych baraków już sbudowanego. Ja miałem w kieszeni dwie partytury koncertu Bethowena - d-dur skrzypcowego i koncertu fortepiana - nowego Es-dur. Pokazałem je prosząc, żeby mi je zostawiono

Niestety, kasano mi i to oddać mówiąc, że po wojnie będą sobie mógł kupić nowe. Zapisano nasze nazwiska, potem dostaliśmy gorzką, czarną kawę i chleb i włączono nas do Waldkolony. Nasza część tej Waldkolony obcinała gałęzie. Kto był kapem - nie pamiętam. Wiem, że mocno tam wykrzykiwano ale jakoś na mnie mało to robiło wrażenie, bo działała na mnie natura, las.... Potem zabieraliśmy te drzewa i wnosiliśmy je od strony południowo wschodniej do obozu. Tam stały kozły i inni koledzy przecierali te sosny na deski. Drzewa te przynosiliśmy do obozu idąc na tak zwany obiad. Nazwiska naszego pierwszego blokowego nie pamiętam, wiem tylko, że ciągle krzyczał aż odnosiło się wrażenie, że robi to bez potrzeby. -----

Ciekawe spostrzeżenia zrobiłem w tym czasie - w czasie powrotu z lasu, z roboty zauważyłem, że obóz po prostu rośnie w oczach - wychodziliśmy z obozu - nie było dachów, wracamy - już baraki pokryte dachem. Spaliśmy tylko kilka dni w tym baraku bez dachu, okien i drzwi. -----
Wracając jeszcze do Waldkolony. Miała ona według mnie kilka oddziałów. Wychodziły one z obozu jeden za drugim, ale potem w lesie rozchodziły się. Ja byłem w jednym z takich oddziałów więc o całej Waldkolonie nie mogę wiedzieć. -
Pamiętam jeden wypadek zastrzelenia. Nie byłem bezpośrednim tego świadkiem, ale działo się to nieopodal. Słyszałem strzał, potem widziałem zabitego. Naturalnie to zrobiło na nas przygnębiające wrażenie, bo dziś ten, a jutro może mnie to spotkać. No i te ciągle krzyki "loss, loss"... i poganianie i bicie.... Były też czasem nieszczęśliwe wypadki, ale jakieś to nie w tej części, w której ja byłem. Muszę powiedzieć, że miśkami stały jeszcze sporo siki, to -

też pracowałem dobrze, nie dawałem podejrzeń, że nie pracuję, a może miłem szczęście, ale jakoś bicia stosunkowo mało dostałem. Nazwisk Arbeitskapów jakoś nie pamiętam, być może dlatego nie utkwiły mi w pamięci, bo w obozie nazwiska były "nienodne", do każdego mówiło się "ty", obojętne czy to był filozof, doktor, kolejarz czy urzędnik, - do wszystkich mówiło się jednakowo - "ty". - - - - -

W Waldkolonie pracowałem gdzieś do lutego. W tym czasie czasami nie chodziliśmy do lasu - kopaliśmy fundamenty pod baraki i to zdaje się pod baraki rowiru. Zimno było strasznie, rękawic żadnych nie mieliśmy, ja jakoś to znosiłem względnie zwięźsko, przypuszczam że dlatego, że przeżywałem bardzo silnie tę ówczesną rzeczywistość, to też chciałem oderwać się jakoś od niej. Niektórzy już stępieli. Patrzyliśmy przecież ciągle na tych, którzy obok nas umierali, byli zabijani, bici, maltretowani - ja jakoś nie mogłem stępieć. Ratując się przed tą codziennością, pracując w tej ciężkiej fizycznej pracy, starałem się wzbudzić w sobie wyobraźnię, jakieś iluzje, w wyobraźni dyrygowałem wielkimi orkiestrami. Zdawałem sobie sprawę jaka jest ta rzeczywistość, zorientowałem się, że w czasie tego straszego mrozu ciepło mogę zdobyć tylko ruchem, że muszę pobudzać krążenie krwi, starałem się więc szybko ruszać i wysiłkiem zdobywałem upragnione ciepło. Najszybciej wykańczali się ludzie o większej tuszy widocznie dlatego, że mniej się ruszali. Noce były straszne. Zimno niesamowicie - jakoś temu zimnu staraliśmy się zaradzić tuląc się jeden do drugiego. Jednak były wypadki zamrznięcia. Pamiętam raz rano wyszedłem umyć się pod takim jakimś prowizorycznym kranem, naturalnie bez mydła, bo mydło dostaliśmy do-

piero gdzieś w kwietniu 1940 roku - było już wtedy słodce i ciepło. Spaliśmy w ubraniach, bo inaczej budziliśmy się z zapaleniem płuc, albo można się było wcale nie obuwać. Gdy wtedy rano wróciłem po myciu zastałem koło swego postania grupkę kolegów, stali koło mego kolegi, który w nocy zmarł albo zamarł. To był jakiś malarz z Helu. - Miał takie krótkie nazwisko, którego już nie pamiętam. - I takich wypadków było dość dużo, tylko że później to już przywykło się i takie wypadki nie robiły takiego wielkiego wrażenia. - - - - -

Apale ranne i wieczorne były od samego początku. Trwały przeciętnie czterdzieści minut do jednej godziny tyle czasu trzeba było aby wszystkich zliczyć i sprawdzić zgodność stanu. Apale były po śniadaniu. W obiad również liczono. Gdzieś w styczniu zdarzyła się jakaś ucieczka - wtedy gdy stanęliśmy rano, to staliśmy chyba do 13-tej. Wtedy widziałem jak ludzie padali - poprostu nie mogli stać tak długo - dopiero o zmierzchu coś tam uzgodniono i wtedy poszliśmy do baraków - tego dnia do roboty nie poszliśmy wcale. - - - - -

W styczniu lub w lutym chyba zaczęto robić jakiś gruntowny porządek w obozie. Nie było jeszcze wtedy łóżek, ale były desekami przedzielone miejsca na podłogach, która już w tym czasie była, na niej leżała słoma. Wtedy wypędzono nas przed ten dom starców /który jeszcze stał, choć tych starców już tam nie było/ i tam zaczęto nas dzielić na zawody. Osobno każdy zawód. Ja stanąłem wtedy przy kolumnie malarzy. I wtedy z tej szarej bezimiennej, nie-numerowanej rzeszy wyłowiono jakiś podział rzemieślniczy

i drugą część bez zawodu. Wtedy nie było już osobnego baraku gdańszczan. Przeniesiono nas do innych baraków. Tam trafiliśmy na zburszone pozostałości kolegów, więc pierwszy rozkaz - uporządkować. - - - - -

Wewnątrz obozu widzieliśmy tylko niższych rangą sz-manów, chyba najwyższa smarta to był unterscharführer. Starszych oficerów widzieliśmy właśnie z okazji takiej segregacji. My wszyscy wyglądaliśmy strasznie, obrońcy, nieumyjni, gdy kiedyś zobaczyłem swoje odbicie w wodzie - to przypomniałem sobie powieść Dostojewskiego "Katorżnicy" - tak właśnie wyglądaliśmy jak przestępcy. To też nawet nie dziwiłem się w duchu, że my budziny w Niemczech jakiś ustręt, że patrzyli na nas jak na przestępców. ---

Po tym rozdziale na rzemieślników i bez zawodu szliśmy wszyscy do "kartell" kolejno. To trwało długo - godziny całe - to było takie pierwsze "politische Abteilung". Na czym to polegało? sprawdzali kartotekę, która już była wypełniona, jeśli chodzi o mnie, to już w Gdyni, jeszcze w czasie pobytu w tym obozie emigracyjnym, a że wszędzie, gdzie byliśmy później to również zbierano dane, nawet w formie notatek, to wszystko to było razem zgromadzone i wtedy właśnie sprawdzano - imię i nazwisko, zawód - u mnie był już podany przezemnie zawód malarz. Był o tym jakieś zamieszanie - słyszałem ze mną wielkie krzyki, jakby odkryto jakąś niezgodność, ale na ogół odbywało się to dość sprawnie, gdyż, powtarzam, było to tylko sprawdzenie kartotek, które już były założone i wypełnione. - - - - -

Po tym podziale na zawody przez jakieś dwa - trzy dni nie chodziliśmy do pracy, a zaraz potem zaczęły się

wyjazdy na aussenkomanda. A więc ta straszna cegielnia w Stutthofie i inne komanda w pobliżu Stutthofu. Od tej chwili obóz stał się magazynem ludzkim do wynajęcia. Ja byłem w tej kolumnie malarzy - jestem z zawodu grafikiem, jeszcze wtedy robót malarskich nie było, ale wydano nam pędzle, szczotki - wykonywaliśmy jednak tylko prace porządkowe na przykład - odgarnianie śniegu. - - - - -

Waldkolona chodziła dalej do pracy, ale nas "malarzy" jakoś do lasu nie pędzono. Niektórzy nawet już zaczęli malować baraki zewnątrz i wewnątrz. - - - - -

W tymże roku 1940 zostaliśmy wywołani z kolumny i dołączony do aussen-komanda w Grenzdorfie. Wywieziono nas samochodem pod Skarżewy do tego Grenzdorfu. Wysłano około pięćdziesięciu - sześćdziesięciu ludzi na taką swaną dożną wymianę. Obóz w Grenzdorfie był wybudowany w lesie. Kozłowski już tam był. Przebywałem w Grenzdorfie w ostatnim etapie jego istnienia przez kilka miesięcy, aż do końca, do rozebrania baraków, do zlikwidowania tego obozu. Byłem jedynym piszącym na maszynie, posadzono mnie więc do maszyny i robiłem wykazy desek i elementów z rozebranych baraków obozowych. - - - - -

W Grenzdorfie przebrano nas w dziwaczne mundury jakiegoś wojskowe i dano nam czapki bez daszków. Pierwszym komendantem był tam Redig, a potem przyszedł Gust. ----- Zostałem tam kilku księży, między innymi ksiądz Czaplewskiego - Staruszka. Opowiadało mi, że pewnego dnia przyjechał samochodem wizytować obóz komendant Pauli. Trafili na moment powrotu kolumn z pracy do obozu na obiad. Zauważył straszne wyczerpanie więźniów. Podobno wołwał Rediga i

ostro z nim rozmawiał. Od następnego dnia więźniowie dostali po parę kartofli do tej wodnistej zupy i po kawałek chleba. To też jak przyjechałem, to powiedziano mi, że już są nieco lepsze warunki. Był o jednak jeszcze bardzo zimno, zrobiłem sobie z kociołków rękawiczki, za co strasznie bili, ale przecież pracowaliśmy przy rozbijaniu kamieni. Pamiętam, że były trzy rodzaje młotów - ja dostałam się do szutrów - to był ostatni etap rozbijania kamieni. Mieliśmy najłżejsze młoty. Do rozbicia wolno było rzuć najwyżej tylko trzy uderzenia młota. W naszej grupie było nas chyba pięćdziesięciu ludzi. Siedzieliśmy w duży kręgu. Tam były warunki przygnębiające - to wszystko robiło wrażenie mordowni. Było tam dużo Żydów, szczególnie przy rozsadzaniu dynamitem tych kamieni. Tam ogromnie biło. Przystąpiłem do Grenzdorfu jeszcze w 1940 roku i byłem tam jeszcze wtedy, gdy wybuchła wojna niemiecko-rosyjska. Śmiertelność była ogromna. W Grenzdorfie było chyba pięćdziesiąt baraków. Była stolarnia, gdzie robiono przeważnie trzonki do narzędzi, był mały baraczek, gdzie była komendantura. Ludzi było przeciętnie dwieście. Zdarzały się próby ucieczek, ale to było bardzo trudne, nie udawały się. Debudowano drugi rząd drutów. Nazwisk ludzi, którzy tam byli razem ze mną - nie pamiętam. - - - - -

W ostatnim okresie, kiedy wywieziono już większą część więźniów i zostawili tylko kolumnę rozbiórkową, było nas chyba pięćdziesiąt osób. Kosłowski był do końca, Gust też był do końca. Był i tam również marynarze radzieccy przechwyceni w Gdańsku. Byłem już z nimi w Stutthofie, a potem przysłali ich do Grenzdorfu. Tam poznałem się z kapitanem Jurim, często rozmawialiśmy razem, oczywiście nie

o rzeczywistości, ale o rzeczach, które dawały pewne odprężenie. To był typ człowieka nieswycie szlachetnego. Inni słuchali go, to był dla reszty tych radzieckich więźniów olbrzymi autorytet, on miał jakiś wysoki stopień, ale nie to było powodem jego autorytetu, ale poprostu można go było nazwać człowiekiem pełnym - jego sposób bycia i postępowania muszał do szacunku. Gust dawał mu nawet gazety niemieckie do czytania. Wogóle z początku byli traktowani lepiej od innych, byli jakby na innych prawach. W pewnym momencie wszystko się zmieniło, zaczęli dostawać straszne cięgi. To była grupa marynarzy, którzy pochodzili ze statków handlowych i ich nieszczęściem było to, że w roku 1939 wojna zastała ich w Gdańsku i ta cała grupa znalazła się w Stutthofie. Potem po moim powrocie z Grenzdorfu było już więcej Rosjan w Stutthofie, ale to byli przeważnie chłopcy młodzi liczący po kilkanaście lat najwyżej do dwudziestu paru. W każdym razie w Grenzdorfie po okresie względnego ich traktowania nastąpiła nagle zmiana. Do czerwca 1941 roku nas bito, katowano, czy nawet strzelano, oni natomiast byli traktowani względnie. Potem gnano ich do najcięższych prac, nie dawano jedzenia i wkrótce zniknęli z Grenzdorfu wszyscy. - - - -

Gdy zostało nas już tylko pięćdziesięciu /to było chyba tylko czwarta część normalnego stanu/ - dano nam jako zadanie rozebranie obozu. Baraki były takie same jak w Stutthofie - budowano elementy na ziemi, rama do której przybijano deski była podnoszona i to była ściana. Wszystko było nieszczelne, okna były źle dopasowane, baraki były przewiewne, zimne. Dzisiaj lepiej buduje się baraki na magazyny. Byliśmy jednak tak otępiali,

to było nam wszystko obojętne. Naturalnie żadnych dodatkowych ubrań zimowych nie dostawaliśmy. Obuwie - to były drewniane kółki holenderskie. Praca przy rozbiórce postępowała jakoś bardzo wolna. Do obozu przyjeżdżały ogromne samochody chyba pięcietonowe z napisem Deutsche Reissbahn, obsługa była wyłącznie niemiecka, te samochody odjeżdżały z ładunkiem, możliwe że do stacji Skarszewy, ale tam rozładowywali już inni, nie od nas. Pamiętam, że jeden raz byłem w tych Skarszewach, zabrano nas z podwórza do ładunku jakiegoś węgla, chyba prywatnego, ja wtedy byłem już tak wyczerpany i wycieńczony, że następnym samochodem zabrano mnie z powrotem, gdyż nie byłem w stanie ładować tego węgla. W tym czasie potrzebowano malarzy. Na zapytanie, kto jest malarzem wystąpiło nas dwóch i jakiś kolega, wysoki, rosły. Wtedy nam się trochę poprawiło, no i potem poszedłem do biura do pisania na maszynie. Wraz ze zlikwidowaniem Grenzderfu i nas przewieziono do Statthofu. Byłem wtedy bardzo wycieńczony, po prostu wykonaszony. Robiłem coś na placu, jakieś porządki. W pewnym momencie tworzono grupy na wymianę do Lauenburga /dzisiejszego Lęborka/ tam był taki lagier - poboczny obóz, to nazywało się aussenkomando i tam wysyłano ludzi na robotę - po prostu wynajmowano ludzi i za to obóz brał pieniądze. Obóz koncentracyjny to był dla Niemców dochodowy interes - brano groszów pieniędzy za pracę więźniów - prowadzono świetnie to wszystkich Schreinstubie. Tam pracował, o ile pamiętam Herber. I wtedy właśnie wysyłano do Lęborka. Słabo znałem niemiecki, a ten, który wybierał mówił na dodatek płatem i nie rozumiałem, że były dwie grupy - jedna na Elbing, druga Lauenburg. I gdy zawołał na mnie

stanąłem do grupy, która się prędko zebrała. Szybko zapędzono nas do oduszawialni. Dostaliśmy granatowa dralichy po kąpielii i już oddzielono nas do specjalnej sztaby, aby nie stykać się z innymi, widocznie chciano nas zabezpieczyć przed nową falą robactwa. Byliśmy więc higienicznie przygotowani do podróży; następnie ewidencje - znówu spisy i tak zostaliśmy przygotowani na te ausenkommando. Noc spędziliśmy jeszcze w obozie, ale już oddzieleni od reszty więźniów. Ta nasza grupka liczyła dwunastu - piętnastu ludzi. Rano, gdzieś około godziny 6-tej, może 7-mej podjechała "buda" - samochód ciężarowy, załadowano nas, zatrzasnęły się wrota i - jedziemy. Około godziny 2-giej otwierają się drzwi, oślepieni jesteśmy światłem, bo cały czas jechaliśmy w ciemnościach; wyładowano nas. Wydawało mi się, że jestem w Wenecji - kanały jakiegoś; słyszę, że to Elbing - dzisiejszy Elbląg. Byłem tam około czterech - sześciu tygodni. Ale to chyba było przed Grenzgerfen. Po powrocie dowiedziałem się, że ta druga grupa pojechała do Lęborka. Ja zawsze jakoś chciałem jechać do Lęborka, żeby zobaczyć jak wyglądają tam cegielnie, te straszne cegielnie, gdzie wózki naładowane gliną z pewnej wysokości spadały na ludzi i robiła się masakra. To znam z opowiadań innych. Jechałem niedawno do Skupsk i przejeżdżałem przez Lębork - zobaczyłem trzy duże kominy i wtedy pomyślałem, że tam miałem być, tam byłbym zginął bez śladu, nawet nikt nie wiedziałby gdzie i kiedy zginąłem ... Ot, a zwykła nieznanomość języka niemieckiego spowodowała, że stało się inaczej....-----

Eprostu coś mną kierowało i czasem myślę że poszedł za mnie ktoś inny & za mnie zginął, a ja dostałem się do fab-

ryki lin i tam miałem różne przeżycia. - - - - -

Ale wracając jeszcze do powrotu z Grenzdorfu. Z tą naszą ostatnią grupą wrócił także do Stutthofu Kozłowski. Nie, Kozłowski wrócił z tą grupą zasadniczą i widocznie dlatego w ostatnim okresie mieliśmy warunki względne, bo nie było tak wtedy żadnego kape. Był o tylko dwóch szamanów. Te chyba byli dwaj bracia. Jeden z nich chyba nazywał się Ernst. Pamiętam, że zrobiona dla jednego z nich pieszka do butów - do demskich butów i on chodził i szukał, aby mi na tym napisać "anklenken" - i wtedy musiałem napisać mu ozdobnym pismem "Für meine Erika". Pamiętam też, że wysłał jakąś przesyłkę do Stuttgartu - podał mi kartkę, gdzie był wypisany adres i Stuttgart był wypisany omyłkowo, na końcu litera "d". Zwróciłem uwagę, że to jest źle napisane, że na końcu powinno być "t". Z początku złościł się na mnie, ale poszedł i po dziesięciu minutach wrócił i przyznał mi rację; kazał poprawić. - - - - -

Wróciliśmy do Stutthofu już w roku 1941. W Stutthofie było wtedy brak malarzy - kończono całym pędem Neuba. Po powrocie do obozu od razu spytano kto jest rzemieślnikiem i w jaki zawodzie. Wyciągano zaraz wszystkich rzemieślników pchano do roboty w Neuba. - - - - -

Mnie jako zgłoszonego już poprzednio malarza przydzielono od razu do Szafarkiewicza, do kolumny malarskiej. Nazywaliśmy go "papa Szafarkiewiczem". Dostać się do kolumny malarskiej było przedmiotem moich marzeń, bo malarze słynęli w obozie jako najlepsi organizatorzy żywności. --- Nie tylko w obozie Stutthof zresztą, ale nawet w "kosmosie". Pamiętam wyraz twarzy tego Schrifürera w kolumnie malarskiej - taki był poczciwy niemieczyna - malarz, który miał właści-

kierował wszystkim, a rzeczywiście kierował nim Szafarkiewicz, gdański Polak. Pracowaliśmy tam razem z Brosem nawet w nocy dając ostatni szlif sufitowi w Neubaun - to było sдобienie, a Bros był zastępcą Szafarkiewicza, był to bardzo zdolny człowiek, jakoś upodobał mi się, bo uważał, że mam duży dryg do takich właśnie prac. To była szatańska praca, trzeba było stać cały czas na drobinie z głową do góry, toteż kręgi szyi bardzo bolały, trzeba było wyciągać listewki w tych kasetonach. Przez to jednak patrzyli na nas lepiej niż na ulagi. Miałem już tam wtedy dobrze, patrzyłem się współczuciem na tych biednych nędzarzy, którzy wykonywali prac pomocnicze, sprząkali, a byli biali. Ja chodziłem wtedy w bardzo poplamionej bluzie, ale ręce miałem czyste i widać było, że jestem "fachowcem". Mógłbym powiedzieć, że życie było wtedy już dla mnie znorniejsze, bo Niemcy bardzo wyraźnie dzielili ludzi na tych, którzy im byli potrzebni i tę "resztę". Przestałem już być kryplem, bo tak nazywano w Stutthofie takich "na wykończeniu", a był moment, że po powrocie z Grensdorfu byłem już tak wykończony fizycznie i psychicznie, że raz zemdlałem na apelu obiadowym. Ledwo już chodziłem, miałem bardzo cienkie "rączki i nóżki", ważyłem w tym czasie 54 kilogramy. W tym czasie zmarł doktor Nimmpanowała wtedy biegunka i tyfus. Przeszedłem pierwszą biegunkę i po dwunastu dniach bez jedzenia zwlokłem się na wiadomość, że zostałem przydzielony do komanda malarzy. - - -

Przyszedłem tam zupełnie wycieńczony i całą swoją energię sutywałem na to, aby być w pozycji stojącej, bo na leżąc już się nie liczyłem jako człowiek i jako pracownik. Gdy przyszedłem, Szafarkiewicz, który rozdzielał pracę, zapytał mnie czy utrzymam szczotkę w ręku. Odpowiedziałem, że

nie wiem, bo nigdy z nią nie miałem do czynienia. Wtedy Szafarkiewicz zapytał mnie co ze mnie za malarz - odpowiedziałem mu, że potrafię malować litery i szyldy, że to moja specjalność. Wtedy usłyszałem "ostań tu". I "papa" poszedł sobie. Pomalowałem stół do przygotowywania farb na jasno błękitny kolor, a nad farbami porobiłem odpowiednie napisy "Weiss", "Schwarz" itd. Jak przyszedł Szafarkiewicz to popatrzył i powiedział " a ty wiesz, że to nawet schöne aus nawet jest". Poszedł do swojej pracy i zaczął wypisywać szyldy, nie wychodziło mu to jakoś, szczególnie ten gotyk. Zaczął sobie śpiewać "jak, łódka, jak łódka" powtarzając to kilkakrotnie i "nie wychodząc" z tej łódki. Głośno powiedziałem dalej : "... brodzi, wśród fali łak szumiących, wśród kwiatów powodzi, onijam koralowe ostrowy burzane..." Podskoczył i spytał "kto tu jest", powiedziałem, że nikt, a wtedy "Mieczek", bo tak mnie nazywał, "skąd ty to znasz?" wyjadłłem, że to sonet Mickiewicza "Stepy Akermalskie" i że śpiewaliśmy to w chórze "Cecylia", którego dyrektorem był Kazimierz Wilkomirski. Zapytał czy ja go znam i co się z nim dzieje - powiedziałem, że widziałem jak 31 sierpnia wyjechał ostatnim pociągiem do Warszawy. Według "Papsia" był to złoty człowiek, wielki człowiek. Był wzruszony, że pierwszy przyniosłem mu o nim wiadomość. Napisałem mu cały ten sonet z pamięci na kawałku papieru pakowego. Był - szczęśliwy i śpiewał to. Od tego czasu otoczył mnie specjalną opieką. Nie posłał mnie do malarni, bo bał się, że jak wachman zobaczy, że nie umiem trzymać szczołki w ręku, to mnie od razu pobije i wyrzuci i dlatego zostawił mnie przy sobie katując malować szyldy. Zapytałem jakie to będą szyldy Wtedy stwierdził, że ponieważ w Gdańsku nie ma malarni, bo

wszyscy są na francie, więc będziemy robili szyldy do Gdańska dla lekarzy, adwokatów i innych. Pierwszy szyld zrobiłem "Hauptwirtschafts lager" - olbrzymi szyld. Robiłem te szyldy według swojej metody i koncepcji. Szafarkiewicz był zadowolony. W tej pracy jakimś przyszedłem powoli do siebie. Potem chodziłem już do innych prac malarskich, byłem nawet jednym z tych, którzy najlepiej robili imitację słoików drewnianych tak zwany maserunek. Robiłem to grzebieńcem.

Pewnego dnia usłyszeliśmy kopnięcie butem w drzwi, drzwi się otworzyły i do malarni wszedł "sam" komendant Pauly w otoczeniu swojej świty. Zapytał Szafarkiewicza czy ma wśród swoich pomocników jakiegoś liternika czy grafika. Szafarkiewicz wskazał wtedy na mnie. Wtedy usłyszeliśmy, że obaj mamy zameldować się "Morgan Frühs" w Neuban. "Papa" Szafarkiewicz zaniepokoił się czy potrafię, bo miałem zrobić napis na księżce. Uspokoiłem go, że dam radę. Następnego dnia poszliśmy do komendantury. Na dole zdjęliśmy "łódki" i w czołwach poszliśmy na pierwsze piętro, tam zapukaliśmy do drzwi i weszliśmy do pokoju gdzie siedział jakiś Untersturmführer, Szafarkiewicz zameldował, że na polecenie Lagerkomendanta kapo malarski przyprowadził więźnia- grafika. Zostaliśmy dopuszczeni "przed oblicze" komendanta. Tam znów Szafarkiewicz nas zameldował i - o dziwo! komendant zwrócił się bezpośrednio do mnie i to mówiąc per Sie. - - Pytał czy potrafię wykonać napis na "Güstehuch" - powiedziałem, że potrafię, i że w ciągu tygodnia przedstawię trzy projekty. Wyraził zgodę. Szafarkiewicz przez cały czas poprawiał moją niemiecką i uspokajał że co je niezbyt dokładnie wyraziłem. Widziałem Pauly'ego dobrze i zauważyłem, że był żywy zupełnie i dlatego nie mogłem zrozumieć, że widzę

po zajęciach w dzied jako rapportführer, wieczorem ubrany był w biały kital i usługiwał Himlerowi. On to właśnie wytknął mi moje nazwisko na transport do Petulie. - - - - -

W malarni pracowałem do lipca 1942 roku. Stamtąd pamiętam jeszcze niektóre nazwiska - oprócz Szafarkiewicza był jeszcze Bros, Karwacki z Warszawy, to był straszny cwaniak - organizował jedzenia, przynosił w wiaderkach przykrytych denkiem usmarowaną farbą - robił to poprostu bezczelnie. Niestety po tak długim czasie nazwiska wylazły mi z pamięci, zresztą jak już mówiłem nie były one w Stutthofie modne. Z załogi es-mańskiej pamiętam doskonale niektórych, chociaż muszę powiedzieć, że rzadko pokazywali się między więźniami, bali się insektów, chorób, nawet w pewnym okresie ubierali się w białe, ochronne ubrania, które były w tym baraku koło bramy po prawej stronie. Tam były stopy tych białych ubrań i rękawic. Była wtedy epidemia w obozie, więc idąc na obóz, bo przecież musieli tam czasem być, zobaczył co się dzieje, ubierali się w te ubrania a potem z powrotem zdejmowali je i poza obrębem obozu chodzili już w mundurach. Gdy wyjeżdżałem z obozu schreistuba była w tym baraku, gdzie był "początek" obozu kobiecego. Miejsce Schreistuby pamiętam dobrze, bo tam pracowałem przy tej księdze i potem, przed odejściem komendanta Paulego kazał mi wykonać dedykacje na jakichś trzystu książkach według tekstu, który mi podano - pamiętam, że był tam początek "Zun Audenkem" a kończyło się - "Der Lagerkommandant SS- Oberstrumbahnführer Max Pauly" - to było wypisane naturalnie po niemiecku i on tam dawał swój podpis. To było jako nagroda indywidualna od odchodzącego Lagerkommandanta dla załogi SS; nie umieszczałem tam żadnych nazwisk, to były takie bezimiennie dedykacje. Te książki przynoszono mi

w koszach od bielizny - dla kogo one były dokładnie nie wiem i jak rozdawane - też nie widziałem. Możliwe, że było tam aż trzystu ss-manów, ale chyba nie, bo były to trzy kompanie. Możliwe, że dawał je jeszcze jakimś pracownikom w biurach - ale tego twierdzić nie mogę. Wiem tylko napewno, że osobiście je podpisywał. To była dość przyjemna i spokojna praca. Zresztą Pauly odchodził wtedy gdy mnie już nie było, ale o tym jego przeniesieniu już wszędzie było głośno. Pierwszą partię na "Aiswankomando Potulitz" - stu osiemdziesięciu ludzi przeglądał osobiście Pauly przed ich wyjazdem - razem z dwoma schreiberami. To byli ci pierwsi, budowniczo Potulic - wyjeżdżali w lutym lub marcu 1942 roku. Sami fachowcy. Wyjeżdżali ubrani w cywilne ubrania. Zresztą ta cała grupa podzielona była na dwie części w wyniku tych oględzin komendanta - jedna duża część poszła do Potulic odrazu, natomiast nas trzynastu ludzi zostawili jeszcze w Stutthofie. Dostaliśmy się wtedy na osobną zastubę. Pod opieką miał nas hauptsturmführer Dytman - zdaje się - drugi zastępca Paulego po Schwartzu. O ile sobie przypominam pierwszym zastępcą komendanta Paulyego był Schwartz, drugim właśnie Dytman, rapportführerem był Weiniger. Pamiętam jeszcze Nymana, którego potem widziałem w Potulicach.

W Potulicach zdarzył się ściekawy wypadek - tam segregowano ludzi na tych, którzy ze względu na wygląd zewnętrzny mogliby nadawać się na volksdeutschów i innych, którzy tym jakimś warunkom nie odpowiadali. Mnie, choć byłem blondynem i podobno miałem cechy Nordyka - do tej grupy nie zaliczono, natomiast ci koledzy, którzy zostali uznani za nordyków byli wzięci do wojska. Na przykład taki Tadeusz Kulaszewski był wzięty do wojska, przeżył wojnę, zmarł po wojnie i to podobno na skutek przeżyć frontowych.

Jeśli chodzi o Potulice, to były obozem przesiedleńców. Było tam jedynie Ausenkomando ze Stutthofu. Pierwsza pojechała ta duża grupa rzemieślników w lutym lub marcu, natomiast nasza trzynastka została jeszcze do lipca. Wtedy, gdy tam przyjechałem w lipcu zastałem stary obóz i budujący się nowy obóz na oddzielnych terenach. Na starym obozie były dwa prymitywne baraki, długie, wysokie dwa metry, kryte słomą. Z nami jechał tylko jeden wachman, jechaliśmy zakratowanym wagonem kolejowym. Noc spędziliśmy w więzieniu w Sztumie albo w Toruniu - przed wyjazdem dostaliśmy kromkę chleba z kiełbasą jako "suchy prowiant". Rano wjechaliśmy na stację Nakło n/Notecią. - Nie znałem tej okolicy. Przeprowadzono nas do starego obozu. Nowy był w budowie. Tam było później chyba dwadzieścia baraków, zbudowanych w podkowie, tak jak u nas w Stutthofie, w środku ogromny gmach murowany do połowy, a od połowy drewniany tak zwany Wirtschaftsgebäude - z dużą salą, z fortepianem, na którym zresztą grałem, gdy później stworzyłem orkiestrę. - - - - -

Pierwszym komendantem był chyba Redig, potem był inny. Obóz był zorganizowany na wzór Stutthofu. Ponieważ przyjechałem tam jako malarski byłem przydzielony do grupy malarskiej, toteż widziałem dobrze jak się ten obóz budował. Warsztaty rzemieślnicze przenoszone były do tych baraków, które były jeszcze w budowie. Baraki były bardzo starannie budowane, dużo staranniej niż w Stutthofie. Były robione odrazu wodociągi, umywalnie, dbano o higienę. Każdy barak miał Ordnungsführera - nazywało się go "porządkowym".

W Potulicach panował język polski. Skąd rekrutowali się ci "przesiedleńcy"? Otóż Niemcy wysiedlali z miasteczek i wsi całe rodziny, na ich miejsce pakowali swoich

więc coś trzeba było zrobić z tymi bezdomnymi - ci właśnie byli umieszczani w Potulicach. Ponieważ każdy obóz musiał dawać dochód, więc potworzono tam warsztaty. Był warsztat krawiecki, w którym pracowała moja żona. Warsztaty były na wysokim poziomie, szły tam wyborne stroje, mundury dla szermanów, cywilne ubrania. Były też stolarnie, gdzie robiono piękne meble, fornierowane, były łaźnie dla Niemców i dla nas. Kąpiele tam były przymusowe. Była piekarnia, kuchnia z parowymi kotłami, magazyny. Pamiętam, że tam były kłopoty z wodą. Ale ogólnie obóz był przyszykowany na wysokim poziomie. Stutthowiacy mieszkali osobno początkowo, rzemieślnicy mieli barak numer 7a, ja w nim mieszkalem. Potem stopniowo naszą grupę gdzieś rozeszano i ta reszta jakoś wsiąkła w inne baraki, chociaż do końca przeważnie byliśmy na tym 7-ym baraku. Tam było jakieś sto pięćdziesiąt ludzi - łóżka były piętrowe, sienniki, poduszki, podściel była sianośna. Warunki były zupełnie inne niż w Stutthofie, którym często nam grożono. Trzeba powiedzieć, że to polepszenie warunków stworzyło między tymi rzemieślnikami jakiś zupełnie inny klimat. Słowo Stutthof było dla nas groźne - jeżeli coś będzie nie tak, z jak sobie życzą, a wtedy do Stutthofu i to z piętnem jakiejs winy, no i co czekało takiego, który w ten sposób byłby przesłany do Stutthofu? Ale nie przypominam sobie, żeby kogoś do Stutthofu wysłali - myśmy naprawdę stanowili bardzo zgraną paczkę. To byli: Chałkiewicz, Chantos, Bijos, Wis, Dobosz Antos, Chudecki - kapitan WGP - pływający obecnie, Nitkiewicz - Niemirski Gieniusz - fryzjer - obecny adres Brzozowa 12 - Reda - Ciechocino, on może dużo powiedzieć, był fryzjerem Obergruppenführera, Dec Jócio. Jednym słowem przejście do Potulic, to była wielka wygrana.

Nawet ja, który jestem humanistą z natury i pewnego rodzaju życiową niedołąką, tam mogłem rozwinąć swoje talenty - robiłem bileciki w języku polskim dla więźniów, również i dla Niemców, za co mogłem dostać paczkę papierosów, poza tem koledzy robili pierścienki, ja rysowałem na tych pierścienkach monogramy, toteż miałem dość chleba i wogóle pożywienia. Często były rewizje robione przez ss-manów i często znajdowali u więźniów te moje bileciki robione tużem, ale zawsze treść tych bilecików była bardzo bezbarwna, chociaż proszono mnie nieraz abym pisał "z obozu męki" czy coś w tym rodzaju, ale na takie teksty nie godziłem się, żeby nie podpadać. Znajdowali te bileciki, ale ponieważ i Niemcom je robiłem, nie wyciągali z tego żadnych konsekwencji prosto wyrzucali. Stworzyliśmy też tam orkiestrę. Za moich czasów w Stutthofie nie przypominał sobie ani orkiestry, ani żadnych śpiewów. Na apelach rozdawano tylko pocztę ale tej piosenki Lagerlied nie pamiętam aby śpiewano. Przecież tam w Stutthofie nie wolno było nawet chodzić we dwa tylko pojedynczo. Chyba jednak najgorsze co było w Stutthofie to był brak wody, były jakieś kraniki z których ciekła woda, ale co to znaczyło na tyłu ludzi takie drewniane korytka i ta kapiąca woda. W zimie był śnieg, to też "myśliśmy się" śniegiem. Przecież całą zimę nawet nie zdejmowaliśmy ubrania bo spanie bez ubrania groziło zapaleniem płuc, a przecież nie ciepłego również nie mieliśmy. Przez kilka miesięcy człowiek chodził i spał w tym jednym ubraniu, które miał na sobie w chwili aresztowania. - - - - -

Zmarłych wywożono na Zaspę, była kostnica na Heltzplatzu tam były zgromadzone te czerwone trumny z uchylnym dnem. W pewnym okresie dosłownie te trumny strumieniem

płynęły od szpitala. Ale ja nie widziałem wywożenia na Zaspę. Słyszałem tylko, że opodal Stutthofu kopano zbiorowe groby, ale tylko o tym słyszałem. Podobno na tych masowych grobach posadzono las. Pamiętam, że czasem ktoś, całkowicie psy -
 - chicznie wykończony szedł na druty, ale te druty nie były jeszcze wtedy pod napięciem, tylko tego, który się do nich zbliżał, napewno zastrzelono. Strzelali z wietyczek. Taki moment widziałem osobiście. Pamiętam, że jeden z naszych kolegów uciekł z pobliskiego komanda, schwytano go, był parę dni w bunkrze, zastrzelono go, a trupa nasi koledzy musieli przynieść, położyli go na drudze, a my wszyscy naszerowaliśmy obojętne obiekty, to miało być ostrzeżenie, że taki los spotka każdego, kto będzie próbował uciec. To trwało przez dwa dni - trup leżał, a my musieliśmy patrzeć na tego biednego uciekinierza. Był taki moment, że któryś coś sobie przął i zapomniał, że do drutów nie wolno się zbliżać - chciał powiesić tę rzecz uprząż na drutach - uratował go wielki krzyk towarzyszy, aby nie zbliżał się do nich, bo gdyby ten z wietyczki widział, to byłby zastrzelony. Była pewna przestrzeń między barakami a płotem, która była orana i grabiona, aby widać było wszelkie ślady. Gdy wyjeżdżałem ze Stutthofu to obóz stary był już całkowicie zbudowany łącznie z komendanturą. - - - - -
 W Stutthofie przeżyłem cały pierwszy okres obozu - w czasie, gdy komendantem był Pauly.

/Mieczysław Nieznański/

Zebrań relacji i
 odtworzenie z taśmy

Krzysztof
 Krystyna Krzewska

Konarszewski Władysław
z Gdyni, nr oboz. 2726
zam. Gdynia, ul. 3 Maja 19/12

Konarszewski Wład.
2726



R E L A C J E

Władysław Konarzewski

b. więźnia obozu koncentracyjnego Stutthof

Nr. obozowy 2726

zamieszkały przed wojną w Gdyni

obecnie: Gdynia ul. 3-go Maja 19/12

zatrudniony jako pracownik ukłowy w Biurze Zbytu
Drewna w Gdyni.

Pierwszy okres w obozie

Aresztowany zostałem dnia 14 września 1939 roku w Gdyni - po jej upadku. Mieszkałem wtedy na Grabówku, pracowałem w składnicy drewna, zabrano nas wszystkich mężczyzn rzekomo do rejestracji do prezydium, jednak nie było to prawdą - zamiast do Prezydium, zapędzono nas do radiostacji na Witomin, skąd ponad 2,000 osób prowadzono przez Mały Kack, Sopoty do Gdańska. Starsze kobiety niemieckie biły nas parosalkami po głowach mówiąc, że to jest ten nasz marsz na Berlin. Dostaliśmy się do Victoria Schule około godziny osiemnastej, może dwudziestej, a ponieważ było bardzo gorąco - byliśmy bardzo spragnieni, dopadliśmy do koryt, które tam były jak w każdej szkole i z nich piliśmy wodę. -----

Potem rano częściowo nas posegregowano i ustawiono piątkami; odliczono 1,200 ludzi jako jeden "transport"-

- reszta osobno. Nie wiedzieliśmy dokąd nas pędzą - myśleliśmy, że z powrotem do Gdyni. Okazało się, że tylko ta druga część poszła do Gdyni do koszar na Redłowo, gdzie obecnie jest szpital morski. - - - - -

Pierwsza grupa, tych 1.200 ludzi, do których i ja byłem zaliczony dostała się na Westerplatte 15 września - do porządkowania terenu. Westerplatte to był przecież bardzo mały skrawek, ale był tak cały zadrutowany zasiekami, drutami, że dosłownie nie można było wejść. Westerplatte broniło się przecież siedem dni. Do pilnowania nas dali młodych Niemców "Hitlerjugend". Praca była bardzo ciężka. - - Musieliśmy likwidować te zasieki, swijać druty i składać na jedno miejsce. Ci młodzi Niemcy chodzili za nami i cały czas tłukli nas kolbami. Zauważyli to marynarze ze statku Schelswig Holstein, tego, który bombardował Westerplatte, gdyż dochodziliśmy jakieś piętnaście- trzydzieści metrów od statku. Po dwóch - trzech dniach naszego tam pobytu - zeszli oni ze statku, wjechali samochodami, zabronili tłuc kolbami, natomiast dali kabel, cięty po kilka, kilkanaście metrów. Było to niesamowite. - - - - -

Jeść też nie dawali, było tylko to, czego nasi żołnierze nie zdążyli zjeść. Z prawej strony Wisły był rozbity bunkier, gdzie było jeszcze parę beczek kapusty, którą Polacy zakisili. Ratowało nas także to, że w łózkach znajdowaliśmy spleśniały chleb, puszki i wogóle jakieś pożywienie. Wyżywieniem więc było tylko to co znaleźliśmy po naszych kolegach i to co mogliśmy zdobyć z ogrodu - bo był tam duży ogród. Naturalnie nie wszyscy mogli dostać się do tego ogrodu. Wymagało to dużej odwagi, aby wieczorem, po ciemku tam się dostać. - - - - -

Na westerplatte wszystko było porozbijane, za wyjątkiem
jedynego pomieszczenia - kuchni na dole, tam gdzie były
koszary - był tam nietknięty orzeł polski. Spaliśmy w roz-
bitym bunkrze, gdzie, jak padał deszcz, to lało się na nas.
Pamiętam, że był tam malutki pomnik^{ik} Piłsudskiego, tak rozbi-
ty, że została tylko czapka maciejówka. W rozbitych łódkach,
pod słomą znajdowaliśmy sporo broni. Ja sam znalazłem piękn-
y, obkładany browning - wyrzuciłem go, bo chciałem z nim
robić, czy komu oddać? Szukało się tylko chleba, bo prze-
cież po paru dniach pobytu tam, głód tak dokuczył, że chociaż
kraść nie chcieliśmy, to jednak się szło. Było tam paru Kaszu-
bów, którzy gotowali. - - - - -

Na Westerplatte była piękna kaplica, wybrali jedno-
go człowieka nazwiskiem Stuwe, dali mu krzyż i cały dzień z
nim chodził. - - - - -

Kazano nam przesunąć kilka rozbitych cystern od
benzyny, poza tem uprzątnęliśmy gruzy i kamienie, które prze-
nociliśmy na jedną kupę, sprzątaaliśmy też zasieki - około
dwustu metrów. - - - - -

Trzy dni trzymali nas nad morzem, bo miała przy-
jechać wizytacja - nie przyjechali wtedy, natomiast gdy przy-
jechali byliśmy rozproszeni po całym Westerplatte. Patrzymy
przyjeżdżają samochody. Przeszli obok nas, tak że byłem dos-
łownie o nie cały metr od Göringa i jego widziałem, Hitlera-
nie. Myśmy w tym czasie robili porządki. - - - - -

Wszyscy myśleliśmy, że jak skończymy to Westerplatte, to nas
puszczą - tak nam przecież obiecywali. Było nam naprawdę bar-
dzo ciężko. Po całości uporządkowania Westerplatte zabrali
nas częściowo do Nowego Portu, przemundurowali, samochodami
dowieźli do kolejki, którą załwieziono nas do bambrów. Ja byłem

w Lindenau, dzisiaj nazywa się Lipowa i tak się dziwnie sło-
żyło, że po wojnie w ramach "miasto pomaga wsi" byłem po-
raz drugi w tej samej wsi u tego samego gospodarza. - - - -
Pamiętam, że razem ze mną był Jan Petke, był on cały czas
na Westerphatte, potem w Stutthofie, ale nie do końca. -
Pilnowali nas ss-nani - nosili wtedy czarne mundury z czer-
woną opaską i swastyką na rękawie. Później, w 1942 roku ta-
kie mundury nosili ukraińcy, a SS przemundurowano podobnie
jak wojsko, z tą różnicą, że wojsko nosiło swastykę na pier-
siach, a SS na rękawie. - - - - -

Pamiętam kilku Kaszubów, którzy dostali się ze mną
do Lindenau, do gospodarza. Poszło nas tam dwadzieścia osób,
dziesięciu Kaszubów i dziesięciu naszych. Kaszub, to też prze-
cież jest Polak, ale nas tak podzielili - grupę Kaszubów dali
na inne pola, nas na inne. Był tam Tabaczyński, który miesz-
ka do dziś w Gdyni, chociaż ja go teraz nie widuję. Zrobili
nam straszną przykrość, bo był taki wachman, nazywany Szyling.

Ten gospodarz dawał nam po trzy marki dziennie, chociaż wis-
dział, że my jesteśmy więźniami, ale nie wiedział, że nam się
nic nie należy. Po dwóch tygodniach tej pracy dawał nam te
pieniądze, chciał je potem zciągnąć, ale przecież myśmy od-
razu je wydawali na chleb. Były też odwiedziny - oddawaliśmy
więc też te pieniądze. Ja wtedy zachorowałem na żołądek. U te-
go gospodarza było wojsko, przywieźli i dali mi oni jakieś
lekarstwo, po którym, po paru dniach wydobrzałem. Jesć dawa-
li nam bardzo źle, supa - to była tylko woda i groch. - - - -

U bambra przebyliśmy sześć tygodni i wtedy obiecali
że tylko zawiozą nas do Neufarwasser /Nowego Portu/ i zaraz
pójdziemy do domu. - - - - -

W Nowym Porcie popakowali na samochody ile wlaszko,
był wtedy Mathesius, Neubauer, główny budowniczy komendatury

i przekადowali nas na kolejkę wąskotorową, przewieźli przez Wiszę - i do Stutthofu. To było przed świątami - około 20 grudnia 1939 roku. Grupa nasza liczyła chyba 120 osób. W Stutthofie nie było wtedy jeszcze ani jednego baraku, stał drewniany, jednopiętrowy dom starców. Budowali wtedy te pierwsze baraki, w których potem mieszkały kobiety - po lewej stronie od bramy. Stały już wtedy ściany, ale ani okien ani dachu nie było. Gospodarzył Leising, Szymdkowski i Milenz.

Jak przyjechaliśmy, to było w Stutthofie może sto osób, może nieco więcej. Obiady gotowali pod szopą, na dużym kiblu był taki drąg żelazny, bo dachu tam nie było. Dachy położyli bardzo prędko, dosłownie w kilka dni. - - - Były tam również ustępy, z których początkowo wybierali motopompą, a później kazano to wszystko robić księżom. - - Po jakimś tygodniu czasu dach główny był położony, ale okien nie było jeszcze. Zimno było niesamowicie. - - - - -

Wszyscy musieliśmy chodzić do lasu, ścinać drzewa i wozić na tartak do Krauzego do Stutthofu. Był wtedy Krause i Jansen. Tartak szedł dzień i noc, przecieraliśmy tam drzewo i woziko się spowrotem. Pracowali tam więźniowie, jako transport - byli też więźniowie. Pierwszy transport odbywał się na plecach osiemnastu - dwudziestu ludzi do jednej sosny. Przynosili ją do obozu, gdzie ciął się na kawałki metrowe - półtorametrowe, na to kładło się podwalinę kantówkę i podługę już składaną, gotową, zbitą, naturalnie z mokrego drzewa. Stopniowo budowało się lewą i prawą stronę.

Dostałem się w tym czasie na tartak do Krauzego. Pracowali tam gdańszczanie, dostawało się lepsze jedzenie, gotowane kartofle i trzy bułki dziennie - każdy. Jeden z

który tam pracował, a spał obok mnie we tej samej izbie, obok kantyny - zachorował. Poszedłem za niego. Krause chciał zobaczyć czy ja się na tym znam, bo ci, którym kazano tam pracować, zupełnie się na tartaku nie znali. Przychodził właściciel - Krause, on był sołtysem w Stutthofie. Przecieraliśmy drzewo tylko dla obozu. Zobaczyłem, że wszystko jest źle ustawione, ustawiłem tak jak być powinno. Zobaczył to Krause i zapytał skąd jestem. Odpowiedziałem, że z Gdyni z Pagoda-Holzfachmann. Byłem tam dwa dni. Komenderował nami Leising, dziesięciu szło do Langiego, dziesięciu do Krausego. - - - Przeciego dnia nie poszedłem, bo jako jedenasty iść nie mogłem. Krause przyszedł wieczorem do obozu i w czasie apelu zapytał gdzie jest ten mały Holzfachman. Wtedy Leising powiedział po polsku, że od tego dnia będę codziennie chodził do tartaku. Tam, jako kapo chodził nie gdańszczanin, ale jakiś inny bardzo paskudny człowiek, młody, trzydziestoparo letni, prawdopodobnie stolarz - chyba Radke. - - - - -

Praca w tartaku - to była dla mnie wielka wygrana, bo można było chleba wiejskiego przynieść. A przecież chodziło się na tartak dwa razy dziennie. To był styczeń - luty - okropna zima. Własne buty już spadły nam z nóg, nosiliśmy drewniane klumpy. Do tartaku było 3 km. Przejście na obiad tam i spowrotem - 6 kilometrów było w tych klumpach bardzo trudne.

Wtedy, gdy lagier już jako tako zaczął się organizować był Musolf, Kozłowski, który poszedł do Grenzdorfu, a nadzór nad całością miał Peters i Milenz /Bomba/. - - - - -

Między późniejszym lagrem kobiecym, a barakami po drugiej stronie były koryta. Na sztabie mieszkało około dwustu osób. Wychodziliśmy do mycia na pół ubrani, czy mył się, czy nie - musiał stać pół nagi w szeregu. Mył się naraz dwudziestu

po jednej i drugiej stronie - reszta czekała. Milenz jak tylko coś się mu nie podobało bił zaraz batem po gołym ciele - na mrozie trzeba było stać i czekać aż reszta się umyje. - - - -

Lager komendantem był już wtedy Pauli, ale on nie mieszkał w obozie, dojeżdżał co kilka dni z Gdańska. Z Niemców byli wtedy Meier, Peters, Reiss, Leising, Smytkowski, Liedke. Oni wszyscy mieszkali w wiosce za drogą. Leising mówił słabo, ale mówił po polsku. Na starym obozie Leising wchodził jednymi drzwiami, Smytkowski drugimi, strasznie bili i zaganiali do roboty. Leising zmienił się dopiero w 1941 roku i widocznie dlatego nie awansował, był przez pięć lat Unterscharführerem. Lutz też się zmienił, ale on potrafił jednak jeszcze przed samą ewakuacją w styczniu 1945 roku pobić starannie nas trzech starych więźniów - Zygmunta Kwapisza, Foterka i mnie. On zresztą "dorobił się" Oberscharführerem. Jeden Dullek wtedy uchronił się, bo poszedł spać do Kmicika do entlausung. - - - -

To właśnie brat Kmicika był ostatnim, którego pochowano na Zaspie, bo gdy on zmarł, to już krematorium szło, ale Kmiciek prosił, żeby go nie spalić tylko wywieźć na Zaspę. I to był właśnie ten ostatni. A wogóle, to jeden jedyny doktor Mirau był chowany jak człowiek, wszyscy inni byli wywożeni po kilku w jednej trumnie, potem wysypywali ich jak kartofle. Wywożono w blaszanych trumnach. Byłem na Zaspie dwa razy. - - - -

Potem palono. Jeśli rodzina zwróciła się o prochy, to wysyłali. Pamiętam rodzina Bojanowskich zwróciła się o prochy Bojanowskiego - stolarza z Oruni - posłali, ale przecież nie były to jego prochy. Przecież popiołem wysypywali ulicę. Wogóle nie palono osobno zwłok, palono po pięciu - sześciu. obojętne kto to był Żydówki czy kto inny, potem popiół wy-

rzucano i jeśli rodzina prosiła o prochy, to brano z ogólnej kupki popiołu. Gdańszczanie uważali, że jeśli jest krematorium, to każdego palą oddzielnie i prochy można dostać. To nie była prawda. Pracowałam bardzo blisko i często tam chodziłam, toteż widziałem co się dzieje. Pracujący w krematorium dostawali spirytus - palili bez przerwy dzień i noc, ostatecznie krematorium już nie nadążało, to palili zwłoki na stosie koło nowego obozu. Tam palono po kilkaset osób na raz. - - - - -

Od nas z Gdyni wyszło ponad dziesięć tysięcy, a wróciło tylko 53 - starych numerów, bardzo mało. - - - - -

Potem byłem wywieziony do Mackau. Mam nawet stamtąd zdjęcie, jest tam Waniorek, Raganowicz, bosman Pisarczyk z Gdyni. Mieliśmy wtedy polskie mundury wojskowe i czapki po - licji granatowej, tylko bez daszków. W 1942 roku w maju powróciłem znów do obozu z Mackau. - - - - -

Miałem takie zdarzenie - żona moja mieszkała w Gdyni na ulicy Sienkiewicza w tym samym domu, gdzie mieścił się Związek Ukraiński, a że ja pochodzę z Małopolski /Tarnopol/ poradzili jej, aby zrobiła podanie do Związku Ukraińskiego i wtedy mnie zwolnią. Ułatwili jej zrobienie odpisu metryki z Tarnopola i przesłali to do obozu w odpisie po rosyjsku i po niemiecku. Jak dostałem te papiery, to pokazałem je Edkowi Kamińskiemu, który pracował w Wagelkolonie - to był bardzo rozsądny człowiek. On czytał nam gazetki. Jak mu to pokazałem to on powiedział "coś ty głupi - nie podpisuj tego" No więc nie podpisałem i wcale nie pokazałem. Po dwóch tygodniach żona przysłała drugie pismo, ale tym razem już nie do mnie, a do komendantury. Wtedy wezwano mnie do komendantury i zapytali dlaczego tego nie podpisałem, że jeśli podpiszę to mnie wypuszczą. Poszedłem wtedy do baraku naprzeciw kuchni

do tej kantyny. Tam był Nogajski i Sikorski, przyszedł Siegel i jeszcze inny, zdaje się Meier - Boian i dali mi pismo żony, abym to podpisał - nie chciałem, mówiąc, że przyszedłem tu Polakiem i Polakiem choć wyjść - to wtedy przy Nogajskim i Sikorskim strasznie mnie zbili. Nogajski na maszynie na tym samym liście napisał, że odmawiam podpisu, nie chcę podpisać i to wyszło do Bydgoszczy. Wtedy u nas w obozie już zaczęli urządować Ukraińcy. W kilka tygodni po tym dostałem od żony wiadomość, że byli u niej i powiedzieli, żeby nie robiła żadnych starań, bo mi może tylko tym zaszkodzić. - - - -

x x x

Ja byłem kilkakrotnie przesłuchiwany w sądzie i powiedziałem, że byłem przez trzy lata kapo. Zdziwili się, że o tym mówię, więc wytłumaczyłem co to był kapo. Przecież my staraliśmy się o to, bo im więcej Polaków było kapo, tym więcej Polaków było przy życiu. Nie każdy kapo musiał mordować, zabijać. Jeden drugiego wciągał, gdzie było łatwiej. Ja byłem na Holzplatzu i miałem trzydziestu paru ludzi. Arbeitsdienst kierował więźniów do pracy. Jeśli widzieliśmy, że któryś z kolegów gdzieś w komandzie podpadł to szło się do Leszka Zdrojewskiego, czy Franka Herbera i zapotrzebowano się do mnie. Po dwóch - trzech tygodniach taki więzień szedł do innej pracy. Ale przecież z najgorszych komand jak na przykład Waldkolona czy przy kopaniu rowów tak zwyczajnie nie mógł się wydostać, trzeba go było zapotrzebować do innego komanda. - Jeśli dostał się do mnie, to przecież pracował w suchym, nikt go nie bił - tylko musiał robić, żeby go wachman nie ślał. Ja miałem na przykład Rosjanina Piotra Bochmana, ile razy jak przyszedł Eichler czy Siegel to musiałem udawać, że mu dałem w mordę, bo zaraz sz-mani widzieli, że Bochman siedzi, a on

niał flegmą. Ale przecież mi nie zależało żeby robota
szła, zależało mi tylko aby ludzie żyli. Dostawałem jed-
nak zlecenia i jako tako praca musiała iść. Była szopka, w
której stał trociniak, pod szopką zrobiliśmy piwnicę, tam
były kartofle zasypane piaskiem i głodni mogli piec kartof-
le. Taki na przykład Władek Kiburko jeszcze teraz był kilka
razy u mnie dziękując za te kartofle. - - - - -

Kapem był Mach, był Zigmunt Kwapisz, Witkowski Ju-
lek w malarni - dlatego dziś już musi zginąć przekonanie,
że jak kto był kapem, to był szuja, bo my będąc kapo stara-
liśmy się aby inni mogli przetrzymać. - - - - -

Byli różni, bo byli i Niemcy zieloni - się nie moż-
na nazwy "kapo" utożsamiać z bandytą, mordercą, szoczyńcą,
bo jak wszędzie, tak i w obozie i na funkcjach byli różni
ludzie. Szczególnie jeśli chodzi o funkcje rzemieślnicze,
to przeważnie byli Polacy, którzy pomagali drugim. - - - - -

Władysław Konarzewski

Zesłanie relacji i
Odtworzenie

Krzewska
Krystyna Krzewska

Sewandowski Wacław
z Gdcińskiego, m. oboz. 6 700

zam. M. Curie-Skłodowska 13
Sopot

5. 223-232



Sewandowski Wacław
6.700

inż. Wacław Lewandowski

były więzień Obozu Stutthof

nr 6.700

zamieszkały przed wojną w Gdansk

obecnie: Sopot ul. Curie-Skłodowskiej 13

Nierazny okres w obozie Stutthof

=====

Data 1 września 1939 roku obudził mnie o godz 4,45 rano huk artylerii na Westerplatte. Mieszkałem w ówczes przy ulicy Schneidgasse 20. Byłem sam - tonę wysłałem uprzednio do Wilna. Po włączeniu radia z radiostacji Warszawa nie mogłem się dowiedzieć co się dzieje, a radiostacja gdańska nadawała apel do Kaszubów i Gdańszczan - Niemców aby normalnie podjęli pracę. Ubrałem się i zapakowałem paczkę z śniadaniem - dla zachowania pozorów, że niby udaję się też do pracy i poszedłem na sąsiednią ulicę - Korzenną, przy której mieszkali moi koledzy - dowiedzieć się co w tej sytuacji robić. Zostałem ich, jak mi oświadczyli, w oczekiwaniu na aresztowanie. Byli to koledzy z PKP i częściowo ze studiów. Ponieważ nie odpowiadała mi atmosfera oczekiwania na areszt-

towania zostawiłem ich i pojechałem do Wrzeszcza- do Rodzi-
 ców. Ojca zastałem też ubranego i przygotowanego, że lada
 chwila przyjdzie po niego gestapo. Matkę - naturalnie we łzach
 Ojciec mój poprzednio pracował w hotelarstwie, a ostatnio
 był pracownikiem koojowym. Zarówno ojciec jak i ja mieliśmy
 obywatelstwo Wolnego Miasta Gdańska. Ja urodziłem się w Gdań-
 ku, ojciec na dziesięć bodajże lat przed moim urodzeniem- już
 tu mieszkał. - - - - -

X X X

Ojciec został początkowo aresztowany, później zwol-
 niono go i pracował dalej. Potem został wysiedlony do obozu
 przesiedleńców w Bydgoszczy, stamtąd do Potulic, które ja
 skądinąd przygotowywałem dla tych przesiedleńców. Z Potulic
 zabrano go na roboty przymusowe, a w końcu pracował jako
 więzień w obozie we Wrzeszczu. Odwiedzałem go tam jeszcze w
 roku 1944, ponieważ ten obóz zaopatrywał również bataliony
 SS, które były w Stutthofie. Skorzystałem z okazji i możliwoś-
 ci jakie miałem i pojechałem ciężarówką po uzupełnienie
 mundurów dla SS. Przy okazji spotkałem się z ojcem, który
 tu pracował jako magazynier. - - - - -

X X X

Pociągiem wróciłem od Rodziców do Gdańska. Pociąg plano-
 wo miał jechać do Tczewa, przypuszczałem, że w Paszówkach
 gdzie kończył się teren Wolnego Miasta Gdańska będę mógł
 uciec i przedrzeć się do Tczewa, a tym samym być już w kraju.

W Gdańsku zatrzymano pociąg i kazano wszystkim wy-

siąść. Przy okazywaniu biletów zostałem zatrzymany i aresztowany z powodu braku "odpowiedniej" legitymacji, bo po okazaniu dowodu - paszportu właściwie, zażądano odemnie legitymacji - pokazałem legitymację PKP zamiast spodziewanej przez nich NSDAP. Policjan w czarnym mundurze zaprowadził mnie pod ścianę w halu dworcowym, kazał tam stać i czekać. Po pewnym czasie dołączono wielu innych, których aresztowano w ten sam sposób. Było nas około dwudziestu pięciu osób w tym kilka kobiet. Wiek aresztowanych dwadzieścia do pięćdziesiąt lat. Stamtąd przewieźli nas ciężarówką do Victoria Schule, wyładowali na chodniku i kazali wejść w bramę budynku szkolnego. Tunel korytarza był bardzo ciemny. Cała grupa obstawiona była ss-manami uzbrojonymi w karabiny z nasadzonymi bagnetami. Rozglądałem się, którądy uciec, ale nie widziałem żadnej możliwości. W każdym razie zahamowałem troszeczkę wejście do tunelu. Jak tylko weszli tam pierwsi to zaraz zaczęły się krzyki i jęki, bo wzdłuż obu ścian tego tunelu stali ss-mani z pałkami i bykownicami i bili gdziepopadło. Grupę tę przepędzili dwoma upadkami z kopaniem - działy się tam niesamowite, dantejskie rzeczy. Ja nie bardzo chciałem wejść dobrowolnie, ale nie było innego wyjścia. - Mając dwadzieścia trzy lata urządziłem taką "stumetrówkę" jak chyba nigdy w życiu - jakoś więc umknąłem prawie wszystkim ss-manom, dopiero na końcu któryś musiał mnie trącić bagnetem, bo miałem rozcięte spodnie i rozdarte dość głęboko udo. Zauważyłem to dopiero jak wybiegłem na podwórze, było to absolutnie bezbolesne. Nerwy głuszyły ból. - - - - -

Tam uformowała się już kolejka do rewizji osobistej. Podczas tej rewizji kazali wyjmować wszystko z kieszeni i teczek. Po tej rewizji zostawiali tylko pięćdziesiąt guldénów każdemu. Poprzedniego dnia wzięłem pensję i miałem przy

sobie około czterystu pięćdziesięciu guldenów. - - - - -
 Spytałem człowieka, który stał za mną czy ma pieniądze, od-
 powiedział, że nie ma. Dałem mu więc sto guldenów mówiąc,
 że i tak pięćdziesiąt mu odbiorą, ale pięćdziesiąt zosta-
 nie, a te napewno się przydadzą, a wolę przecież dać jemu
 niż tym szwabom. Ale i tak dużo mi zbrali - zostawili tylko
 pięćdziesiąt guldenów i śniadanie, które miałem w teczek.
 Zabrali mi również plany, które miałem ze sobą. Wszystko rzu-
 cali do odpowiednich koszy. - - - - -

Potem porozstawiali nas w odstępach półmistrzowych
 twarzą do ściany i staliśmy tak od godziny ósmej, może ós-
 mej trzydziestej do południa. Po południu przyszedł Pauli,
 późniejszy komendant tego pierwszego obozu. Był wtedy Sturm-
 bahnführerem SS / cztery gwiazdki/. Spędził aresztowanych
 wyłapywał i tworzył grupy specjalistyczne - zaczął badać
 od cieśli, murarzy, dekarzy, malarzy - wszystkie zawody zwią-
 zane z budownictwem. Nie zgłosiłem się do żadnego z tych zawo-
 dów, które wywoływał, a które mogłyby mi odpowiadać - za-
 cząłem się niepokoić, że nie trafię potem na swód, który bę-
 dzie mi odpowiadał. Wolałem z wagą pewnością pójść do pracy
 jak siedzieć w tej Viktoria Schule, gnid i nie wiadomo na
 co czekać. Iść natomiast do pracy której nie znałem, która
 nie była związana z moim zawodem - znaczyło narazić się na
 bardzo poważne trudności. Zaczął wywoływać już zawody, o
 których nie miałem pojęcia - fryzjerszy, krawcy, szewcy
 Zauważył moje wahanie i spytał czego chcę. Powiedziałem, że
 jestem taki baumajster, czy coś takiego, wtedy dołączył mnie
 do jakiejś grupy ciesielskiej. - - - - -

Noc spędziliśmy w sali gimnastycznej na odrobinie
 słomy. Nie dali nam tego dnia jeść, a następnego uraczono nas
 jakąś czarniawą supą wybitnie niemiłą, ja nie ja 249 -

zresztą nie byłem głodny. Nie puszczali nas do ubikacji -
 załatwić się więc było trzeba na tejże sali gimnastycznej
 w miarę możliwości dyskretnie. - - - - -
 Przy drzwiach sali stał ss,man, starszy, może pięćdziesięcio-
 letni - zresztą przeważali tam starsi ludzie. Ten miał wyg-
 ład takiego dobrodusznego mieszczucha. Spytałem go czy moż-
 na wyjść do sklepiku i cokolwiek kupić. Oczywiście wychodzić
 nie wolno było, ale spytał mnie czego chcę. Powiedziałem, że
 cokolwiek- może być czekolada. No dobrze, ile tego ma być? -
 dałem te pięćdziesiąt guldenów i powiedziałem, że za wszystko.
 Zaważoak innego sa-mana, tamten poszedł i przyniósł olbrzy-
 mie naręczne tej czekolady. Taka czekolada kosztowała sześć-
 dziesiąt czy dziewięćdziesiąt fenigów. Zjadłem jedną czy dwie
 tabliczki, zostawiłem chyba pięć - resztę rozdałem odrazu,
 bo było tam trochę dzieci. - - - - -

Następnego dnia - 2 września 1939 roku o godzinie
 10-tej czy 11-tej załadowali te grupy zawodowe do pięknych
 miejskich autobusów i wywieźli do Stutthofu. Drzwi autobusów
 zablokowane były eskortą. Uprzednio była jeszcze "upolitycznia-
 jąca" przemowa, że jesteśmy polskie świnię, że należałoby
 nas właściwie wyniszczyć, że zdradziecko napadliśmy na Niem-
 cy, że jeśli jednak będziemy dobrze pracować, to oni będą
 się z nami dobrze obchodzić bo cenią pracę itd itp. Wywieźli
 nas bez słowa dokąd, po co, a jakim celu - wiedzieliśmy tyl-
 ko, że do roboty. - - - - -

Był z nami Leon Samulski, nie było zaś w ogóle księży.

Ponowną rewizję przechodziliśmy przed budynkiem
 Aiterscheimu - domu starców w Stutthofie. Był to drewniany
 parterowy budynek podobny kształtem do zbudowanego później
 na jego miejscu budynku komendantury. Byli tam starcy oboj-
 ga płci, staruszkowie siedemdziesięcioletni ledwo mogący
 mówić, a przecież jak nas przywieziono wykrzykiwali "daj -

cie tym Polakom, bijcie tych Polaków". Później ich wysiedlono czy przesiedlono, a ten budynek rozebrano. - - - - -

Ustawiono nas dwójkami i wprowadzono do obozu. Plac osiemdziesiąt na sto dwadzieścia metrów, ten pierwszy plac, ogrodzony był kolczastym drutem, podwójnym i nasiekami ale bez podłączenia prądu elektrycznego. Wież strażniczych nie było. Tam gdzie stoi lewy barak przy wejściu był ustawiony taraszek kuchenny. Poza tym były okrągłe namioty z jednym słupem w środku. Było nas w takim namiocie dwudziestu do trzydziestu, jak śledzi w beczce. Łóżek nie było. - - - - -

Jak przywieźli nas, to byli już tutaj więźniowie a Schindl, było ich kilkunastu, raczej kryminaliści, mieszkali w jednym z tych namiotów. - - - - -

Pierwszy posiłek dostaliśmy wiedzorem. Podchodziło się do tej kuchni z jakimś miseczkami czy mienkami, nalewało się chłodną, a potem jadło a raczej wypijało na jakiejś kapie cegieł czy gruzu, albo na jakimś piaku. Łytek chyba w ogóle nie było w tym czasie. - - - - -

Praca nie była wtedy prądą w swoim zwodzie. Pobiegała na karczunku lasów, pni i robotach ziemnych. Wyrąb lasu odbywał się za pierwotnym ogrodzeniem w kierunku na wioskę - tam gdzie jest dalsza część starego obozu - gdzie jest teraz krematorium. Ten ogrodzony teren, gdzie teraz zaczyna się pierwsza brama był wykarczowany. - - - - -

Kiedy przyszedliśmy do obozu spisywano jakieś personalia, była założona kartoteka. - - - - -

Obóz początkowo nazywali się, nani Cywielgefangelager - zdecydowanie obóz dla więźniów cywilnych. Victoria, jak się później dowiedzieliśmy była też instytucją podlegającą wyłącznie siedemnastej czy sto dwudziestej szóstej SS-standarty.

i do niej należało tak całkowite zaopatrzenie jak i eksploatacja. "Upaństwowienie" nastąpiło w 1942 roku, bodajże w marcu. - - - - -

Najwyższy rangą był wtedy Pauli. Chodził w zielonym mundurze - nie widziałem go nigdy w czarnym. Nie mieszkał na terenie obozu, przyjeżdżał czasami nawet raz na kilka dni. Zdaje się, że urzędował raczej w dawnych koszarach emigracyjnych w Nowym Porcie, bo tam była bardzo duża grupa więźniów. Tam też był taki punkt zbiorczy. O tym, że był on komendantem obozu mieliśmy mgliste pojęcie nie zdając sobie wtedy jeszcze sprawy z tego, że jest to obóz koncentracyjny. Z początku Pauli nie miał zastępcy, a w każdym razie taki nie pokazywał się w obozie. Obsługa nie miała jeszcze psów. Nagminnie, normalnie było w tym czasie bicie więźniów. - - - - -

W obozie, w roku 1940 spotykałem ss-manów, których znałem z terenu Gdańska. Wśród innych był taki untersturmführer Mathesius, który był jednym z zastępców komendanta. Ojciec jego miał lokal w Oruni, który istnieje i teraz. Był to lokal, w którym Polonia Gdańska lubiła odbywać swoje zebrania, zabawy. Przy lokalu był park, ogródek raczej - to było tuż przy torach kolejowych. Z synem tego Mathesiusa, oficerem SS znaliśmy się z widzenia, mówiliśmy tym samym slangiem - to znaczy i ja znałem ten platt deutsch jakim na Oruni posługiwali się endruci, żulicy i chuligani, w rozmowie z nimi często korzystałem, bo to do nich jakoś trafiało. Może z tego względu wykazywał, ukrywając zresztą, sympatię do mnie, może dlatego, że byliśmy w jednym wieku. - - - - -

Pauli nie był gdańszczaninem. Sądzę, że było tam 50 % przedwojennych gdańszczan - reszta pochodziła z Prus. - - - Rodowitym gdańszczaninem, nie znającym języka polskiego był



natomiast mój długoletni bezpośredni szef, taki późniejszy majster ciesielski - Neubauer, któremu ja robiłem egzamin majsterski, od którego nota bene najwięcej oberwałem. Był on pierwszym bauleitarem. Otto Neubauer był unterscharführerem - to jest takim młodszym sierżantem czy plutonowym.

X X X

Przy karczunku pracowałem chyba do końca 1939 roku a może nawet do wiosny 1940 roku. Na wiosnę 1940 roku wprowadzono z Zarządu Miejskiego z Gdańska geodetę. Przyszedł z teodolitem czy niwelatorem i potrzebował zgodnie z obowiązującymi zasadami jakiegoś chłopaka, żeby mu łatę trzymał. Zaoferowałem się do trzymania tej łaty, bo to jest przyjemne zajęcie i przydzielili mnie do tego geodety. Bardzo grzecznie i prawidłowo trzymałem tę łatę, robiłem to tak jak ja sobie życzyłem, żeby mi chłopcy trzymali łatę podczas moich praktyk. Zawołał mnie do siebie i spytał czy się na tym znam. Odparłem, że troszeczkę. Spytał mnie czym jestem z zawodu, no, baumajstrem. Kazał mi zrektyfikować i odczytać. Odczytałem. Strasznie się ucieszył, zostawił mi tę całą robotę i poszedł do knajpy. Kodczyłem za niego całą t7 "sabawę". Był to po prostu plan sytuacyjny jako podkład pod dalsze plany. Podkłady geodezyjne Stutthofu powstawały dopiero zimą 1940 roku. Ten geodeta nazywał się Schwartz czy Schultz - jakieś takie popularne niemieckie nazwisko. Te pomiary trwały dziesięć dni czy może dwa tygodnie i obejmowały w zasadzie teren całego starego obozu plus teren tego domu starców łącznie z przyległościami aż do toru kolejowego i szosy. - - - - -

W ten sposób dostałem się do klanu tych od lepszych robót. - - - - -

Jak wyglądało projektowanie baraków ? - Neubauer wys-

naczał, że barak będzie osiem metrów szeroki, krokwie tnie, te kleszcze, warstwa desek na dachu, pod posadzką lagry na słupkach, bo grunt tu był niewytrzymały, takie metrowe słupki wkopywane w odstępie metra. Takie zasady jak je Niemcy nazywali - doświadczalne. Poniekąd słuszne, ale bardzo rozrzutne, bo takie bale co metr wkopywane - to masa drzewa, mało pożytku. Można to było znacznie taniej zrobić słupkami - powiedzmy, choćby ceglanymi. Chyba w połowie października powstały te pierwsze bloki - baraki, czyli jakieś cztery do sześciu tygodni mieszkaliśmy w namiotach. - - - - -

Projektowanie odbywało się przeważnie równorzędnie z budową. Tak się zaczęło i taki system przetrwał do końca. Neubauer, czy którykolwiek z SS-manów mających coś do powiedzenia przychodził i mówił do mnie czy do Dychmanna, czy któregoś z kolegów, że czeka stu, dwustu czy trzystu więźniów z łopatami, że ma być postawiony eiskler czy barak mieszkalny tyle i tyle metrów szeroki i wysoki, że "prędzej, żeby oni nie czekali". Wtedy trzeba było biec i na wariata zupełnie dać jakieś zajęcie tym ludziom, bo mogła by być masakra. Gdyby się to wszystko nie ruszało. W tym czasie drugi z nas zajmował się jakimś usankcjonowaniem i unormowaniem tego co się już robiło musiał dać jakieś wytyczne jak robić i prowadzić, żeby coś z tego wyszło. Początkowo biura jako takiego nie było. Pierwsze biuro już mieściło się w baraku. Pierwszy raz dostałem rajsbret do ręki, kiedy w baraku nie było jeszcze szyb w otworach okiennych. W całym biurze był początkowo rajsbret, dwie okierki linijka i ołówek. - - - - -

Początkowo byłem sam, potem przyszedł inż Wiktor Dychmann - Polak z Gdańska z Rady Portu i dróg wodnych. Był to ładowiac straszny odemnie o jakieś dziesięć lat, studiował chyba gdzieś w Niemczech. Do Stutthofu dostał się za to, że pra-

cował w radzie portu, aczkolwiek nie był zbyt patriotycznie nastawiony, bo miał żonę Niemkę i dwoje dorosłych dzieci, które po polsku nie mówiły. Przeżył Stutthof, mieszka teraz w Hamburgu. Dychmann przyszedł na samym początku, a do Baubiuro prawie równocześnie za mną. Potem był jeszcze inż. Stanisław Raganowicz, zabrany z Helu, gdzie ostatnio robił fortyfikacje, inż. Bolesław Waniorek - bardzo dobry statyk, był Władek Gdaniec - technik budowlany, który został zamordowany w 1945 roku. Raganowicz i Waniorek mieli obywatelstwo polskie, Dychmann, Gdaniec i ja - byliśmy obywatelami gdańskimi. - - - - -

Był jeszcze inż. Bolesław Paprzycki - chyba od 1943 roku - to był naczelnik Gdańskiego Oddziału Dyrekcji Kolejowej - fisza na kolei, zresztą jeszcze po wojnie też. Umarł pół roku po wojnie przy biurku, przy pracy. - - - - -

Procentowo najwięcej przeżyło z Baubiuro, bo był to rodzaj pracy mniej niszczący, ludzie tego zawodu byli potrzebni, no i organizacja wewnętrzna ułatwiała przetrwanie. - - - - -

Numeracja zaczęła się w końcu 1939 roku od obozu w Nowym Porcie. Jak przyjechałem do Stutthofu nie miałem żadnego numeru aż do końca roku 1939. Dopiero wtedy po przenieśmowaniu wszystkich, którzy byli w obozie i koszarach emigracyjnych w Nowym Porcie powstała ekipa ewidencyjna - to był początek Politischeabteilung. Numeracja w Stutthofie zaczęła się bodajże od nr. 6.000. Ja miałem nr 6.700. Bez nakłuwania tylko z przenieśmowaniem w kartotece i z naszywką z drukowanym numerem - Miałem literę "P" w czerwonym trójkącie, aczkolwiek te oznaczenia też były późniejsze; początkowo były tylko białe naszywki z czarnym numerem. - - - - -

Gdaniec Jan
z Gdainska, nr oboz. 3007
zam. ul. Elbląska 53
Gdansk s. 233-240



Gdaniec Jan
3007

J e n G d a n i e c

były więzień Obozu Stutthof

Nr. obozowy 3007

zamieszkały przed wojną w Gdańsku

obecnie: Gdańsk ul. Elbląska 53

awód: artysta operowy Państwowej Opery w Gdańsku

Zabrano mnie z Gdańska 1 września 1939 roku o godzinie 5,30, około 6-tej. -----

Nie czekaliśmy na dzisiejszej ulicy Korzennej naprzeciw ratusza staromiejskiego. Cała nasza ulica zajęta była samochodami niemieckimi. Zbieraliśmy się przedtem i mówiliśmy sobie przecież że nawet guzika nie oddamy. Teraz czekaliśmy co będzie dalej, myśleliśmy, że nareszcie odetchniemy.

1 września o godzinie 5,15 słyszemy strzały i dalekie detonacje. We trzech z Władkiem i Andrzejem, moimi braćmi spaliśmy w jednym pokoju. Przyszła do nas matka i zwróciła uwagę na te detonacje, o których myśleliśmy początkowo, że to burza. Matka jednak była pewna, że to już wojna się zaczęła. Zaczęliśmy zastanawiać się co zrobić. Ubraliśmy się i patrzymy przez okno poprzez firanki, a tam już Niemcy zacierają z uciechy ręce. "Polaken raus, Polaken kaput"... -----

Matka wysłała nas do kościoła św. Józefa do spowiedzi i komunii świętej, a potem "dziej się wola Boża". Poszliśmy. Stamtąd już trudno się było wydostać, więc każdy osobno, na własną rękę - jednak jakoś dotarliśmy do domu. - Tam już nie zastaliśmy ani matki ani ojca - mieszkanie splądrowane, puste. Młodsze rodzeństwo Staśka, Stefka, Piotra i Romana wyskaliśmy przedtem do Piaseczna do ciotki, bo powiedziano nam, że zostać mają tylko ci, którzy mogą broń nosić - reszta - to jest mali i starszy mili być wysłani gdzie się da. - - - - -

Byliśmy zamknięci jak w klatce, zewsząd otoczeni. Dobijali się do nas, ale początkowo nie otwieraliśmy. Na fortepianie stało radio detektorowe na słuchawki nastawiliśmy na Warszawę, a tu zamiast Warszawy usłyszeliśmy po kaszubsku, że się teraz zmieni wszystko, dawniej świnia kosztowała tyle a tyle, a teraz będzie inna cena. Pomyślałem sobie, że to nie Kaszubi mówią ale ktoś podstawiony. - - - - -

Po chwili zaczęto się znowu dobijać, tym razem otworzyliśmy. Zabrali nas, zaprowadzili do ^{Orbisgruppe} ~~Wahlgang~~, która mieściła się na ulicy Bednarskiej, tam jest obecnie tylko jeden stary dom i tablica. Zaprowadzili nas tam, byli z początku bardzo grzeczni, częstowali nas papierosami, odmówiliśmy wszyscy trzej. To nie podobało się Niemcom, bo uważali, że jesteśmy wrogami i dlatego nic od nich wziąć nie chcemy. - - - - -

Tam siedzieliśmy około jednej - dwóch godzin. Zebrano tam większą grupę Polaków z tej okolicy i zawieźli nas na policję, która mieściła się naprzeciwko kościoła św. Józefa na ulicy Elżbietańskiej - tam gdzie są teraz zakonnicy. - - - - -

Przeładowano nas na inny samochód i zawieziono prosto do Victoria Schula. Przyjechaliśmy około godziny 6-tej po południu i odrazu dano nam "chrzest". Akurat przechodził jakiś oddział, nie wiem kto to był - zaczęli nas bić kolbami, do dziś mam pamiątkę. Byłem ubrany w nowiutki garnitur i nową koszulę, bo przecież nie wiedziałem na jak długo ma mi to starczyć. Byliśmy odrazu zbroczeni krwią - zaprowadzono nas na dziedziniec Victoria Schule, a tu taki SA-man - starszy, gruby - musiał widocznie nas znać, bo jak mnie zobaczył to powiedział "Mein Gott, was haben Sie auf Dir gemacht". Opatrzył mnie, dał mi bandaż; popędzili nas dalej. Kiedy nas przywieziono byli już koledzy z Gedanii, z Cerylai, z gimnazjum, księża, był Frycza, ks. Komorowski. - Oglądałem się szukając ojca. Zobaczyłem go dopiero później. Dowiedziałem się potem, opowiadała mi matka, zabrali rodziców z domu i jak mieli już nas, to matkę wypuścili, a ojca zatrzymali. Z ojcem spotkałem się na dziedzińcu Viktoria Schule, ale nie mogliśmy już mówić, tylko przechodziliśmy obok siebie. - - - - -

W Victoria Schule działy się potworne rzeczy. Było tam bardzo dużo ludzi. Dzień i noc nie różniły się od siebie. Na przykład stały duże kadzice z wodą i kto przechodził, a szczególnie kto był bardziej znany i zasłużony, większy działacz, to od razu do tej kadzicy z wodą.... Albo tam odrazu wykańczali, albo jeszcze wyciągali. Już teraz tak bardzo dobrze tego nie pamiętam. Tak trwało chyba trzy dni. Po tych trzech dniach przyszedł Pauli, kazał wszystkim ustawić i "przemówił" do nas "Ihr Polnische Schweine, das was sich hier abspielt, das wird ⁱⁿ ~~in~~ ^{den} ~~den~~ ⁱⁿ Jahren kein ^{Haken} ~~Hand~~ brechen danach das sich hier abgespielt hat. Ihr seit alle unter meiner Macht unter mein ^{Hand} ~~Befehl~~." Po takiej przemowie

naturalnie na nas wszystkich padł błąd strach- jeśli się tak zaczyna - to co będzie dalej ? Pamiętam, był to będąc drugi dzień naszego tam pobytu - spędzili nas na drugie piętro, nie było słomy, w ogóle niczego, spaliliśmy na podłodze, przebudziłem się rano, ciekawy byłem co się dzieje na dziedzińcu, wyglądam - a tam widać widzę naszych księży - między innymi księdza Rogaczewskiego, księdza Komorowskiego jak czyszczą dziedzińiec. Pytam tych, którzy pilnowali, wypuszczali za własną potrzebą, dlaczego robią to księży, przecież my to możemy zrobić, jesteśmy młodsi. Na to mi odpowiedział, że "wy nie potrzebujecie, to muszą te polskie świnię robić, oni nam dość krwi napsuli!" - - - - -

Stamtąd wzięli nas do gburu pod Orunię zdaje się do miejscowości Alt Dorf- mieszkał tam gospodarz Waszke. Tam nas zabrali do sprzątania, do jesiennych zbiorów, do kartofli, buraków itd. Tam był mój ojciec, brat - Andrzej i ja, Władka zabrali widocznie od razu do budowy Stutthofu, bo on był technikiem. Po kilku dniach ojca od tego chłopca zwolnili, bo ojciec miał wtedy sześćdziesiąt cztery lata i widocznie już nie podązał, więc zabrali go z powrotem. Ja z bratem zostałem. Pamiętam, że pilnował nas tam ss-man Otto Reksin. To był człowiek bestia, on nas nie ruszył, ale tak nas maltretował, że baliśmy się go jak cienia. Kiedyś przysłała matka. Dowiedziała się, że tu jesteśmy więc przyniosła nam trochę żywności. On brał poprostu każdy kawałek chleba, marmoladę- szukał, badał czy nie ma tam listu, grypsów, pilników czy jakichś narzędzi. - - - - -

Teraz przypominam sobie, że najpierw byliśmy na Westerplatte, a potem dopiero zabrano nas na tę wieś do gospodarza. Tam też działy się niesamowite rzeczy. Mieliśmy sprzątać Westerplatte. "Opiekunami" naszymi były młokosa szesnasto - osiemnasto letnie z Arbeitsdienstu, znęcali się strasz-

nie, ale w szczególności nad starymi. Czasami chcieliśmy pomóc starszym, dostawaliśmy za to porządnie, ale i ten stary, któremu chciało się pomóc też był zбитy. - - - -

Kiedy prowadzono nas na Westerplatte - Niemcy śnę-
cali się nad nami - pluli, rzucali kamienie, podchodzili do
szeregów i bili, kopali młodzież i kobiety, nasmiwali się,
bo przecież nas Gdańszczan znali, była nas niewielka grupa
Polaków. - - - - -

Tam na Westerplatte poznałem Deyka, którego pamię-
tam do dzisiaj, bo on przyszedł do mnie i nie wiem jakim
sposobem skombinował trochę zupy - był przy kuchni, czy sto-
larzem, znał niemiecki dobrze i widocznie go potrzebowali,
więc czasem udało mu się dostać trochę zupy czy chleba-
dzielił się więc z innymi. Pamiętam, że całe nasze poź wienie
pochodziło z kuchni polskiej szkoły na Westerplatte - po-
mieszczona tego na dole w komorach, gdzie był orzeł pol-
ski, którego nie ruszył żaden odłamek. To uważaliśmy za ja-
kiś symbol - - - - -

Z Westerplatte pamiętam też Piotrowskiego. Potem
przyszedł wielki transport z Gdyni - też do sprzątnięcia.
Był tam Jedynecki, którego poznałem jeszcze w roku 1933 czy
1939. Spotkałem tam także jednego z biesiadników na ślubie
mojej ^{zmarłej} ~~matki~~, kiedy śpiewałem Ave Maria. To chyba był on. - -
Spaliśmy w bunkrach rozbitych, nawet nie dali nam słomy -
spaliśmy wprost na podłodze - jak padał deszcz to prosto na
nas. Wieczorem przy dużej odwadze chodziliśmy do ogrodu, aby
zdobyć coś do jedzenia. Myśleliśmy, że jak skończymy Wester-
platte, to nas puszczą, ale przecież myśleliśmy także, że
to jeszcze nie koniec, słyszeliśmy bombardowanie, zdawało
nam się, że to nasi, każdy podnosił głowę i wyglądał "naszych"

Gwiazdkę obchodziliśmy jeszcze w Nowym Porcie w koszarach. Do Stutthofu przywieźli nas drugiego czy trzeciego stycznia, było to bardzo sroga zima. Jak przyjechaliśmy do obozu, to już baraki były, wprowadzili jeszcze surowe - stały po prawej stronie. Myć chodziliśmy się na zewnątrz. Było tam koryto i taka rura z dziurkami, a których ledwo kapka wody. Tam musieliśmy się myć. Woda momentalnie zamrażała, - mroź był w granicach 13 - 20°. Wychodziliśmy się myć do połowy nago - inaczej nie było wolno. Mieliśmy już wtedy numery, które dostaliśmy w Nowym Porcie. Początkowo miałem numer trzycyfrowy, ale tego już nie pamiętam, przed wyjazdem do Stutthofu numerowali nas po raz drugi, wtedy dostaliśmy numer 3.908. Schranka ma numer dziewięćdziesiąt z czymś ...

W Stutthofie pracowałem początkowo w Waldkolonie i wychodziłem do jednego łambra, ^{Strasnik nas prowadził} który ^{albo Schult} nazywał się Schmidt. Wychodziła nas grupa dziesięciu. Sprzątaliśmy, piłowaliśmy drzewo i przez tego władze Schmidta ^{czy Schultza} mogłem się skontaktować z domem. On powiedział: "Janek, schreib ein Brief, ich werde dir diesen Brief im Kasten". Początkowo bałem się, ale potem pomyślałem, że trzeba spróbować. Napisałem. I rzeczywiście po trzech dniach przyjechała moja siostra. W ten sposób miałem przez tego człowieka kontakt z domem. To był Niemiec, ale tak dobry człowiek, spokojny, łagodny, że dziwiłem się, że tacy ludzie są. Zanim jakoś rozszedłem się w Stutthofie, dostałem tam jakieś stanowisko - miałem tam wujka - to był Głomerek, on był w Entlausungu kapo. On przed wojną pracował w Porcie w Nowym Porcie, był działaczem robotniczym, pracował jako dźwigowy, ^{brójka mi się wstała} nie wykonał czegoś jak ^{struktury w Berlinie. Później z grupą dwudziestu polaków przyszedł do} się należało, bo się w pracy zdecydował i za to go przeprosili do PPS; Polich z Warszawy zawodowcy i jakoś ^{potem wypuścili, bo nie się mogli mu udowodnić i na} ^{spec. chęć swego przekonania. Był flegmatem} właśnie pracował jako kapo w Entlausung i przyjął 263 do

siebie. Pracowałem tam u niego, ^{nie pamiętam} ~~miałem~~ kontakty ze szpitalem, nie pamiętam nazwisk z tego okresu, ale to było przed 14 kwietnia 1940 roku. Datę tę pamiętam, bo to data śmierci mego ojca. Z rewirem miałem kontakty przez jednego księdza, który był flegmą. Mogłem tam chleb usmażyć i opiekować się ojcem, który zachorował na dysenterię. - Ojciec leżał tam z moim szefem na jednym barkoci. To był Władysław Jaworski. Jak zobaczyłem tego człowieka, to nie mogłem uwierzyć, że to mój szef, tak okropnie był wychudzony i zmieniony. Loteli razem z moim ojcem. Ojciec przyszedł do Stutthofu wcześniej odemnie, - - - - -

Pamiętam, że 14 kwietnia o godzinie 5-tej rano przyszedł do mnie ten ksiądz i powiedział "Janek, twój tatuś nie żyje". Pozwolili mi i Andrzejowi iść do bramy za trumną. Władka w tym czasie nie było w Stutthofie - przenieśli go na inne komando. Od bramy wrócili nas z powrotem. Pochowali ojca na Zespia. Tam gdzieś pod płotem. Numer jest, gdybyła ekshumacja - zgłaszszłem, ale ojciec tam gdzie leżał - tam leży. Ale to już dziś jest nieistotne. Ojciec chowany był osobno, pojedynczo. Akt zejścia wypisany w Stutthofie moja matka dostała - - - - -

Na początku 1940 roku wojskowi radzieccy mieli osobną sztabę. - - - - -

Również na początku 1940 roku utworzyliśmy w Stutthofie chór, który prowadził Szopiński. Szopiński już nie żyje. On pochodził z Kećcierszyny. - - - - -
Był tam KK kwartet - śpiewali Jędrzejczakowie, Szopiński i ja śpiewałem.... Cwiczenia chóru odbywały się właśnie na tej sztabie żołnierszy radzieckich, których tam wtedy mogło być trzydziestu - czterdziestu. Oni mieli jakieś przywileje.

Tak więc już w 1940 roku śpiewaliśmy po polsku, polskie pieśni, a nawet kompozycje Szopińskiego. Pamiętam jeszcze kilka słów z mojej partii - to są " śniła mi się matka moja, mazowieckie nasze pola"...Ten utwór nazywał się "Wspomnienie więźnia" - słyszałem ten utwór przez radio po wojnie. Napewno słowa się zachowały , bo Szopiński, którego znałem jeszcze przed wojną z konserwatorium polskiego, po wojnie wykonywał jakiś swój utwór z zespołem radia wrocławskiego czy poznańskiego, bo był kierownikiem rozgłośni wrocławskiej i pracował też w rozgłośni poznańskiej.

Relacje zebrała

Relief

Jan Gdaniec

Odтворzenie i maszynopisanie

Relief

Krystyna Krzewska

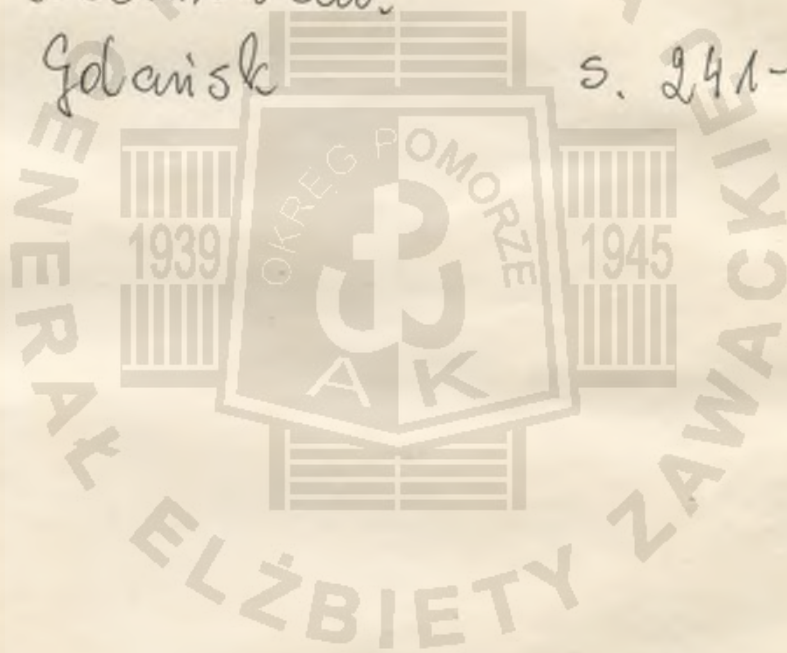
Skierka Franciszek z Gdańskie
oboz od 2 IX - XII 1939

nr oboz. wspomniany

sam. Beethoven

Gdańsk

s. 241-246



Skierka Franciszek

Franciszek Skierka
były więzień obozu koncentracyjnego Stutthof
numer obozowy: zapomniał
przebywał w obozie od 2 września do grudnia 1939 r.
zawód: szewc
zamieszkały przed wojną w Gdańsku
obecnie Gdańsk ul. Beethovena

Nazywam się Franciszek Skierka. Urodzony jestem w Żukowie w 1890 roku. Do Gdańska przyjechałem w 1913 roku i tu się ożeniłem. Założyłem warsztat szewski na Oruni w roku 1914. W czasie pierwszej wojny i zaraz po wojnie pracowałem na Oruni, a potem przeniósłem się do Gdańska na becną ulicę Wygon, potem na ulicę Schisselgang /nie wiem jak się teraz nazywa/, gdzie miałem warsztat i sklep aż do chwili, kiedy mnie 1-go września o godz. 7-ej rano aresztowali. Stali już przed 7-mą koło mego okna. Tam stało ich trzech czy czterech między nimi był Gutman, szewc - to był ten, przez którego mnie aresztowali. On był członkiem partii hitlerowskiej, a

ja należałem do polskiego związku i dlatego mnie aresztowali. Ten Gutman jeszcze dziś mieszka we Wrzeszczu. Wtedy - 1-go września jeszcze nie zdążyłem się ubrać, jak żona zobaczyła Gutmana, który stał z jednym SS-manem i jednym SA-manem. No i zaraz weszli do kuchni i mnie zabrali, potem poszli do sklepu i tam zabrali cały towar. Z domu poprowadzili mnie na plechtę do Victoria Schule. Tam było już pełno Polaków. Zaraz zaczęli bić. Z tego wstrząsu byłem czysto ślepy - nikogo nie poznawalem. Byliśmy w Victoria Schule chyba do godziny 4-ej i wtedy nas zabrali na Schiestang. - Bili nas, wpakowali do celi i tam byliśmy całą noc. W celi było pełno, jeden na drugim leżał i tych cel było wiele pełnych. Z rana przyszli nas budzić, ale myśmy i tak nie spali. Zaraz sprowadzili nas na dół i tam były trzy samochody, duże samochody i do nich nas zapakowano. Ilu nas tam było - to ja nie mogę powiedzieć, ale było tak ciasno, że nie można się było obrócić w tych samochodach. Ja jechałem blisko plandeki, była taka dziurka, patrzyłem na budynki, to widziałem że jechaliśmy przez Langgasse /teraz nazywa się Długa/ i później prostu do promu i tam samochód wjechał na prom i to już prędko był Stutthof. Ale my nie wiedzieliśmy dokąd nas wiozą. Dopiero jak zatrzymali, to była gdzieś godzina 8 dwunasta, może później trochę, podnieśli plandekę - patrzemy stoimy w lesie. No, myśleliśmy to już koniec. Myśleliśmy że nas zaraz rozstrzelają, ale nas wyładowali i na drogę z szosy. Ta droga szła troszkę na dół. Tam już była brama i płot z drutów kolczastych. Te druty były tylko tak prosto i zaraz drugiego dnia kazali nam te druty przeplatać w drugą stronę też drutem kolczastym. Ale jak my przyjechaliśmy to już tego dnia do roboty nie poszliśmy. Dali nam trochę jedzenia - taką wodę. Spaliśmy pod plandeką, pod namiotem. Tych namię-

tów tam dużo nie było - chyba 8 do 10. Namioty były okrągłe, w środku była taka sztanga, jak myśmy się położyli, to koło tej sztangi była cała kupa nóg. W nocy nogi bolały, wysuwałem je na wierzch, ale po krótkim czasie znowu były na spodzie i znowu się budziłem. W tym namiocie było przynajmniej 20 ludzi. W samochodzie to ja nikogo nie poznałem, a w obozie podzielili nas na grupy i jedna grupa do drugiej nie mogła się zbliżyć bo zaraz bili. Zaraz pierwszego dnia nas liczyli, zabrali wszystko precz, dokumenty i wszystko, co mieliśmy : marynarkę, czapkę, pieniądze, wszystko co miałem w kieszeniach. Pieniądze wzięli do biura i jak mnie potem wypuścili to je odebrałem. Na drugi dzień ustawili nas w szeregu i rozsyłali do roboty. Ja poszedłem do plecenia drutów. Nas tam było 6 czy 7-ciu. Jak my przyszli do Stutthofu to byli już tam z więzienia takie pijaki było ich 7-ciu czy 9-ciu - tyle ja zauważyłem. Jednego z nich znałem, bo on kiedyś u mnie pracował, ale niedługi czas, bo to był pijaczyna, nawet nie pamiętam już jak się nazywał. Parę tygodni przed wojną odszedł odemnie i potem wzięli go do więzienia. No i ja go w tym Stutthofie zobaczyłem, rozmawiałem z nim ale tylko parę słów jak szliśmy do ustępu, bo na nas patrzyli i nie wolno było stać i rozmawiać. On tam był przy mnie pewno 3 albo 4 dni i od tego czasu ja już go nie widziałem. Fletliśmy te druty kilka dni, podzieleni byliśmy na 2 grupy. Jedna zaczęła pleść z jednej a druga grupa z drugiej strony - spotkaliśmy się w środku. Jak przyszliśmy do Stutthofu to baraki były już rozpoczęte, były chyba zrobione już fundamenty, zdaje się że nawet coś tam już stało. Potem zrobili jeszcze drugi, taki mały płot z drutów kolczastych od strony obozu. Ten duży na zewnątrz to był jakieś 2 do 3 m. wysoki, a ten drugi miał takie poplecione druty. - - - -

Było wtedy pewno dziesięciu do piętnastu SS-manów, tych których widzieliśmy, ale tak ile ich tam jeszcze byłow budynku to my nie widzieliśmy, oni mogli być tam gdzie był ten dom starców, ale i tych starców to ja też nie widziałem. - - - -

To zrobieniu tego płotu posłano mnie do czyszczenia placu. Były też dnie, że nic nie robiliśmy, czasem skrobalismy kartofle do kuchni. W kuchni był jeden kucharz - to był Niemiec, a jego żona była Żydówka - jego znałem ale nazwiska nie pamiętam. Potem robiłem przy karczowaniu drzew. No i zachorowałem, oprócz mnie byli inni chorzy - razem było nas chorych 9-ciu chłopów. Nie było wtedy w obozie żadnego szpitala, no i oni nas, tych chorych zawieźli spowrotem do Gdańska, a właściwie do Nowego Fortu. Numerowany byłem już w Stutthofie. Wszystkich nas numerowali w Stutthofie, dokładnie nie pamiętam kiedy, ale to więcej jak tydzień po przywiezieniu. Nie pamiętam mego numeru, ale to musiało być koło setki. W Nowym Fortcie trafiliśmy się z moim znajomym, SS-manem Zauterenem. Widziałem się tam z nim trzy razy, chyba nie więcej. W Nowym Fortcie było już nam lepiej, przecież byliśmy chorzy. Nie chodziliśmy do roboty. W Nowym Fortcie kucharzem był Kuczora - to był dawny pracownik rzeźnika Kuszła. Kuczorę to ja już znałem wcześniej. W Nowym Fortcie byłem pewno 4 tygodnie, potem mnie już zwolnili, tak że przed Gwiazdką byłem w domu. W samym Stutthofie byłem niecałe trzy miesiące. - - Wszystkie noce spałem tam pod celtem - to był ostatni celt, ten gdzie ja spałem. Był ze mną Biotke Józef, ja się z nim tam spotkałem, a znaliśmy się dobrze. Był też ze mną Kopczyński, ten lekarz, pamiętam go, bo jak zachorowałem to byłem u niego. To ja w tym Stutthofie nie mogłem nic jeść, choć tam mało co dało do jedzenia, ale ja wogóle nic nie mogłem jeść.

Biotke ciągle mi mówił że mam jeść, bo inaczej to dzu-

go nie wytrzymał. A ja kilka dni nic wogóle nie jadłem, tylko wodę piłem. Potem zacząłem już trochę jeść, ale nawet porowy tego co dawali nie zjadałem. Widocznie z tego, zrobiłem się całkiem chory, nie miałem zupełnie siły, nie pracowałem wcale, tylko leżałem. Zresztą było już sporo chorych. I wtedy przychodził do nas doktor Kopczyński. Ale nie było co z tymi chorymi robić, przecież jeszcze nawet baraków nie było, spaliśmy pod eoltami. Więc zakładowali nas do sanochodu pod plandekę, nawet plandeki nie zamknęli, bo to byli już tacy chorzy, że o nich wiedzieli, że już do niczego się nie nadają. Wszystkich chorych to oni też nie zbrali, tylko tych najgorszych. Zawieźli nas do Neufarwaser. Tam była krankenstuba. Umieścili nas oszno i nie musieliśmy chodzić do pracy. W Stutthofie już jeden zmarł, on nie był nawet stary, miał pewno se 27 lub 29 lat. Z tej krankenstuby wyszedłem kiedyś na ustęp i zobaczyłem że stoi kilku SS-ianów. Jednego z nich poznałem - to był Zunter, znałem go z Gdańska, on przynosił buty do mego warsztatu do reperacji. Ostatni czas przed wojną, przed wrzesniem, nie przychodził już sam, bo jako SS-ianowi nie wolno mu było dawać robotę dla Polaka. Ale on jak miał jakąś robotę to przyzywał przez swego szwagra, który nie był w SS-ach. No i wtedy zobaczyłem go jak rozmawiał z innymi SS-ianami. Potem on został sam i nawołał na mnie. Zapytał się czy go znam - powiedziałem że nie znam, bo się bałem. Wtedy on przypomniał że go muszę znać, że przecież jestem szewcem Skirką. Zdziwił się skąd ja tu się znalazłem. Kazał mówić mi wszystko śmiało, że nie potrzebuje się jego bać i że może uda mu się pomóc. Więc opowiedziałem mu wszystko, jak się dostałem i co jest ze mną. - Obiecał, że postara się żeby mnie zwolnili. On chodził w czarnym mundurze i był tą prawą ręką Lagerführera. Objazdzał

wszystkie lagry, robił taką kontrolę. Powiedział mi, że w Nowym Torcie nie będzie długo, ale nim pewno za jakieś dwa lub trzy tygodnie znów przyjedzie, to może będzie miał dla mnie jakieś wiadomości. I rzeczywiście przyjechał, znalazł mnie i powiedział że rozmawiał z komendantem i że będę zwolniony prędko, ale jeszcze nie wie którego dnia. Jak przyjechał trzeci raz to zaraz następnego dnia zostałem zwolniony. Razem ze mną zwolniono nas ośmiu ludzi - jednego z nich znałem, był starszy odemnie, pracował na kolei - ale jak on się nazywał, to nie wiem. Ale on potem prędko zmarł. Ze mną jest już bardzo źle, nie pamiętam żadnych nazwisk, zresztą to już tyle lat. Ten Zauter to mi duże pomógł, był przed moim zwolnieniem a mojej żony, powiedział jej o mnie, pocieszył że prędko wrócę. Potem, jak już byłem w domu to był jeszcze raz, a potem wyjechał na front i więcej go nie widziałem. Jego syna też aresztowali, ale jego nie wywieźli do obozu tylko do Niemiec na roboty, jego stamtąd wydestali, bo on występował w cyrku i w kabaretach i tam w szpyn Niemczech też zabrali go od gospodarza. - - - - -

Jak wróciłem z obozu do domu to żona mnie nie poznała, bo jak mnie aresztowali to ja ważyłem 82 kg. Jak przyśzedłem, szło nas razem czterech. Zobaczyłem żonę na ulicy i zawołałem "Marta", ona popatrzyła i chciała iść dalej. Musiałem zawołać jeszcze raz to ona podeszła do nas i dopiero jak zapytałem czy nie znasz swego męża - wtedy mnie poznała. - - - - -

Relację zebrała:

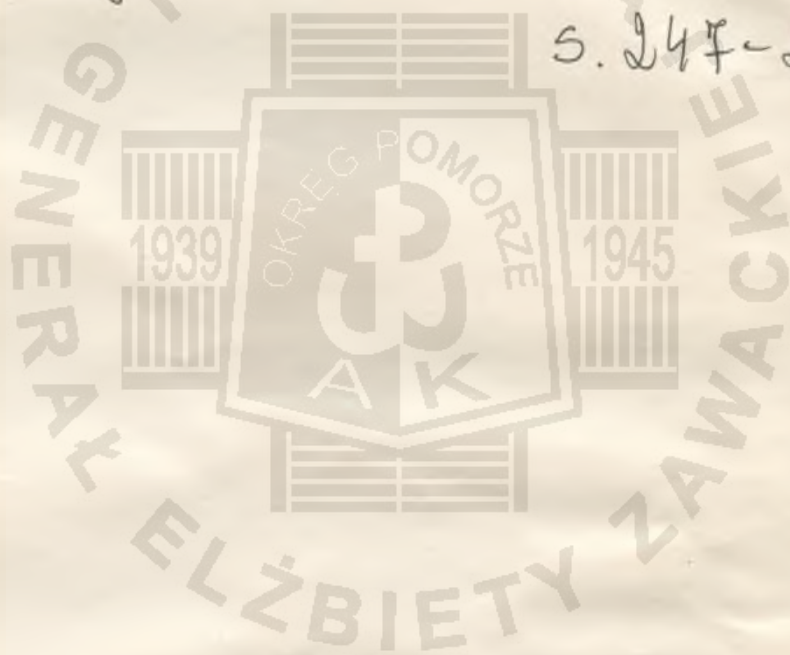
Franciszek Skierka

Krzyszyna Krzewska

Helaja Mienika Jano
& Gdaniska - Oruni

areszt. 31.08.1939 - obóz Stutthof,
następnie od 10.04.1940 do 1945
Oranienburg.

s. 247-254



Mienik Jan

R E L A C J E

J a n a M i e n i k a

byłego więźnia obozu koncentracyjnego Stutthof

Numer więźnia - zapomniany - prawdopodobnie 60

zawód: kolejarz

zamieszkały przed wojną w Gdańsku Oruni

oteecnie: Gdańsk-Orunia ul. Serbska 11 m 4.

Na dwa, trzy tygodnie przed rozpoczęciem wojny poszedłem do Komisariatu Felskiego do naczelnika Kwiatkowskiego i powiedziałem, że 1 września rozpocznie się wojna. W Komisariacie popatrzyli na mnie i powiedzieli "Panie Mienik, czy pan czasem nie przeholował?" - odpowiedziałem, że chyba nie. Pracowałem na dworcu głównym jako deklarant celny, a tam był jeden Niemiec, celnik, bardzo porządny chłop i on mi właśnie powiedział to o 1 wrześniu. Poszedłem więc z tym do Komisariatu i powtórzyłem co usłyszałem. Potem wróciłem do domu, żonie kazałem się zapakować, zabrać matkę, siostry i pojechać do Polski, w poznańskie. -----

Mnie chciano aresztować 31 sierpnia na Dworcu Głównym

nym. Przyszedł tam jeden z niemieckich urzędników i kazał jednemu robotnikowi zabrać dwie paczki butów, które były przeznaczone dla jakiegoś Żyda. Nie pozwoliłem na to mówiąc że samowoli niema - jak dadzą na piśmie, to urząd celny ma prawo zabrać i odrzuciłem tę paczkę z powrotem. Wtedy zauważyłem, że cały dworzec dookoła był obstawiony. Wchodzi "Schupo", za nim Janek Potrykus, który był zastępcą kierownika ekspedycji i jakoś tę sprawę z paczką satuszowali. Oni wyszli, a ja wtedy zauważyłem, że niektórzy koledzy od nas sziali, był tam między innymi Bernard Cywiński. Ja wytrzymałem do samego końca, do wieczora. Wieczorem wypłacili nam pieniądze. Zdziwiło nas to, bo to nie był ani pierwszy ani piątek. Poszliśmy do restauracji dworcowej na kolację, potem na drugą stronę do kawiarni. Ale już tam był szun, więc chcieliśmy iść do kina - tam to samo. Chcieliśmy więc obaj z Potrykusem jechać do Tczewa, ale jednak zrezygnowałem z tego, wsiadłem do tramwaju i pojechałem do domu, do rodziców, bo już swojego mieszkania nie miałem. Półtora miesiąca przed tem wyrzucili mnie z mieszkania i wtedy ja poszedłem do swoich rodziców, a żona do swoich. - - - - -

O godzinie mniej więcej 21-szej czy 21,30 matka wyszła zobaczyć czy ojciec wraca z pracy, bo ojciec pracował na poczcie polskiej, tymczasem ja siedziałem bez marynarki, pisałem list do żony. Dokumenty miałem wyłożone na stole. Wtedy z podwórka zastukali i weszło dwóch gestapowców w cywilu. Zapytali mnie czy Jan Mienik w domu - odpowiedziałem, że to właśnie ja, wtedy zabrali ten list, który pisałem do żony i odrazu chcą mnie zabrać. Na to weszła matka - oddałem jej pieniądze, które otrzymałem tego wieczora. Zabrali mnie na Gestapo i tam odrazu dostałem "prawyitanie." A przecież jeszcze wojny nie było. Był dzień 31 sierpnia.

Od razu więc dostałem bicie - wiedzieli, że byłem komendantem Powstańców i Wojaków na Oruni, wiedzieli też że należałem do tajnej organizacji. Mam jeszcze dokument podpisany w kancelarii Forstera w Gdańsku, że musiałem być w sierpniu 1939 roku aresztowany, bo należałem do siedmiu polskich organizacji politycznych i brałem czynny udział w ćwiczeniach przeciwlotniczych i przeciwgazowych za co zostałem odznaczony, odmówiłem służenia w Arbeitsdienst'cie i powiedziałem, że jestem Polakiem. "Auch seine Ehefrau". Tam dostałem takie bicie, że nie wytrzymałem i zrobiłem wysiadkę upadłem, wycierał oczy, a jeden mnie jeszcze kopnął i zawołał "Stehe auf, du Schweine Hund". Wstałem - zaprowadzono mnie do innego pokoju, jeden gestapowiec usiadł przy maszynie do pisania, drugi stanął w kącie, trzeci obok mnie i zaczęto spisywać moje dane: nazwisko, datę urodzenia i td. Jak spisali to wszystko, to zaprowadzili mnie znowu do tego pierwszego pokoju, jeden z nich usiadł - stół stał przy ścianie, posadzono mnie też, dwóch stało przedemną, jeden z nich z pałką gumową i od nowa bicie. Zaskłaniałem się ręką, to też twarzy mi nie potłukli, ale zegarek miałem stłuczony no i rękę, tak że marynarki nie mogłem zciągnąć nawet. Widzę, że nie wytrzymam - zacząłem ryczeć. Jakoś przestali, potem zaprowadzili mnie do góry, na dół, wchodzę i widzę, że tam już pełno kolegów. Dokumenty trzymalem jeszcze, byłem tam jakieś pół godziny - wpadli, zaczęli wywoływać nazwiska, zabrali nas na samochód - odjazd na Schischstand - tam dopiero wszystko nam odebrali. Około pierwszej w nocy znowu dwóch wpakowali. W tej samej celi był jakiś Kamiński podobno żołnierz niemiecki w cywilu. I tego razem ze mną drugiego września wywieźli do Stutthofu. Przyjecha-

łem w pierwszym transporcie 3 drugiego września 1939 roku do Stutthofu. Razem ze mną w tym samym transporcie byli również, o ile sobie przypominam : Langowski Zygmunt, Sikorski Augustyn, Guziński Franciszek, Lewandowski Wacław, Kordus Jan, Wilgorski, Tuchełka Ksawery, Grabowski, kontroler P.K.P., Chrzanowski, doktor Kopczyński Witold. Jechaliśmy załadowani do 2 autobusów i jednego samochodu ciężarowego pod plandeką. Ja jechałem autobusem - było nas w tym samochodzie około 40 osób - pod eskortą dwóch SA-żm-nów. W Stutthofie samochody stanęły na szosie, już był tam ustawiony szpaler, wszyscy wysiadka i SS-mani : "Ihr Hunde woltet nach Berlin marchiren! Ihr bekontet Berlin" - tak nas prowadzili. Potem "Sachsegrus knie boigt" - kto mógł to wytrzymał, a kto nie mógł - dostał kopniaka. Siedzieliśmy tak nie wiem jak długo. - - - - -

Jak przyjechaliśmy do obozu to było sdaże się dzieje sięć namiotów i stała kuchnia prowizoryczna - podmurowana cegłą. Było tam już około dziesięciu więźniów, Niemców z więzienia, którzy tam ten obóz budowali. Ogrodzenie już było gotowe. Wieczorem dano nam w miskach śledzie - takie prosto z beczki, nawet nie umyte. Jednak jeszcze byliśmy jako tako odżywieni, więc przewaźnie tych śledzi nie ruszyliśmy - baliśmy się, że po tych śledziach wodę trzeba będzie pić to i zaraz łatwo będzie się wykonać. Ubrań żadnych nam nie dano. Dość dłuże nosiliśmy swoje przeważnie bardzo porządne ubrania. Chodziliśmy do lasu ścinać drzewa. Pewnego dnia przyszedł do mnie SS-man Mathesius i "komm mahl her" - on znał mnie, to był też oruniak, mieszkał naprzeciwko mnie, o baj braliśmy udział w zawodach strzeleckich, rozgrywałem z nim w strzelaniu nagrody, 3 dwa razy zabrałem mu pierwszą nagrodę. Zawołał zaraz Lei-

singa i powiedział: "Dem gidst-du leichte Arbeit". To znaczy miałem u niego uznanie, pomimo, że był jedną z największych świni, którzy w obozie byli - on i Krysztofus. Neubauser też był taki, on później pojechał na Aussenkommando. Potem miałem jednego "bardzo dobrego" SS-mana, ten, gdzie mnie spotkał, to na każdym kroku po mordzie dostawałem - to był Emil Wagner der Scheik von der Schlosser. No, od tego dostawałem na każdym kroku. Jego ojciec mieszkał nie daleko nas na dzisiejszej ulicy Dworcowej, on mieszkał na Raunaunenstrasse, blisko szkoły. - - - - -

Pracowałem przy tym ścinaniu drzew, potem poszedłem do bambra, do ojca SS-mana rudego Fotha do Stegen. Tam udało mi się rzucić pocztówkę i wtedy jednego dnia przyjechała moja żona, ale tego dnia akurat ja nie byłem w pracy w tym komandzie. Żonę moją tam zatrzymali i na drugi dzień spotkaliśmy się. Żona moja była prezeską stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w Gdańsku, a ja w Oruni prezesem. - -

Pierwszym "starszym obozu" był rzewala. W kuchni był Szatkowski i Kuczora. - - - - -

Z chwilą gdy skończyły się walki na Westerplatte to tych SA-manów i gestapowców przyprowadzili do Stutthofu jako wachmanów. Gdy byłem w jednej kolonii przy spuszczeniu drzew podszedł do mnie jeden SS-man Oruniak - dał mi swoje śniadanie i papierosy. Pomimo tego, że nie paliłem, zapaliłem jednego papierosa i resztę zostawiłem. Kazał mi to zabrać i powiedział, że następnego dnia idzie na urlop, więc żebym powiedział co potrzebuję to on postara się dać znać rodzinie. I rzeczywiście ten SS-man poszedł do mojej matki i za trzy dni otrzymałem paczkę z domu. Nazwiska jego dokładnie nie pamiętam, ale zdaje mi się, że nazywał się Pogendorf. W każdym razie wiem, że mieszkał na

Oruni - to był taki blondyn. W tym mniej więcej czasie -
przywleźli do obozu moich dwóch braci i mego ojca. -----

Spotkało się więc w obozie nas czterech z jednej
rodziny. - - - - -

Zakazano nam wieczorami wychodzić do ubikacji, jak
ktoś wychodził to strzelano. Pamiętam taki wypadek - obok
mnie leżał Mazur i właśnie jego trafiła taka zabłąkana ku-
la w głowę. Nie wiedzieliśmy o tym. Rano pomacałem ręką
obok siebie, było jeszcze ciemno, ale poszedłem się myć,
wracam z powrotem, patrzę - a ten chłop nie żyje. - - - - -

Pierwszy transport do Oranienburga poszedł 10 kwie-
tnia 1940 roku. Transport ten liczył około dwustu ludzi,
tym pierwszym transportem poszedł między innymi Gerard
Pilowski. 18 kwietnia, w dniu moich urodzin szykują drugi
transport do Oranienburga. Ojca wyznaczili do tego trans-
portu, więc mój brat i ja chcieliśmy iść jako ochotnicy.
Najstarszego brata już zwolnili z obozu przez lekarzy, bo
jego żona leżała ciężko chora w szpitalu - on przyszedł do
domu, a żona jego zmarła. Ale jego już więcej nie zabrali.
Ojciec był przygotowany do transportu, a nam powiedzieli,
że "Ihr beide müssen hier bleiben". Ale okazało się, że
do transportu brakuje jeszcze pięciu. Więc znowu my obaj
z bratem posłaliśmy i tym razem znowu powtórzyło się to sa-
mo. Ale za trzecim razem / bo jeszcze im brakowało / powie-
dzieli "Mensch schreiben Sie auch - lassen Sie zusammen".
I tobyło nasze szczęście, że nas wywieziono ze Stutthofu,
bo tutaj co drugi SS-man nas znał i dobrze wiedzieli kim
my jesteśmy, a więc w Stutthofie napewno wykończyliby nas.

Tak więc 19 kwietnia wyprowadzili tę całą naszą
grupę i szliśmy pieszo do Tiegenhofu /dzisiejszy Nowy Dwór/,

gdzie dali nam cośkolwiek do zjedzenia, zapakowali nas do wagonów i wywieźli nas do Oranienburga. Przyjechalśmy tam w Hitlergeburtstag - 20 kwietnia. Tam było takie przywitanie, że pozał się Boże - ot, widocznie trzeba było uczcić geburstag Hitlera. - - - - -

W 1941 roku przyjechał znowu jakiś transport z Gdanska, a właściwie ze Stutthofu i wtedy wzięli kilku na bok, tam było ich pewno około trzydziestu. Myśmy wtedy akurat stali na apelu, padł rozkaz dla nas trzech - kazano nam oddać nasze rzeczy i po apelu zgłosić się do lagerführera. Tam okazało się, że o wszystkich więźniach Stutthofu mieli dokładne wiadomości. Wiedzieli czym kto był i co robił. No i o nas trzech to znaczy o moim ojcu, bracie i o mnie, widocznie wiadomości dostali razem z tamtymi więźniami co przyszli wtedy ze Stutthofu. Lagerführer zawołał jednego SS-mana i rozkazał mu, żeby nam urządził "eine Stunde Sport". No, ja byłem sportowcem, ale takiego sportu to nie widziałem, ani o takim sporcie nie słyszałem: padnij, powstan, padnij, powstan 9 przez całą godzinę. - - - Potem na takiej doświadczalnej szosie, którą tam budowali i gdzie dla sprawdzenia wytrzymałości butów musieli więźniowie karnej kompanii codziennie maszerować po czterdzięci kilometrów dziennie - kazali nam przekoziółkować na głowie. A tam leżały zwaly kamieni i to właśnie z nich w czasie tego "sportu" musieliśmy koziółkować. - - - - -

Pewnego dnia przychodzę z powrotem z komanda z klinkierni, gdzie pracowałem, a tu ojca i brata wysłali do Dachau. Powiedzieli mi, że lepiej żebyśmy razem nie byli. Widocznie ten kto to mówił - to miał rację, bo i ojciec i brat w Dachau przeżyli, a ja w Oranienburgu też

przeżyłem - wróciłem przecież z obozu, choć o cztery centymetry krótszy. Krótszy, bo dwanaście dni przed oswobodzeniem zostaliśmy zbombardowani na klinkierni i ja tam złamałem obie nogi i leżałem do 7 sierpnia 1945 roku. Przewieźli nas wozami do miasta, do Oranienburga, załadowali do wojskowego pociągu sanitarnego i przewieźli do Bydgoszczy do szpitala ewakuacyjnego. Tam zapytano mnie kiedy i gdzie byłem aresztowany - odpowiedziałem, że w Gdańsku 31 sierpnia 1939 roku. Mocno się dziwili, czyż byłem, że już przed wojną zostałem aresztowany? Odpowiedziałem, że "pewno bandyta", bo jeśli tak pytają to pewno nawet nie wiedzą co to był Gdańsk. -

Relację zebrała i z taśmy magnetofonowej odtworzyła:

Krzyszyna Krzewska.

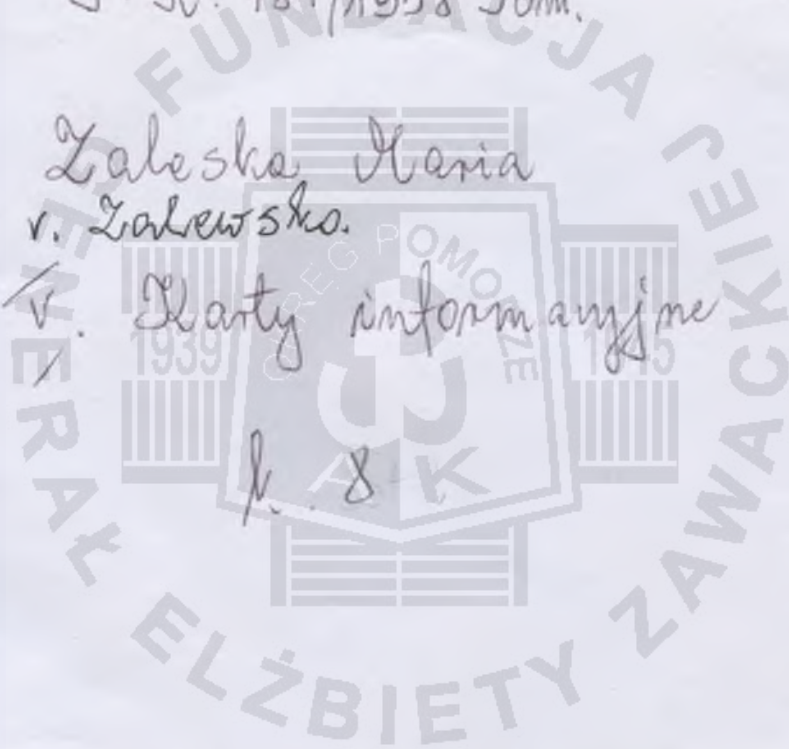
T: K: 787/1958 Pom.

Toruń

Zaleska Maria
v. Zaleska.

v. Karty informacyjne

l. 8

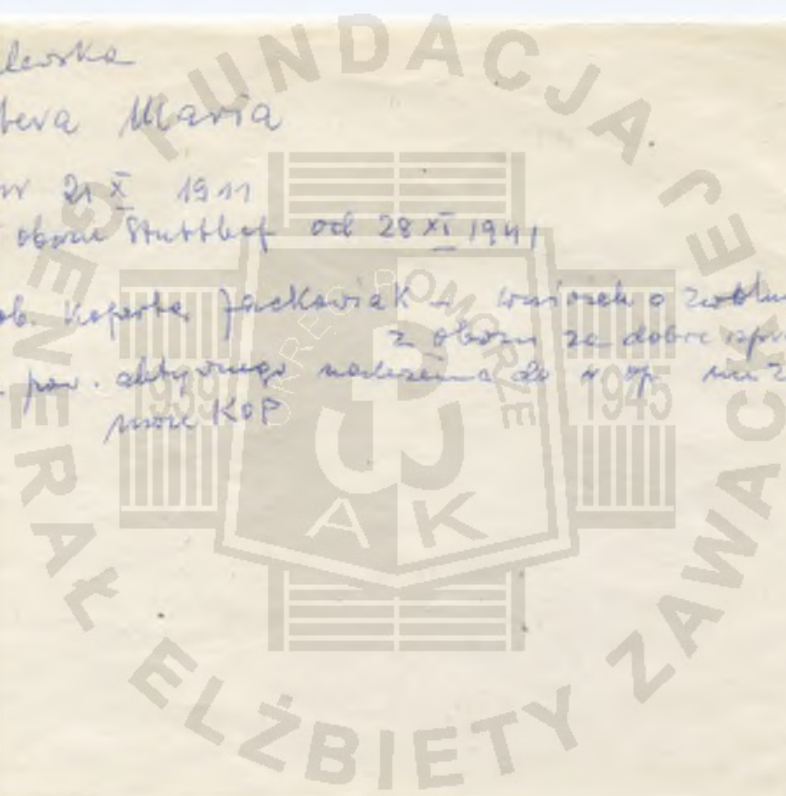


Zaleska
Piława Maria

Forma
kopi
pomysł 11

W 21 X 1941
W obrotach Stuttgart od 28 XI 1941

zob. Kierunki faktycznie w 1945
z obrotami 20. dobre sprawozdanie
z pow. obrotami 1945
nowe KOP



9

Toruń 25

Zaleska-Pitera Maria z Torunia
arentowana w listopadzie w związku
ze sprawą Brodicy, osadzona
w Stutthofie

ml. Jedwabna 4. - str. 2

Pitera - Łalewska Maria

Warszawa
KOP 3

- utrzymywała kontakt z Komendantem,
Olgą Pomorską KOP por. Paweł
Piętkowski.

Arestowana 2. XI. 1940r.

A. Gosiński, Generał / str. 83, 90

K. Wojt / VI. 94.

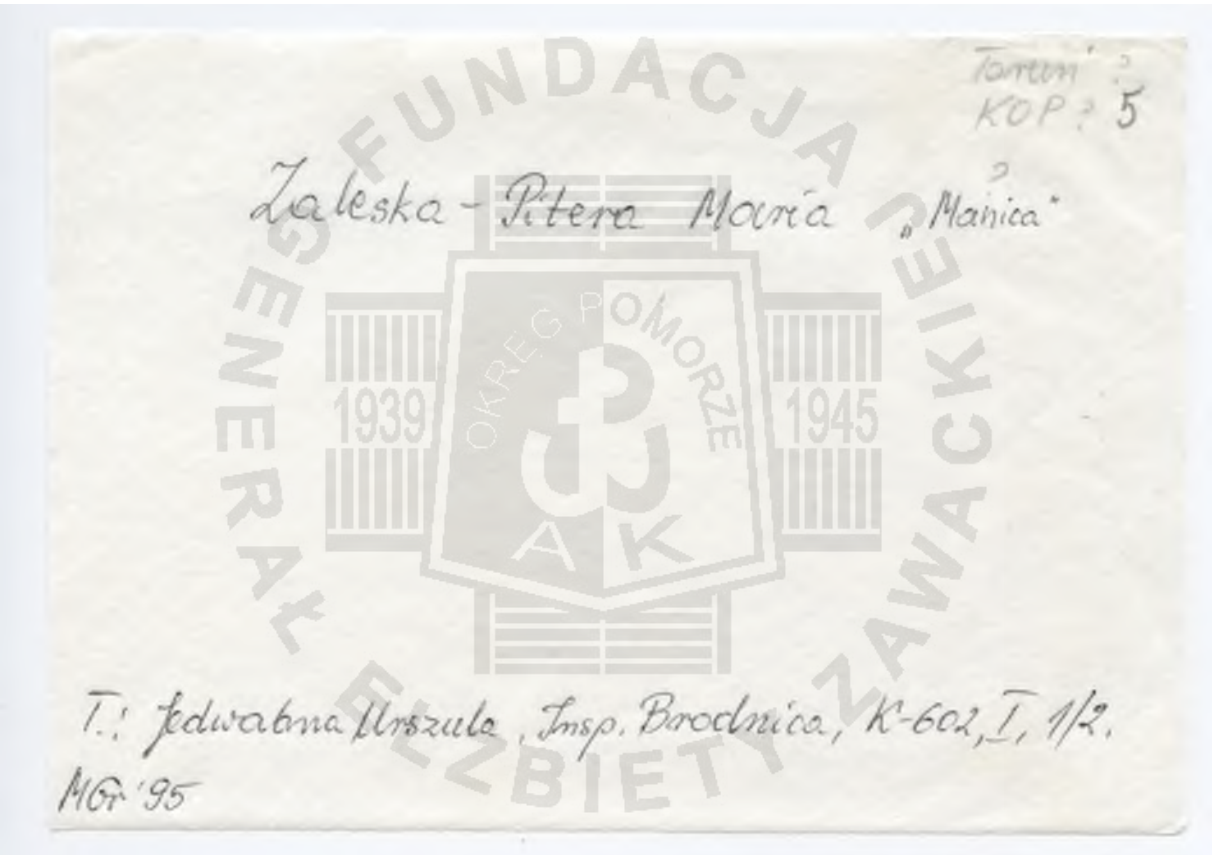
2/

W-~~na~~ KOP
TORUN
4

PITERA-ZALEWSKA MARIA

- 1) Waleontyna Warewska i M. Pitera-Zawierzańska utrzymywały kontakt organizacyjny z Kmdtem Okr. Pom. KOP Pawłem Piątkowskim.
- 2) Aresztowana 2.XI.1940r. tak jak Mitold Leudziom, Szabela Malejko, Waleontyna Warewska. Wszyscy oni po następnych przesłuchaniach zostali przewiezieni do więzienia grudziądzkiego.

źr.: A. Gąsiorowski, KOP, [nr:] Walka podziemna... s. 292,
MGr '94 298,



Tomu

Komenda
Okręgową
Polski OKR.
Pomorze

Pitera - Lalewska Maria

Była łączniczka w Warszawie Komendanta
okr. Pomorskiego ppor. lotnictwa Pawła
Piatkowskiego. Punkty kontaktowe mieściły się
w W-c na Mokotowie w Pl. Teresol. Pl. Niepodl. przy
w. Miłocińskiej i Wisniowej. Aresztowana w XI 1940 r. przewieziono
ją do Gestapo w Głuchogórze

Żoł. Bogdan Chreanowski? Polska Podziemna
Andrzej Gąsiorowski } "no 6. 1939-45" na Pomorzu
Krzysztof Steyer

N.M. 2006, Wyotr., Oskar "Polnord" Gd. 2005, str 233, 234.

more work
resum ~ Heber
more KOPala
stronkam me dne, siva mi dne, Pomyly la. me dne



Zaleska - Piłtwa
po. "Kamice"

Tom 8
KOP

zob. Gąsiorowski A., Komenda
Obronców Polski..., 2011
Tom 2012, s. 141, 143, 146-147,
148, 150, 163.

ks. x '14

Zaleska Maria

